

Timothy Zahn

NOCNY POCIĄG DO RIGEL



NOCNY POCIĄG

DO RIGEL

przełożyła Iwona Michałowska

Wydawnictwo Dolnośląskie

Pastorowi Rickowi House'owi,

który pomógł mi utrzymać się na szynach.

1

Stał oparty o boczną ścianę samoobsługowej taksówki. Zlustrowałem go wzrokiem,

wychodząc przez drzwi i siatkę atmosferyczną budynku New Pallas w chłodne, nocne powietrze Manhattanu. Był niski i szczupły, bez zarostu, w ciemnobrązowym płaszczu, beżowej koszuli i luźnych spodniach. Prawdopodobnie nie miał więcej niż siedemnaście, osiemnaście lat i wyglądał tak zwyczajnie, że mijając go na chodniku, nawet bym się nie obejrzał.

I właśnie dlatego, schodząc na ulicę po schodach z importowanego marmuru bellidyjskiego, przyjrzałem mu się z wielką starannością. Nie miałem wątpliwości, że tego grudnia po ulicach Nowego Jorku kręci się mnóstwo niepozornych ludzi, ale ich miejsce było w niepozornych rejonach miasta, a nie tu, w dzielnicy magnaterii. Wystarczyło, że ja się tu zapuściłem; dwie osoby o nieodpowiednim statusie społecznym w tym samym miejscu i czasie były już pewną przesadą.

Przyglądał mi się w milczeniu spod opadających powiek, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i niewidocznymi dłońmi. Żebrak ruszyłby już w moją stronę, a uczciwy obywatel usunąłby mi się z drogi. On natomiast nadal stał z tymi skrzyżowanymi rękoma, rodząc w mojej głowie pytanie, co trzyma w ukrytych dłoniach, i wielki żal, że Wywiad Sojuszu Zachodniego czternaście miesięcy wcześniej odebrał mi pozwolenie na broń.

Poruszył się, dopiero gdy zbliżyłem się na odległość trzech kroków. Otworzył oczy i zmarszczył czoło, jakby ten ruch kosztował go mnóstwo wysiłku..

– Frank Compton – rzekł ochryple. To nie było pytanie, lecz stwierdzenie.

– Owszem – odparłem. – Znamy się?

Uśmiechnął się lekko i rozplótł ręce. Struchlałem na moment, lecz obie okazały się puste. Lewa opadła bezwładnie wzdłuż tułowia, prawa zaś z trudem odnalazła drogę do kieszeni płaszcza.

Nim zdążył ją wyjąć, zaczął się osuwać po ścianie taksówki, powoli, niemal leniwie, aż legł bezwładnie na chodniku, niewidzącymi oczyma spoglądając w nocne niebo.

Dopiero teraz, gdy znalazł się bezpośrednio w świetle latarni, zauważyłem kilka mokrych plam na jego płaszczu.

Przykucnąłem obok ciała i rozejrzałem się. Z tyłoma dziurami chłopak nie mógł przebyć zbyt wielkiej odległości, a ten, kto mu to zrobił, być może czaił się w pobliżu, by dodać do swojej listy kolejne trofeum. Nie zauważyłem jednak w okolicy żadnych przechodniów kręcących się bez celu ani podejrzanych pojazdów. Starając się nie myśleć o dachowych snajperach z ponaddzwiękowymi karabinkami i elektronicznymi systemami namierzania, przeniósłem uwagę na dzieciaka.

Za trzy spośród krwawych plam odpowiadały mikroskopijne dziurki o średnicy główki szpilki, będące dziełem pocisków usypiających, używanych przez policję i prywatne firmy ochroniarskie w celu powstrzymania kogoś bez uciekania się do skrajności. Pozostałe rany miały znacznie większy rozmiar; kaliber zidentyfikowałem jako odpowiadający gromnikom, stanowiącym wyższy szczebel w hierarchii miejskiego arsenału myśliwskiego.

Na kolejnym szczeblu znajdowały się szatkownice wojskowe, ale napastnik – ku mojej uldze – nie

był aż tak zaawansowany.

Odsuwając bezwładną rękę, ostrożnie sięgnąłem do kieszeni dzieciaka. Znalazłem jedynie wąski plastikowy folder, używany zwykle do przetrzymywania mikrokart kredytowych lub sztabek gotówkowych. Skierowałem go ku światłu płynącemu z markizy New Pallas i otworzyłem.

W środku znajdował się tylko jeden przedmiot: połyskujący bilet w miedzianej ramce. Bilet na transgalaktyczny pociąg czteroszynowy numer 339216, odlatujący ze stacji Terra o 7.55, 27 grudnia 2084 roku. Za siedem dni. Obejmował jedno miejsce w trzeciej klasie, siedzenie numer 22, wagon 15.

Celem podróży była ziemська kolonia Yandro w układzie gwiazdym Rigel.

Yandro – czwarty i ostatni akt wielkiego planu Dyrektoriatu Narodów Zjednoczonych, mającego na celu przeobrażenie człowieka w autentycznego obywatela wszechświata i zrównanie go w prawach społecznych z jedenastoma prawdziwymi imperiami galaktycznymi. Yandro, planeta, która w niekontrolowany i totalny sposób pożerała zasoby Układu Słonecznego od momentu, gdy dziesięć lat temu, przy wtórze wrzawy medialnej zwykle zarezerwowanej dla gwiazd popkultury, wylądowali tam pierwsi koloniści.

Yandro. Przyczyna, dla której wykopano mnie z Wywiadu Sojuszu Zachodniego.

Zerknąłem na wciąż wpatrzoną w niebo twarz trupa. Mam dobrą pamięć do twarzy, ale tej kompletnie sobie nie przypomiąłem. Raz jeszcze przeniosłem wzrok na bilet w poszukiwaniu informacji o pasażerze i zobaczyłem cyfrowe zdjęcie. Swoje zdjęcie.

Gapiałem się na nie, czując, jak jeżą mi się włosy na karku. Nie tylko zdjęcie było moje. Widniało tam także moje nazwisko, numer dowodu osobistego i odcisk palca, który jeśli nawet nie był moim, wyglądał kropka w kropkę jak mój.

Wieloletnie doświadczenie nauczyło mnie, że lepiej nie przebywać zbyt długo w towarzystwie trupów, szczególnie tak świeżych jak ten tutaj. Mimo to poświęciłem jeszcze minutę na przetrząśnięcie pozostałych kieszeni dzieciaka.

Zupełnie dobrze mógłbym to sobie podarować. Chłopak nie miał ani dowodu osobistego, ani karty kredytowej – nie miał niczego prócz chusteczki, scyzoryka, niezapłaconych rachunków czy listów z domu. Oprócz biletu znalazłem jedynie sztabkę gotówkową z kredytem w wysokości stu dziewięćdziesięciu dolarów.

Obejrzałem się na dźwięk trajkoczących głosów, by zobaczyć czworo nieskazitelnie odzianych młodych ludzi, wychodzących z New Pallas na wieczorną imprezę. Wstałem powoli, przestąpiłem nad leżącym ciałem i ruszyłem ulicą tak szybko, jak tylko się dało bez wzbudzania podejrzeń. Mieszkający w tej części miasta magnaci od czasu do czasu mieli do czynienia z czymś tak nieapetycznym jak śmierć, ale sprawa zawsze była załatwiana w sposób absolutnie dżentelmeński i cywilizowany, bo tacy byli wynajmowani przez nich skrytobójcy. Prawdopodobnie żadna spośród schodzących w tej chwili po schodach osób nigdy dotąd nie widziała trupa, więc przypuszczałem, że gdy w końcu go dostrzegą, narobią sporo szumu. Musiałem się ewakuować, nim to nastąpi.

Dotarłem do końca przecznicy i skręciłem, gdy nagle coś mnie tknęło. Obejrzałem się. Nad ciałem stała jakaś postać – szczupła, niepozorna, pochylona, z głową wychyloną do przodu, bez wątplenia po to, by lepiej widzieć naszego drogiego denata. Odległość i cienie rzucane przez latarnie uniemożliwiały mi dokładne przyjrzenie się twarzy, ale zachowanie nie świadczyło o zbytnim przerażeniu czy wstrząsie. Najwyraźniej widok trupa nie był dla tego osobnika żadną nowością.

Gdy tak patrzyłem, facet wyprostował się i spojrział w moim kierunku.

Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymałem się od panicznej ucieczki, zamiast tego kontynuując dotychczasowy szybki marsz. Mężczyzna nie ruszył za mną: spokojnie przyglądał się, jak znikam za najbliższym budynkiem.

Dla pewności minąłem jeszcze dwie przecznice i dopiero gdy noc rozdzierało już wycie syren, zatrzymałem przejeżdżającą taksówkę.

– Dobry wieczór – powitał mnie komputerowy głos. – Dokąd jedziemy?

Zerknąłem na folder, wciąż ściskany w rękę. Do odjazdu pociągu pozostało siedem dni. Podróż z Ziemi na stację czteroszynowej kolei kosmicznej, położoną w zewnętrznej strefie Układu Słonecznego, w pobliżu orbity Jowisza, trwała niewiele krócej. Jeśli miałem zdążyć na pociąg, musiałem wyruszyć natychmiast.

Czułem się nieco przyparty do muru, ale w gruncie rzeczy sytuacja była dla mnie całkiem korzystna. Tak czy owak planowałem wyruszyć za kilka tygodni w podróż transgalaktyczną, płacąc za bilet nowiutką kartą kredytową, którą miałem w kieszeni. Teraz mogłem przynajmniej rozpocząć podróż za cudze pieniądze.

Tyle tylko, że nie zamierzałem wyruszać tak szybko. Nie miałem też ochoty rozpoczynać wycieczki od jednej z nielicznych, żalonych ziemskich kolonii.

No i zdecydowanie nie planowałem pozostawiać za sobą trupa.

Ktoś jednak poświęcił mnóstwo trudu i pieniędzy, by kupić mi bilet do Yandro, a ktoś inny poświęcił życie, by mi go dostarczyć.

Najwyraźniej był też ktoś, komu bardzo zależało, żeby ów bilet: do mnie nie dotarł.

– Dokąd jedziemy?

Wrzuciłem folder do kieszeni i wyjąłem sztabkę gotówkową, zfiując, że nie zabrałem tej, którą miał przy sobie chłopak. Na kredytówce miałem mnóstwo forsy, ale transakcje robione kredytówką, w odróżnieniu od tych wykonywanych przy użyciu sztabki, pozostawiały ślad.

– Grand and Mercer – powiedziałem, wkładając sztabkę do gniazdka.

Kwadrans na pakowanie, potem kolejna podróż taksówką do portu powietrznego Sutherlin... Powinienem zdążyć na najbliższy lot na Lunę i stację czteroszynówki. Jeśli w tym tygodniu odrzutowce międzyplanetarne latały planowo, będę miał jeszcze kilka godzin w zapasie.

– Dziękuję – odparła taksówka i ruszyła łagodnie, włączając się w ruch uliczny.

Księżycowy dach był otwarty. Jadąc wzdłuż Siódmej Alei, spoglądałem w górę na nieliczne gwiazdy, których blasku nie przyćmiły światła miasta. Wyłuskałem charakterystyczny pas Oriona, po czym opuściłem wzrok ku znajdującej się na kolanie Myśliwego gwiazdzie Rigel, zastanawiając się, czy z Yandro w ogóle widać nasze Słońce.

Nie miałem pojęcia. Wyglądało jednak na to, że wkrótce się dowiem,

– Uwaga, uwaga! – odezwał się z głośników restauracji łagodny głos. – Pociąg czteroszynowy numer 339216 z Helvanti i Ziemi Bellidosza wjedzie na stację za godzinę. Pasażerów udających się do Nowego Tigris, Yandro, Związku Republik Juriańskich oraz Republiki Cymalskiej prosimy o przejście do zielonej sali wylotów. Uwaga, uwaga...

Głos powtórzył wiadomość po angielsku, po czym przeszedł na juriański, a następnie na mahijski. Przełknąłem ostatnie dwa kęsy burgera, wytarłem ręce i włożyłem sztabkę gotówkową do gniazdka umieszczonego przy barze. Większość pozostałych klientów nadal siedziała, najwyraźniej czekając na jakiś późniejszy pociąg. Zsunąłem się ze stołka, wcisnąłem przyczepiony do wewnętrznej strony płaszcza przycisk pilota i patrzyłem, jak moje dwie staroświeckie torby wysuwają się spod lady.

Po przejechaniu dwóch metrów w większej zaciął się silnik i torba zaczęła się kręcić w kółko. Zakląłem pod nosem, wyłączyłem smycz i chwyciłem torby za rączki, mając nadzieję, że nikt nie zwraca na mnie uwagi. Niewiele było rzeczy bardziej kompromitujących niż zepsuty bagaż, a jeszcze mniej było bardziej żałosnych niż właściciel, który jest zbyt leniwy lub biedny, by go naprawić. Przewiesiłem sobie większą torbę przez ramię, udając, że niosę ją dla gimnastyki, i ruszyłem ku drzwiom.

W połowie drogi dostrzegłem dziewczynę. Wyszła zza przepierzenia osłaniającego jeden ze stolików i dołączyła do sznura wychodzących. Torba podróżna grzecznie podążała za nią.

Ha! Wyglądało na to, że dziewczę wybiera się w podróż tym samym pociągiem co ja.

Fakt, że spędziliśmy tydzień w tym samym odrzutowcu, sam w sobie nie miał większego znaczenia. Istniało tylko jedno sensowne połączenie pomiędzy atlantycką stroną Sojuszu Zachodniego a stacją transferową czteroszynówki, więc każdy, kto postanowił odbyć podróż do gwiazd w ciągu najbliższych trzech czy czterech dni, nie miał innego wyjścia, jak lecieć ze mną.

Problemem było to, że ta dziewczyna nie pasowała mi do żadnego typowego profilu pasażera. Nie widziałem, żeby wchodziła w jakiegokolwiek interakcje z innymi podróżnymi albo uciniała sobie pogawędki z personelem. Wśród podróżujących pojazdami kosmicznymi zdarzali się, rzecz jasna, samotnicy, ludzie nieśmiali lub po prostu obojętni, ale wszyscy oni coś jednak robili, nawet jeśli tym czymś było zawinięcie się w kokon milczenia i spoglądanie w gwiazdy w jednej z sal widokowych. Tymczasem, choć celowo przechadzałem się raz po raz po wszystkich publicznych miejscach odrzutowca, widywałem ją jedynie podczas posiłków i, z rzadka, w którymś ze sklepów. Poza tym nie opuszczała kabiny. Nie pojawiła się nawet na pokładowej imprezie bożonarodzeniowej.

Idąc korytarzem w kierunku sali wylotów, patrzyłem na jej połyskujące w świetle krótkie, ciemne włosy. Mogła mieć jakieś dwadzieścia dwa lata, co znaczyło, że jest o dekadę młodsza ode mnie. Orzechowe oczy współgrały z kolorem włosów, a smukła, zgrabna figura wskazywała na kogoś, kto utrzymuje formę dzięki ćwiczeniom, a nie ciężkiej pracy fizycznej. Twarz miała ładną, ale w jej oczach malowało się jakieś niepokojące wyobcowanie. Być może to dlatego nie zauważyłem, by ktokolwiek w odrzutowcu próbował ją zagadnąć więcej niż raz.

Zauważyłem jeszcze jedną ciekawostkę: dziewczyna nigdy nie płaciła kredytówkami. Używała wyłącznie sztabek.

Ja sam, rzecz jasna, także płaciłem tylko nimi. Ja jednak, biorąc pod uwagę pozostawione przy New Pallas zwłoki, miałem pełne prawo nie chcieć, aby ktoś śledził moje ruchy.

Byłem ciekaw, jakie powody ma dziewczyna.

Gdy dotarliśmy na miejsce, wahadłowiec był już otwarty. Wsiadłem, znalazłem miejsce i rzuciłem bagaże na zabezpieczony siatką ochronną przenośnik, który miał je zawieźć do umieszczonego na dachu luku bagażowego. Kwadrans później wystartowaliśmy. Przelatując pod działami i wyrzutniami pocisków platformy bitewnej Konfederacji Terrańskiej, unoszącej się nad naszymi głowami jak wygłodniały drapieżca, rozpoczęliśmy ostatni, pięćdziesięciokilometrowy etap podróży na stację kolei czteroszynowej.

Wyglądałem przez okno, jednym uchem słuchając trajkotania podróżnych, którzy przemierzali tę trasę po raz pierwszy. Przed nami na niebie widniała Tuba – lśniący metalowy cylinder, ciągnący się pozornie w nieskończoność w obu kierunkach. Pomimo blasku był dostrzegalny jedynie z bardzo bliskiej odległości, dzięki czemu sondy kosmiczne od stu lat krążyły po orbicie Jowisza, kompletnie go ignorując.

Końcówki cylindra były jeszcze trudniej dostrzegalne: Tuba po prostu stopniowo zanikała, przechodząc w osobliwą hiper-przestrzeń, w której biegła na większości swojej długości. Kilka razy próbowano podążać za nią do tych miejsc, ale niezależnie od tego, jak daleko się dotarło, cylinder zawsze sprawiał wrażenie całkowicie wyraźnego. Specjaliści nazywali to złudzeniem transoptycznym, przez co chcieli powiedzieć, że nie mają zielonego pojęcia, dlaczego tak się dzieje. O ile jednak było mi wiadomo, żadna z pozostałych ras podróżujących koleją czteroszynową także nie miała pojęcia, na czym polega jej fenomen. Wiedziały to jedynie zarządzające systemem Pająki, a te nie miały najmniejszego zamiaru dzielić się wiedzą.

Sama stacja była wybrzuszeniem wewnątrz cylindra, liczącym pięć kilometrów długości i dwa średnicy, z umieszczonymi w równych rzędach na powierzchni różnej wielkości włazami. Oficjalna wersja głosiła, że ta część Tuby musi być szersza od reszty, żeby się dobrze zakotwiczyć w standardowej przestrzeni. Bardziej cyniczna teoria utrzymywała, że Pająki musiały w jakiś sposób usprawiedliwić pobranie opłaty w wysokości biliona dolarów za budowę stacji w Układzie Słonecznym.

Przy dwóch małych włazach czekały już promy pasażerskie podobne do naszego. Dziesięć czy dwanaście luków przeładunkowych również było zajętych, co oznaczało, że wkrótce przybędzie na stację co najmniej jeden pociąg towarowy. Przewóz towarów był rzeczywistym ekonomicznym uzasadnieniem funkcjonowania kolei: każdy gram towaru przewożonego pomiędzy tysiącami zamieszkanymi układami gwiazdnych galaktyki podróżował tym środkiem transportu. Przewozy pasażerskie miały, rzecz jasna, swoją niezaprzeczalną wartość, ale podejrzewałem, że w bilansie Pająków stanowią zaledwie postscriptum.

Nasz prom przeleciał gładko obok dryfującej kapsuły naprawczej i zacumował przy włazie oznaczonym jaskrawo fioletowymi światłami, przylegając górną powierzchnią do obcego metalu. Pstryknęły blokady i tylny właz statku otworzył się. Wyczuwając obecność powietrza, luk stacji również się rozsunął, a pasażerowie wypięli się z pasów i unosząc się w stanie nieważkości, podpłynęli do drabinki i ustawili się grzecznie w kolejce.

Karty informacyjne otrzymane wraz z biletem podkreślały fakt, że – w odróżnieniu od rotacyjnej pseudograwitacji stacji transferowej czy szorszyjskich silników nośnonapędowych używanych przez całą resztę galaktyki – system sztucznej grawitacji tunelu kolejowego rozpoczął się zaraz za wewnętrzną granicą luku wejściowego. Nie było jednak promu bez jakiegoś idioty, który nie zadał sobie trudu przeczytania wskazówek. Nasz znajdował się o sześć osób przede mną. Z radosną pewnością siebie frunął wzdłuż drabinki, by nagle, gdy jego głowa znalazła się po drugiej stronie, gdzie pochwyliła ją grawitacja stacji, zmienić kierunek i spaść z powrotem. Za drugim razem przez całą drogę grzecznie trzymał się szczebli.

Minutę później po raz pierwszy od dwóch lat znalazłem się wewnątrz największego osiągnięcia techniki w historii wszechświata. Ogólny wystrój stacji był dość prozaiczny i gdyby nie fakt, że znajdowała się wewnątrz olbrzymiego cylindra, równie dobrze mogłaby uchodzić za stację kolei okołozemskiej albo jednotorówki. Znajdowało się tam trzydzieści równo rozmieszczonych czteroszynowych torów, pomiędzy którymi stały elegancko zaprojektowane budynki, służące jako centra obsługi, hangary, restauracje i poczekalnie dla pasażerów oczekujących na przesiadkę.

Pytanie, dlaczego każdy tor wymagał aż czterech szyn, było jedną z licznych nierozwiązanych zagadek dotyczących kolei transgalaktycznej. Dwie były potrzebne do zapewnienia fizycznej stabilności, a obecność trzeciej dawałaby się wyjaśnić, gdyby pociągi były zasilane energią ze źródła

zewnątrznego. Nikt jednak i nie potrafił dociec, do czego służy czwarta szyna. Większość ludzi prawdopodobnie nigdy się nad tym nie zastanawiała. Więcej: na tym etapie podróży większość w ogóle nie dostrzegła szyn. Wszyscy natomiast od razu zauważali Kręgosłup. Był pierwszą rzeczą, jaka rzucała się w oczy po znalezieniu się we wnętrzu Tuby. Oficjalna charakterystyka kolei czteroszynowej opisywała Kręgosłup jako biegnącą wzdłuż Tuby świecąca rurę o niewiadomym składzie i przeznaczeniu, co przypominało opis rajskiego ptaka jako mieniającej się kolorami, latającej istoty. Liczący dziesięć metrów średnicy, jarzący się, mrugający i połyskujący wszystkimi możliwymi barwami – nie wyłączając głębokiej podczerwieni i ultrafioletu – Kręgosłup przypominał feerię barw oglądaną po przedawkowaniu kofeiny. Od czasu do czasu wzory zaczynały się zmieniać z większą szybkością i intensywnością; większość ludzi przysięgała wówczas, że widzą, jak rura drży niczym zbyt mocno napięty kabel, gotów w każdej chwili pęknąć. Otaczająca Kręgosłup w odległości jakichś dwunastu metrów luźna druciana siatka zwiększała intensywność iluzji, sprawiając wrażenie ekranu ochronnego, mającego ochronić pasażerów przed odłamkami, gdyby rura istotnie pękła.

Na szczęście wykonane za pomocą czujników pomiary już dawno dowiodły, że owe drgania to prostu kolejne złudzenie optyczne. Te same pomiary potwierdziły fakt, iż urządzenie, nie bez kozery nazwane Kręgosłupem, przebiega dokładnie przez środek geometryczny Tuby.

I na tym kończyła się nasza wiedza. Większość specjalistów – wszyscy z wyjątkiem tych, którzy przypisywali ten zaszczyt czwartej szynie – zgodnie twierdziła, że Kręgosłup stanowi klucz do zagadki funkcjonowania kolei, ale nie mieli do powiedzenia nic ponadto. Żaden sprzęt skanujący o rozmiarach tak niewielkich, żeby można go było precyzyjnie przecisnąć przez luki Tuby, nie był w stanie przeniknąć przez zewnętrzną powłokę Kręgosłupa, by sprawdzić, co znajduje się w środku, a lepsze czujniki, z gatunku tych montowanych na okrętach wojennych, nie potrafiły przeniknąć przez zewnętrzną ścianę samej Tuby. Innymi słowy, nastąpił informacyjny pat, który był jak najbardziej po myśli Pająków.

– Witaj, podróżny – zabrzmiał mi w uszach beznamiętny głos.

O wilku mowa. Przybrałem obojętny wyraz twarzy i obróciłem się.

Za moimi plecami stał Pająk: szara kula o średnicy pół metra, zawieszona pod kabłąkiem złożonym z siedmiu segmentowych nóg. Cała konstrukcja, odbijająca się nieznacznie w nieprzerwanej feerii światła Kręgosłupa, była dwa razy wyższa ode mnie. Kula wisiała o jakieś pół metra nad moją głową, co oznaczało, że ten konkretny osobnik jest prostym robotnikiem kolejowym. Już sam ten fakt był ciekawy: zwykłe zadanie komunikacji z podróżnym, jeśli Pajaki uznały ją za konieczną, spoczywało na niższych konduktorach.

– Witaj – odparłem, nie tracąc rezonu. – W czym mogę ci pomóc?

– Gdzie twój bagaż? – zapytał stwór.

Odszukałem wzrokiem górę transportowanych z promu bagaży. Niektóre, posłuszne elektronicznym rozkazom właścicieli, zaczynały już się odłączać.

– Gdzieś tam – odparłem, machając ręką w tamtym kierunku. – Dlaczego pytasz?

– Przynieś go tu, proszę – odparł Pająk. – Musimy go zrewidować.

Poczułem ucisk w żołądku. Podczas swoich poprzednich podróży czteroszynówką widywałem inspekcje bagaży jedynie wtedy, gdy zestaw niewidzialnych czujników wykrył już w nich obecność czegoś, co uznał za kontrabandę.

– Oczywiście – odparłem, starając się zachować spokój, po czym nacisnąłem przycisk smyczy i

modliłem się w duchu, żeby torby nie przyniosły mi wstydu, zdychając w pół drogi.

Ku memu zdziwieniu nie zrobiły tego. Manewrując między pozostałymi bagażami, dotarły grzecznie do miejsca, w którym czekałem wraz z Pajakiem.

– Otworzyć? – zapytałem.

– Nie. – Pajak podszedł do toreb, uniósł dwie nogi, zręcznie umieścił ich końcówki w uchwytach i uniósł torby w powietrze niczym ciężarowiec wykonujący ćwiczenia na bicepsy. Zostaną zwrócone – dodał i oddalił się w kierunku jednego z budynków, znajdującego się za torem, na który miał przybyć mój pociąg.

Spoglądałem za nim, zastanawiając się – jak wszyscy w galaktyce – co, u diabła, mieści się wewnątrz tych wiszących kul. Ale metaliczna skóra Pajaków była równie odporna na penetrację czujników jak sam Kręgosłup. Mogły to być roboty, androidy, wyszkolone kaczkę albo coś zbyt dziwnego, by w ogóle przyjść komuś do głowy. Tak czy owak, to coś znikło w budynku, a ja odwróciłem się gwałtownie, wiedziony przecuciem.

Dziewczyna stała obok sterty bagażu z torbą u stóp i przyglądała mi się. Przez sekundę spoglądaliśmy na siebie. Potem, jakby dopiero sobie uświadomiła, że odwzajemniam spojrzenie, spuściła wzrok.

Zmarszczywszy brwi, odwróciłem się i ruszyłem w stronę peronu. Pociąg miał wjechać na stację za osiem minut i nie spodziewałem się, by było inaczej, bo nigdy nie słyszałem o spóźnieniu się czteroszynówki. Po upływie kolejnych trzydziestu minut miał wyruszyć w dalszą drogę ze mną na pokładzie.

Jeśli Pajaki do tej pory nie zwrócą mi bagażu, ktoś za to beknie.

Po siedmiu minutach na odległym końcu Tuby pojawiło się czerwone światło pociągu.

Pozostali pasażerowie zebrali się już na peronie, a w powietrzu po raz kolejny zabrzmiało podenerwowane trajkotanie nowicjuszy. Pociąg zbliżał się szybko i już po chwili czerwone światło przeobraziło się w parę jaskrawych, przypominających lasery wiązek światła, błyskających pomiędzy przesadnie wielkim zderzakiem lokomotywy a znajdującym się nad nią Kręgosłupem. W miejscach, w których promienie dotykały Kręgosłupa, feeria światła jeszcze zyskiwała na intensywności. Kątem oka obserwowałem z rozbawieniem, jak niektórzy z nowicjuszy cofają się o kilka kroków. Lasery zgasły i ciemna masa przeobraziła się ponownie, tym razem stając się srebrzystą, metaliczną lokomotywą, ciągnącą sznur równie srebrzystych i metalicznych wagonów. W miarę zbliżania się do stacji pociąg szybko wytracał prędkość. Lokomotywa i kilka pierwszych wagonów minęły miejsce, w którym staliśmy, po czym całość zahamowała z piskiem.

Ten konkretny skład liczył szesnaście wagonów. Do wnętrza każdego prowadziły jedne, umieszczone z przodu drzwi, które rozsunęły się jednocześnie, wypluwając pajęczych konduktorów – mniejszą, mniej więcej dorównującą wzrostem człowiekowi wersję robotnika, który kilka minut wcześniej oddalił się z moim bagażem.

Konduktorzy zrobili przejście i stali obok drzwi niczym wartownicy spod pałacu Buckingham, czekając, aż hordy podróżnych – ludzi i obcych – wysypią się z bagażami na perony i ruszą do poczekalni lub w kierunku jarzących się luków oznaczających miejsca, przy których czekają promy. Na tyłach pociągu robotnicy pospiesznie wyjmowali z wagonu towarowego większe bagaże, by je przetransportować do promów. Wiedziałem, że po drugiej stronie pociągu inni równie pospiesznie opróżniają liczne luki bagażowe umieszczone pod wagonami.

Spojrzałem w kierunku lokomotywy, do której również podeszło dwóch pracowników. Jeden, wkładając nogi w szereg wbudowanych pierścieni, wspiał się na wysokość nieco wybrzuszonej

skrzyni, umieszczonej na dachu lokomotywy bezpośrednio za kompaktową anteną w kształcie talerza. Wyciągnął dwie wrzecionowate nogi i otworzył skrzynię, po czym delikatnie wyjął z niej spłaszczony cylinder informacyjny i podał stojącemu na dole koledze. Drugi Pająk odebrał cylinder i podał tamtemu inny, który ten umieścił w skrzyni. Te złudnie małe cylinderki były naładowane najnowszymi wieściami z całej galaktyki, a także prywatnymi listami i wszelkiego rodzaju zakodowanymi informacjami.

Pasażerowie, towar i poczta – największy hat trick każdej cywilizacji. Wszystko to przemierzało kosmos dzięki czteroszynówce.

Będącej pod całkowitą kontrolą Pająków.

Kilka minut później, gdy wszyscy pasażerowie opuścili pociąg, wielonodzy konduktorzy zrobili krok naprzód. „Prosimy o uwagę wszystkich pasażerów udających się pociągiem czteroszynowym 339216 do Nowego Tigris, Yandro, Związku Republik Juriańskich, Republiki Cymalskiej i pośrednich stacji transferowych!” – ogłosili unisono, werbalizując informacje widniejące również na zawieszonym nad pociągiem wielojęzycznym hologramie. „Odjazd nastąpi za dwadzieścia trzy minuty!”

Tłum ruszył naprzód. Konduktorzy powtórzyli komunikat po juriańsku i cymalsku, trwoniąc czas, bo wśród oczekujących na pociąg nie było ani jednego Juriańczyka czy Cymalczyka. Lata pracy dla rządu nauczyły mnie jednak, że procedur należy przestrzegać, nawet jeśli przypadkiem nie mają sensu. Omijając wsiadających, skierowałem się ku wagonowi 15 ostatniemu przed bagażowym.

Bilet w miedzianej obwódce wskazywał na miejsce w niższej klasie, ale dopiero gdy wdrapałem się do wagonu, przestąpiłem nad stosem owiniętych siatką ochronną skrzyń i stanąłem w przejściu, uświadomiłem sobie, że znajduję się na szarym końcu łańcucha pokarmowego. Wagon 15 był hybrydą: służył głównie jako bagażowy – pod każdą ścianą stały trzymetrowej szerokości rzędy zabezpieczonych skrzyń – i tylko pomiędzy przejście a ścianę skrzyń po prawej stronie wciśnięto, jakby w ostatniej chwili, trzydzieści pojedynczych siedzeń.

Siedziało tam już pół tuzina obcych: Cymalczycy, furiańczy-cy i jeden Bellido. Żaden z nich nawet na mnie nie spojrzał, gdy szedłem wzdłuż przejścia, furiańczycy, wyglądający jak pionowe iguany o jastrzębich dziobach i trójpalczastych stopach ze szponami, mieli niewypolerowane łuski, świadczące o niskim pochodzeniu, a gruszkowaci Cymalczycy nosili swoje kudłate, przypominające przedzę włosy rozpuszczone, zamiast czesać je w skomplikowane warkocze, jak ich bardziej szlachetni pobratymcy.

Szczególne uwagę zwróciłem na Bellidę. Zbliżając się do niego, wyteżalem wzrok w poszukiwaniu eksponowanych kabur naramiennych i karabinów, będących u jego rasy symbolem statusu społecznego. Prawdziwa broń była we wnętrzu Tuby zakazana, ale Bellidowie poradzili sobie z tym problemem, na czas podróży zastępując ją atrapami z miękkiego plastiku.

Zawsze wydawali mi się trochę śmieszni, jak pasiaste dzieciaki o twarzach wiewiórek, bawiące się w wojnę pistoletami zabawkami. Pamiętając jednak o fackie, że poza Tubą ich karabiny są prawdziwe, przezornie zachowywałem tę opinię dla siebie.

Ten konkretny Bellido miał jednak nieozdobione ramiona, co mniej więcej zgadzało się z moimi oczekiwaniami. Znajdowaliśmy się w międzygwiazdym wagonie bydłącym. Kimkolwiek był mój nieznajomy dobroczyńca, najwyraźniej nie należał do rozrzutnych.

Co z tego jednak, skoro ten wagon miał mnie zawieźć do Yandro równie szybko jak znajdujące się u czoła pociągu wagony pierwszej klasy. No i przynajmniej raz nie musiałem się obawiać, że będę siedział obok kogoś zbyt grubego czy śmierdzącego.

Bellido spojrział na mnie, gdy go mijalem.

Nie było to żadne szczególne spojrzenie. Ot, uniósł leniwie wzrok, po czym równie leniwie go opuścił. A jednak było w tym wzroku – albo w osobie – coś, co sprawiło, że przez ułamek sekundy czułem mrowienie w karku.

Trudno mi było określić, o co właściwie chodzi. Bellido nic nie powiedział, nawet się nie poruszył. Szedłem dalej, aż dotarłem do swojego siedzenia. Trzyście minut później usłyszałem stłumione dudnienie odblokowywanych hamulców. Po kilku sekundach pociąg ruszył z lekkim szarpnięciem i z dołu zaczął dobiegać rytmiczny, narastający w miarę przyspieszania pojazdów stukot kół uderzających o szczeliny dylatacyjne. Gdy pociąg opuścił stację i wjechał w węższą część głównej Tuby, mój błędnik wychwycił lekkie nachylenie w górę. Po chwili poziom się wyrównał i znaleźliśmy się na trasie do Yandro. Mieliśmy do pokonania – bagatelka – osiemset dwadzieścia lat świetlnych. W sam raz na małą nocną przejażdżkę.

Ta część, rzecz jasna, naprawdę spędzała specjalistom sen z powiek. Przez całą drogę pociąg ani razu nie przekraczał prędkości stu kilometrów na godzinę względem głównej Tuby. Tyle zdołały dowieść przyspieszeniomierze i pomiary laserowo doplerowskie jej ścian.

A jednak, zatrzymując się na stacji Yandro za jakichś czternaście godzin, mieliśmy się dowiedzieć, że nasza prędkość względem reszty galaktyki wynosiła niemal dokładnie jeden rok świetlny na minutę.

Nikt nie miał pojęcia, jak to się dzieje – nawet sześć ras, które chełpiły się, że podróżują czterozynówką od początku jej istnienia, które sięgało siedmiuset lat wstecz. Nie potrafiły nawet zgodzić się co do tego, czy w tej dziwnej hiperprzestrzeni zwiększa się prędkość, czy też w jakiś sposób skracają się odległości.

Kiedyś uważałem tę dysputę za stratę czasu i energii. System funkcjonował, Pajaki przestrzegały rozkładu i nic więcej się nie liczyło.

Ale to było przed wydarzeniami, które miały miejsce tydzień temu przy New Pallas.

No i, rzecz jasna, przed zgubieniem przez Pajaki moich bagaży. Mogłem tylko mieć nadzieję, że te zostały w końcu zapakowane do pociągu i że je znajdę, gdy już wysiądę w Yandro.

Rozłożyłem siedzenie, po czym wyciągnąłem z kieszeni czytnik i jeden z chipów książkowych. Postanowiłem trochę poczytać, nim wszyscy się usadowią, a potem przejść się przez pozostałe wagony trzeciej klasy do restauracyjnego, położonego między trzecią a drugą. Istniała szansa, że nieznajomy dobroczyńca znajduje się w tym samym pociągu i zamierza nawiązać ze mną kontakt, gdy już będziemy w drodze, pomyślałem więc, że warto by zapisać jak najwięcej pysków w swoim mentalnym archiwum.

Nie mogłem jednak skupić wzroku na książce. Nagle dopadło mnie zmęczenie długą podróżą z Ziemi. Doszedłem do wniosku, że po krótkiej drzemce będę w lepszej dyspozycji do zapamiętywania twarzy. Schowałem czytnik i nastawiłem budzik na za godzinę, po czym, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na głowę siedzącego przede mną Bellidy, rozsiadłem się najwygodniej jak się dało i zamknąłem oczy.

Obudziłem się gwałtownie, z bólem głowy i ciałem ociążalym od zbyt długiego snu, czując w kościach, że coś jest nie tak.

Nie podnosząc powiek, nadstawiłem uszu w poszukiwaniu podejrzanych dźwięków, uruchomiłem nos, by szukał podejrzanych zapachów, uwrażliwiłem twarz i ręce na ruchy powietrza mogące wskazywać, iż ktoś albo coś zamierza się do mnie dobrać.

Nic. Co więc uruchomiło ten mentalny alarm?

I nagle zrozumiałem. Miarowy stukot kół w dole stopniowo zmieniał rytm. Pociąg zwalniał. Zbliżaliśmy się do stacji.

Otwarłem oczy. Leżałem z głową wspartą o żebra i założonymi rękami. Zegarek na odsłoniętym nadgarstku wskazywał, że od momentu wyruszenia ze stacji Terra minęły dwie godziny. To o godzinę więcej niż powinienem był spać, ale o trzy godziny mniej niż powinna trwać podróż do Nowego Tigris.

Dlaczego więc – i gdzie – ten przeklęty pociąg miał zamiar się zatrzymać?

Ostrożnie uniosłem głowę i otworzyłem szeroko oczy. Gdy kładłem się spać, w wagonie siedziało oprócz mnie sześciu pasażerów. Teraz cała szóstka znikła.

A może niecała? Nie widziałem nikogo, ale zauważyłem jakiś poruszający się cień za stertą skrzyń, w wąskim korytarzyku prowadzącym do wyjścia. Wyglądało na to, że ktoś stoi przy drzwiach wagonu.

Bellido?

Zsunąłem się bokiem z siedzenia, przysłuchując się, jak rytm mojego serca w zestawieniu z rytmem hamujących kół tworzy ciekawą synkopę, po czym ruszyłem naprzód. Teoretycznie Pajaki nie pozwalały na wnoszenie do pociągów czteroszynowych broni. Teoretycznie jednak pociąg nie zatrzymywał się pomiędzy Ziemią a Nowym Tigris.

Pokonałem mniej więcej połowę odległości dzielącej mnie od drzwi, gdy nagle z przytłumionym piskiem hamulców pociąg stanął. Cień znów się poruszył. Przykucnąłem za najbliższym siedzeniem. Moim oczom ukazała się jakaś postać.

To nie był Bellido. To była dziewczyna.

– Dzień dobry, panie Compton – rzekła. – Czy zechciałby pan pójść ze mną?

– Dokąd? – zapytałem ostrożnie.

– Na zewnątrz – odparła, wskazując drzwi. – Pajaki pragną z panem porozmawiać.

Drzwi się otworzyły, a ponieważ wątpiłem, czy mam jakikolwiek wybór, ruszyłem za dziewczyną na peron.

Na pierwszy rzut oka stacja sprawiała całkiem zwyczajne wrażenie. Jednak już drugi rzut pozwalał stwierdzić, że w rzeczywistości wcale nie jest normalna.

Po pierwsze, zamiast trzydziestu torów wewnątrz cylindra rozmieszczono jedynie cztery. Po drugie, sama stacja była znacznie krótsza niż zwykle: liczyła prawdopodobnie około kilometra. No i wreszcie, zamiast standardowej mieszanki budynków usługowych i hangarów pomiędzy torami stały budowle typowo użytkowe, poczynając od niewielkich biurowców, a kończąc na monstrach wielkości hangarów samolotowych, połączonych z głównymi liniami całymi labiryntami dodatkowych torów.

– Tędy – odezwała się dziewczyna, ruszając w kierunku jednego z mniejszych budynków.

Nogi na moment odmówiły mi posłuszeństwa i zostałem z tyłu. Przychodził mi do głowy tylko jeden powód, dla którego Pajaki mogłyby chcieć ze mną rozmawiać, i nie był to powód zbyt przyjemny.

Jeszcze bardziej niepokojący był fakt, że postanowiły w tym celu zatrzymać cały pociąg. Obejrzałem się przez ramię, ciekaw, co zamierzają powiedzieć pozostałym pasażerom.

Nie musiały jednak nic mówić, bo pozostałych pasażerów po prostu nie było. Reszta pociągu najnormalniej w świecie zniknęła. Tylko mój wagon, z którego przesadzono wszystkich podróżnych, oraz wagon bagażowy stały na torach przed nową lokomotywą, która najwyraźniej dopchnęła nas do

tej stacji.

– Panie Compton?

Obróciłem się z powrotem. Dziewczyna dotarła do budynku i stała wyczekująco w drzwiach.

– Już idę – powiedziałem, zmuszając nogi do marszu.

Poczekala, aż się z nią zrównam, i razem weszliśmy do środka.

Znaleźliśmy się małym pomieszczeniu, tak ponurym i pozbawionym wygód, jak można było sądzić po fasadzie budynku. Nie było tam żadnych mebli z wyjątkiem trzech krzeseł, ustawionych w trójkąt przodami do siebie. Na jednym zasiadał zdumiewająco gruby facet w średnim wieku, ubrany w różne odcienie niebieskiego, kontrastujące z siwą czupryną. Za jego plecami stał Pająk wyglądający na coś pośredniego pomiędzy konduktorem a robotnikiem. Mógł być zawiadowcą stacji, choć był trochę wyższy od większości z nich i nie miał na korpucie typowego wzoru z białych kropek.

– Dzień dobry, panie Compton – powitał mnie uroczyście mężczyzna. Jego głos przypominał nieco bulgotanie, jakby wydobywał się spod wody. – Nazywam się Hermod. Proszę spocząć.

– Dziękuję – odparłem, pochodząc do jednego z krzeseł i zajmując je. Dziewczyna usadowiła się na trzecim. – Czy dowiem się, gdzie właściwie jestem?

– Znajduje się pan na stacji konserwacyjno-przeładunkowej, położonej poza obrębem głównej Tuby – odparł. – Jej konkretna lokalizacja nie ma znaczenia.

– Sądziłem, że wszystkie prace konserwacyjne wykonuje się na zwykłych stacjach.

Hermod wzruszył potężnymi ramionami.

– Większość – rzekł. – Pająki nie trąbią o istnieniu takich stacji jak ta.

– Nie dziwię się – przyznałem, wskazując tor. – Nie sądzi pan jednak, że w Nowym Tigris mogą się zastanawiać, gdzie się podziały dwa wagony?

– Mógłby pan mieć do Pająków więcej zaufania – powiedział oschle Hermod. – Nie sądzi pan chyba, że zadałyby sobie tyle trudu, by porozmawiać z panem na osobności, a potem pozwoliły czemuś tak oczywistemu zniszczyć ich plan. Dołączy pan do pozostałych pasażerów, nim pociąg dotrze do Nowego Tigris.

– Mhm – mruknąłem, z premedytacją odchylając się do tyłu na krześle, jakbym czuł się swobodny, co nijak się miało do rzeczywistego stanu. A zatem Pająki nłe tylko chciały pogawędzić, lecz w dodatku pogawędzić na osobności. Coraz lepiej. – O co zatem chodzi?

– Pająki mają problem – odparł z powagą Hermod. – Problem, który może zaważyć na przyszłości całej galaktyki. Pomyślały, że być może mógłby im pan pomóc go rozwiązać.

– Skąd to mniemanie? – zapytałem, czując gromadzące się na skórze kropelki potu.

– Jest pan dobrze wyszkolonym obserwatorem, detektywem i analitykiem – odparł Hermod. – Pobierał pan nauki u najlepszych: w Wywiadzie Sojuszu Zachodniego.

– Z którego wyrzucono mnie przed dwoma laty – zauważyłem, nie wdając się w dyskusję, czy WeSZ rzeczywiście należy do najlepszych wywiadów.

– Ale nie za brak umiejętności – przypomniał mi Hermod – lecz za coś, co, zdaje się, nazwano niedyskrecją zawodową.

– Jakoś tak – przyznałem bez emocji. Tak w każdym razie napisano w oficjalnym zwolnieniu. Niedyskrecja zawodowa! Jakby mnie przyłapali na kradzieży ręczników hotelowych, czy coś w tym stylu. Narobiłem sporo szumu w prasie, sprawiłem, że kilka politycznych kozłów ofiarnych odzyskało stanowiska w ONZ-ecie, i zapewniłem sobie dożgonną wzdgarę zarówno sekretarza generalnego, jak i Dyrektoriatu.

A oni nie mieli odwagi nazwać tego inaczej niż niedyskrecją zawodową.

Nadal jednak nie dyskutowałem.

– Jest mnóstwo byłych pracowników WSZ-y, którzy nie ustępują mi umiejętnościami, za to cieszą się większym szacunkiem – rzekłem zamiast tego. – Pytam więc ponownie: dlaczego ja? Hermod zmarszczył czoło.

– Zdumiewa mnie pańska powściągliwość, panie Compton. Biorąc pod uwagę pańskie obecne położenie, powinien pan raczej palić się do współpracy.

„Pańskie obecne położenie”. Z pozoru brzmiało to całkiem niewinnie. Mniej więcej tak niewinnie jak „niedyskrecja zawodowa”.

Czy on i Pająki wiedzieli o mojej nowej robocie? Trudno było sobie wyobrazić, jak mogli się o niej dowiedzieć, biorąc pod uwagę paranoidalne wręcz zabiegi, jakie czyniliśmy w celu utrzymania jej w sekrecie.

Z drugiej strony, równie trudno było sobie wyobrazić, jak mogliby nie wiedzieć, skoro ich wysłannik znajdował się przy New Pallas w chwili finalizacji transakcji.

Twarz ani gesty Hermoda nie nosiły jednak najmniejszego śladu tej wiedzy. Nie wyczuwałem tego oczekiwania, które zwykle cechuje myśliwego, obserwującego wpadającą we wnyki ofiarę. Przeciwnie: widziałem potulnie szczerego szczeniaczka o duszy podszytej lekką obawą i niepokojem. Jeśli Hermod naprawdę o mnie wiedział, zachowywał się dziwnie wymijająco.

– Owszem – odparłem – moje obecne położenie nie jest tak dobre, jak bym sobie życzył. Wolałbym jednak zamiast pochlebstw usłyszeć jakieś konkrety.

Mężczyzna wyjął wargi.

– W galaktyce znajduje się mnóstwo tajemniczych miejsc – rzekł. – Jedno z nich, zwane przez Pająki Wyrocznią, leży niedaleko bocznic podobnej do tej. Od czasu do czasu przejeżdżające tamtędy Pająki widzą obrazy przyszłych zdarzeń. – Wskazał stojącą za nim istotę.

– Pięć tygodni temu ten Pajak miał wizję zniszczenia filijskiej stacji transferowej.

Wyprostowałem się nieco. Filijskie stacje transferowe należały do największych i najlepiej chronionych w galaktyce.

– Jaką ma pan pewność, że była to stacja filijska?

– Całkowitą – odparł ponuro Hermod – ponieważ wzdłuż jej ścian dryfowały szczątki dwóch wybebeszonych okrętów wojennych klasy Sorfali.

Rzuciłem okiem na Pajaka.

– Pański przyjaciel miał omamy – stwierdziłem stanowczo. – Żołnierze filijscy są genetycznie zaprogramowani w sposób uniemożliwiający bunt czy wojnę domową.

– Nie mówiłem, że to była wojna domowa – jeszcze bardziej ponuro zaoponował Hermod.

– Atak nastąpił spoza układu.

Spojrzałem na beznamiętną twarz dziewczyny. Jeśli to był żart, to najwyraźniej nikt nie uznał go za śmieszny.

– Teraz to pan ma omamy – rzekłem. – Nie można przemycić broni do Tuby, a już z pewnością nikt nie zdołałby przesznułować czteroszynówką Sorfali. Wie pan to lepiej niż ja.

– Pająki także sądzą, że to niemożliwe – przyznał Hermod. – Tak czy inaczej, to właśnie zobaczył ten osobnik. A ponieważ wcześniejsze wizje Wyroczni z czasem się spełniały, Pająki nie mają innego wyjścia, jak tylko uznać, że i ta może się spełnić. – Wlepił we mnie wzrok. – Mam nadzieję, że nie

każe mi pan mówić, co to oznacza.

– Nie – odparłem szczerze. W galaktyce istniało dwanaście imperiów, a przynajmniej dwanaście zgrupowań gatunkowych uznawanych przez Pająki za imperia. Kilka z nich, na przykład pięć światów naszej żalostnej Konfederacji Terrańskiej, nie zasługiwało na tę nazwę; inne, w rodzaju Zgromadzenia Filijskiego czy Domeny Szorszyjskiej, były rzeczywistymi potęgami, obejmującymi tysiące rozsianych po wielkim obszarze układów gwiazdnych. W przeszłości, przynajmniej na Ziemi, spotkania wielkich imperiów przeważnie kończyły się wojną, a to, co wiedzieliśmy o psychologii obcych ras, bynajmniej nie pozwalało nam sądzić, że zachowałyby się inaczej, gdyby miały w tej sprawie coś do powiedzenia.

Tyle że – w tym wypadku – nie miały. Jedynym sposobem przemierzania odległości międzygwiazdnych była kolej czteroszynowa, a zapakowanie maszynerii wojennej do jej wagonów było kompletnie niewykonalne. Jedyne wyjątki stanowiły rządy międzygwiazdne, które, w oparciu o bardzo ścisłe i surowe zasady transportu, mogły przewozić składniki planetarnych systemów obronnych do swoich kolonii.

Innymi słowy każdy, kto zechciałby zaatakować sąsiada, musiałby się najpierw przedrzeć przez jego systemy obronne, które niekiedy potrafiły być naprawdę wstrętne. W galaktyce połączonej czteroszynówką obrona była sprawą najwyższej wagi.

Gdyby jednak ktoś wymyślił sposób na przejście stacji transferowej, a wraz z nią kilku okrętów wojennych, przytulna, pokojowa i stabilna galaktyka gwałtownie przeszłaby do historii.

– Czy ta wizja zawierała coś jeszcze? – zapytałem. – Jakąś wskazówkę, o którą z filijskich stacji chodzi albo kto mógł brać udział w akcji?

– Nie – odparł Hermod. – Pająk zauważył jednak, że na filijskich statkach znajdowały się zarówno insygnia obecnej dynastii, jak i tej, która ma przejąć władzę za cztery miesiące. Możemy zatem przypuszczać, że atak nastąpi w okresie przejściowym.

W ciągu najbliższych czterech miesięcy. Coraz lepiej.

– Zatem nie mamy wiele czasu.

– Istotnie – zgodził się Hermod. – Pająki, rzecz jasna, udzielą panu wszelkiej potrzebnej pomocy, w tym nieograniczonego dostępu do kolei.

Zmrużyłem oczy.

– Włącznie z takimi miejscami jak to? – zapytałem niewinnie.

– Tak, jeśli będzie pan ich potrzebował – odparł mężczyzna, marszcząc lekko brwi. – Choć nie mam pojęcia, co miałby pan tu robić.

– Nigdy nic nie wiadomo – odparłem, czując, że serce zaczyna mi bić szybciej. Ta sprawa stała się więcej niż interesująca. – Jak konkretnie uzyskam ten nieograniczony dostęp? Czarodziejski kluczyczek? Tajny kod?

– Zacznie pan od tego – rzeki Hermod, dając znak dziewczynie.

Ta posłusznie wyjęła z umieszczonej przy pasku saszetki niewielki folder i wręczyła mi go. Wyglądał tak samo jak ten, który znalazłem przy zabitym dzieciaku na Manhattanie, tyle że nie był wykonany z taniego plastiku, a z wysokogatunkowej skóry nubukowej.

W środku zaś, zamiast biletu trzeciej klasy na pociąg czteroszynowy, znalazłem kartę w ramce z proszku diamentowego, uprawniającą do nieograniczonych przejazdów pierwszą klasą. Coś, co dotąd widywałem jedynie w broszurach.

– Ładna – powiedziałem. – Do kiedy jest ważna?

– Tak długo, jak będzie panu potrzebna – rzekł Hermod. – Zakładając, rzecz jasna, że przyjmie pan nasze zlecenie. Przyjmuje je pan?

Obróciłem bilet do światła, by lepiej mu się przyjrzeć, a zarazem zyskać czas na zastanowienie. Jeśli oni wszystko wiedzieli, a cała ta historia była zmyłką, moja odpowiedź nie miała najmniejszego znaczenia. Cokolwiek bym zrobił, i tak było już po mnie.

Jeśli jednak niczego nie wiedzieli, a propozycja była szczerą, wygrałem los na loterii.

Tyle tylko, że gdybym przyjął zlecenie, byłbym moralnie zobligowany do włożenia w jego wykonanie pewnego wysiłku. Cztery miesiące to niewiele, by się dowiedzieć, kto planuje niewiarygodną wojnę międzygwiazdową, i znaleźć sposób na zapobieżenie jej.

Sprawa była jednak stanowczo zbyt intrygująca, bym mógł tak po prostu odmówić. Wiedziałem również, że stare powiedzenie o tym, iż człowiek nie może służyć dwóm panom, nie mówi prawdy.

– Jasne – powiedziałem, chowając folder do wewnętrznej kieszeni marynarki. – Dlaczego nie?

– Świetnie. – Hermod wskazał dziewczynę. – To Bayta. Będzie panu towarzyszyć.

Zerknąłem na nią i stwierdziłem, że przygląda mi się swoim zwykłym, beznamiętnym wzrokiem.

– Dziękuję – zwróciłem się do Hermoda – ale pracuję sam.

– W trakcie swoich działań może pan potrzebować informacji lub pomocy Pająków odparł. – Tylko kilka z nich potrafi się komunikować z ludźmi w zakresie szerszym niż garść wyświechtanych zwrotów.

– Mam rozumieć, że Bayta zna ich język?

– Powiedzmy, że zna ich tajny kod – odparł z nieznacznym uśmiechem Hermod.

Powstrzymałem grymas. Nie miałem ochoty na niczyje towarzystwo w tej podróży, a w szczególności na towarzystwo kogoś, kto wyglądał, jakby zjechał z linii montażowej składającej manekiny. Było jednak do przewidzenia, że Pajaki zechcą mi przydzielić stróża.

– W porządku – powiedziałem. – Niech będzie.

– Jeszcze jedno – rzekł Hermod. – Pośrednik, który dostarczył panu bilet, miał przyjechać tu z panem. Nie wspomniał przypadkiem, dlaczego zmienił plan?

Zawahałem się, ale kłamstwo wydało mi się bezsensowne.

– Obawiam się, że nie miał zbytniego wyboru – odparłem. – Skonał u moich stóp.

Bayta gwałtownie wciągnęła powietrze, a w całym pomieszczeniu zaległa całkowita cisza.

– Jak to się stało? – zapytał Hermod..

– Zastrzelono go – powiedziałem. – Dostał klika trafień Komuś bardzo zależało na pozbyciu się go..

– Widział pan całe zdarzenie?

– Wiem tylko, że gdy go znalazłem, już krwawił – odparłem, starannie dobierając słowa. Jeśli o mnie wiedzieli, wzmianka o New Pallas nie powiedziała by im nic nowego. Jeśli jednak nie wiedzieli, nie miałem zamiaru podsuwać im tropu. – Biorąc pod uwagę jego stan, jestem zdumiony, że dotarł tak daleko.

– Rozumiał znaczenie swojej misji – rzekł Hermod bez emfazy. – Z jakiej broni go zastrzelono?

– Miał dziury po usypiaczach i gromnikach – powiedziałem. – Na szczęście nie musieli się uciekać do szatkownic.

– A więc zabito go z ludzkiej broni?

– Tak, ale to jeszcze nic nie oznacza. Stacja Terra zadaje sobie mnóstwo trudu, by nie dopuścić do naszego układu żadnej obcej broni.

– Z wyjątkiem kilku pozaukładowych ambasad na Ziemi

I Marsie – rzekła Bayta. Jej twarz, która stężała na wiadomość o śmierci chłopaka, znów przybrała beznamiętny wyraz. – O ile wiem, strażnikom ambasad wolno nosić broń, która normalnie jest zabroniona, i używać jej.

– Zgadza się – przyznałem. – Co oznacza, że użycie takiej broni w celu popełnienia morderstwa byłoby mniej więcej tak rozsądne jak przypięcie do ciała kartki z pieczęcią ambasadora. Jak wspomniałem, wybór broni nie mówi nam absolutnie nic. Gdyby lekarzom sądowym udało się przebadać zwłoki, mogliby mieć więcej szczęścia.

– Dlaczego nie miałyby się udać? – zapytał Hermod, marszcząc brwi. – Był ofiarą morderstwa.

– A także osobą bez dowodu osobistego, kart kredytowych czy klucza do mieszkania odparłem. – To prawdziwe życie, a nie kryminał ditrekowy. Będziemy mieli szczęście, jeśli w ogóle zachowają jego prochy po kremacji.

Hermod westchnął.

– Rozumiem. Cóż... dziękuję, panie Compton. I życzę szczęścia.

Ani Bayta, ani ja nie odezwaliliśmy się ponownie, dopóki nie znaleźliśmy się z powrotem w wagonie kolejowym – ja na swoim dawnym miejscu, a ona zaraz za mną.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz mnie uspić na ten etap podróży? – zapytałem, obróciwszy się ku niej, gdy pociąg ruszył.

W jej oczach zabłysła iskierka zdziwienia.

– Wiedziałaś?

– To było dość oczywiste – odparłem. – Czy tobie ani Hermodowi nie przyszło do głowy, że wystarczyło zaprosić mnie na pogawędkę?

– Musieliśmy utrzymać tę rozmowę w tajemnicy – rzekła. – Wkrótce po wyjeździe z Terry wszedł konduktor i oznajmił pozostałym pasażerom, że jest trochę wolnego miejsca w zwykłym obszarze trzeciej klasy, o dwa wagony bliżej, więc mogą się tam przenieść. Musieliśmy cię uspić, żebyś pozostał na miejscu.

– Przecież i w tym wypadku mogliście mnie poprosić.

– Uznano, że jeśli nie powiemy ci, co się zdarzy, wszystko będzie wyglądało bardziej realistycznie. Właśnie dlatego dano ci bilet do Yandro.

– To rzeczywiście przykuło moją uwagę – przyznałem kwaśno. – Mam rozumieć, że wcale tam nie jedziemy?

– Chyba że sobie tego zażyczysz. Tak czy owak, bagaże, które Pajaki zabrały ci na stacji Terra, czekają w pierwszym wagonie, w zarezerwowanym dla nas przedziale pierwszej klasy. Możemy się tam przenieść, gdy tylko dołączymy do reszty pociągu.

Ho ho, więc miałem nie tylko bilet, ale i przedział w pierwszej klasie. Chyba faktycznie im na mnie zależało.

– To miło – stwierdziłem. – W innych pociągach też mogę liczyć na podobne luksusy?

– Oczywiście – powiedziała, jakby to była normalka. – Przez najbliższe cztery miesiące każdy pociąg czteroszynowy w naszej okolicy będzie miał wolny przedział, żebyśmy w razie potrzeby mogli go wykorzystać.

– Coraz lepiej – powiedziałem. – No dobrze, zacznijmy od początku. Masz mapę systemu kolejowego? Mam na myśli kompletną mapę, z bocznicami i innymi ukrytymi skarbami?

– Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc „skarbami” – odparła, wyjmując zieszka przy pasku odpowiedni chipz danymi. – Będziesz musiał użyć mojego czytnika – dodała, wkładając chip. –

Normalne nie czytają tych informacji.

– Dobry pomysł – powiedziałem, biorąc od niej czytnik. – Nawiasem mówiąc, jak brzmi twoje nazwisko?

– Nie mam nazwiska – odparła, poprawiając się na krześle. – Mniej więcej za godzinę dołączymy do pociągu. Jeśli będziesz miał jakieś pytania, obudź mnie.

Zamknęła oczy. Przez chwilę przyglądałem się jej niepozornej twarzyczce, wiedząc, że od tej pory ta dziewczyna będzie śledzić każdy mój krok, gotowa zaalarmować najbliższego Pajaka, gdy tylko zrobię coś nie tak.

Obróciłem się przodem do kierunku jazdy. Nadal nie wiedziałem, czy Pajaki coś na mnie mają. Ale jeśli miały, trzeba przyznać, że nie skąpiły mi liny, na której mogłem w każdej chwili zawisnąć. Liny zbyt dobrej, by tak po prostu ją zmarnować.

Rozsiadłem się więc wygodnie i przystąpiłem do pracy.

Dokładnie godzinę i dziewięć minut później pociąg szarpnął lekko. Po kolejnych dwóch minutach umieszczone z przodu wagonu drzwi otworzyły się i do środka wszedł konduktor. Ostrożnie stawiając chude nogi w wąskim przejściu, kierował się ku nam. Wpatrywałem się w niego, wsłuchany w powolny oddech śpiącej Bayty. Gdy Pajak znalazł się o jakieś pięć metrów od nas, oddech zaciął się i dziewczyna zbudziła się gwałtownie.

– Słucham? – wykrzyknęła. Obróciłem się ku niej.

– Zdaje się, że dotarliśmy.

– Tak – przyznała, pocierając palcami okolice oczu. – On chce nas zaprowadzić do nowego przedziału.

– Wiesz, który to jest? – zapytałem.

– Tak.

– Więc podziękuj Pajakowi i powiedz, że sami przyjdziemy. Eskorta przykułaby niepotrzebną uwagę. Dziewczyna zawahała się, po czym skinęła głową.

– W porządku – rzekła i wlepiła wzrok w konduktora. Jego kuła pochyliła się lekko w odpowiedzi, po czym Pajak zmienił kierunek i opuścił wagon.

– Idziemy? – zapytała Bayta, spoglądając na mnie.

– Cierpliwości – odparłem, z wielką uwagą przyglądając się swemu zegarkowi. Hm, wyglądało na to, że dziewczyna komunikuje się z Pajakami samym tylko spojrzeniem. Ciekawe.

– Za jakieś dwadzieścia minut powinniśmy dotrzeć do Nowego Tigris. Będzie duży ruch, ale przynajmniej nie zwrócimy niczyjej uwagi.

Przez kolejnych dwadzieścia minut siedzieliśmy w milczeniu. W końcu pociąg zwolnił, po czym się zatrzymał. Gdy rozpoczęła się oczekiwana migracja podróżnych, ruszyliśmy naprzód.

Spacer okazał się znacznie ciekawszy niż oczekiwałem. Podczas podróży czteroszynówką, które odbywałem w czasach pracy dla WSZ-y, zwykle jeździłem trzecią klasą, awansując do drugiej jedynie wtedy, gdy jakiś znerwicowany biurokrata średniego szczebla nalegał na przydzielenie mu eskorty. W tych rzadkich przypadkach podróżowałem wagonami zdominowanymi przez ludzi biznesmenów, urzędników rządowych albo pomniejsze gwiazdki, których nie było stać na miejsce w pierwszej klasie.

Teraz, gdy minęliśmy ostatni z wagonów drugiej i znaleźliśmy się w pierwszej, mogłem zobaczyć, jak podróżuje elita galaktyki.

Same siedzenia były – jak mogłem się spodziewać – szersze i lepiej wyposażone niż te w drugiej i

trzeciej klasie. Były też znacznie bardziej ruchome. Siedzenia w trzeciej w ogóle się nie ruszały, można je było jedynie lekko odchylić. Te w drugiej były nieco lepsze: umocowano je na niewielkich kółkach, pozwalających zarówno na obracanie, jak i na ograniczone przesuwanie w bok, co umożliwiało pasażerom tworzenie niewielkich grupek konwersacyjnych. Pierwsza klasa poszła znacznie dalej: siedzenia mogły się przemieszczać po całym wagonie, tworząc salonową atmosferę, w której równe rzędy i przejścia w zasadzie nie istniały.

Zdumiał mnie sposób, w jaki podróżni wykorzystują tę elastyczność. W odróżnieniu od tych z niższych klas, którzy mieli zwyczaj trzymać się z osobami swojego gatunku, ci z pierwszej tworzyli mieszanki. Szorszyjcy i Bellidowie siedzieli razem, pogrążeni w poważnych rozmowach, a gdzieś indziej ludzie rozmawiali jak równi z równymi z Halkami i Juriańczykami, nie zważając na fakt, że obie te rasy z powodzeniem kolonizują swoje systemy gwiazdne, podczas gdy u nas Charlemagne nadal snuje plany podboju Europy Środkowej.

Nawet różnice polityczne wydawały się nie mieć znaczenia. Juriańczycy i Cymalczycy byli obecnie zaangażowani w poważny konflikt związany z przyszłością kilku światów graniczących z ich imperiami, a jednak tutaj grupka złożona z przedstawicieli obu ras siedziała w najlepsze przy stoliku, grając w karty i gawędząc przyjaźnie.

Bar w wagonie restauracyjnym pierwszej klasy wyglądał mniej więcej tak samo, tyle że alkohol i inne używki jeszcze się przyczyniały do poprawy stosunków społecznych, tworząc atmosferę dobrej woli i koleżeństwa. Jedynie w sekcji restauracyjnej panowała pewna segregacja, prawdopodobnie mająca więcej wspólnego z właściwymi poszczególnym rasom zapachami gastronomicznymi niż z ksenofobią.

W kolejnym wagonie również znajdowały się ruchome siedzenia i panowała swojska atmosfera. Przeszedłszy do trzeciego, podzielonego na przedziały, znaleźliśmy się na miejscu.

Nasz przedział okazał się tak dobry, jak się spodziewałem, a nawet nieco lepszy. Był, rzecz jasna, niewielki, ale przestrzeń wykorzystano tak umiejętnie, że ani trochę nie czułem się stłamszony. Do przedniej ściany przyczepiono małe, lecz sprawiające wrażenie wygodnego łóżko, które można było złożyć, by mieć więcej miejsca na podłodze. Na łóżkiem znajdowała się półka na bagaż, na której starannie ułożono obie moje torby. Pod zewnętrzną ścianą stał fotel z obrotowym komputerem po jednej stronie i rozległym ekranem – obecnie pustym – po drugiej. Za ekranem znajdował się składany wieszak na ubrania z haczykami z elastycznego plastiku, które mogły się zmniejszać lub powiększać w zależności od potrzeb, i wbudowany akustyczny system czyszczący, nastawiony na odświeżanie co pół godziny. W rogu przy drzwiach znajdowała się niewielka, przystosowana do ludzkich potrzeb łazienka, złożona z ubikacji i umywalki. Zestaw był zaprojektowany w sposób pozwalający na przekształcenie go w kabinę prysznicową, gdy ktoś chciał wziąć kąpiel po całonocnej podróży. I wreszcie tylna ściana: przy tej mieściła się kanapa narożnikowa z zestawem czytnikowym i rozmieszczonymi nad nim strategicznie nastrojowymi światłami. Pomieszczenie było utrzymane w gustownej kolorystyce, z dekoracyjną sztukaterią i żłobieniami w stylu kamei w miejscach zetknięcia ścian z sufitem.

– Nieźle tu – skomentowałem, okrążając przedział, dotykając kontrolek i przesuwając palcami po sztukaterii, polerowanym drewnie i metalu. Fotel sprawiał wrażenie skórzanego, a materiał kanapy wyglądał na coś pośredniego pomiędzy aksamitem a bardzo miękkim pierzem.

– Mam nadzieję, że będziesz zadowolony – rzekła Bayta. Minawszy mnie, nacisnęła kontrolkę umieszczoną pod ekranem. Kanapa i światła grzecznie wsunęły się w tylną ścianę, która następnie

cofnęła się i zniknęła w ścianie łazienki, odsłaniając drugi przedział identyczny z tym, w którym staliśmy.

– Ten jest mój – powiedziała dziewczyna z subtelnym ostrzeżeniem w głosie.

– Oczywiście – odparłem, myśląc, że nie zaproponowałbym zamiany, nawet gdybym nie miał na głowie ważniejszych spraw.

Podszedłem do swojego łóżka, sięgnąłem na półkę bagażową i ściągnąłem mniejszą torbę.

Natychmiast gdzieś z tyłu czaszki odezwał mi się lekki alarm. Wcześniej, gdy wynosiłem bagaże z restauracji na stacji transferowej, pseudoskórzana osłona na paskach uchwytów była miękka, nawet nieco sflaczała; teraz wydawała się bardzo twarda.

– Bayto, mogłabyś mi ściągnąć menu wagonu restauracyjnego? – zapytałem niewinnie, otwierając torbę.

– Oczywiście – odparła, siadając w fotelu i obracając ku sobie komputer.

Gdy była zajęta, dokładnie przyjrzałem się uchwytom i od razu spostrzegłem przyczynę niepokoju. Przestrzeń pomiędzy rączkami a osłoną, luz, który wywoływał wrażenie rozlazłości, został całkowicie zlikwidowany, jakby do eklera włożono podwójną porcję kremu. Materiał świetnie pasował do koloru i faktury osłony, ale z jakiegoś powodu nie dowierzałem, że też jest zrobiony z pseudoskóry.

– Proszę. – Bayta obróciła ku mnie ekran. – Sądziłam, że jadłeś obiad na stacji Terra.

– Podróże uczą, że powinno się jeść przy każdej okazji – powiedziałem, stając obok niej i szybko przeglądając menu. – Obawiam się jednak, że nawet pasażerowie pierwszej klasy nie cieszą się przywilejem dostawy do przedziałów.

– Zwykle nie – odparła. – Jeśli chcesz, mogę zapytać któregoś z kelnerów lub konduktorów, czy nie przyniosłby ci czegoś.

– Nie, dzięki – rzekłem. – Od tego mam ciebie. Bądź dobrą dziewczynką i zamów dla mnie krążki cebulowe, dobrze?

W przeszłości odkryłem, że hasło „bądź dobrą dziewczynką” jest skutecznym sposobem szybkiego poznania temperamentu kobiety. W odróżnieniu od tych, z którymi dotąd miałem do czynienia, Bayta nawet nie mrugnęła.

– Jak sobie życzysz – powiedziała, zsuwając się z fotela. Przeszła przez przedział, nacisnęła kontrolkę drzwi, a gdy te się otworzyły, wyszła na korytarz.

Sprawdziłem, czy wejście jest zablokowane, po czym wróciłem do łóżka i ściągnąłem drugą torbę. Wątpiłem, czy w galaktyce, w której bagaż na ogół posiada własny napęd, choć jeden na stu podróżnych ma jakiegokolwiek pojęcie o tym, jakie są w dotyku uchwyty jego toreb. Ja także nie wychwyciłbym tej zmiany tak szybko, gdyby nie chroniczny problem moich bagaży z silnikami, który zaledwie pięć godzin wcześniej tak przeklinałem.

Była w tym pewna nauczka, a przynajmniej szczypta ironii, ale w tym momencie nie zaprzętałem sobie głowy ani jednym, ani drugim. Rączka dużej torby także została wypchana. Z kieszonkowego zestawu narzędzi wysunąłem ostrze wielkości koniuszka palca – największy nóż dozwolony na pokładzie czteroszynówki – i zacząłem staranie dłubać pod osłoną uchwytu.

Moją pierwszą myślą była ta, że Pajaki nie do końca ufały swemu stróżowi i postanowiły na wszelki wypadek wbudować w moje bagaże namierzacz lub nadajnik. Dłubałem jednak i dłubałem, nie znajdując nic oprócz cieniutkich jak włos drucików, aż zacząłem w to wątpić. Pracowałem dalej i w końcu trafiłem na coś znajomego.

Tyle że to nie był nadajnik. Przeciwnie: był to odbiornik krótkiego zasięgu, połączony z małym kondensatorem impulsowym, który z kolei był połączony z wtopionymi w materiał cienkimi drucikami.

Ogólnie rzecz biorąc, był to zestaw mogący sugerować zdalnie sterowaną bombę. Tak zwaną bombę przeciw celom żywym.

Wyjąłem czytnik i wybrałem chip ze swojej kolekcji podpisanej „Encyclopaedia Britannica”. Cóż, nie tylko Bayta miała specjalnie przestrojony czytnik. Ja też. Włożyłem chip, dotknąłem kontrolki aktywującej czytnik i przytknąłem jeden z rogów do materiału wydłubanego z uchwytu.

Jak się okazało, urządzenie wcale nie było bombą, ani przeciw celom żywym, ani nieżywym. Mój czujnik, najnowszy krzyk techniki w Konfederacji Terrańskiej, gadżet, za który każdy terenowy dyrektor WSZ-y dałby uciąć najlepszemu przyjacielowi prawą rękę, nie wychwycił ani śladu szybkopalnych chemikaliów, właściwych wszystkim materiałom wybuchowym. Dla pewności przejechałem czujnikiem jeszcze dwa razy, po czym przełączyłem go na wyszukiwanie trucizn. Nadal milczał.

Milczenie w kwestii trucizn mogło jednak oznaczać jedynie to, że środek jest zbyt zamaskowany, by go wychwycić za pomocą normalnego badania. Na szczęście istniały sposoby wywabiania takich rzeczy na zewnątrz. Wyjąłem zapalniczkę i przejechałem końcówką po tajemniczym materiale. Mała próbka utkwiała pomiędzy pokrętłem a nieruchomą częścią. Wtedy umieściłem na zapalniczce pojedyncze ziarenko materiału, ustawiłem czujnik w odpowiedniej odległości i zapaliłem ogień. Czysty, bladoniebieski płomień zasyczał, a przez sekundę, gdy ziarenko płonęło, z ognia wydobywał się jasny dym. Wyłączyłem zapalniczkę i odłożyłem ją, po czym przystąpiłem do analizy.

Tym razem czujnik w końcu znalazł aktywny składnik, starannie ukryty pod niewinnym wypełnieniem. Gaz paraliżujący saarbc 5.

Mając przed oczami niepokojący obraz martwego wysłannika Pająków, wyjąłem chip i schowałem czytnik do kieszeni. Biorąc pod uwagę brak jakichkolwiek ataków na moją osobę w ciągu całej podróży z Ziemi, zaczynałem już się zastanawiać, czy śmierć tego dzieciaka nie była jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności, przypadkową zbrodnią, niemającą nic wspólnego ze mną. Teraz wyglądało na to, że ten, kto stał za tym zabójstwem, po prostu czekał cierpliwie na okazję do kolejnego ataku.

Tyle że tym razem ja nie byłbym jedyną ofiarą. Zależnie od tego, jaki procent wypełnienia stanowił saarix 5, mogło go być dość, by zabić każdą oddychającą tlenem istotę w promieniu dziesięciu metrów. Gdyby mój potencjalny zabójca wypuścił go w zamkniętej przestrzeni wagonu kolejowego, skutek mógł być jeszcze bardziej katastrofalny.

Co rodziło kolejne ciekawe pytanie, mianowicie – jak w ogóle udało się przeprowadzić tę małą sztuczkę? Po opuszczeniu stacji transferowej straciłem torby z oczu jedynie na krótką chwilę, zaraz po wylądowaniu, gdy pasażerowie wchodzili po drabinie, a system przenośnikowy promu wyciągał bagaże z luków i przewoził je do tunelu za naszymi plecami. Z praktycznego punktu widzenia trudno było sobie wyobrazić, by ktoś w tak krótkim czasie zainstalował dwa takie ładunki, a jeszcze bardziej śmierdzący był fakt, że czujniki Pająków ich nie wykryły.

A może właśnie wykryły? Może to dlatego robotnik zawołał mnie i zabrał torby? Ale w takim razie dlaczego mnie nie zatrzymali, nie wyrzucili z pociągu albo przynajmniej nie usunęli saarixu?

Chyba że to właśnie ten robotnik go tam umieścił.

Gapilem się na torby, czując narastający ucisk w żołądku. Pajaki kierowały czteroszynówką spokojnie i skutecznie co najmniej od siedmiuset lat. Przez cały ten czas ani razu nie było mowy o żadnym konflikcie pomiędzy nimi, co – naturalną kolejną rzeczą – pozwalało nam sądzić, że ich kultura jest monolitem pozbawionym frakcji, sporów czy rywalizacji.

Co jednak, jeśli tak nie było? Jeśli istniały frakcje, spośród których tylko jedna chciała mi powierzyć śledztwo dotyczące wojny międzygwiazdnej? W takim wypadku inna grupa mogła się poważnie sprzeciwić pomysłowi zdradzania tajemnic członkowi niższej rasy, a w szczególności takiemu, z którym nawet jego własny rząd nie chciał mieć nic wspólnego.

Mogła się nawet sprzeciwić tak mocno, że postanowiła to zdecydowanie uniemożliwić.

Zebrałem wydłubany materiał i zacząłem go z powrotem upychać pod osłoną. Bayta mogła w każdej chwili wrócić i jeśli nie wiedziała o saariksie, nie był to dobry moment na wtajemniczenie jej. Jeśli zaś wiedziała, tym bardziej nie powinna się zorientować, że go odkryłem. Byłoby miło, gdybym potrafił rozbroić odbiornik lub kondensator, ale dobrze zaprojektowany detonator miał wbudowaną diagnostykę, a ja nie posiadałem sprzętu pozwalającego na zmuszenie tego urządzonego do zapisania fałszywych danych. Gdyby ten, kto dybał na moje życie, odkrył, że unieszkodliwiłem tę konkretną broń, zaaplikowałby mi inną. Już lepiej było mieć do czynienia z ładunkiem, o którym coś wiedziałem, niż z czymś nowym.

Gdy Bayta wróciła z krążkami cebulowymi, siedziałem w fotelu i przeglądałem kolorową broszurę o historii czteroszynówki.

– Dzięki – powiedziałem, odbierając od niej koszyk. Zapach przywiódł mi na myśl taką samą potrawę, którą jadłem pewnego razu w San Antonio. – Poczęstujesz się?

– Dziękuję – odparła, cofając się na środek przedziału. – Masz już jakiś plan?

– Na razie jestem na etapie gromadzenia informacji – rzekłem, wgryzając się w krążek. Smak też miał identyczny jak te z San Antonio. – Na początek chciałbym, żebyś poprosiła Pajaki o listę sytuacji, w jakich dopuszcza się przewożenie broni koleją czteroszynową.

– Znam odpowiedź – powiedziała. – Broń osobista, taka jak bellidyjskie karabiny rangi, może być umieszczana na stacjach transferowych w sejfach, które następnie są przechowywane w niedostępnych skrzyniach pod podłogą wagonów. Większa broń i zespoły sprzętu bojowego mogą być przesyłane pociągami towarowymi jedynie za specjalnym rządowym zezwoleniem.

– Tak, znam te oficjalne wyjątki – odparłem. – Chciałbym jednak posłuchać o nieoficjalnych.

Pokręciła głową.

– Nie istnieją.

– To znaczy nie wiesz o żadnych.,

– Nie istnieją – powtórzyła z naciskiem.

Wzięłem głęboki oddech, próbując opanować emocje. Dogmatyczne stwierdzenia zawsze doprowadzały mnie do szału.

– Mimo to chciałbym, abyś zapytała o to Pajaki – powiedziałem. – Chcę też wiedzieć wszystko o czujnikach Tuby. Jak działają, czego szukają i co konkretnie wykrywają, a czego nie.

Sprawiła wrażenie nieco wystraszonej.

– Nie jestem pewna, czy Pajaki będą chciały udzielić takich informacji – uprzedziła mnie.

– Nie mają wyboru – odparłem. – To one poprosiły mnie o pomoc, nieprawdaż? Albo dostanę to, czego chcę, albo rezygnuję.

Skrzywiła się.

– W porządku, zapytam. Ale żaden z konduktorów z pewnością nie dysponuje takimi informacjami. Kolejne dogmatyczne stwierdzenie. Tym razem jednak wiarygodne.

– W porządku. Kto może je mieć?

– Będę musiała się udać do zawiadowcy stacji – powiedziała, marszcząc czoło w zamyśleniu.

– Jest jakiś problem? – zapytałem. – Sądziłem, że potrafisz się porozumiewać ze wszystkimi Pająkami.

– Owszem – odparła. – Ale na stacji Yandro nie ma ich wielu. Prawdopodobnie nie dość, by wystarczyło na czystą transmisję do budynku zawiadowcy.

– Na czyste co?

– Moja... metoda komunikacji... ma ograniczony zasięg – rzekła z ociąganiem. – Na dłuższe odległości wiadomość może być podawana od jednego Pajaka do drugiego, ale tylko wtedy, gdy te znajdują się względnie blisko siebie.

– Rozumiem. – Pokiwałem głową. Wyglądało więc na to, że Bayta nie musi nawet patrzeć na Pajaka, by się z nim porozumieć, jak początkowo sądziłem. A zatem w grę wchodziła jakaś forma telepatii? Problem polegał na tym, że, o ile było mi wiadomo, żadna istota ludzka nigdy nie wykazała się autentycznymi, wrodzonymi zdolnościami telepatycznymi. Podobnie rzecz się miała z pozostałymi zamieszkującymi galaktykę rasami.

Co znaczyło, że Bayta jest... kim?

– Fakt – przyznałem – zatrzymujemy się na stacji tylko na piętnaście minut. To niezbyt długo.

– To nie przeszkadza – odparła. – Muszę jedynie przekazać tę krótką prośbę. Same informacje zostaną zebrane i wysłane do nas w późniejszym czasie.

– No, to powinno się udać – powiedziałem w zamyśleniu. Towar i pasażerowie podróżowali czteroszynówką ze standardową szybkością roku świetlnego na minutę, ale informacje i poczta umieszczona w cylindrach z danymi jakimś sposobem potrafiły przemierzać galaktykę ponad tysiąc razy szybciej. Najpopularniejsza teoria głosiła, że gdy kolej nabiera szybkości, Pajaki wykorzystują okrągłą antenę umieszczoną przed wlotem cylindra z danymi do ich transmisji do pociągu znajdującego się dalej na tej samej linii, używając tunelu jako gigantycznego falowodu. Aparat przesyłowy był podobno hermetyczny i niezależny, więc nawet Pajaki nie mogły go otworzyć podczas ruchu pociągu. Nie powstrzymywało to jednak zwolenników teorii spiskowych. Co bardziej paranoiczni byli przekonani, że Pajaki czytają wszystko – także to, co zakodowane – nim prześlą to dalej.

Jeśli istotnie mieliśmy do czynienia z dwiema różnymi frakcjami, pytanie o ewentualny podsłuch mogło się okazać niezmiernie istotne. Niestety, nie przychodziło mi do głowy nic, co mógłbym w tej sprawie zrobić.

– To znaczy, że możesz je poprosić o dostarczenie nam danych do pociągu, w którym akurat będziemy? – zapytałem.

Skinęła głową.

– Muszę tylko powiedzieć to zawiadowcy podczas przekazywania prośby.

– W porządku. Każ mu dostarczyć dane do Kerfsis. Cofnęła się.

– Do kolonii juriańskiej?

– Ściśle rzecz biorąc, do stolicy regionu – poprawiłem. – A co? Masz coś do Juriańczyków?

– Nie, ale... – Zacięła się na moment. – Sądziłam, że przesiądziemy się w Homshił na ekspres transgalaktyczny i pojedziemy prosto na terytorium filijskie. Przecież to tam ma nastąpić atak.

Westchnąłem, włożyłem do ust ostatni krążek cebulowy i wstałem.

– Chodź – powiedziałem, wycierając ręce.

– Dokąd? – zapytała niepewnie.

– Do baru – odparłem. – Muszę się napić.

W milczeniu ruszyła ze mną przez korytarz na koniec wagonu. Przeszliśmy do kolejnego, minęliśmy znajome już rozbawione towarzystwo i dotarliśmy do restauracyjnego. Panował tam spory ruch, ale większość klientów piła w większych grupach, więc bez trudu znaleźliśmy wolny dwuosobowy stolik. Poprowadziłem Baytę do odległego kąta. Krzesła były wybrzuszone i sprawiały wrażenie niewygodnych, jakby przed chwilą zeszli z nich Szorszyjczycy.

– Czego się napijesz? – zapytałem, wskazując jedno z siedzeń i siadając na drugim. Krzesło wyczuło mój ciężar i temperaturę ciała, trafnie odgadło, do jakiej rasy należę, i przemodelowało się w coś znacznie wygodniejszego.

– Czegoś bezalkoholowego – odparła raczej sztywno.

– Abstynentka? – zaryzykowałem, naciskając przycisk umieszczony pośrodku stołu. Gdy ukazało się holo z menu, przestudiowałem je pobieżnie, po czym nacisnąłem lemoniadę (dla niej) i mrożoną herbatę (dla siebie). – Szkoda. Alkohol ułatwia życie towarzyskie.

– Potrafi też zamroczyć umysł i dać wrogowi przewagę nad tobą – zripostowała.

Pomyślałem o trupie na Manhattanie i o nafaszerowanych saariksem torbach w moim przedziale.

– Całe szczęście, że nie mam żadnych wrogów – mruknąłem. Miałem wrażenie, że uniosła lekko brew, ale może tylko mi się zdawało.

– Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś? – zapytała.

– Chciałem znaleźć miejsce, w którym będziemy mogli porozmawiać na osobności odparłem. –

Pająki mogą mieć zainstalowany podsłuch w przedziałach.

– Niemożliwe – zaprotestowała.

– Nigdy nie wiadomo – powiedziałem, choć w rzeczywistości wiedziałem.

W przedziałach nie było podsłuchu. Mój zegarek był równie ultranowoczesny i niebotycznie drogi jak mój zakamuflowany system czujnikowy i zapikałby, gdyby namierzył najmniejszy ślad jakiegokolwiek sprzętu podsłuchowego. Za ten drobiażdżek moi byli kumple ze WSZ-y także oddaliby zapasowe części swoich ciał.

– Możesz sobie myśleć, co chcesz – rzekła Bayta. Jej głos nadal brzmiał sztywno, tyle że teraz było w nim także zmęczenie. – O czym chciałeś rozmawiać?

Wzięłem głęboki oddech, po czym wypuściłem go w postaci łagodnego westchnienia. Moje usiłowania sprowokowania jakiejś reakcji wzmianką o „grzecznej dziewczynce” zawiodły. Aroganckie rozważania na temat broni także nie odniosły skutku. Jeśli nadal chciałem dowiedzieć się czegoś o tej kobiecie, pozostawała pokorna otwartość.

– Posłuchaj – zacząłem. – Na chłopski rozum to, co według Hermoda zobaczył tamten Pająk, jest niemożliwe. Pająki prześwietlają wszystko, co wchodzi do Tuby, a filijska stacja transferowa prześwietla wszystko, co z niej wychodzi. Szansa na przesznurowanie jakiegokolwiek groźnej broni w pobliże Filly celem przejęcia stacji wydaje się zerowa.

– Dlatego właśnie poproszono cię o zbadanie tej sprawy.

– Próbuję ci powiedzieć, że nie mam zielonego pojęcia, o co tu chodzi – wyznałem. – Brak mi punktu zaczepienia.

Dziewczyna sięgnęła ku mojej dłoni, nim jednak jej dotknęła, rozmyśliła się i opuściła rękę na

kolana.

– Pajaki nie zatrudniłyby cię, gdyby nie sądziły, że potrafisz to zrobić – powiedziała.

Zabrzmiało to pokrzepiająco i wydawało mi się, że słyszę w głosie Bayty autentyczną troskę. A zatem miałem do czynienia z typem współczującym, który do tej pory bał się okazywać uczucia?

Być może. Nadal jednak nie potrafiłem się pozbyć wrażenia, że dziewczyna bardziej przypomina obserwatora ditrekowego serialu niż kogoś, kto naprawdę bierze udział w akcji.

– Dzięki – odparłem pokornie. – Mam nadzieję, że się nie mylisz.

– Na pewno nie – rzekła stanowczo. Potem zlustrowała wzrokiem pomieszczenie, jakby chciała się upewnić, że nikt nas nie usłyszy, i pochyliła się ku mnie konfidencjonalnie.

– Ale dlaczego akurat Kerfsis? Podejrzewasz Juriańczyków?

– Nie za bardzo.

Nadszedł Pajak z naszymi napojami. Podałem Baycie lemoniadę i upiłem łyk swojej herbaty. Była mocna i słodka; dokładnie taka, jaką lubiłem.

– Bardziej prawdopodobne jest to, że sprawcą kłopotów będzie któryś z sąsiadów Filly kontynuowałem. – Im mniejsza odległość, tym większe niesnaski. Przede wszystkim chcę sprawdzić, czy juriańskie procedury wjazdowe zmieniły się przez tych kilka lat, odkąd ostatnio jechałem czteroszynówką.

Pociągnęła łyk lemoniady i zamrugnęła ze zdumienia. Czyżby pierwszy raz piła coś takiego?

– Mogę zapytać dlaczego? – chciała wiedzieć. Wskazałem przypominający nieco kopułę sufit baru, na którym widniała jarząca się mapa galaktyki i sieci kolejowej.

– Problem polega na tym, że Filly znajduje się na drugim końcu galaktyki, praktycznie najdalej od Ziemi, jak to tylko możliwe. Nawet jeśli będziemy chcieli pokonać całą drogę ekspresami, zajmie nam to prawie dwa i pół miesiąca. Po prostu nie mamy czasu na to, żeby tam jechać, a potem się ewakuować.

– Mamy cztery miesiące.

– Nie, to Filijczycy mają cztery miesiące – poprawiłem ją. – My nie. Bo to nie oni pierwsi zostaną zaatakowani.

Zmrużyła oczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Kimkolwiek są ci wichrzyciele, musieliby być kompletnie szaleni, żeby zaczynać od Filly – powiedziałem. – Żołnierze filijscy mają genetycznie zaprogramowaną lojalność, ich kompleksowy system obronny nie ma sobie równych, a ich imperium jest największym lub drugim pod względem wielkości w galaktyce, zależnie od tego, kto dokonuje obliczeń. Testowałabyś nową strategię wojenną na kimś takim?

Jej wargi ściągnęły się na moment.

– Pewnie nie – odrzekła.

– Podążając dalej tym tropem, królikiem doświadczalnym powinna być raczej któraś z nowszych, młodszych i w związku z tym mniej niebezpiecznych ras – kontynuowałem. – Jeśli ograniczymy się do tych, które wstąpiły do klubu galaktycznego w ciągu ostatnich dwustu lat, pozostaną nam Juriańczycy, Cymalczycy, Trahosejowie i Bellidowie. – Pociągnąłem łyk herbaty.

– No i my.

Przez minutę jedynym dobiegającym do moich uszu dźwiękiem był przytłumiony szum kilku różnych rozmów i stukot kół pociągu. Pamiętałem z poprzednich podróży, że wagony restauracyjne

czteroszynówki są zaprojektowane akustycznie w taki sposób, by stopień słyszalności rozmowy znacznie spadał w odległości pół metra od środka stołu. Oznaczało to znacznie więcej prywatności, niż można by się spodziewać na pierwszy rzut oka. Inaczej nie wpadłbym na pomysł prowadzenia tej rozmowy w takim miejscu.

– Więc kogokolwiek wybiorą – rzekła w końcu Bayta – będą musieli przeprowadzić próbę co najmniej kilka miesięcy przed atakiem na Filly.

– Właśnie – przyznałem. – Co oznacza, że mogą zacząć w każdej chwili.

Bayta pociągnęła łyk lemoniady.

– W porządku – powiedziała. – Skoro jednak interesują cię procedury wjazdowe, czy nie lepiej było pojechać prosto do Jurskali?

– Nie sądzę. Stacja na macierzystej planecie – na jakiegokolwiek macierzystej planecie będzie zbyt zatłoczona, żebyśmy mogli się porządnie przyjrzeć, jak funkcjonuje. Stolica regionu, taka jak Kerfsis, powinna mieć te same zabezpieczenia, ale mniejszy tłok. Polecimy promem do stacji transferowej, rozejrzemy się trochę, wrócimy, wsiądziemy w następny pociąg i polecimy dalej.

– Dokąd?

– Nie wiem – odparłem. – Podejrzewam, że wicherzyciele wybiorą nieco bardziej zaawansowaną rasę niż my czy Trahosejowie. Czyli Juriańczyków, Cymalczyków lub Bellidów.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Dobrym celem byłiby Bellidowie – stwierdziła. – Ich tereny leżą dalej od jądra galaktyki niż Konfederacja Terrańska, więc są jeszcze bardziej odizolowane.

– Fakt. Teraz jednak podążamy w odwrotnym kierunku – zauważyłem. – Zamiast tracić czas na powrót, powinniśmy raczej jechać dalej i sprawdzić Juriańczyków i Cymalczyków.

– Jest tam znacznie więcej światów – mruknęła ze wzrokiem wlepionym w szklanke.

Skinąłem głową, upijając kolejny łyk herbaty i rozglądając się leniwie po barze. Przy dwóch stolikach siedziały czteroosobowe grupki Juriańczyków; resztę zajmowali rozproszeni Szorszyjcy i Bellidowie. Na drugim końcu dwaj Cymalczyki siedzieli naprzeciwko samotnego człowieka, niemal niewidoczni zza błękitnego dymu tradycyjnego skinski flambe. Wentylator nad ich głowami pieczołowicie pochłaniał dym, by oszczędzić dyskomfortu pozostałym gościom.

– Możemy się przyjrzeć wszystkim systemom po drodze i zastanowić się, który obszar najbardziej odpowiadałby naszemu agresorowi do przeprowadzenia próby – powiedziałem. Jakkolwiek jednak podzielimy interesujący nas rewir, czeka nas kupa roboty. – Uniosłem brew. Mogę tylko mieć nadzieję, że nie jesteśmy jedynymi, którym przydzielono do tego zadania.

Zignorowała przynętę.

– A co zrobimy, jeśli ich znajdziemy? – zapytała. – Mam na myśli agresorów.

– To już będzie łatwizna – odparłem. – Twoi pajęczy przyjaciele będą po prostu musieli odciąć tym światom dostęp do kolei.

Jakoś dziwnie wciągnęła powietrze. Niby nic, ale dało mi odczuć, że coś tu jest nie tak.

– Może – powiedziała.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytałem, marszcząc brwi. – Przecież to ich kolej, zgadza się? Dlaczego więc nie mogliby przestać się zatrzymywać na stacjach kogoś, kogo uznali za persona non grata?

– Nie wiem – odparła. – Może mogą. Po prostu nie wiem.

Obserwowałem jej twarz, starając się znaleźć coś pod beznamiętną fasadą. We wszystkich innych

kwestiach wydawała się diabelnie pewna tego, co mogą, a czego nie mogą Pająki, a tu nagle nie wie, czy mogą zamknąć kilka stacji czteroszynówki?

Bo jeśli Pająki nie mogły tego zrobić, to może jednak nie one rządziły siecią kolei? Nie miałem najmniejszej ochoty tego usłyszeć, więc przezornie nie pytałem.

– Jak sobie poradzą z tą sprawą, to już ich problem – powiedziałem. – Naszym zadaniem jest dowiedzieć się, kto i gdzie. – Ziewnąłem. – A teraz chyba czas na mały odpoczynek.

– Tak – przyznała, popijając lemoniadę i wstając. – Nie obawiaj się, nie powiem Pająkom... wiesz, o czym.

– Dzięki – odpowiedziałem, także wstając. W gruncie rzeczy niespecjalnie się przejmowałem, czy Pająki dowiedzą się o moim kryzysie zaufania. Głównym powodem, dla którego przeprowadziłem tę rozmowę poza przedziałem, była chęć sprawdzenia, czy Pająki narobią jakiegoś rabanu, kiedy spostrzegą, że znalazłem się poza zasięgiem ich saariksowej pułapki.

Nie zareagowały w żaden wyraźny sposób. Może reakcja rniała nastąpić później; na razie jednak byłem z powrotem w punkcie wyjścia.

Mimo to rozmowa okazała się w pewien sposób owocna: dała mi pewne skromne wyobrażenie o Baycie.

A gdyby i ono okazało się złudne, pozostawał wyśmienity smak mrożonej herbaty.

Osiem godzin później, zgodnie z rozkładem, pociąg wjechał na stację Yandro.

Oglądałem na ekranie pokładowego komputera ditrek z podróży po Alpach szwajcarskich, może dlatego, że intryga, w jaką zostałem wplątany, kojarzyła mi się z pociągami EuroUnii Środkowozachodniej. Gdy pociąg zaczął hamować, wyłączyłem film i przestawiłem ekran w tryb okna.

Wszystkie stacje czteroszynówki, na jakich dotąd byłem, stanowiły wariacje tego samego tematu. Yandro nie było wyjątkiem. Wyróżniało się jedynie liczbą i rozmieszczeniem budynków pomocniczych. Zaledwie dwoma spośród trzydziestu przebiegających przez cylinder torów przejeżdżały pociągi zatrzymujące się w tym miejscu; pozostałe jedynie mijały stację w drodze do ważniejszych miejsc. W związku z tym tylko dwa tory miały dobudowane perony i żurawie do ładowania towaru.

Biorąc pod uwagę minimalny ruch, nawet to było przesadą. Gdy pociąg się zatrzymał i ujrzałem zaledwie sześcioro oczekujących podróżnych, odżyły we mnie dawne frustracje. Stacja kosztowała bilion dolarów. Koloniści z Yandro musieliby sprzedać cholernie dużo luksusowego drewna, żeby ta inwestycja w ogóle im się zwróciła.

Kątem oka widziałem Baytę, idącą przez peron w kierunku jednego z dwóch hangarów i udającą, że wcale jej się nie spieszy. Gdy zniknęła w środku, zerknąłem na zegarek, mając nadzieję, że ona robi to samo. Piętnastominutowy przystanek to trochę mało, a pomimo deklarowanej przez Pająki chęci współpracy wątpiłem, czy zechcą opóźnić dla nas pociąg.

Najwyraźniej Bayta również nie miała w tej kwestii złudzeń, bo wyłoniła się z budynku na dziewięćdziesiąt sekund przed planowanym odjazdem i przemierzyła peron sprintem, jakiego nie powstydziliby się olimpijczyk. Mimo to nie byłem pewien, czy zdążyła wsiąść, dopóki dwie minuty później, nadal zdyszana, nie wpadła do mojego przedziału.

– Załatwione – powiedziała, opadając na kanapę. – Zawiadowca przekaże dalej naszą prośbę. Dane powinny być gotowe, nim dotrzemy do Kerfsis. Dostarczą je do naszego przedziału w następnym pociągu.

– Świetnie – odparłem, znów zerkając na zegarek, przestawiony już na wewnętrzny czas Tuby. Minęła dwudziesta druga godzina standardowej, dwudziestodzieciogodzinnej pajęczej doby. Do Kerfsis zostało nam dziewięć godzin jazdy. Wystarczy na porządny sen i śniadanie.

Zastanawiałem się właśnie, czy powinienem się udać do baru na wieczornego drinka, kiedy odezwał się dzwonek przy drzwiach. Spojrzałem na Baytę.

– Spodziewasz się gości? – zapytałem cicho. Pokręciła głową, zaciskając wargi.

– To nie Pająk – rzekła.

Dzwonek odezwał się ponownie. Chciałem odesłać Baytę do jej przedziału i wyciągnąć ściankę działową, ale stwierdziłem, że nie ma na to czasu, jeśli nie chcemy wzbudzić podejrzeń swoją opieszałością.

– Łazienka – rozkazałem, a sam wstałem i ruszyłem ku drzwiom. Poczekalem, aż Bayta zniknie w swojej połówce, i dopiero otworzyłem.

Za drzwiami stała dwójka Haików: nieco buldogowatych, płaskogębnych istot, które gadały dwadzieścia razy więcej od człowieka i uwielbiały ziemski cynamon.

– Kurde! – zdziwił się niższy, chuchając mi w twarz zapachem octu, wydzielanym przez ulubiony trunek jego rasy. – To nie Skvi. To jakiś człowiek.

– Chyba masz rację – zgodził się wyższy, pochylając się do przodu i mrużąc oczy, jakby słabo mnie widział. – Ciekawe pyski ma ta rasa.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytałem, stając w przejściu na wypadek, gdyby przyszło im do głowy wejść bez pozwolenia.

Niższy machnął ręką. Umieszczone między szponami podwójne membrany zadźwięczały w ruchu niczym odległy obój.

– Szukamy kolegi – rzekł. – Halka. Przepraszamy za najście.

– Nie ma sprawy – odparłem z pogodnym uśmiechem, lustrując rozmówcę szybkim, lecz dokładnym spojrzeniem. – Mam nadzieję, że go znajdziecie.

– Jeśli tu jest, z pewnością – obwieścił uroczyście, ponownie rozciągając wargi w uśmiechu, który jeszcze bardziej rozpląszczał mu twarz. Potem, ująwszy kumpla pod ramię, odwrócił się i obaj ruszyli dalej chwiejnym krokiem, rytmicznie postukując szponami o ścianę, jakby się bali, że ta im ucieknie.

Cofnąłem się do wnętrza przedziału i dotknąłem kontrolki.

Nim drzwi się zamknęły, szybko wyrząłem ponownie na korytarz.

Dwaj Halkowie nadal się oddalali. Przestali natomiast postukiwać i zataczać się, co doskonale pasowało mi do braku rozszerzonych źrenic, które zwykle miewa się po halkańskich trunkach. Fałszywi pijacy. A co za tym idzie, fałszywy powód najścia.

Cofnąłem głowę w samą porę. Gdy zasuwane się drzwi doszły do pewnego punktu, włączyły się automatyczne zabezpieczenia i zatrzasnęły je przed moim nosem.

– Kto to był? – zapytała Bayta, wychodząc z łazienki.

– Dwaj Halkowie, szukający kumpla – powiedziałem, ściągając z wieszaka swoją marynarkę. – Nie zauważyłaś, czy ktoś szedł za tobą, kiedy wracałaś do pociągu? Zmarszczyła czoło.

– Nie oglądałam się. Przepraszam.

– W porządku – powiedziałem, naciskając przycisk przy drzwiach. – Idź spać. Nie czekaj na mnie.

Halkowie zdążyli już zniknąć – albo przeszli przez tylne drzwi wagonu, albo weszli do któregoś z przedziałów pierwszej klasy. Nie mając specjalnej ochoty dzwonić o tej porze do drzwi, doszedłem

do końca przedziału i nacisnąłem przycisk. Gdy drzwi się otwały, przeszedłem przez rozkołysany przedsiónek do sąsiedniego, bezprzedziałowego wagonu.

Poziom aktywności bynajmniej nie wskazywał na tak późną godzinę. Gry karciane nadal toczyły się na całego. Niektóre siedzenia zmieniły położenie w wyniku przetasowań pomiędzy kręgami rozmówców. Górne oświetlenie było przyciemnione, ale ponieważ każde siedzenie miało własną lampkę do czytania, jedyną różnicę stanowiło to, że jasność zaczynała się na wysokości klatki piersiowej, nie zaś sufitu. Kilku podróżnych drzemało, korzystając z wbudowanych w podłóżki neutralizatorów dźwięku.

W przedziale nie brakowało także Haików. Jedni grali w karty, inni rozmawiali albo układali się do snu. Szedłem zygzakiem przez wagon, przyglądając się po kolei każdemu z nich. Człowiekowi trudno rozróżnić halkańskie twarze, ale miałem w tym względzie pewną praktykę, więc na jakieś osiemdziesiąt procent byłem pewien, że osobników, których szukam, nie ma w tym wagonie. Z pewnością też żaden z tu obecnych nie był ubrany tak jak tamci.

Byłem mniej więcej w połowie wagonu i coraz szybszym krokiem zmierzałem ku przeciwległym drzwiom, gdy z ogólnego szumu wyłowilem ludzki głos, mówiący:

– ...i Yandro to pięć.

Stałem jak wryty, spoglądając gwałtownie w tamtą stronę.

O kilka foteli na prawo ode mnie siedział starszy mężczyzna z twarzą na wpół ukrytą w cieniu i wargami ułożonymi w lekki uśmiezek. Patrzył prosto na mnie.

– Proszę nie udawać, że nie pamięta pan własnego powiedzonka.

Przez kolejną sekundę gapiłem się na niego, rozmyślając intensywnie. W końcu mój umysł dodał do zastanego obrazu wąsy i brodę, wywołując natychmiastowe olśnienie: był to jeden z moich dawnych przełożonych ze WSZ-y, pułkownik Terrance Applegate.

– To nie było moje powiedzonko – wycedziłem i chciałem ruszyć w dalszą drogę.

– Przepraszam. – Zatrzymał mnie. – To kiepski żart. Proszę, niech pan usiądzie.

Zawahałem się. Pościg za Halkami był dla mnie teraz sprawą znacznie większej wagi niż wspomnianie starych, złych czasów. Szczególnie z jednym z ludzi, którzy pod koniec tych czasów zgotowali mi małe piekielko.

Z drugiej jednak strony byliśmy w pociągu kosmicznym, w którym poza ubikacjami i przedziałami pierwszej klasy nie ma gdzie się ukryć. Musiałem przyznać, że czuję pewną ciekawość w kwestii tego, co robi tyłek oficera WSZ-y na siedzeniu wagonu pierwszej klasy kolei czteroszynowej.

– Bardzo kiepski, pułkowniku – powiedziałem, przedzierając się przez labirynt foteli do wolnego siedzenia obok rozmówcy. Obróciłem je i usiadłem. – Co słyszać we WSZ-y?

– Z tego, co słyszałem, bez zmian – odparł. – Nawiasem mówiąc, może mnie pan nazywać po prostu Applegate. Osiem miesięcy temu złożyłem wymówienie.

Rozejrzałem się znacząco po wagonie.

– Wygląda na to, że zamienił pan tamtą robotę na coś lepszego.

Wzruszył ramionami, wydając z uchwytu siedzenia na wpół opróżnioną szklaneczkę.

– Zależy, jak na to patrzeć. Pracuję w ONZ-ecie.

– To pięknie – powiedziałem, starając się, by to zabrzmiało neutralnie. Nigdy nie zdołałem tego dowieść, ale od dawna podejrzewałem, że decyzję WSZ-y o zwolnieniu mnie wymusiła presja ONZ-etu. – I zaszedł pan tak wysoko, że stać pana na podróże pierwszą klasą czteroszynówki?

– Niespecjalnie – odparł chłodno. – Jestem tu tylko po to, by ścisnąć dłonie osobom, które na to stać.

– Chyba nie wrócił pan do zawodu ochroniarza?

– Tylko bez kpín – ostrzegł mnie, uśmiechając się, ale nie całkiem żartując. – Nadal mógłbym stoczyć walkę z pięcioma takimi szczeniakami jak pan i stłuc ich na kwaśne jabłko.

– Nie wątpię – odparłem, ten jeden raz w życiu wybierając dyplomatyczne rozwiązanie.

– W rzeczywistości jednak jestem raczej konsultantem – kontynuował. – Wicedyrektor Losutu jedzie na rozmowy z Cymalczykami na temat zakupu raket myśliwskich i chciał mieć przy sobie eksperta wojskowego, by ten je obejrzał.

A więc Biret Losutu też tu był. Coraz lepiej.

– Czy to nie jest zbyt ryzykowne z politycznego punktu widzenia? – zapytałem. Sądziłem, że oficjalna wersja ONZ-etu głosi, iż ziemskie myśliwce nie ustępują żadnym innym obecnym na rynku..

Applegate prychnął.

– Obaj wiemy, że to fikcja zasługująca na nagrodę Pulitzera Ale to nie ONZ wynalazł sztukę hipokryzji.

Pomyślałem o tych wszystkich krokodylich łzach, które wylano w moim imieniu, gdy dyscyplinarnie zwalniano mnie z pracy Niektóre z nich uрониł sam Applegate.

– Podejrzewam, że również nie on wynalazł instytucję kozła ofiarnego.

– Na szczęście tym razem nie będziemy musieli robić z nich użytku – odparł z krzywym uśmiechem.

– Cymalskie myśliwce są przeznaczone do służby w Yandro i Nowym Tigris. Obaj wiemy, ile osób może je tam zobaczyć.

– Pozostaje kwestia dziury, jaką ich zakup pozostawi w budżecie ONZ-etu – zauważyłem.

– Ją z pewnością ktoś zauważy.

– Być może – przyznał. – Wie pan jednak, jak to tłumaczą: tu jeden miliard, tu drugi i nagle robią się z tego konkretne pieniądze. Tak czy owak, osiem myśliwców, o których mowa, będzie nas kosztowało tylko pół biliona. Chyba że zdecydujemy się kupić coś większego. Jestem tu po to, by pomóc o tym zdecydować. – Pociągnął łyk drinka, spoglądając na mnie znad brzegu szklanki. – Dość jednak o mnie. Ciekaw jestem, co pan tu robi?

– Niewiele – odparłem. – Rozglądam się.

– Rozumiem. – Zerknął w kierunku drzwi, przez które przed chwilą wszedłem. – Ktoś zapisał panu fortunę w spadku.

– Rozglądam się zawodowo – wyjaśniłem. Na szczęście miałem już w zanadrzu gotową bajeczkę, choć nie spodziewałem się, że tak szybko mi się przyda. – Duże konsorcjum turystyczne zatrudniło mnie do przetestowania nowych pakietów wakacyjnych dla znudzonych turystów.

– Mhm – mruknął, rzucając mi znaczące spojrzenie. A do odpowiedniego przetestowania potrzebne jest odpowiednie zakwaterowanie?

– To część mojej pracy – przytaknąłem. – Niestety, obsługujemy także nieco mniej zamożnych klientów, więc w dalszej części podróży będę się musiał przenieść do przedziałów drugiej i trzeciej klasy.

Applegate stęknął.

– Szkoda. Rozumiem, że zaczyna pan swoje badania od Związku Republik Juriańskich, omijając Nowe Tigris i Yandro?

– Dłaczego pan zakłada, że już ich nie przetestowałem? – zapytałem.

– Z dwóch powodów. – Uniósł jeden palec. – Po pierwsze, obaj wiemy, że w żadnym z tych miejsc nie ma nic, co zainteresowałoby turystę choćby na piętnaście minut. – Uśmiechnął się z przekąsem i

uniósł drugi palec. – Po drugie, widziałem, jak pan wsiadał na stacji Terra.
Zamrugalem. – Był pan tam? Skinął głową. – Przyleciałem kanałem dyplomatycznym przez Rzym i Elfive – rzekł. – Do tego przekłety odrzutowiec się spóźnił. Ledwie zdążyłem. Dlaczego pana dziwi, że tam byłem?
– Skąd, wcale mnie to nie dziwi – odparłem, zły na siebie za to, że go nie zauważyłem. Agenci terenowi powinni pielęgnować w sobie świadomość globalną. – Nie to miałem na myśli. Przyleciał pan razem z Losutu?
– Nie. On i przedstawiciele kontrahenta wsiedli w Nowym Tigris – odparł Applegate. Robili tam przegląd systemu.
– A pan konkretnie gdzie był? – nalegałem, nadal nie mogąc uwierzyć, że go nie zauważyłem.
– Kiedy pański prom dobił do Tuby, byłem już na peronie – odparł, uśmiechając się porozumiewawczo. – Spokojnie. Bez treningu nawet umiejętności terenowe nabyte we WSZ-y po pewnym czasie zaczynają zanikać. Poza tym w tym czasie był pan pochłonięty gapieniem się na Pajaka, który oddalał się z pańskim bagażem. Nawiasem mówiąc, oddali go panu?
– Tak – zapewniłem go, rozglądając się po wagonie. Nie bardzo miałem ochotę kontynuować ten temat. – Powinienem już iść – dodałem i zacząłem wstawać.
– Dlaczego? – zapytał Applegate, powstrzymując mnie gestem. – Niechże pan siedzi. Chyba nie chodzi o Losutu?
– Miałbym się przejmować kimś, kto swego czasu wyraził pragnienie, żebym sobie poszedł, gdzie pieprz rośnie, a najlepiej zdechł? – przypomniałem mu ponuro.
Applegate prychnął.
– Daj pan spokój. Losutu używa mocnych słów, ale ma zbyt wielu wrogów, żeby się przejmować jakimś niewielkim, dwuletnim skandalikiem politycznym. Kiedy się dowie, że jest pan w tym pociągu, pewnie nawet zechce pana zaprosić na drinka.
– Czyżby tutejszy bar miał w ofercie cykutę?
– Wątpię – odparł Applegate, poważniejąc. – Powiem ci coś w sekrecie, Frank. Dyrektor Klein ma kłopoty ze WSZ-awym parlamentem. Nie chcą zaakceptować kilku jego propozycji. Być może były agent WSZ-y, taki jak ty, mógłby wymyślić jakiś sposób na uspokojenie i przekonanie dawnych przełożonych.
– Myślałem, że to pańskie zadanie.
Wzruszył ramionami. – Zawsze warto zasięgnąć drugiej opinii.
– Aha – mruknąłem, czując, jak odzywa się we mnie dusza cynika. – A poza tym paru przedstawiciele WSZ-y, którzy swego czasu naiwnie mnie poparli, mogłoby wrócić do łask dzięki mojemu hałaśliwemu poparciu dla propozycji Dyrektoriatu?
Applegate wydał wargi.
– Widzę, że nie zatraciłeś swojego słynnego taktu.
– Każdy orze, jak może. Mam rozumieć, że to zakup cymalskich myśliciów jest kością niezgody?
– Między innymi – odparł Applegate. – Ale chyba powinienem pozwolić, by Losutu osobiście wprowadził cię w tajniki sprawy.
Pokiwałem głową, nagle doznając olśnienia. Dwaj Cymalczycy, siedzący przy narożnym stoliku, gdy Bayta i ja wpadliśmy kilka godzin temu na herbatkę i lemoniadę... Człowiek, który im towarzyszył...
– To pan gawędził tu przy miseczce skinski flarnbe? Uśmiechnął się.
– Widzisz? Nie całkiem zatraciłeś umiejętności. Tak, zaprosiłem naszych przyjaciół na nieoficjalną

sesję strategiczną, gdy Losutu pracował nad raportem. Podszedłbym, by się przywitać, ale wyglądałaś na pogrążonego w bardzo poważnej rozmowie.

Poczułem ucisk w żołądku, ale po chwili się uspokoiłem. Biorąc pod uwagę akustyczny układ baru, Applegate po prostu nie mógł nas podsłuchać. Widział jedynie, że prowadzę romantyczną rozmowę z młodą damą. Znając go, z pewnością natychmiast doszedł do mylnych wniosków.

– W każdym razie interesującej – odparłem, starając się brzmieć beznamiętnie.

Mój rozmówca uniósł łobuzersko brew.

– I produktywniej, jak widzę – rzekł, patrząc na coś ponad moim ramieniem i unosząc palec. – To jego pani szuka? – zapytał nieco głośniejszym głosem.

Odwróciłem się. W naszą stronę zmierzała Bayta. Gdy mnie zobaczyła, malujący się na jej twarzy niepokój zelżał.

– Uff – westchnęła z ulgą, popatrując to na Applegate’a, to na mnie. – Już się bałam, że coś się stało.

– Niepotrzebnie – uspokoiłem ją, wskazując rozmówcę. – Po prostu spotkałem starego znajomego.

Powiedziałem to, spoglądając na Applegate’a, a Baytę widząc jedynie kątem oka. Mimo to zauważyłem, że jej ciało zeszywniało nagle.

– Jest pan przyjacielem pana Comptona? – zapytała ostrożnie.

– Pana Comptona? – powtórzył Applegate z nutką rozbawienia. – Hmmmm... Czyżbym wyciągnął błędne wnioski?

– To Bayta – powiedziałem. – Moja asystentka i archiwistka.

Ledwie to powiedziałem, a już pożałowałem. Swoim oficjalnym zachowaniem Bayta zaprzepaściła nasze najlepsze alibi, jakim niewątpliwie byłaby historyjka o romantycznym uczuciu. Pozostawała znajomość zawodowa.

Problem polegał wszakże na tym, że Applegate widział nas na stacji Terra całkiem osobno. Mogłem się tylko modlić, żeby sobie tego nie przypomniał i nie zaczął wnikać.

Było już jednak za późno, by wymyślić lepszą historię. Musiałem po prostu zignorować ów brak konsekwencji i liczyć na to, że Applegate uzna, iż prowadzimy oddzielne badania dla naszego mitycznego konsorcjum turystycznego.

– Bayto, to pan Terrance Applegate – przedstawiłem go. – Niegdyś pułkownik Wywiadu Sojuszu Zachodniego, obecnie doradca w Dyrektoriacie ONZ.

Skinęła głową.

– Miło mi pana poznać – odparła, nadal z nutką niepokoju w głosie.

– Mnie również – odparł Applegate. – Cóż, Frank, miło się gawędziło, ale jest już późno i chyba muszę się zdrzemnąć.

– Jasne – powiedziałem, wstając. – A przy okazji, widział pan może dwóch Haików, przechodzących tędy chwilę przede mną?

– Nie, ale nie przyglądałem się zbyt dokładnie – rzekł. – To coś ważnego?

– Raczej nie – odparłem, rezygnując w duchu z pościgu. Przez ten czas Halkowie mieli mnóstwo czasu, by się przebrać i ukryć, a ja nie miałem ochoty uganiać się za nimi po całym pociągu. Musiałem po prostu być czujny i czekać, aż znów się pojawią. – Walili do moich drzwi i wydawali się nieco wstawieni. Zastanawiałem się, czy nie zawiadomić konduktorów.

– Ja bym się tym nie przejmował – doradził mi Applegate. – Nigdy nie widziałem, żeby pijany Haik stał się agresywny. Nie grozi nam też, że zgniotą kogoś na śmierć, gdy stracą przytomność i zwałą się na niego, co byłoby możliwe w przypadku Cymalczyków.

– Fakt – przyznałem. – Dobranoc.

Bayta odezwała się ponownie dopiero w naszym przedziale.

– Ten Applegate to twój przyjaciel? – zapytała, gdy już zablokowałem drzwi.

– Nie za bardzo – odparłem. – Był jednym z moich przełożonych we WSZ-y.

– Znajomy? Pokręciłem głową.

– Biorąc pod uwagę fakt, że należał do osób, które głosowały za wylaniem mnie, nie pasuje nawet do tej kategorii.

– Więc raczej wróg?

– Też nie – powiedziałem, zastanawiając się, dlaczego ona tak draży ten temat. Nazwijmy go jednym z drobnych rozczarowań na mojej drodze życia.

Zastanawiała się przez jakąś minutę.

– W porządku – rzekła w końcu. – Masz zamiar jeszcze dziś gdzieś wychodzić?

– Chyba tylko do krainy Morfeusza – odparłem, wieszając marynarkę i patrząc na zegarek. Do Kerfsis pozostało nieco ponad osiem godzin. Nadal wystarczało na porządny sen, ale nie pozostawiało czasu na wymarzone leniwe śniadanie.

– W porządku – powiedziała znowu. – Ci Halkowie tylko udawali pijanych, prawda?

Zawahałem się. We WSZ-y wpojono mi, że wszystko trzeba trzymać w tajemnicy. Przecież tak niewiele wiedziałem o tej kobiecie.

– Tak – odparłem jednak. – I raczej nie szukali kumpla.

– Tylko nas?

– Kiedy chwilę później wyszedłem na korytarz, nie dzwonili już do drzwi – powiedziałem.

– Sama wyciągnij wnioski.

Zerknęła na drzwi, które przed chwilą zablokowałem.

– Czy będzie ci bardzo przeszkadzać, jeśli nie zasunę ściany na noc?

– O ile nie chrapiesz – odparłem, podchodząc do półki na bagaże i ściągając większą z moich toreb. Szczerze mówiąc, sam chciałem to zaproponować, tylko nie wiedziałem jak.

Jeśli bowiem Bayta wiedziała o saariksowym ładunku, byłem raczej bezpieczny, dopóki nie było między nami hermetycznej ściany.

Jeśli zaś o nim nie wiedziała, ci, którzy chcieli mnie zabić, załatwiliby nas oboje za jednym zamachem. Choć kiepska to pociecha.

Ruch na stacji Kerfsis, choć niewielki jak na juriańskie standardy, mimo wszystko robił znacznie większe wrażenie niż ten, z którym mieliśmy do czynienia na wszystkich ludzkich stacjach, nie wyłączając Terry. Z wagonów naszego pociągu wysypało się co najmniej sześćdziesiąt osób i mniej więcej tyle samo czekało na peronie. Większość stanowili Juriańczycy, ale była też garstka przedstawicieli innych gatunków. Nie dostrzegłem jednak żadnych ludzi poza naszą dwójką.

Szliśmy właśnie przez peron w stronę promu pierwszej klasy, gdy dostrzegłem dwóch Haików, wychodzących z odległego wagonu trzeciej. Byli zbyt daleko, żeby rozpoznać twarze, ale ich rozkołysany chód wyraźnie przywodził na myśl naszych nocnych gości. Ująłem Baytę pod ramię i poprowadziłem przez tłum w ich kierunku.

– Dokąd idziemy? – zapytała. – Musimy lecieć pierwszą klasą.

– Wiem – odparłem, przyspieszając nieco. Ale albo Halkowie zauważyli, że siedzę im na ogonie, albo po rostu się spieszyli. Nim zdążyliśmy przebyć połowę drogi, dotarli do promu trzeciej klasy i zniknęli w luku.

– Musimy lecieć pierwszą klasą – powtórzyła z większym naciskiem Bayta.

Przez chwilę rozważałem pomysł zignorowania protokołu i pozostania przy Halkach. Jastrzębiodziobi Juriańczycy byli jednak znani z umiłowania swoiście pojmowanej etykiety, a każde jej naruszenie uważali za niewybaczalny nietakt. Bayta i ja byliśmy pasażerami pierwszej klasy, więc nasze miejsce było w promie pierwszej klasy. Gdybyśmy próbowali się wśliznąć gdziekolwiek indziej, zgotowaliby nam dżentelmeńskie piekło. Uznałem, że gra nie jest warta świeczki, zwłaszcza że za kilka minut wszyscy pasażerowie mieli się spotkać na stacji, w punkcie odprawy celnej.

– Jasne – powiedziałem i ruszyliśmy z powrotem ku naszemu promowi.

Jak wszyscy obywatele galaktyki, którzy mogli sobie na to pozwolić, Juriańczycy używali w celu uzyskania sztucznej grawitacji szorszyjskich silników nośnonapędowych. Oznaczało to, że wewnątrz promu znajdowały się prawdziwe schody i mogłem trzymać swoje bagaże przy sobie, zamiast je przekazywać zautomatyzowanemu systemowi, by mieć wolne ręce na manewrowanie na drabinie. Biorąc pod uwagę to, co przydarzyło się mojemu bagażowi, kiedy ostatnio spuściłem go z oczu, cieszyłem się, że tym razem nie będę musiał tego robić.

Gdy wchodziłem do Tuby na stacji Terra, rozglądałem się w poszukiwaniu śladów systemu czujników. Teraz, schodząc po schodkach do promu, także starałem się go wypatrzeć – i z równie miernym skutkiem. Gdziekolwiek Pajaki go ukryły, uczyniły to skutecznie.

Juriański system dla odmiany aż walił po oczach. Sunąc ku stacji transferowej, nasze trzy promy przeleciały pod dwiema niewielkimi platformami bojowymi, z których każda posiadała imponujący zestaw czujników i nie mniejszą liczbę myśliwców, gotowych w każdej chwili ruszyć do akcji.

Na szczęście nie było takiej potrzeby. Nasz prom dobił do stacji i po kilku minutach wszyscy pasażerowie zebrali się w sali przylotów.

– Musimy przejść przez bramkę? – zapytała Bayta, wyciągając szyję w stronę stanowisk celnych.

Przyjrzałem się umieszczonym za bramkami szerokim drzwiom wyjściowym. Prawie na pewno miały wbudowane bardzo wrażliwe czujniki. Przez chwilę zastanawiałem się, czy wychwyciłyby ukryty w moich torbach saark.

Szczęśliwym zrządzeniem losu na razie nie musieliśmy tego sprawdzać.

– Nie ma potrzeby – odparłem. – Nie zostajemy tu przecież.

– Sądziłam, że chcesz sprawdzić procedury bezpieczeństwa.

– Już sprawdziłem – odparłem, rozglądając się i marszcząc brwi. Dwaj Halkowie, których wcześniej śledziłem, zniknęli. Czyżby ich prom został skierowany do innego punktu stacji?

Ale nie. Zaraz za nimi wsiadał gęsiopióry Pirk, którego teraz zauważyłem mniej więcej pośrodku sali, otoczonego niewielkim obszarem pustki, który zwykle wytwarzał się wokół istot wydzielających silny zapach. Halkowie musieli się gdzieś wymknąć zaraz po opuszczeniu promu.

Problem polegał na tym, że jedynymi kanałami, przez które mogli to uczynić, była garstka drzwi przeznaczonych tylko dla personelu. Tak przynajmniej wyglądało to w korytarzu, przez który przechodziliśmy. Jeśli środki bezpieczeństwa w sekcji trzeciej klasy nie były dużo łagodniejsze, oznaczało to, że uciekli przez biura juriańskich urzędników.

– W takim razie dokąd idziemy? – chciała wiedzieć Bayta.

Spojrzałem na znajdujące się obok bramek przejście prowadzące bezpośrednio do sali wylotów. Najprostszą rzeczą byłoby przejście tam, lot powrotny do Tuby i uznanie całej tej historii za przypadek i dzieło nadmiernie pobudzonej wyobraźni.

Wiedziałem jednak, że to nie przypadek i że moja wyobraźnia jest tylko umiarkowanie pobudzona.

To, co zaczęło się jako drobna zagadka, zaczynało przybierać złowróżbne oblicze. Biorąc pod uwagę temperament Juriańczyków, jeśli moi Halkowie istotnie siedzieli teraz w biurze któregoś z nich, musieli mieć po temu dobry powód.

– Musimy znaleźć tych Haików – odpowiedziałem Baycie. – Chodź.

Poprowadziłem ją do budki informacyjnej, umiejscowionej w pobliżu bocznej ściany.

– Dzień dobry, Terraninie – rzekła siedząca za kontuarem Jurianka, kiwając nieco przekrzywioną głową, co było u jej rasy oznaką szacunku dla obcego o nieznanym statusie społecznym. – Czy mogę w czymś pomóc?

– Tak – odparłem. – Szukam dwóch znajomych, Haików. Mieli przylecieć promem trzeciej klasy, ale się nie pojawili. Może mają jakiś problem?

– Zaraz sprawdzę – rzekła, spoglądając na ekran i wystukując coś na klawiaturze. – Nie, nie ma żadnych informacji o problemach czy naruszeniu protokołu.

– Czy mógłbym zobaczyć plan naziemnej sekcji trzeciej klasy?

Łuski u nasady jej dziobu zmarszczyły się nieco, ale powstrzymała się od komentarza, zamiast tego wystukując na klawiaturze kolejne polecenie.

– Proszę – powiedziała.

Włączył się ekran umieszczony pod ladą. Pochyliłem się, by go przestudiować. Wzdłuż korytarza rozmieszczono kilka biur, punktów naprawczych i skrzynek z prądem oraz niewielki warsztat mechaniczny.

A także jedno z wejść do depozytu przesyłek wartościowych.

– Jak zabezpieczone są te drzwi? – zapytałem Juriankę.

– Czy pan naprawdę potrzebuje tych informacji? – odpowiedziała, nie tracąc nic ze swojej uprzejmości.

– To bagaż, do którego pasażerowie nie mają dostępu podczas podróży – zauważyłem. Wartościowe przedmioty, przesyłki ponadwymiarowe... i broń.

Łuski na dziobie znów się zmarszczyły.

– Ten obszar jest niedostępny z zewnątrz – odparła stanowczo.

– Miło mi to słyszeć – powiedziałem. – Może jednak zechciałaby pani zapytać ochronę?

Wyczytałem z jej twarzy, że teraz już definitywnie uznała mnie za szaleńca. Ale obsługiwanie szalonych obcych należało do jej obowiązków, więc po prostu przeniosła wzrok na klawiaturę.

– Zechce pan spocząć? – zaproponowała, wskazując obitą materiałem ławkę, która wysunęła się ze ściany na lewo od budki.

– Dziękuję – odrzekłem, po czym ująłem Baytę pod ramię i poprowadziłem ku ławce.

– Nic nie rozumiem – mruknęła, gdy już usiedliśmy. – Myślisz, że ci Halkowie coś knują?

– Wiem tylko, że zniknęli – odparłem i powiodłem wzrokiem po sali. Nadal nie było po nich śladu. – A takie rzeczy zwykle mnie niepokoją.

Po jakichś piętnastu minutach Jurianka poprosiła nas o podejście.

– Czy mogę wiedzieć, co pana łączy z tymi Halkami? – zapytała.

– Przygodna znajomość – odparłem. – Spotkałem ich w pociągu i miałem nadzieję, że uda mi się jeszcze z nimi porozmawiać, nim na dobre się rozstaniemy. To wszystko.

– Rozumiem. – Przez chwilę przyglądała mi się uważnie. – Jeśli zechce przejść przez te żółte drzwi na końcu sali, Dekomplikator spotka się z panem.

Poczułem ucisk w żołądku. Wezwali Dekomplikatora?

– Dziękuję – powiedziałem.

Lawirując między podróżnymi, dotarliśmy do wskazanych drzwi.

– Chciałeś rozmawiać z Dekomplikatorem? – zapytała cicho Bayta.

– Nie żartuj – odparłem. – Miałem nadzieję, że uda się to załatwić po cichu. Ale trudno, stało się.

– Nie musimy tam iść.

– Jeśli nie pójdziemy, to nas złączą szukać – zauważyłem. – Musimy to rozegrać do końca.

Drzwi się otworzyły, by nas wpuścić. Weszliśmy do krótkiego przedsionka z jedną parą drzwi po każdej stronie i jedną naprzeciwko. Prawe drzwi były otwarte. Uznałem, że to tam na nas czekają.

Weszliśmy.

Siedzący za ciemnofioletowym biurkiem wysoki, dystyngowany Juriańczyk wstał, by nas powitać.

– Witajcie, Terranie – rzekł, kiwając głową w ten sam sposób, w który robiła to kobieta z budki.

Miał wypolerowane łuski, świadczące o przynależności do którejś z kast zawodowych, a na jego dziobie widniały subtelne znaki identyfikujące go jako Dekomplikatora.

– W czym mogę pomóc?

Jego głos wydawał mi się dziwnie znajomy. Przyjrzawszy się dokładniej układowi łusek na twarzy, doznałem olśnienia.

– Tas Rastra? – zapytałem.

Zmarszczył brwi, co zaowocowało wykrzywieniem łusek na policzkach. Potem nagle złagodniał.

– Pan Frank Compton – powiedział wibrującym ze zdumienia głosem. – Cóż za nieoczekiwane spotkanie.

– Dla mnie również – przyznałem. – Od przyjęcia u gubernatora Vanido minęło sporo czasu.

– W istocie – zgodził się. – Był pan szefem ochrony przedstawicieli Ziemskiego Sojuszu Zachodniego.

– A pan był naczelnym Dekomplikatorem gubernatora, dzięki któremu mogłem wypełnić swoje zadanie.

– Wygląda na to, że u nas obu wiele się zmieniło od tamtej pory – zauważył Rastra, wskazując Baytę.

– Proszę mi przedstawić pańską towarzyszkę.

– To Bayta, moja asystentka podczas tej podróży.

– Pani obecność przynosi zaszczyt Związkowi Republik Juriańskich – rzekł uroczyście Rastra. – Nie posiada pani tytułu?

– Nie – odparła dziwnie zdenerwowanym głosem.

– Bayta nie jest dostojniczką – powiedziałem, przyglądając jej się i marszcząc czoło. Była wyraźnie spięta. Czyżby zauważyła coś, co ja przeoczyłem? – Nie pracuję już jako ochroniarz kontynuowałem, przenosząc wzrok na Rastrę. – A pan? Przeniesiono pana na stację Kerfsis?

– Niezupełnie – odparł. – Obecnie towarzyszę w podróżach wysokiemu urzędnikowi rządu halkańskiego, rozwiązując napotykaną przezeń po drodze problemy.

– Z pewnością miał ich pan już sporo – zauważyłem. Halkowie, a w szczególności wysoko postawieni Halkowie, często mieli problemy z juriańskim protokołem.

– Nic poważnego – odparł dyplomatycznie. – Ponieważ jednak zaistniał obecnie problem dotyczący Haików, a Wysoki Komisarz JhanKla i ja i tak czekaliśmy na przybycie pociągu, zgłosiłem się do pomocy.

– Aha – rzekłem. – W gruncie rzeczy chodzi o rzecz tak drobną, że aż waham się, czy w ogóle o niej mówić. W pociągu poznałem dwóch Haików i miałem nadzieję zobaczyć się z nimi na stacji, nim

rozjedziemy się w różne strony.

– A po co konkretnie chciał ich pan zobaczyć?

Na szczęście w ciągu piętnastu minut oczekiwania zdążyłem wymyślić coś, co wydało mi się wiarygodną historyjką.

– Obecnie pracuję dla ziemskiego konsorcjum turystycznego, a ci Halkowie opowiedzieli mi o ciekawym terenie rekreacyjnym, położonym gdzieś na obszarze Cesarstwa Halkavisti wyjaśniłem. – Pomyślałem, że warto by sprawdzić to miejsce, ale nie zdążyłem się dowiedzieć, jak się nazywa i gdzie dokładnie leży.

– Rozumiem – odparł Rastra, odchylając się do tyłu na krzesło. – Co konkretnie o nim mówili?

– Rzeczy, które zwykle przyciągają moją rasę – powiedziałem, machając ręką. Teraz należało przedstawić ładny, ogólnikowy opis. – Dużo sportów terenowych, piękne widoki, rozkosze podniebienia. I tym podobne.

– Bez wątpienia to wyjątkowe miejsce – rzekł Rastra, rozplaszczając dziób w uśmiechu. Wy, Terranie, wysoko cenicie takie wartości. Proszę mi powiedzieć, w jakich okolicznościach poznał pan tych Haików?

– Po prostu wpadliśmy na siebie, jak to w pociągu – powiedziałem. – Przysiadłem się do nich, gdy pili w barze.

– Poznał pan ich nazwiska, adresy, powód i cel podróży? Ciarki przebiegły mi po plecach. Ta rozmowa gwałtownie

zmieniała się z luźnej pogawędki w zbyt dobrze mi znajome oficjalne przesłuchanie.

– Nie doszło do tego – odparłem. – I, zanim pan zapyta: nigdy wcześniej nie spotkałem żadnego z nich.

Rastra wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę. Potem odsunął krzesło i wstał.

– Proszę za mną – rzekł, wskazując znajdujące się za jego plecami drzwi. Zaczął się obracać w tamtym kierunku, lecz przerwał. – Nawiasem mówiąc, proszę mnie tytułować Fale Rastra – dodał. – Gubernator nadał mi tę rangę sześć lat temu.

Doznałem nagłego zawrotu głowy, jakby ktoś usunął mi spod nóg kulturowy dywan. Tym niemal zdawkowym komentarzem Rastra przeskoczył mnie o dwa poziomy na juriańskiej skali społecznej, co – ku mojemu przerażeniu – oznaczało, że wszelkie tony i niuansy, których użyłem w dotychczasowej rozmowie, były pogwałceniem protokołu.

– Gratulacje – wymamrotałem zeszywniałymi wargami.

Na szczęście, jako dobry Dekomplikator, Rastra przewidział ten problem.

– Dziękuję – rzekł, dwukrotnie mlaskając dziobem. – To był zgoła nieoczekiwany zaszczyt.

Potem przeniósł wzrok na Baytę i ponownie wydał dwa mlaśnięcia.

Dywan natychmiast powrócił. Tymi dwoma mlaśnięciami, oznaczającymi uznanie Bayty i mnie za równych sobie – co było czystą kurtuazją – Rastra wspomniałomyślnie uwolnił nas od konieczności żonglowania skomplikowanymi formułami i gestami, których w przeciwnym wypadku musielibyśmy używać.

– Może i nieoczekiwany – odparłem – ale w pełni zasłużony.

– Dziękuję – rzekł. – A teraz proszę pójść ze mną i powiedzieć mi, co pan o tym sądzi.

Drzwi otworzyły się i Rastra przeszedł przez nie. Chciałem pójść w jego ślady, ale Bayta zastąpiła mi drogę.

– Ten Juriańczyk – wysyczała mi do ucha – to twój przyjaciel?

W pociągu zadała to samo pytanie o pułkownika Applegate'a.

– Już nie – odparłem. – Kiedy Juriańczyk zmienia rangę, musi też zmienić przyjaciół. To społeczeństwo ściśle przestrzega podziału klasowego.

– Ale kiedyś był przyjacielem?

Powoli ogarniało mnie rozdrażnienie.

– Nie mam przyjaciół, Bayto – powiedziałem. – Mam znajomych, byłych współpracowników i ludzi, którzy woleliby nigdy w życiu mnie nie spotkać. A co, chcesz się ubiegać o to stanowisko?

Poza drgnięciem mięśnia policzka nie zaobserwowałem żadnej reakcji. Dziewczyna bez słowa odwróciła się ode mnie i ruszyła za Rastra.

Przeszliśmy tak przez dwa kolejne korytarze, zeszliśmy po schodach i znaleźliśmy się w małym, skąpo oświetlonym biurze. Siedział tam ponury Juriańczyk z insygniami oficera średniego szczebla. Na ścianie za jego plecami znajdowało się szerokie lustro weneckie, za którym widniał lepiej oświetlony pokój, w nim zaś nasi Hałkowie, pilnowani przez dwóch uzbrojonych żołnierzy.

– To major Tas Busksha – rzekł Rastra, wskazując oficera. – A to pan Frank Compton z Ziemi i jego asystentka Bayta.

– Panie Compton – zagulgotał major – czy to tych Haików pan szuka?

Podszedłem do okna i przyglądałem się obcym, szczególną uwagę zwracając na kształt uszu i układ zmarszczek, biegnących od bród w górę.

– Tak. Sądzę, że to oni.

– Jak dobrze ich pan zna? – pytał dalej Busksha.

– Powiedziałem już Falcowi Rastrze, że poznaliśmy się w pociągu – odparłem. – Mam nadzieję, że nie zatrzymali ich państwo ze względu na mnie.

Busksha znów zagulgotał.

– Bynajmniej. Zostali zatrzymani w depozycie przesyłek wartościowych.

A zatem moje obawy się potwierdziły.

– Kim są?

– Nie wiemy – rzekł Rastra. – W momencie ujęcia żaden z nich nie miał przy sobie dokumentów. Staramy się to sprawdzić.

– Podejrzewają państwo, czego mogli szukać?

– Ciekawe pytanie – odezwał się Busksha, wlepiając we mnie wzrok. – Dlaczego pan sądzi, że szukali czegoś konkretnego, a nie po prostu wartościowych przedmiotów?

Wzruszyłem ramionami, myśląc intensywnie. Dla mnie było rzeczą oczywistą, że Halkom chodziło o nas i że prawdopodobnie sprawdzali, czy nie zdeponowaliśmy jakichś zabezpieczonych przesyłek. Mówiąc to, ściągnąłbym jednak na nas zbyt wiele uwagi.

– Po prostu nie wyglądają mi na zawodowych złodziei – odrzekłem.

– Nie wyglądają? – podchwycił z nutką sarkazmu Busksha. – W pańskich oczach?

– Pan Compton służył niegdyś w Wywiadzie Ziemskiego Sojuszu Zachodniego – wtrącił spokojnie Rastra. – Nie powinniśmy lekceważyć jego przeczuć.

Major zaklekotał.

– Co więc konkretnie mówią pańskie przeczucia? Przeniosłem spojrzenie na Haików.

– Są dobrze ubrani, a ich sierść wygląda na świeżo przystrzyżoną – zauważyłem. – To oznacza, że są co najmniej pośrodku skali społecznej, jeśli nie wyżej. Czy wiemy, którą klasą podróżowali?

– Pierwszą – odparł Rastra. – Na stację przylecieli jednak promem trzeciej.

Busksha znów zagulgotał. Tym razem jednak dźwięk wydobywał się nie z gardła, lecz z klatki piersiowej.

– Takie oszustwo znamionuje złodziei i innych wyrzutków społecznych. Dlaczego pytał pan o nich w punkcie informacyjnym?

– Jak już powiedziałem Falcowi Rastrze, przeprowadziłem z nimi krótką rozmowę o pewnym terenie rekreacyjnym w Cesarstwie Halkavisti – wyjaśniłem. – Chciałem zapytać o dokładne położenie tego miejsca.

– Pan Compton obecnie zajmuje się poszukiwaniem takich miejsc – dodał Rastra.

– Rozumiem – rzekł Busksha.

Przez chwilę przyglądał mi się, by w końcu wzruszył ramionami.

– Proszę za mną. Będzie pan miał okazję ich zapytać.

Była to doskonale mi znana technika przesłuchań: umieszczało się razem pozornie niezwiązanych ze sobą ludzi i obserwowało ich reakcje. Niestety, pokazywanie się Halkom i tym samym zdradzanie się z faktem, że coś na nich mam, nie było częścią mojego planu. Tyle że teraz było już za późno, by się wycofać.

– Dziękuję – powiedziałem. – Bayto, zaczekaj tu z Falkiem Rastra.

Busksha wyprowadził mnie z pokoju przez boczne drzwi. Po przejściu pięciu kroków niewielkim korytarzykiem weszliśmy przez podobne drzwi do pokoju przesłuchań. Bacznie obserwowałem twarze Haików, ale nie zauważyłem śladu zdumienia na mój widok.

– Ten pan chciałby panom zadać pytanie – rzekł lakonicznie major, dając mi znak, bym podszedł.

– Dzień dobry – powiedziałem, wysuwając się przed niego. – Być może panowie mnie nie pamiętają, ale spotkaliśmy się w pociągu.

– Nie spotkaliśmy żadnych Terran – odparł jeden, spoglądając na mnie z pogardą. – Nie utrzymujemy stosunków z Terranami.

– Był pan nieco zamroczony – zauważyłem. – Być może uciekło to panu z pamięci.

– Nie bywam zamroczony – odparował.

– Ani ja – wtrącił jego towarzysz.

Mimo to jego brązowa sierść zmarszczyła się nieco, jakby nie był pewien swoich słów.

– Mogliby panowie zrelacjonować każdą minutę swego pobytu w pociągu? – zapytał Busksha, który najwyraźniej też coś zwęszył. – Bez żadnych luk?

– Kiedyś przecież spaliśmy – odparł niecierpliwie pierwszy Haik.

– Może panowie lunatykowali? – zasugerowałem. – Bo niewątpliwie rozmawialiśmy przy drzwiach mojego przedziału wkrótce po wyjeździe z Yandro.

Halkowie wymienili spojrzenia.

– Nie – odparł z uporem pierwszy. – Nie ucinamy sobie pogawędek z Terranami.

– No dobrze – ustąpiłem. – Co jednak robili panowie w depozycie przesyłek wartościowych?

– Czy ma pan upoważnienie do prowadzenia śledztwa na terytorium juriańskim? – zapytał lekceważąco pierwszy Haik.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – ofuknął go Busksha. Wiedziałem, że protokół juriański pozwala na dopuszczanie do śledztwa przedstawicieli innych światów, czy się to Halkom podoba, czy nie. A major wiedział równie dobrze jak ja, że im bardziej wyprowadzimy więźniów z równowagi, tym trudniej im będzie zachować jasność myślenia.

Haik spojrział na niego spode łba, po czym z wyraźnym wysiłkiem spróbował wziąć się w garść.

– Szukaliśmy swojego bagażu – rzekł. – Potrzebowałem czegoś.
– Nie mógł pan poczekać na odprawę? – zapytałem.
– To przecież mój bagaż! – upierał się.
– Ale znajdował się w naszym depozycie – zauważył Busksha.
– Czy nasz bagaż nie należy do nas? – wyklóca! się Haik. – Czy państwo mają prawo go przetrzymywać?
– Przed odprawą celną? – zapytałem, marszcząc brwi. To była bodaj najgłupsza i najbardziej żalosna obrona, z jaką się w życiu spotkałem. Haik chyba też był tego świadom, bo jego buta nagle wyparowała.
– Mamy swoje prawa – wymamrotał.
– Jestem przekonany, że odzyskają panowie wszystko, co do nich należy – zapewniłem. Jak się panowie dostali do depozytu?
– Wejście nie było zablokowane – odezwał się drugi Haik, po czym z jakimś błyskiem w oku kontynuował: – Ale dlaczego to pan, Terranin, nas przesłuchuje?
Nie miałem innego wyjścia, jak tylko powtórzyć swoją bajeczkę.
– Chciałem uzyskać od panów pewną informację. W pociągu wspomnieli panowie coś o ciekawym terenie wypoczynkowym w Cesarstwie Halkavisti, ze sportami terenowymi, pięknymi widokami...
Nim zdążyłem dokończyć zdanie, drugi Haik sięgnął leniwie do rękawa, wyjął misternie udekorowany nóż i rzucił się na mnie.
Gdybym nie był tak całkowicie zaskoczony, mógłbym zginąć na miejscu. Nieoczekiwany atak sprawił jednak, że mój mózg w ogóle przestał myśleć, ustępując miejsca odruchom obronnym nabytym we WSZ-y. Odwróciłem się, cofając prawą nogę i wyrzucając do przodu lewą rękę. Nadgarstkiem uderzyłem Halka w przedramię, odpychając ostrze od swoich żeber. Gdy napastnik stracił równowagę, prawą ręką schwyciłem go za przegub dłoni, a wewnętrzną częścią lewej uderzyłem w łokieć, jednocześnie kierując rękę z nożem ku jego własnej twarzy.
Był to niewinny manewr, który powinien wprawić rękę w odrętwienie, a nóż przerzucić ponad ramieniem, ale albo pomyliłem punkt nacisku, albo od czasu mojego odejścia z wywiadu zmieniła się fizjologia Haików. Napastnik bowiem nadal trzymał w ręku nóż, który, co gorsza, wbił mu się w policzek.
Rana była płytka, ale ja znalazłem się nagle w wielkich tarapatach. Fakt, że Haik pierwszy zaatakował, nie miał znaczenia. To ja wytoczyłem krew i za chwilę protokół juriański miał mi się zwalić na głowę całym swoim ciężarem.
Puściłem rękę Halka i cofnąłem się. Było jednak za późno. Obaj strażnicy dobyli laserów. Jeden wycelował broń w Haików, drugi rzucił się ku mnie.
– Zostawcie to!
Minęła sekunda, nim rozpoznałem głos Rastry, dochodzący z głośnika umieszczonego w kącie pomieszczenia. Strażnik zawahał się, po czym, ku mojej uldze, przeniósł wylot swojej broni na Halka.
Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadł Rastra, a za nim Bayta.
– Wszystko w porządku, panie Compton? – zapytał Juriańczyk z niepokojem w głosie i osobliwym wyrazem twarzy, jakby nie mógł uwierzyć, że zrobiłem coś takiego na jego stacji. Potem przeniósł wzrok na Haików i dał znak strażnikom. – Zabierzcie ich do cel – polecił. – Będą sądzeni za kradzież i napad.

– A Terranin? – zapytał Busksha.

Łuski na policzkach Rastry zmarszczyły się. W tej kwestii znał protokół znacznie lepiej niż ja.

– Jest niewinny – odparł mimo to. – Haik sam trzymał broń, która go zraniła.

Było to kiepskie wytłumaczenie, ale okazało się skuteczne. Mimo wyraźnego niezadowolenia Busksha połączył czubki palców w geście akceptacji.

– Dobrze – rzekł, po czym przeniósł posępny wzrok na Haików i stanowczym gestem wskazał drzwi.

– Za mną.

Obcy przez chwilę stali bez ruchu. Potem, niemal łagodnie, obaj osunęli się na podłogę.

Rastra pierwszy doszedł do siebie.

– Wezwijcie medyków – rozkazał, a sam przykląkł przy Halkach.

– To na nic – powiedziałem, czując w powietrzu słodkawy zapach i patrząc na nieruchome sylwetki.

Halkowie nie żyli, choć nie mieli na ciele żadnych śladów i choć nikt nawet ich nie tknął.

Nikt – z wyjątkiem mnie.

– Protokół jest jednoznaczny – upierał się Busksha, miotając się po pokoju przesłuchań niczym tygrys w klatce. – Ten Terranin ma związek ze śmiercią dwóch świadomych istot.

– Nie jest jednoznaczny – twierdził Rastra. Wyglądał na równie nieszczęśliwego jak Busksha, ale mówił dość stanowczo. – Byliśmy świadkami zarówno jego działań, jak i późniejszych zgonów. Nie ma dowodów na to, że jedno miało cokolwiek wspólnego z drugim.

Busksha prychnął.

– Pan po prostu chroni dawnego przyjaciela – rzekł oskarżycielsko.

– Pragnę jedynie zapobiec niepotrzebnemu incydentowi międzygwiazdnemu – odparł sztywno Rastra.

– Przecież widzieliśmy, jak dotknął jednego z nich.

– Ale nie drugiego – zauważył Rastra. – A przecież obaj zmarli w ten sam sposób.

– Być może – zaburczał Busksha. – Wykaże to sekcja zwłok. Rozległ się cichy świergot. Rastra wyjął z butonierki mały komunikator.

– Fale Rastra – odezwał się, odchodząc w kąt.

– A nóż? – zapytałem Buskshę. – Wiadomo, skąd go mieli?

– Z jednego z sejfów w depozycie – odparł major, marszcząc brwi do pleców Rastry.

– Należał do nich?

– Nie mieli żadnego kwitu – odparł Busksha. – Nie wiemy jeszcze, który z sejfów otworzyli.

– Ani jak go otworzyli – zauważyłem. – Czy to nie ciekawe? Najpierw przechodzą przez rzekomo zabezpieczone drzwi, a później dostają się do rzekomo zabezpieczonego sejfu.

– Mówiłem panu, że to zawodowi złodzieje – przypomniał mi.

– Albo ktoś zdradził im szyfry.

Major najeżył się.

– Kwestionuje pan uczciwość juriańskiego personelu?

– Niekoniecznie – odparłem. – Niektórzy z waszych pracowników z pewnością znają szyfr drzwi wejściowych, ale nie znalazłby szyfru prywatnej skrzynki. Jeszcze bardziej interesuje mnie to, dlaczego Halkowie mieliby ruszyć na łowy jeszcze przed przejściem przez odprawę celną.

Końcówki łusek otaczających oczy Buskshy zabarwiły się na lekki fiolet, jakby major za chwilę miał dostać apopleksji. Ale w przypadku Juriańczyków świadczyło to jedynie o koncentracji.

– Nieuchronnie nasuwa się wniosek, że planowali dokonanie aktu przemocy na stacji rzekł. – Ale kto miał być celem?

Kątem oka zauważyłem nerwowy ruch Bayty.

– Pan powinien wiedzieć lepiej niż ja, czy na stacji znajduje się w tej chwili ktoś wart zabicia – powiedziałem.

Busksha mlasnął cicho.

– Oprócz pana? – zapytał.

Mimo swojej postawy major najwyraźniej był sprytniejszy, niż się wydawał.

– Dlaczego pan sądzi, że jestem wart zabicia? – zapytałem.

– Nie wiem – odparł, marszcząc nasadę dziobu. – Może mnie pan oświeci?

– Nie mam pojęcia, czym mógłbym ściągnąć na siebie gniew tych Haików powiedziałem, starannie dobierając słowa. – Albo jakiegokolwiek innego obywatela Cesarstwa Halkavisti.

– Ładnie powiedziane – przyznał major. – Ale nie udzielił pan odpowiedzi.

Rozłożyłem ręce.

– Przykro mi, ale nic więcej nie mogę zrobić. V Obok Buskshy ponownie pojawił się Rastra.

– Znalazł się właściciel noża – odezwał się dziwnie brzmiącym głosem.

– Kto nim jest? – zapytał major.

– Ten sam urzędnik halkański, który zakazał przeprowadzania sekcji zwłok – odrzekł Rastra. – Wysoki Komisarz JhanKla ze Zgromadzenia Piątego Sektora. – Łuski na jego gardle zaczerwieniły się. – Haik, którego eskortuję.

– Chwileczkę – powiedziałem. Mój umysł pozostał o jakieś dwa zdania z tyłu. – Jak to, zakazał przeprowadzania sekcji zwłok?

– Nóż został skradziony z jego sejfu i użyty przy próbie zabójstwa – odparł Rastra. – To wielki wstyd dla Wysokiego Komisarza, który można wymazać jedynie poprzez unicestwienie ciał sprawców za pomocą ognia.

– Halkańska jurysdykcja nie obejmuje stacji juriańskiej – zaprotestowałem. – Musimy się dowiedzieć, jak zginęli ci dwaj.

– Halkańska jurysdykcja istotnie tu nie obowiązuje – przyznał Rastra. – Ale jako Dekomplikator mam za zadanie łagodzić konflikty pomiędzy Związkiem Republik Juriańskich a Cesarstwem Halkavisti. Wydałem już zezwolenie na kremację bez sekcji zwłok.

– A pan Compton? – wtrąciła Bayta. – Jak może dowieść, że nie miał nic wspólnego z tymi zgonami, jeśli ciała nie zostaną zbadane?

– Wysoki Komisarz poinformował mnie, że potrafi wyjaśnić przyczynę zgonów, choć uczyni to tylko w cztery oczy – odparł Rastra. – Zapewnia, że pan Compton nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

– Ale to on wytoczył pierwszą krew – mruknął Busksha.

– Istotnie – przyznał niechętnie Rastra. – Panie Compton, czy planował pan dłuższy pobyt w Związku Republik Juriańskich?

Natychmiast pojąłem aluzję.

– Wkrótce wyruszamy dalej – zapewniłem go.

– Pojedziecie zatem następnym pociągami – rzekł. – W prywatnym wagonie Halkavisti Deluxe, razem z Wysokim Komisarzem JhanKla.

Nadstawiłem uszu. Nigdy w życiu nie widziałem żadnego z legendarnych wagonów deluxe, ale mówiono o nich, że są ruchomymi odpowiednikami równie legendarnych pałaców halkańskich możnowładców.

Nietrudno sobie wyobrazić gorszy transport dla kogoś, kto chciałby zachować incognito.

– Wysoki Komisarz czyni mi wielki zaszczyt – odparłem. – Proszę jednak przyjąć moją pokorną odmowę.

– Nie ma pan wyboru – rzekł stanowczo Rastra. – Zaręczyłem za pańską niewinność, a w takiej sytuacji protokół wymaga, abym osobiście eskortował pana do granic terytorium juriańskiego. Ponieważ podróżuję z Wysokim Komisarzem, pan i pańska towarzyszka muszą jechać z nami. W przeciwnym razie mogliby państwo zostać zatrzymani na którejś ze stacji.

– To bez sensu – zauważyła Bayta. – Przecież...

– Właśnie – przerwałem, rzucając jej ostrzegawcze spojrzenie. – Nie zrobiłem nic złego.

– Rozumiem – rzekł Rastra. – Ale protokołu trzeba przestrzegać.

– Cóż, ja także rozumiem. – Uniosłem ręce. – Pozostaje nam z wdzięcznością przyjąć zaproszenie.

– Dobrze – odparł Rastra. – Chodźmy zatem. Wysoki Komisarz oczekuje nas w pociągu. Czy mają państwo jakieś bagaże oprócz tych toreb?

– Nie. Możemy wyruszać, kiedy tylko pan będzie gotów. – Zerknąłem na Buskszę, który wciąż przyglądał mi się spode łba. – Im szybciej, tym lepiej.

Polecieliśmy najbliższym promem i już po kilku minutach znaleźliśmy się z powrotem we wnętrzu Tuby.

– Nasz wagon jest tam – rzekł Rastra, wskazując przypominającą hangar konstrukcję, stojącą na bocznicy o dwa tory od ostatnich poczekalni. – Pajaki przetoczą go za pół godziny, na krótko przed przyjazdem pociągu, po czym doczepią za wagonami bagażowymi. Mamy więc sporo czasu, by się rozgościć.

– Świetnie – powiedziałem, rozglądając się. Jeśli Pająkom udało się zebrać dla mnie informacje o czujnikach, te powinny gdzieś tu być.

Problem polegał na tym, że prosiłem o dostarczenie danych do pociągu, którym wyjedziemy z układu Kerfsis, ale ponieważ nie mieliśmy oficjalnej rezerwacji, Pajaki nie mogły wiedzieć, że tu jesteśmy i zbieramy się do odjazdu.

Chyba że...

Zerknąłem na Baytę zza pleców Rastry, unosząc brwi w niemym pytaniu. W odpowiedzi skinęła lekko głową i wskazała coś przez ramię. Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem, jak znajdujący się w odległości dziesięciu metrów robot nagle zatrzymuje się i zaczyna iść w stronę budynku zawiadowcy.

Najwyraźniej Pajaki były poinformowane o zmianie naszych planów.

Hangar wyglądał w środku bardzo podobnie do tego, który widziałem kiedyś na stacji Terra: duży i otwarty, zdolny pomieścić lokomotywę czteroszynową i kilka wagonów. Wysoki sufit przecinały szyny żurawi, tak potężnych, że wydawało się, iż potrafią bez wielkiego wysiłku podnieść jeden koniec wagonu. Szyny kolejowe na podłodze odzwierciedlały te na suficie. Jeden tor wchodził i wychodził przez drzwi po obu stronach, pozostałe skręcały na usytuowane wzdłuż ścian miniaturowe bocznice. Pod ścianami stały zaś skrzynki z narzędziami i szafki z częściami, zaprojektowane tak, by mogły je otwierać odnóża robotów.

Wagon deluxe stał na torze przy drzwiach w odległym końcu hangaru. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak każdy inny pasażerski wagon czteroszynówki, ale po bliższym wejrzeniu zauważyłem drobiazgi świadczące o jego wyjątkowości. Zewnętrzną ścianę pokrywał subtelnie wyżłobiony skomplikowany deseń, zwieńczony umieszczoną przy drzwiach równie subtelną reprodukcją halkańskiego herbu cesarskiego. Koła również wydawały się nieco odmienne – być może wyposażono je w

najnowocześniejsze resory – a na skraju dachu widniały wtopione w tworzywo reflektory z nefrytu.

– Spodziewałem się czegoś bardziej wystawnego – przyznałem.

– Wagon nie powinien wyglądać ostentacyjnie – wyjaśnił Rastra. – Nawet najmożniejsi z Haików nie lubią się obnosić ze swoją pozycją.

– Sądziłem, że jazda wagonem deluxe służy właśnie obnoszeniu się – zauważyłem.

– Halkowie zawsze mieli w tej kwestii ambiwalentne uczucia – odparł. – Wnętrze wagonu powinno sprostać pańskim oczekiwaniom.

– Ilu podróżnych może pomieścić taki wagon?

– W środku znajduje się dziesięć przedziałów sypialnych, a także jadalnia, salon i niewielka kuchnia

– odparł Rastra. Personel składa się z kuchmistrza, dwóch służących i ochroniarza asystenta Wysokiego Komisarza JhanKła. Wszyscy oni, rzecz jasna, są Halkami.

W połączeniu z naszą trójką dawało to ósemkę.

– Czy zaplanowano inne przystanki na terytorium juriańskim? – zapytałem.

– Nie – odrzekł. – Nie fатыgowałbym pana w tę podróż, gdyby Wysoki Komisarz nie planował natychmiastowego powrotu do domu.

Usiłowałem dociec, w jaki sposób Rastra mógłby się wywiązać ze swoich obowiązków zarówno wobec JhanKła, jak i wobec mnie, gdyby komisarz nie udawał się do domu. Nic jednak nie wymyśliłem. Dekomplikatorzy mieli żyłkę do łączenia wykluczających się wzajemnie opcji w taki sposób, że te zaczynały nagle współgrać.

– Więc czeka nas mniej więcej pięciodniowa podróż?

– Nieco krótsza – sprostował. – Zostaniemy przyłączeni do ekspresu, który zatrzyma się tylko raz, w Jurskali, po czym pojedzie bezpośrednio do Dwudziestego Centrum Imperialnego, mieszczącego się zaraz za granicą obszaru halkańskiego. Stamtąd będzie pan mógł wyruszyć, dokąd zechce.

Dotarliśmy do drzwi, które rozsunęły się, gdy znaleźliśmy się odpowiednio blisko. Weszliśmy do wagonu, minęliśmy misternie wyrzeźbione drzwi pierwszego segmentu przedziałów sypialnych i znaleźliśmy się w salonie.

Najwyraźniej ambiwalencja, którą odczuwał projektant podczas pracy nad zewnętrznym wizerunkiem wagonu, wyparowała, gdy dotarł do środka. Sufit pokrywały filigranowe pnącza, których delikatny aromat mile kontrastował z jaskrawymi barwami ćwierkających cicho egzotycznych ptaków, umieszczonych w klatkach we wszystkich czterech kątach. Przy oknach ekranach wisiały kosztowne aksamitne zasłony, zupełnie niepotrzebne, biorąc pod uwagę fakt, że wystarczyło nacisnąć odpowiedni przycisk, by okno stało się nieprzejryste. Krzesła wykonano z ręcznie rzeźbionego drewna, a same siedzenia z plastycznych poduszek, które – podobnie jak te, na których Bayta i ja siedzieliśmy w poprzednim pociągu – przekształcały się odpowiednio do kształtów zasiadającej na nich osoby. W odróżnieniu jednak od krzeseł barowych, te wyglądały na gwarantujące wygodę niezależnie od ułożenia.

Pośrodku pomieszczenia znajdował się niski stół, sprawiający wrażenie wykrojonego z pojedynczej bryły kryształu. Podobnie jak siedzenia w wagonach pierwszej klasy, stół i krzesła były osadzone na suwakach, umożliwiających swobodne przemieszczanie się po pomieszczeniu, ale również bezpieczne zakotwiczenie w miejscu. We frontową ścianę wbudowano supernowoczesne centrum rozrywki, serwujące znużonemu podróżnemu muzykę i ditreki, a umieszczone w drugim końcu sali samoobsługowe urządzenie oferowało szeroki zakres zakąsek i napojów. Całość uzupełniała wykonana z omszonego kamienia mozaika podłogowa, najprawdopodobniej nawiązująca do jakiegoś

wielkiego i chwalebного zdarzenia z historii Halkavisti.

– O – odezwał się za moimi plecami jakiś głęboki głos. – Moi goście.

Obróciłem się, stawiając torby obok kryształowego stołu. Przy jednej z klatek stał średniego wzrostu Haik, karmiąc ptaki cienkimi zielonymi pędami, które upychał między pręty.

– Pozwolą państwo, że przedstawię Wysokiego Komisarza JhanKla ze Zgromadzenia Piątego Sektora Cesarstwa Halkavisti – rzekł oficjalnie Rastra. – A to pan Frank Compton i jego asystentka Bayta z Konfederacji Terrańskiej.

– Tak – odezwał się JhanKla, lustrując nas spokojnym spojrzeniem osadzonych w płaskiej twarzy oczu buldoga. Miał na sobie charakterystyczne trójkolorowe szaty znamionujące halkańskiego arystokratę. Zestawienie czerwieni, pomarańczy i fioletu wskazywało, że mamy do czynienia z członkiem rodu Polobia. – Terranie, którzy pomogli mi uratować honor.

Mówił dość uprzejmie, ale wyczuwałem w jego głosie nutkę urazy o to, że sprowokowałem kłopotliwą sytuację.

– Cała przyjemność po naszej stronie, Ekscelencjo – odparłem, dochodząc do wniosku, że najlepiej będzie przyjęc tę pozorną uprzejmość za dobrą monetę. – Jestem przekonany, iż pan na naszym miejscu zrobiłby to samo.

– Nie mógłbym się znaleźć na waszym miejscu – zauważył. – ferranie nie cenią honoru tak wysoko jak Halkowie.

– Niektórzy nie – przyznałem, spoglądając wprost w buldogowate oczy. – A niektórzy tak.

Przez dłuższą chwilę JhanKla w milczeniu odwzajemniał moje spojrzenie. Próbowałem wykombinować plan B, który pozwoli nam schronić się w drugim końcu pociągu, kiedy z gardła Halka wydobyło się krótkie szczeknięcie.

– Poprawka przyjęta – rzekł komisarz, po czym wepchnął do klatki ostatni pęd i podszedł do nas. – Jest pan inny, niż się spodziewałem, panie Compton. Witam na pokładzie tej drobnej i niepozornej części Cesarstwa Halkavisti.

– To dla nas zaszczyt, Ekscelencjo – powiedziałem z nieudolnym przygarbieniem, mającym symbolizować niewykonalny dla człowieka halkański skłon klatki piersiowej. – Raz jeszcze przepaszam za wszelkie ewentualne niedogodności lub nieprzyjemności.

JhanKla wydał z siebie wieloczęstotliwościowy bulgot.

– Winę ponoszą sprawcy czynu – rzekł. – W tej chwili ogień zwraca ich wstyd kosmosowi.

– Przerwał, po czym wykonał autentyczny halkański ukłon. – Ja ze swej strony przepaszam za implikację, jakoby wydobyte tego przestępstwa na światło dzienne przynosiło panu ujmę. Gdyby tak było, żaden stróż prawa nie mógłby nigdy spojrzeć w oczy swojej rodzinie ani narodowi.

– Istotnie – zgodziłem się czując, jak powoli opada ze mnie napięcie. Dotychczasowe skromne doświadczenie w kontaktach z Halkami nauczyło mnie, że stanowczo zbyt szybko się obrażają, ale większość z nich uspokaja się i idzie po rozum do głowy, jeśli tylko da się im dość czasu. Najwyraźniej JhanKla nie był wyjątkiem. – Żałuję jedynie, że możemy się nigdy nie dowiedzieć, co zabiło sprawców.

– Bynajmniej – odparł JhanKla. – Do zguby przywiodła ich własna chciwość. Nóż skradziony z mojego sejfu był antykiem należącym do mego rodu. Jego ostrze chroniła przed korozją substancja chemiczna, która przypadkiem była zarazem śmiertelną toksyną.

– Hm – powiedziałem – to wyjaśnia śmierć sprawcy, który został zraniony w walce.

– Owszem – rzekł JhanKla, jeżąc wąsy, co było halkańskim odpowiednikiem wzruszenia ramion. –

Drugi musiał się zranić wcześniej, zaraz po włamaniu do sejfu.

– Rana zapewne była powierzchowna – dodał Rastra. – To dlatego trucizna potrzebowała więcej czasu, by zadziałać.

– Rzeczywiście – mruknąłem. Cóż za urocze wytłumaczenie. Jak na mój gust, stanowczo zbyt urocze, szczególnie że kompletnie omijało problem tego, jak złodzieje zdołali się dostać do sejfu JhanKla.

Nie przybyłem tu jednak w celu przesłuchiwania halkańskiego arystokraty. Poza tym byłem niemal pewien, iż znam już odpowiedź.

– Całe szczęście, że mnie nie trafił – dodałem więc tylko.

– W rzeczy samej – rzekł JhanKla, spoglądając na mnie z zaciekawieniem. – Czym właściwie go pan sprowokował?

– Chciałbym to wiedzieć – odparłem z żalem. – Zapytałem go jedynie o pewien halkański kurort, o którym wspomnieli w pociągu.

– Który?

– Nie znam nazwy. Właśnie tego próbowałem się od nich dowiedzieć.

– Mówił pan, że to jakieś miejsce ze sportami terenowymi i niezwykłymi widokami wtrącił Rastra. – Kojarzy się to panu z czymś, panie komisarzu?

– W Cesarstwie Halkavisti jest zaledwie kilka milionów takich miejsc – odparł z przekąsem JhanKla. – Ale zastanowię się. – Przeniósł wzrok na mnie i Baytę. – Tymczasem jeden z moich służących zanieś państwa bagaże do pokojów.

– Dziękuję, ale sami sobie poradzimy – zapewniłem go, podnosząc torby. – Poza tym jestem ciekaw, jak wygląda mój przedział.

– Jak pan sobie życzy – rzekł. – Dwa ostatnie po lewej stronie należą do państwa.

– Dziękuję. Chodźmy, Bayto.

Za salonem korytarz okrążył niewielką kuchenkę i prowadził do jadalni, równie wypieszczonej jak poprzednie pomieszczenie. Minawszy stół i krzesła z rzeźbionego drewna, dotarliśmy do umiejscowionych po drugiej stronie wagonu przedziałów sypialnych.

– Weź ten – rzuciłem przez ramię do Bayty, wskazując pierwszy z tych, które nam przeznaczone. Sam doszedłem do ostatnich drzwi, nacisnąłem przycisk i wszedłem do środka.

Pająki zawodowo trudniły się przewożeniem ludzi przez całą galaktykę w takich przedziałach i niewątpliwie poświęcały ich wyglądowi i umeblowaniu sporo uwagi. Pomieszczenie musiało być przede wszystkim funkcjonalne. Pod tym względem halkańscy projektanci niewiele mogli dodać, więc skupili się na zwiększeniu poziomu pretensjonalności. Oznaczało to jeszcze więcej rzeźbionej boazerii na ścianach, mozaiki z omszonego kamienia na podłodze, a wszędzie indziej złota, kryształu i marmuru. Na szczęście podarowali sobie klatki z ptakami.

Ledwie zdążyłem wrzucić bagaże na półkę – rzeźbioną, rzecz jasna, i udekorowaną elementami z kości słoniowej – kiedy zadźwięczał łagodny dzwonek.

– Proszę! – zawołałem.

Jak nietrudno przewidzieć, w drzwiach stała Bayta.

– Szybko ci poszło – zauważyłem.

Dziewczyna weszła do przedziału z wahaniem, jakby się bała, że uszkodzi kunsztowną posadzkę.

– Nie możemy tu zostać – oznajmiła bez wstępów. – Nie powinniśmy byli nawet tu przychodzić.

– Daj spokój – zbeształem ją. – Nie jesteśmy aż tak źle wychowani, żeby gardzić gościnnością Wysokiego Komisarza. Szczególnie jeśli nalega na to Związek Republik Juriańskich.

– Związek jest w błędzie – odparła. – Tu, wewnątrz Tuby, znajdujemy się poza obrębem jego terytorium, a zatem nie podlegamy jego protokołowi. – Zaciśnęła usta. – Próbowałam ci to powiedzieć na stacji transferowej, ale nie dałeś mi dokończyć.

– Jasne, że nie. Nie mogłem ci pozwolić na zniszczenie tak misternie zaplanowanej pułapki. Skóra na jej policzkach jakby się lekko zapadła.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chyba nie sądzisz, że to wszystko wydarzyło się przypadkiem, co? – zapytałem, przechodząc szybko obok komputera i siadając na kanapie narożnikowej. Zegarek nic nie sygnalizował: wyglądało na to, że arystokracja halkańska nie zniżała się do zakładania podsłuchu w przedziałach swoich gości. – Siadaj – powiedziałem, postukując w kanapę. – Skoro już tu jesteśmy, skorzystajmy z wygód.

Powoli i niechętnie dziewczyna podeszła i przysiadła na drugim końcu.

– Wiesz, o co tu chodzi?

– Częściowo – odparłem, rzucając w myślach monetą. Bayta nadal była dla mnie wielką zagadką, więc naturalny impuls podpowiadał mi, by trzymać karty tak blisko piersi, jak tylko się da. Z drugiej strony powiedzenie jej całej prawdy albo przynajmniej półprawdy mogło zaowocować interesującą reakcją, która z kolei mnie by coś zdradziła.

Poza tym dziewczyna mogła naprawdę być po mojej stronie.

– Mówiąc najkrócej – rzekłem – zostaliśmy przydybani.

– Przydybani?

– Mhm. Znaczący, ktoś się zorientował, że nie jesteśmy zwykłymi turystami czy przedsiębiorcami – wyjaśniłem. – Podejrzewam, że stało się to wtedy, gdy wykonaliśmy ten wielki przeskok z trzeciej klasy do pierwszej w Nowym Tigris. Ta sama osoba doszła do wniosku, że nie należy pozwalać nam węszyć, przynajmniej w układzie Kerfsis. Wysłała więc tych dwóch halkańskich zbirów do depozytu bagażowego, żeby włamali się do sejfów i zdobyli broń.

Twarz Bayty całkiem znieruchomiała, nie zdradzając żadnych oznak winy, których wypatrywałem.

– Chcą nas zabić?

– Dziwi cię to? – zapytałem. – Mówimy o ludziach, którzy planują wszczęcie wojny.

– Ale... – Przerwała. – No tak – rzekła po chwili. – Mów dalej.

– Na ich nieszczęście zorientowaliśmy się, że zniknęli, i nasłaliśmy na nich gliny kontynuowałem. – Złapano ich, a pomysłny zbieg okoliczności zrzucił, że pozwolono mi ich przesłuchać.

– Może to nie był zbieg okoliczności – powiedziała wolno. – może ten ktoś ma jeszcze innych agentów.

– Brawo – pochwaliłem ją. Albo miała bardzo sprawny umysł, albo już wcześniej coś wiedziała. Niestety, na razie nie byłem w stanie tego dociec. – Przynajmniej jednego: JhanKla. Być może także majora Tasa Buskszę.

– I twojego przyjaciela Falca Rastrę?

– Nie – odparłem stanowczo, czując ukłucie zniecierpliwienia. – Znam Rastrę. Nigdy nie wplątałby się w taką historię. Poza tym już ci mówiłem, że nie jest moim przyjacielem.

– A mimo to twierdzisz, że go znasz?

– Dajże mi wreszcie spokój! – fuknąłem. – Wiem wiele rzeczy o wielu ludziach. Na tym polega moja praca.

– Tak, jasne – wymamrotała. – Przepraszam.

Wzięłem głęboki oddech. Zamiast obserwować jej reakcje, sam się zdradzałem ze swoimi uczuciami.

– Tak czy owak, kiedy próba zamachu spaliła na panewce, musieli opracować nowy plan.

Bayta zmarszczyła brwi.

– Sugerujesz, że ci dwaj Halkowie wcale nie umarli?

– Jasne, że umarli – zapewniłem ją ponuro. – Nic tak nie przyciąga uwagi stróżów prawa jak ktoś, kto próbuje cię zabić, a potem ginie tajemniczą śmiercią. Najwyraźniej plan B polegał na tym, by JhanKła przygalopował na białym koniu i wywiózł nas z Kerfsis, ratując przed zjednoczonymi siłami obrażonych juriańskich oficjeli.

– Ale dlaczego chcą się nas pozbyć z Kerfsis? Co mogą tu ukrywać?

– Może to tu planują próbny atak, o którym wcześniej rozmawialiśmy – odparłem. – Albo wykonują tu część działań przygotowawczych. Wiem jedynie, że ktoś staje na rzesach, żeby nas Wywieźć z tego konkretnego układu, tym konkretnym pociągiem, w tym konkretnym wagonie. Myślę, że warto na jakiś czas się podporządkować i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Przez jej ciało przebiegł nagły dreszcz.

– A może po prostu chcą się nas pozbyć. Może ściągnęli nas do tego pociągu, żeby to zrobić bez świadków.

– Ta ewentualność także przyszła mi do głowy – przyznałem. – Istnieją jednak bardziej anonimowe sposoby zabijania ludzi niż zwabianie ich do halkańskich wagonów deluxe. Nie. Jeśli nie chodzi o samo Kerfsis, przypuszczam, że JhanKła sądzi, iż przytłaczając nas swoją gościnnością, dowie się, co wiemy i dla kogo pracujemy. A propos, czy twoi przyjaciele zdobyli już dla mnie dane na temat czujników?

– Tak – odparła, najwyraźniej wciąż zaprzątnięta myślą o możliwości naszego nagłego i brutalnego rozstania się z tym światem. – Zawiadowca dostarczy je do pociągu.

– Byle nie bezpośrednio do nas – uprzedziłem. – Nie chcę, żeby JhanKła widział, jak odbieramy chip od Pająka.

– Oczywiście – odparła. – Przekaze go jednemu z konduktorów. Będziemy mogli odebrać go później. Biorąc pod uwagę nasze obecne położenie, zaaranżowanie takiej sytuacji mogło być nieco kłopotliwe. Miałem jednak kilka dni na wymyślenie pretekstu do przespacerowania się po pozostałych sektorach pociągu.

– Nieźle – powiedziałem.

– Co będziemy robić po dotarciu na terytorium halkańskie? – zapytała.

– To zależy od tego, co się wydarzy pomiędzy tą a tamtą chwilą – odparłem. – Jeśli dobrze odegramy rolę pogodnych naiwniaków, może zdołamy ich przekonać, że to wszystko jest jedną wielką pomyłką, i będziemy mogli trochę odetchnąć.

– A jeśli nie?

– Wtedy będziemy musieli uważać – rzekłem. – Tak czy owak, twoim następnym zadaniem jest zlecenie Pająkom zebrania wszystkich możliwych informacji o dwóch świeżo zmarłych skremowanych Halkach. Chcę znać ich nazwiska, pochodzenie, przynależność polityczną, kontakty zawodowe, przyjaciół, kartoteki policyjne, rejestr podróży odbytych w ciągu ostatnich pięciu lat i wszystko inne, co wydaje się choćby nieznacznie interesujące czy nietypowe. Przekaż tę prośbę pierwszemu Pająkowi, jaki się nawinie.

– To trochę potrwa – uprzedziła. – I może wymagać środków, do których nie mają dostępu. Pomyślałem o swoim oryginalnym bilecie ze sfalszowanym zdjęciem i odciskiem kciuka.

– Mam wrażenie, że niewiele jest rzeczy, których nie potrafią zrobić – zauważyłem. – A skoro już o tym mowa, poproś ich także o zgromadzenie podobnego dossier na temat JhanKla.

– I Rastry?

Tym razem zdławiłem w sobie oburzenie. Bayta miała rację.

– I Rastry – zgodziłem się.

– W porządku. – Wyrzała przez okno. Przez jakąś minutę spoglądała w dal mętным wzrokiem. – Zrobione.

– Świetnie. – Ja również wyrzałem na zewnątrz, w kierunku szarych murów i podłogi hangaru. Ostoja spokoju i prywatności. Czy przypadkiem nie przesadziłem z twierdzeniem, że nie byłoby to dobre miejsce na popełnienie kilku mordów? – Wracajmy na przyjęcie. Pod naszą nieobecność do kryształowego stołu przystawiono cztery krzesła. Na dwóch z nich siedzieli, plotkując o kolei i swoich doświadczeniach turystycznych, Rastra i JhanKla. Za placami tego ostatniego niski Haik w kraciastym kostiumie służącego ściągał zakąski ze ściennego barku.

– O – odezwał się JhanKla, witając nas królewskim skinieniem głowy. – Już zaczynałem się zastanawiać, czy nie mają państwo jakiegoś problemu z kwaterami.

– Skąd – zapewniłem go, siadając na trzecim krześle. Bayta zajęła czwarte. – Po prostu poświęciliśmy kilka minut na zastanowienie się, w jaki sposób ta zmiana planów wpłynie na naszą dalszą podróż.

– Zrobimy, co naszej mocy, by zminimalizować niedogodności – obiecał JhanKla. – Pająki podłączyły już lokomotywę, która przetoczy nas na tor, gdy tylko przyjedzie nasz pociąg. Może tymczasem napiliby się państwo czegoś?

– Poproszę o mrożoną herbatę z cukrem, jeśli można – powiedziałem.

– Można – odparł, po czym przeniósł uwagę na Baytę. – A pani?

– Lemoniadę – poprosiła nieco drętym tonem.

JhanKla skinął głową i obrócił się z krzesłem w kierunku służącego, wykonując koniuszkiem palca krótki gest, przy którym podwójne błony między szponami wydały dźwięk oboju.

– Zastanawiałem się nad tym bezimiennym kurortem, o którym pan wspominał – rzekł, obracając się z powrotem twarzą do nas. – Jak już powiedziałem, możliwości jest wiele. Przypuszczam jednak, że szczególną uwagę złodziei mogło przykuć pewne określone miejsce.

– Zamieniam się w słuch – powiedziałem. Szczerze mówiąc, celowo tak opisałem wyimaginowany kurort, by nie budził skojarzenia z niczym konkretnym. Tym bardziej byłem ciekaw, co powe Haik. – Cóż to za miejsce?

– Nazywa się Modhra – odrzekł. – Leży w układzie Sistarrko. To niewielka kolonia położona w pobliżu Ostrogi Graklijskiej, o trzy stacje za granicą terytorium cymalskiego.

– Sistarrko – powtórzyłem, oczyma wyobraźni starając się ujrzeć to miejsce na mapie kolejowej. Ostroga Graklijska zaczynają się w juriańskim układzie macierzystym Jurskali, przechodziła przez skraj Republiki Cymalskiej w Grakli i łączyła się z dwoma kolejnymi należącymi do Cymalczyków układami, przez które wkraczała na terytorium Haików. W odróżnieniu od Pętli Bellidyjskiej, łączącej Konfederację Terrańską ze Związkiem Republik Juriańskich z jednej, a Ziemią Bellidosza z drugiej strony, Ostroga Graklijska nie łączyła się drugim końcem z niczym, co zmuszało podróżnych do wracania tą samą drogą, jeśli chcieli się udać w inne miejsce. Nie było to takie straszne, gdy podróżowało się z prędkością roku świetlnego na minutę, a jednak stanowiło wystarczającą niedogodność, by sytuować światy połączone tylko ostrogami na szarym końcu turystycznej i

handlowej listy przebojów.

– Pewnie pan o nim nie słyszał – kontynuował JhanKla, nie okazując urazy. – Większość układu stanowią obszary przemysłowe i rolnicze, interesujące wyłącznie tych, którzy tam mieszkają. Ale Modhra jest wyjątkowa. To księżyc, a właściwie para księżyców krążących wokół ogromnej gazowej planety Cassp. Oba są zbudowane z małych skalistych jąder, całkowicie otoczonych wodą.

– Zapewne zamarzną, biorąc pod uwagę odległość od gwiazdy – zauważyłem.

Płaska twarz JhanKla zmarszczyła się w uśmiechu.

– Istotnie. Zewnętrzne powierzchnie księżyców są całkowicie zlodowaciałe. Grubość lodu waha się od kilku metrów do niemal trzech kilometrów. Ale pod tymi pokrywami siły pływów i żar bijący od jąder księżyców wytworzyły zamknięte morza o głębokości dochodzącej do pięciu kilometrów.

– Brzmi interesująco – powiedziałem, kiwając głową, by podziękować służącemu, który postawił na stole moją herbatę i lemoniadę Bayty. – Kojarzy się nieco z Europą, jednym z księżyców naszego układu.

– Słyszałem – przyznał JhanKla. – Ale w odróżnieniu od Europy, Modhra jest systematycznie przekształcana w kurort. Kwitnie tam turystyka powierzchniowa i wspinaczka na klify, od najprostszych po najbardziej wymagające. Jest też kilka tras narciarskich o równie zróżnicowanym stopniu trudności, trzy tunele, przewiercone przez najgrubsze pokrywy lodowe i służące jako zjeżdżalnie dla toboganów i sań, i dwa kolejne w budowie. Na powierzchni wybudowano luksusowy, lecz bezpretensjonalny pensjonat; pod powierzchnią mieści się hotel oferujący dostęp do największego krytego basenu w galaktyce.

– Zwieńczonego kopułą lodową i wyłożonego formacjami koralowymi – wtrąciłem, nagle olśniony. Trzydzieści lat temu, kiedy ludzkość zaczynała podróżować czteroszynówką, koral modhrański były ostatnim krzykiem mody w galaktyce. Były tak kosztowne, że jedynie najbogatsi i najbardziej próżni mogli sobie na nie pozwolić.

Na nieszczęście nielicznych uprzywilejowanych Ziemiaków, nim zdążyli się o nich dowiedzieć, naciski lobby ekologicznego zmusiły Dyrektoriat ONZ do nałożenia całkowitego embarga na import koralu i formacji koralopodobnych. Jeden z większych arogantów wśród sławnych i bogatych mimo wszystko spróbował. Miał jednak pecha: zadarł z uczciwym celnikiem, próbując go przekupić, i tym samym został zakwalifikowany jako przestępca klasy B. Poszedł siedzieć na parę lat, skonfiskowano mu jedną czwartą majątku, a reszta możliwych nagle uznała, że marmur bellidyjski jest równie dekoracyjny jak koral modhrański, za to znacznie bezpieczniejszy w użyciu.

– Tak – potwierdził JhanKla – w zasięgu łodzi podwodnej znajduje się wiele pięknych raf koralowych i intrygujących formacji skalnych. Tym, którzy nie mają ochoty się wspinać, jeździć na nartach ani schodzić w głębiny, powierzchnia oferuje natomiast spektakularne widoki Casspa, z jego kłębiącym się i zmieniającym jak w kalejdoskopie wzorem pierścieni, oraz pędzącego po niebie sąsiedniego księżyca Modhra II.

– Intrygujące – powiedziałem. – Mówi pan, że niedawno otwarto to miejsce dla turystów?

– W zeszłym roku – odparł. – Na razie, rzecz jasna, jest bardzo kosztowne, dostępne jedynie dla najbogatszych Haików i przedstawicieli innych światów.

– Co zapewne sytuuje je w pobliżu szczytu złodziejskiej listy najlepszych terenów łowieckich – zauważyłem w zamyśleniu.

– To jedna z możliwości – rzekł JhanKla, wyglądając przez okno. – Przetaczają nas oznajmił. Istotnie, wagon ruszył, choć tak łagodnie, że niemal się tego nie odczuwało. Musiał mieć naprawdę

doskonale resory. – Wkrótce przyłączą nas do pociągu i pojedziemy kontynuował Haik. – Czy smakują państwu herbata i lemoniada?

Pociągnąłem łyk ze swojej szklanki.

– Bardzo – zapewniłem gospodarza.

Wcześniej w rozmowie z Baytą sugerowałem, że celem całej tej zabawy jest wywiezienie nas z układu Kerfsis. Teraz zaczynałem się zastanawiać, czy nie chodziło o skierowanie naszej uwagi na Modhrę i układ Sistarrko.

Może istniał sposób sprawdzenia tego.

– Modhra sprawia wrażenie dokładnie takiego miejsca, jakiego szukam – rzekłem. Szkoda, że nie możemy się tam udać i obejrzeć go.

– Co państwa powstrzymuje? – zapytał JhanKla.

– Można powiedzieć, że jestem internowany – wyjaśniłem, wskazując Rastrę. – Z powodu problemów, które wynikły na stacji transferowej, Fale Rastra musi osobiście odstawić mnie poza granice terytorium juriańskiego.

JhanKla ni to prychnął, ni szczechnął.

– To śmieszne – rzekł stanowczo. – Tu, w obrębie Tuby, nie podlega pan jurysdykcji juriańskiej. Pod warunkiem, że nie opuści pan pociągu przed przybyciem do Sistarrko, nie obowiązuje pana prawo Związku Republik Juriańskich.

– Proszę wybaczyć, Wysoki Komisarzu, ale nie tak ujmuję to protokół – wtrącił Rastra. Pan Compton był zamieszany w incydent, w którym poląła się krew, i nakazano mu opuszczenie terytorium juriańskiego.

– Wypełni ten nakaz, udając się na Modhrę – rzekł JhanKla.

– Intencją nakazu...

– Intencje, jak sam pan wielokrotnie zauważał podczas tej podróży, są nieistotne przerwał mu JhanKla. – Liczy się litera prawa. A w tym wypadku trzymamy się jej. – Zmarszczył skórę, co także równało się wzruszeniu ramion. – Swoją drogą, jak miałby wrócić do domu? Wszystkie pociągi zmierzające do terrańskich światów przejeżdżają przez terytorium juriańskie.

– Racja – wtrąciłem. – Może mnie pan odwieźć poza granice państwa, ale w którymś momencie i tak będę musiał przekroczyć je ponownie.

– Fakt – przyznał Rastra. – A jednak... może...

– Nie ma żadnego „może” – odparłem, spoglądając na JhanKla. A więc Wysoki Komisarz zdołał za jednym zamachem skierować moją uwagę na Modhrę i uwolnić mnie spod władzy fikcji, dzięki której w ogóle znalazłem się w jego wagonie. Czego jeszcze chciał?

Także i to można było sprawdzić.

– W takim razie, rzecz jasna, Bayta i ja nie musimy dłużej nadużywać pańskiej gościnności – powiedziałem. – Możemy sobie znaleźć inne miejsce w pociągu.

– Nie mogę na to pozwolić – upierał się Rastra. – Najpierw muszę przestudiować wykładnię protokołu.

– Tak czy owak nie pozwoliłbym na to – równie stanowczo odezwał się JhanKla. – Został pan zaatakowany przez wyrodných Haików. Moim obowiązkiem i przyjemnością jest zrekompensować to panu swoją gościną. – Zerknął na Rastrę. – Zawrzyjmy kompromis kontynuował. – Państwo pozostaną moimi gośćmi, dopóki Fale Rastra nie przeanalizuje protokołu i nie podejmie decyzji. Czy takie wyjście jest do przyjęcia?

– Dla mnie tak – odparłem. – A dla pana, Falcu Rastro?

– Dobrze – rzekł Rastra, wyraźnie niezadowolony. – Jeśli okaże się, że Wysoki Komisarz ma rację, za trzy dni, gdy dotrzemy do Jur skali, będzie pan mógł odjechać, dokąd zechce, pod warunkiem, iż nie opuści pan Tuby w granicach terytorium juriańskiego. – Skinął głową w kierunku JhanKła. – Jeśli pan zechce, może pan pojechać nawet na Modhrę.

– Byłoby świetnie – odparłem z uśmiechem wdzięczności i zawodowego podziwu. Naprawdę nieźle to sobie wykombinowali.

– A zatem sprawa załatwiona – podsumował z zadowoleniem thanKła, dając znak służącemu. – Nic tak nie umiała oczekiwać na posiłek jak partyjka cesarskich kart.

I tak klamka zapadła. Żegnaj, intrygo w Kerfsis, witaj, intrygo na Modhrze! Miałem wielką nadzieję, że to wszystko ma jakiś związek z wizją wojny międzygwiazdnej, której doświadczył Pająk. No i że nie przeszkodzi mi za bardzo w drugiej robocie, którą powinienem się w tej chwili zajmować.

Przede wszystkim jednak miałem nadzieję, że nie chodzi tu jedynie o znalezienie bardziej odpowiedniego miejsca na pozbycie się naszych zwłok.

Przez pierwsze dwa dni podróży nic się nie działo. Nasza czwórka spędzała większość czasu w salonie, gawędząc o różnych sprawach, od handlu międzygwiazdowego i polityki po wady i zalety poszczególnych zwierzątek domowych i najlepsze sposoby przyrządzania pikantnej sałatki warzywnej. Od czasu do czasu JhanKła oznajmiał, że czas na przeżycie kulturalne, i robił przerwę na posłuchanie muzyki czy obejrzenie ditreku, pozwalając każdemu z nas na przemian wybierać z przepastnej i eklektycznej kolekcji znajdującej się w salonie.

Podczas rozmów Bayta zwykle milczała, zachowując beznamiętny wyraz twarzy, lecz przysłuchując się uważnie. Jeśli już się odzywała, to zwykle po to, by udzielić neutralnych, merytorycznych informacji, nie dostarczając mi żadnych nowych danych na temat tego, co kryje się za tymi ciemnymi oczami. Wydawała się natomiast zafascynowana ditrekami, a w szczególności wybranym przeze mnie klasycznym dziełem Hitchcocka „Starsza pani znika”, rozgrywającym się w dwudziestowiecznym pociągu EuroUnii.

W określonych porach po wagonie zaczynał się roznosić aromat jedzenia, a wkrótce potem pojawiał się służący i oznajmiał, że posiłek gotowy. Każdego dnia serwowano nam inne potrawy, wszystkie z najwyższej półki, a po skonsumowaniu każdej dosłownie czułem, jak wokół talii odkłada mi się kolejny kilogram. W końcu, późnym wieczorem czasu kolejowego, grzecznie mówiliśmy sobie „dobranoc” i rozchodziliśmy się do swoich przedziałów.

Teoretycznie już drugiego dnia o dowolnej porze mogłem przeprosić pozostałych i wyruszyć na poszukiwanie Pajaka, któremu powierzono obiecany chip z danymi. Pierwszego ranka Rastra wyszedł ze swego przedziału w porze śniadaniowej i przyznał, że JhanKła miał rację co do mojej sytuacji względem juriańskiego protokołu kryminalnego, i że nie muszę już pozostawać pod jego kuratelą. Mimo to nadal czułem się w obowiązku udawać pogodnego naiwniaka i przez kolejne dwa dni nie wymyśliłem wiarygodnego pretekstu do wyrwania się z luksusowego wagonu choćby na moment.

W końcu, jedenaście godzin przed planowanym przybyciem do Jurskali, zdołałem wykonać pierwszy ruch.

– Nie – powiedziałem, kręcąc stanowczo głową. – Przykro mi, ale nie da się przyrządzić dobrej chattanoogi bez Jacka Danielsa.

– Naprawdę nie można go zastąpić żadnym z tych trunków? – zapytał JhanKła, wskazując swoją

baterię butelek. Służący zastygł w napięciu za jego plecami. – O ile mi wiadomo, mamy tu trzy inne gatunki terrańskiej whisky.

– Doskonale gatunki – zgodziłem się, choć o dwóch spośród nich nigdy dotąd nie słyszałem. – Ale mówimy o chattanoodze, znanej też jako Specjał Wuja T. To kwestia kulturowa dodałem, wiedząc, że tym argumentem najlepiej trafię JhanKła do przekonania.

– Dobrze – odparł, rzucając służącemu nieodgadnione spojrzenie. No, w każdym razie nieodgadnione dla mnie; służący najwyraźniej odczytał je lepiej, bo jego twarz jakby się zapadła.

– Wyślę swojego człowieka po butelkę.

– Szczerze mówiąc, wolałbym sam ją wybrać – odparłem, wstając. – Trzeba wziąć pod uwagę kilka czynników, przede wszystkim wiek trunku i proporcje składników. Dopiero po przejrzaniu asortymentu będę mógł wybrać najlepszą butelkę.

– Dobrze T zgodził się ponownie JhanKła. – Wezwę Yir-TukOo, by panu potowarzyszył.

– Nie trzeba – zapewniłem go pospiesznie. Ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę, było towarzystwo potężnego ochroniarza asystenta Komisarza podczas starań o odebranie od Pajaka danych. – Dam sobie radę.

– W takim razie ja pójdę z panem – zaofiarował się Rastra. – nie mając biletu, będzie pan potrzebował pomocy autorytetu dyplomatycznego, by w ogóle zostać wpuszczonym do pierwszej klasy.

Omali się nie skrzywiłem. Mając w kieszeni otrzymaną od Pajaków przepustkę w diamentowej ramce, mogłem się swobodnie przemieszczać bez niczyjej pomocy. Jednak nie mogłem mu tego powiedzieć. Cóż, może przynajmniej łatwiej będzie się pozbyć jego niż YirTukOo.

– Jasne – powiedziałem. – Skoczę tylko po marynarkę i ruszamy.

Sześćdziesiąt sekund później byłem już z powrotem w salonie z marynarką narzuconą na ramiona, a na moim łóżku leżała pospiesznie nagryziona kartka dla Bayty: „Skontaktuj się z Pajakami. Każ im przynieść chip do baru pierwszej klasy”. Rastra także był gotów, więc bez ociągania wyruszyliśmy w drogę.

Bezpośrednio przed naszym wagonem znajdowały się dwa bagażowe, pełne połączonych siatką ochronną skrzyń. W odróżnieniu tych z hybrydowych, bagażowo-pasażerskich wagonów, w których rozpoczynałem swoją podróż, te skrzynki nie były zwyczajnie ustawione wzdłuż ścian, lecz ułożone w kupki przypominające wysokie wyspy otoczone labiryntem wąskich korytarzy, wijących się wokół i pomiędzy nimi. Podejrzewałem, że każda wyspa zmierza do innej stacji, a korytarze są Pajakom potrzebne na wypadek, gdyby trzeba było dotrzeć do którejś z tych na końcu wagonu.

Minawszy wagony bagażowe, dotarliśmy do trzeciej klasy, potem do baru łączącego trzecią z drugą. Dalej były cztery wagony drugiej klasy, jeden pierwszej, i wreszcie nasza restauracja.

– Czy mi się zdaje – zapytał Rastra, gdy lawirowaliśmy między stolikami – czy te pociągi robią się coraz dłuższe?

– Zdaje się panu – zapewniłem go, rozglądając się wokół. W sekcji restauracyjnej nie było konduktorów, ale dostrzegłem jednego w oddzielonym szybą z dymnego szkła barze. – Jeśli pańskie czułki smakowe tęskniły za czymś przez ostatnie dwa dni, ma pan szansę zaspokoić głód.

– W zasadzie całkiem lubię halkańską kuchnię – jak zawsze dyplomatycznie odparł Rastra.

– A czy pan ma na coś ochotę?

– Szczerze mówiąc, stęskniłem się za krążkami cebulowymi – wyznałem. – Może pan pamięta z Vanido te okrągłe, chrupiące kóleciska, które wciąż zamawiali niektórzy ludzie z mojej grupy?

– Pamiętam – rzekł. – Mam sprawdzić, czy są w ofercie?

– Jeśli byłby pan łaskaw – odparłem. – Ja tymczasem pójdę po Daniela.

Rastra ruszył w kierunku lady, przy której sprzedawano produkty na wynos, a ja przeszedłem przez przepierzenie i znalazłem się w barze. Okazało się, że dostrzeżony wcześniej Pająk nie jest sam: drugi stał przy końcu baru, udając ozdobną donicę.

Pokręciłem w duchu głową. Pajaki mogły być świetne w kierowaniu transportem międzygwiazdowym, ale subtelności nie miały za grosz. Na szczęście były to stworzenia tak nietowarzyskie, że prawdopodobnie tak czy owak nikt nie zwracał uwagi na mojego kuriera.

Kierując się w stronę stołka znajdującego się o kilka metrów od niego, rozglądałem się po sali. Z jednej strony siedziało trzech Cymalczyków z dymiącym na całego skinski flambe pośrodku stolika i mnóstwem pustej przestrzeni wokół siebie. Dwaj Halkowie przyglądali mi się przez chwilę, po czym wrócili do swoich drinków i konwersacji. Siedząca o kilka stolików dalej para ludzi w bankierskich chustach ze złotą obwódką nawet nie podniosła głów, pogrążona w prowadzonej cichymi, energicznymi głosami rozmowie. W jednym z odległych od baru kątów siedział samotny Bellido. Lufy zawieszonych na ramionach karabinów rangi wystawały mu spod pach z milczącą ostentacją podobną do tej, z jaką bankierzy nosili swoje chusty.

Miał w sobie coś, coś wydało mi się jakby znajome.

Dotarłem do stołka i usiadłem. Maleńki Pająk służący obsługujący bar przyjął moje zamówienie i zniknął na zapleczu. Kątem oka zauważyłem, że stojący dotąd jak słup Pająk konduktor poruszył się i zaczął zmierzać ku mnie.

– Bądź pozdrowiony, Terraninie.

Odwróciłem się w drugą stronę. Bellido opuścił swoje miejsce i sadowił się niezdarnie na stołku sąsiadującym z moim.

– Pozdrawiam ciebie i twój lud – odparłem, mając wielką nadzieję, że Pająk będzie miał dość rozumu, by się wycofać.

O dziwo, uczynił to. Gdy odwróciłem się z powrotem, zobaczyłem, jak robi wielonogi krok w tył i znów zmienia się w siup soli – Wrócił barman, niosąc w jednym z odnóży plastikową butelkę Jacka Daniela, którą postawił na ladzie przed moim nosem.

– A. – Bellido pokiwał głową ze zrozumieniem. – Kłopoty żołądkowe.

– Nie – odparłem, marszcząc brwi. – Skąd panu to przyszło do głowy?

– Jack Daniels – wyjaśnił, wskazując butelkę. – Świetne krople żołądkowe. Wymywają wszystkie bakterie.

– Ciekawe zastosowanie – zauważyłem, przyglądając się wnikliwie wzorowi brązowo beżowych pasów na jego wiewiórczej twarzy. W odróżnieniu od niektórych gatunków, Bellidowie byli dla człowieka dość łatwo rozróżnialni. Patrząc z bliska, nabrałem jeszcze większego przekonania, że już gdzieś widziałem tego osobnika. – My używamy tego specyfiku mniej więcej w ten sposób, w jaki wy używacie starego droskimu.

– Naprawdę? – zdziwił się. – To ciekawe. Proszę powiedzieć, co pana skłoniło do wybrania się w podróż galaktyczną?

Ledwie się powstrzymałem od przewrócenia oczami. Podpici Bellidowie gadali jeszcze więcej i jeszcze szybciej niż Halkowie.

– Pracuję dla biura podróży – odparłem, chwytając swoją butelkę i zastanawiając się, jak by tu się wdzięcznie wycofać i zniknąć mu z oczu. Gdybym dał Pająkowi znak, żeby poszedł za mną do

restauracji, może udałoby się...

I nagle w samym środku tego planowania doznałem olśnienia. To był ten sam Bellido, którego minąłem w drodze do swojego siedzenia w hybrydowym wagonie pociągu, którym wyjechałem ze stacji Terra. Ten, którego rzucone od niechcienia spojrzenie zjeżyło mi włosy na karku.

Mój wzrok pobiegł ku plastikowym lufom zawieszonych na ramionach karabinów rangi. Bellidowie nie nosili ich według swojego widzimisień. Była to taka sama deklaracja pozycji społecznej jak chusta ludzkiego bankiera czy lakierowana fryzura Cymalczyka. Te konkretne modele stanowiły kopie dwunastomilimetrowych karabinów Elli, oznaczające członka zamożnej warstwy klasy średniej. Bellidowie tej rangi nigdy nie zdejmowali publicznie swojej broni nawet wtedy, gdy podróżowali w warunkach uwłaczających ich pozycji. A jednak w hybrydowym wagonie mój rozmówca nie miał przy sobie tych karabinów. Nie miał też żadnych innych. To zaś oznaczało, że albo okłamywał kosmos wtedy, albo teraz.

Żeby jednak popełnić takie kłamstwo, Bellido musiał mieć bardzo, ale to bardzo ważny powód.

Znów poczułem mrowienie w karku. Czyżby ten facet był naciągaczem? Może. Ale moje doświadczenie wskazywało, że profesjonalni przestępcy są zbyt cwani, by się publicznie upijać. Miałem więc do czynienia raczej z kimś, kto zawyża swoją rangę, pragnąc powspominać „stare, dobre czasy” i pościskać sobie dłonie z elitą, nim zostanie przyłapany? W światach bellidyjskich obowiązywały za to surowe kary, ale tu, w pociągu, tamtejsze prawo było przecież bezradne.

– Dla biura podróży? – zapytał z rzekomym zaciekawieniem.

– Tak – odparłem, wracając do swoich wyjaśnień i obmyślania strategii. Teraz byłem już pewien, że nie mogę dopuścić do tego, by zobaczył, jak odbieram dane od Pająka. – Szukam wyjątkowych atrakcji wakacyjnych dla przedstawicieli mojej rasy.

– To musi być przyjemne zajęcie – rzekł. – Dokąd pan zmierza teraz?

– Do halkańskiego układu Sistarrko – odparłem. – Polecono mi kurort znajdujący się na jednym z tamtejszych księżyców. – Zerknąłem na zegarek. – Muszę wracać, by się przygotować do przesiadki.

– Och, przecież to jeszcze kilka godzin – napomniał mnie. – Czy kiedykolwiek próbował pan naprawę starego droskimu?

– Pewnie wypaliłby mi dziurę w żołądku – powiedziałem. – Poza tym naprawę muszę już iść.

Mina nieco mu zrzędała.

– W takim razie życzę panu przyjemnej podróży. – Uniósł szklanekę w toaście, wstał i chwiejnym krokiem zaczął się przemieszczać z powrotem w kierunku swojego stołu.

Wstałem, podniosłem butelkę i odwróciłem się w stronę części restauracyjnej. Stojący przy końcu baru Pająk odkleił się od podłogi i ruszył ku mnie.

Zmełłem w ustach przekleństwo i przyspieszyłem kroku. Z moim kumplem Bellidą z jednej strony i mogącym się w każdej chwili pojawić Rastrą z drugiej, równie dobrze mógłbym próbować odebrać sekretną przesyłkę, stojąc na scenie podczas przebojowego spektaklu.

Ale Rastry jeszcze nie było, a Bellido nadal szedł w kierunku stołu, więc gdybym zrobił to dostatecznie szybko...

Zastąpiłem Pająkowi drogę. W tym samym momencie jedna z jego nóg oderwała się od podłogi, zwinęła w kłębek i wyciągnęła ku mnie. Zauważyłem błysk maleńkiej dyskietki i nie zwalniając kroku, dyskretnie wyciągnąłem ku niej rękę. Zacisnąłem zdobycz w dłoni i szedłem dalej, zerkając do tyłu akurat w momencie, w którym Bellido ciężko opadł na krzesło.

Wkraczając do restauracji, omal nie wpadłem na Rastrę.

- A, tu pan jest – rzekł. – Przepraszam, ale wygląda na to, że krążki cebulowe się skończyły. Podobno Pirkowie lubią je tak samo jak Terranie...
- Szkoda – odparłem, jedną ręką podnosząc butelkę, a drugą ukradkiem chowając chip do kieszeni marynarki. – Najważniejsze jednak, że dostałem Jacka Danielsa. Wracajmy do pozostałych.
- Obawiam się, że będą państwo musieli zacząć beze mnie – rzekł Rastra. – Dowiedziałem się, że jeden z pasażerów pierwszej klasy ma jakiś problem. Jako najwyższy rangą Dekomplikator w pociągu muszę się tam udać i spróbować mu pomóc. – Zmarszczył lekko łuski okalające oczy i dziób.
- Mam nadzieję, że zostawią państwo coś dla mnie.
- Jasne – powiedziałem, czując ciarki między łopatkami. – Proszę jednak się pospieszyć.
- Postaram się.

Patrzyłem, jak znika w drzwiach prowadzących do kolejnego wagonu. Potem, bez szczególnego powodu, zerknąłem ku stołowi Bellidy.

Jego szklanka wciąż tam stała, ale krzesło było puste.

Rozejrzałem się po sali, czując już nie niepokój, lecz obrzydliwą pewność, że coś tu śmierdzi. Przedtem Bellido poruszał się tak chwiejnie, że powinien mieć kłopot z dotarciem do drzwi, a co dopiero z dyskretnym wymknięciem się przez nie. Wyglądało na to, że – podobnie jak przedtem dwaj Halkowie – doszedł do wniosku, iż najlepszym sposobem omamienia człowieka będzie udawanie pijanego. W odróżnieniu jednak od tamtych, dobrze odegrał swoją rolę.

Co wyraźnie sugerowało, że nie jest również zwyczajnym oszustem społecznym. Kim więc, u diabła, był?

Tego nie wiedziałem. Wiedziałem natomiast, że nie mam najmniejszej ochoty pozostawać dłużej w tym miejscu. Usiłując patrzeć we wszystkich kierunkach jednocześnie, ruszyłem z powrotem w kierunku wagonu deluxe.

W wagonach pierwszej i drugiej klasy nikt mnie nie zaczepiał. Szczególną uwagę zwracałem na rozsianych tu i ówdzie Bellidów, żaden z nich nie okazywał jednak zainteresowania moją osobą.

W gruncie rzeczy nie dziwiło mnie to. Nie wyobrażałem sobie, jakim cudem fałszywy pijak mógłby mnie minąć, gdy rozmawiałem z Rastra, co oznaczało, że znajduje się w drugiej części pociągu. W czteroszynówce ani nigdzie indziej na terenie Tuby komunikatory nie działały, więc nie mógł się również skontaktować z potencjalnymi współnikami, którzy znajdowałiby się w tej części.

Chyba że w ogóle nie musiał się z nimi kontaktować, bo już wcześniej otrzymali odpowiednie rozkazy. Udając, że wcale mi się nie spieszy, doszedłem do końca ostatniego wagonu drugiej klasy i wszedłem do trzeciej.

Nie zauważyłem żadnych istotnych zmian w stosunku do tego, co zapamiętałem z wędrówki w drugą stronę; trzeba jednak przyznać, że wtedy nie przyglądałem się podróżnym zbyt bacznie. Nadal wypatrywałem przede wszystkim Bellidów, a ci nadal wydawali się nie odwzajemniać mojego zainteresowania.

W połowie drogi przez ostatni z wagonów pasażerskich mój wzrok padł na trzy puste siedzenia w ostatnim rzędzie.

Idąc do baru, także widywałem tu i ówdzie puste krzesła, których właściciele prawdopodobnie jedli akurat obiad albo oddawali cześć naturze w jednym z umieszczonych na przodzie każdego wagonu kibelków. W wagonie restauracyjnym nie zauważyłem jednak żadnej trzyosobowej grupy, a prawdopodobieństwo, że trojesąsiadów z rzędu w tym samym momencie postanowiło pójść do ubikacji, było raczej niewielkie.

Znacznie mniejsze, jak podejrzewałem, niż prawdopodobieństwo, że ta sama trójka udała się w ustronie jednego z wagonów bagażowych, by tam przygotować jakąś nieprzyjemną niespodziankę. Tak czy owak, jeśli nie chciałem się doczekać powrotu fałszywego pijaka i zmiany układu sił z trzech do jednego na cztery do jednego, nie miałem innego wyjścia, jak tylko iść naprzód.

Jednak, jak już wcześniej wspomniałem Baycie, alkohol świetnie niwelował różnice, a moi rywale mieli się wkrótce dowiedzieć, że nie dotyczy to jedynie różnic w statusie społecznym.

W każdym innym miejscu galaktyki moja taktyka byłaby oczywista. Typowa, szklana butelka whisky świetnie spełniała rolę pałki, co prawdopodobnie było głównym powodem, dla którego Pajaki sprzedawały trunki wyłącznie w cienkim plastiku. Wystarczyło jedno porządne uderzenie, a butelka pękała wzdłuż szwów, rozpryskując zawartość po całej podłodze.

Pokręcone umysły WSZ-y rozważały jednak ten problem od lat i wymyśliły kilka sztuczek. Przy odrobinie szczęścia mogłem zaskoczyć ewentualnych zbirów, aplikując im własną niespodziankę.

Dotarłem do końca wagonu i wszedłem do przedsionka. Tam, przez moment niewidzialny dla pozostałych podróżnych, odkorowałem butelkę, po czym ponownie umieściłem korek na miejscu, wkładając go tak płytko, że ledwie się trzymał. Teraz wystarczyło odpowiednio ścisnąć butelkę, by korek, a za nim strumień whisky, wyskoczył napastnikowi prosto w twarz. Nie pamiętałem, jak Bellidowie reagują na alkohol, ale nawet gdyby ten nie oślepił na chwilę rywala, powinien przynajmniej spowolnić jego ruchy, pozostawiając mi tylko dwóch wrogów. Nadal nie była to komfortowa sytuacja, ale lepszy rydz niż nic. Trzymając butelkę za dolną część, otworzyłem drzwi i wszedłem do pierwszego wagonu bagażowego. Instynkt podpowiadał mi, by się zatrzymać, zajrzeć między stosy spowitych siatką skrzyń i nadstawić uszu, ale powstrzymałem się. Pokazując, że jestem świadom ich obecności, dałbym im odczuć, iż mają do czynienia z zawodowcem. Wołałem uchodzić za głupiego i naiwnego, by uspić ich czujność. Parłem naprzód, nie zwalniając kroku i licząc na to, że kątem oka w porę dostrzegę niebezpieczeństwo.

Nic z tego. W połowie wagonu coś uderzyło mnie w bok głowy i wszechświat pograżył się w ciemności.

Obudziłem się z bólem za prawym uchem i nieprzyjemnym tupaniem w prawej połówce twarzy, mając w dodatku dziwne wrażenie, że spałem na stojąco.

Przez kolejną minutę tkwiłem bez ruchu, nasłuchując, ale dobiegał mnie jedynie rytmiczny stukot kół. Wyglądało na to, że napastnik lub napastnicy zdążyli się oddalić. W końcu ostrożnie otworzyłem oczy.

Błądźnik nie kłamał. Istotnie stałem, oparty plecami o coś twardego, z głową odwróconą w lewo. Z dobiegającego z dołu wątego światełka wywnioskowałem, że znajduję się wewnątrz jednej z wyższych skrzyń, w której zrobiono dla mnie trochę miejsca. Szybko znalazłem odpowiedź na pytanie, jak zdołałem utrzymać się na nogach, gdy byłem nieprzytomny: napastnicy po prostu otworzyli skrzynię – prawdopodobnie podnosząc do góry ruchomą klapę wepchnęli mnie twarzą naprzód w otaczającą ten zestaw skrzyń siatkę ochronną, po czym ponownie zamknęli klapę.

Musiałem przyznać, że był to szybki i twórczy sposób chwilowego wyeliminowania rywala z gry. Wystarczyło dobrze się przyjrzeć układowi skrzyń, by zauważyć, że część siatki jest przytrzaśnięta, ale osoby prowadzące pobieżne poszukiwania zabłąkanego Terranina mogły łatwo przeoczyć taki szczegół.

Niezależnie od tego, jak byli cwani, przeciwnicy pominęli pewien szczegół: nie zakneblowali mnie. Jeden dobry krzyk i ratownicy natychmiast by mnie znaleźli. Wciągnąłem powietrze z zamiarem

przeprowadzenia próby.

Hm, chyba jednak nie pominęli tego szczegółu. Siatka była tak ciasna, że nie mogłem nawet porządnie nabrać tchu. Musiałem poprzestać na krótkich, płytkich oddechach.

Małe nożyk z mojego podręcznego zestawu bez trudu Przeciąłby ten materiał. Ale nożyk znajdował się w prawej kieszeni, a napastnicy bardzo starannie umieścili mnie tak blisko prawej ściany, że nie potrafiłem zgąć łokcia tak, by wyjąć zestaw.

Przyjrzałem się otaczającemu mnie towarowi, a przynajmniej tej niewielkiej jego części, którą dostrzegła moja przekręcona w bok głowa. Było zbyt ciemno, by odczytać etykiety, ale z delikatnych aromatów wnioskowałem, że są to głównie egzotyczne przyprawy. Nie miałem więc szans na zidentyfikowanie napastników w oparciu o nadmiarowy bagaż – przyprawy należały do tych towarów, które można było spuścić w najbliższej toalecie, a ich opakowania podrzeć i posłać w niebyt tą samą drogą. Nie znałem też przeznaczenia skrzyni, ale jeśli przeciwnicy dobrze wykonali swoją robotę, prawdopodobnie zmierzała do jakiegoś odległego miejsca, znajdującego się poza obszarem państwa juriańskiego, a może i halkańskiego. Jeśli czuli się wspaniałomyślni, mogli zaplanować sprawy tak, bym został znaleziony, nim umrę z pragnienia. Nie dałbym jednak za to głowy.

Potem, patrząc na cienie swoich stóp na opakowaniach, stwierdziłem, że chyba wyrosła mi trzecia noga. Przez chwilę przyglądałem się ciekawie dodatkowemu cieniowi; potem uświadomiłem sobie, że napastnicy, zamiast obarczać się butelką Jacka Danielsa, po prostu postawili ją na podłodze, nim wepchnęli mnie do skrzyni.

A korek był już poluzowany.

Siatka nie sięgała do samej podłogi; kończyła się na wysokości moich goleni. Ostrożnie, krzywiąc się pod naciskiem siatki na twarz, ścisnąłem butelkę stopami, usiłując wypchnąć korek. Ale widać kiepsko ścisnąłem, bo nic się nie stało.

Poza tym zamierzałem rozlać whisky tak, by strumyczek wypłynął przez szczelinę w klapie i posłużył jako sygnał, a nie oblać sobie spodnie. Cofnąłem lewą nogę, obróciłem stopę i kopnąłem butelkę. Przesunęła się o kilka centymetrów, ale nadal stała. Spróbowałem znowu. Tym razem butelka grzecznie przewróciła się na bok. Manewrując ostrożnie czubkami butów, skierowałem jej wylot ku szczelinie w klapie.

Następny etap był najtrudniejszy. Wypuszczając z siebie tyle powietrza, ile się dało, żeby mieć większą swobodę ruchów, uniosłem lewą stopę i umieściłem na butelce, po czym, ściskając w myślach kciuki, nacisnąłem.

Z miłym dla ucha trzaskiem korek wyskoczył i potoczył się na skraj skrzyni, zalewając delikatny aromat zmieszanych przypraw potężną wonią whisky produkowanej na kwaśnym zacierze. Wciągnąłem powietrze, tym razem pamiętając, żeby się zbyt nie nadymać, i pogrzyłem się w oczekiwaniu.

Zaczynałem się właśnie zastanawiać, czy człowiek może się upić samymi oparami alkoholu, gdy mnie znaleźli.

– Więc nawet ich pan nie widział – rzekł Rastra.

– Kompletnie – odparłem, ostrożnie pocierając guza pod uchem tamponikiem z luksusowej apteczki.

Z głębi gardła stojącego sztywno obok JhanKla wydobyło się warknięcie wściekłego buldoga.

– Powinienem był nalegać, by zabrał pan ze sobą YirTukOo.

– O rany, przecież takie rzeczy się zdarzają – odparłem filozoficznie. – Nie stało się nic

nieodwracalnego, z wyjątkiem utraty Jacka Daniela. Nawiasem mówiąc, czy ktoś zauważył, do kogo była adresowana skrzynia, w której mnie zamknęli? Zapomniałem sprawdzić.

– Do hurtownika przypraw w Alrakae, na odległym krańcu Cesarstwa Halkavisti – odparł Rastra. – To tylko o dwa dni drogi stąd, ale nie byłoby panu wygodnie.

– Z pewnością – przyznałem. – A jak tam problem w pierwszej klasie? Udało się panu go rozwiązać? – Tak – rzekł, marszcząc okalające dziób łuski. – Ktoś się na kogoś obraził, a tamten nawet nie wiedział o co. Wystarczyła krótka rozmowa w cztery oczy, by wszystko się wyjaśniło.

A zatem był to po prostu podstęp; toporny, ale skuteczny pretekst do rozdzielenia nas i pobicia mnie bez świadków.

To zaś wymagało planowania, co z kolei znaczyło, że nie byłem przypadkową ofiarą. A to w zupełności potwierdzało moje przypuszczenia.

– Nadal uważam, że ktoś powinien obejrzeć pańską ranę – kontynuował Rastra. – Mam informację, że w pociągu znajduje się trzech terrańskich lekarzy.

– Nic mi nie będzie – zapewniłem go. – Nabijałem sobie większe guzy, grając w piłkę w college’u w niedzielne popołudnia. Muszę po prostu łyknąć jeszcze parę błyskoleków i chwilę poleżeć.

– Jak pan woli – odparł Rastra, bynajmniej nieprzekonany. – Ale jeśli nie poczuje się pan lepiej, nim dotrzemy do Jurskali, będę nalegał. Na stacji transferowej dyżurują specjaliści od terrańskiej medycyny.

– Zgoda – powiedziałem, podnosząc się chwiejnie. – Bayto, czy możesz mi podać rękę?

Dziewczyna w milczeniu wstała i podeszła do mnie. Nie powiedziała słowa, odkąd wraz z Rastrą i zwerbowanym do poszukiwań Pająkiem wyciągnęła mnie ze skrzyni z przyprawami. Nadal bez słowa, ostrożnie ujęła mnie za ramię. Nawet przez koszulę czułem chłód jej palców. Nigdy przedtem mnie nie dotykała. Wspierając się na niej właściwie tylko po to, by uspokoić sumienia pozostałych, ruszyłem korytarzem w kierunku swojego przedziału.

Ledwie drzwi zamknęły się za nami, odskoczyła ode mnie jak oparzona.

– Jak mogłeś? – zapytała. Głos drżał jej z gniewu; dotychczasowa samokontrola jakby wyparowała. – Jak mogłeś pozwolić im go zabrać?

– Spokojnie – odparłem, opadając na skraj łóżka i wydłubując z kieszeni marynarki chip z danymi. – Nic nie zabrali.

Gapiała się na chip, jakby to był złoty zegarek, który nagle pojawił się w dłoni cyrkowego magika, choć sądziła, że już go nie zobaczy.

– W takim razie...? – Umilkła.

– Po co w ogóle mnie zaatakowali? – dokończyłem za nią. – Dobrze pytanie. Ale zanim spróbujemy na nie odpowiedzieć, upewnijmy się, że nie byli dostatecznie cwani, by zamienić chipy.

Skrzywiła się, ale skinęła głową.

– W porządku – powiedziała, ruszając ku drzwiom. – Przyniosę czytnik.

Nie było jej wystarczająco długo, bym zdążył stwierdzić, że na moim czytniku chip otwiera się jako niewinny zestaw przewodników turystycznych.

– Myślisz, że mogli go skopiować? – zapytałem, gdy wkładała płytkę do swojego czytnika.

– Nie. – Zrobiła coś z przyciskami przewijania, zerknęła na ekran i pokiwała głową. Proszę – powiedziała, podając mi czytnik.

Tam, gdzie przedtem znajdowały się wyłącznie brednie dla turystów, teraz widniało ponad pięćdziesiąt plików dotyczących bezpieczeństwa kolei i rodzaju zamontowanych w Tubie czujników.

– Super – powiedziałem. – Będę miał co czytać w drodze na Modhrę.

– Nadal chcesz tam jechać? – zapytała ostrożnie. – To znaczy... może jednak powinieneś najpierw pójść do lekarza?

– Nic mi nie jest – powtórzyłem i zacząłem kręcić głową, ale szybko się rozmyśliłem. Poza tym ta sprawa zaczyna się robić ciekawa.

– Ciekawa? – zdziwiła się Bayta. – Zostałeś napadnięty i uważasz to za ciekawe?

Wzruszyłem ramionami, co okazało się niewiele mniej bolesne od kręcenia głową.

– Ludzie zwykle nie atakują, jeśli nie czują się zagrożeni – powiedziałem. – Skoro to zrobili, to znaczy, że się zbliżamy.

– Zbliżamy do czego? – dopytywała się. – Wiemy jedynie, że JhanKla każe nam jechać w miejsce zwane Modhrą.

– I że bardzo się postarali, by mógł nam podać tę nazwę – przypomniałem jej.

– Co mogło mieć na celu jedynie wywiezienie nas z Kerfsis – zrewanżowała się. – Albo utrzymanie nas z dala od jakiegoś innego miejsca.

Zawahałem się, znów rozważając, ile mogę jej powiedzieć. Nadal nie miałem pojęcia, co tu się naprawdę dzieje ani czyją stronę trzyma dziewczyna.

Bez wątpienia jednak była sprzymierzona z Pajakami, a przynajmniej z jakąś ich frakcją. Gdybym ją wyłączył ze śledztwa, musiałbym sobie radzić całkiem sam. Biorąc pod uwagę to, co niedawno się wydarzyło, nawet wątpliwi sojusznicy byli lepsi niż żadni.

– Nie – powiedziałem. – Chodzi o Modhrę. Nie chciałem nic mówić w obecności Rastry i JhanKla, ale kiedy kupowałem Jacka Daniela, spotkałem w barze pewnego gadatliwego Bellidę. Zapytał, dokąd się udaję...

– A ty mu powiedziałaś?!

Gapilem się na nią. W głowie łupało mnie w rytm uderzeń serca, oczy i uszy pochłaniały jej ton, wyraz twarzy i język ciała, a wyszkolony we WSZ-y umysł zbierał wszystko do kupy.

I wtedy, w tym jednym rozciągniętym momencie, wszystkie moje niejasne podejrzenia nagle zmieniły się w twardą, niezachwianą pewność. O cokolwiek chodziło w tej całej sprawie z JhanKla, Modhrą i Bellidami, Bayta była w to doskonale wtajemniczona.

– Wówczas nie wydawało się to takie ważne – powiedziałem, pilnując, by nie okazać emocji. – Rzecz w tym, że zaraz potem ten facet zniknął w którymś z wagonów pierwszej klasy, a ja dostałem w łeb i znalazłem się w skrzyni z przyprawami.

– Uważasz, że te dwa zdarzenia są ze sobą powiązane?

– Z całą pewnością – odparłem, zastanawiając się, ile ona naprawdę wie. Nie mogłem jednak dać jej odczuć, że ją rozgryzłem. – Nie chodziło im o chip, bo nadal go mam. Nie chodziło też o sztabkę gotówkową, bo ją też mam. O co więc mogło chodzić, jeśli nie o to, że ktoś nie chce, żebyśmy trafili na Modhrę?

– Ale jakim sposobem ten Bellido mógłby się skontaktować z kimś z drugiej części pociągu? – zapytała. – Mówiłeś, że poszedł w odwrotną stronę.

– Tego jeszcze nie wiem – przyznałem, przyglądając jej się uważnie. Odzyskała jednak pełną samokontrolę i jej twarz znowu nic nie zdradzała. – Podejrzewam, że w jakiś sposób wykorzystał kolejowy system komputerowy albo znalazł sposób na podczepienie sygnału do linii kontrolnych.

Pokręciła wolno głową.

– Nie sądzę, by któraś z tych rzeczy była możliwa.

– Cóż, cokolwiek zrobił, zdołał jednak wysłać wiadomość – mruknąłem ponuro. – Co do tego nie mam wątpliwości.

– Nadal nie wiem, po co to wszystko – zauważyła. – Co chcieli osiągnąć?

– Mieli nadzieję, że wyeliminują mnie z gry na dostatecznie długo by pociąg zdążył minąć Jurską i Ostrogę Graklijską – odparłem. – To jedyne sensowne wytłumaczenie. Ktoś, z siebie tylko znanego powodu, nie chce, żebyśmy dotarli na Modhrę.

Baycie drgnął kącik ust.

– I dlatego zamierzasz tam dotrzeć? Wzruszyłem ramionami.

– Podążam za tropem, a on właśnie tam prowadzi. Przez chwilę jakby zbierała się na odwagę.

– Nie chcę jechać na Modhrę.

– Nie ma sprawy – odparłem. – Możesz na mnie poczekać w Jurskali.

– A jeśli Pajaki zarekwirują ci bilet? Uniosłem brwi.

– Grozisz mi?

– Tam może być niebezpiecznie – odparła wymijająco. – Bardzo niebezpiecznie. Pomyślałem o saariksie w rączkach moich toreb.

– Wszędzie może być niebezpiecznie – powiedziałem. – Takie jest życie. Znowu się zawahała.

– Możesz tam umrzeć – oznajmiła w końcu.

A więc było tak, jak przypuszczałem. Modhra stanowiła klucz do zagadki – a nasi wrogowie byli gotowi na wszystko, by ten klucz nie wpadł w niepowołane ręce.

– Wszędzie mogę umrzeć – odparłem. – Mogę na przykład przewrócić się o Cymalczyka w restauracji i skrócić kark. Czy wiesz o Modhrze coś, czego mi nie powiedziałaś?

Na moment zacisnęła szczękę.:

– To tylko przecucie.

– W porządku – powiedziałem, udając, że jej wierzę. – Ty masz pięć godzin na decyzję, czy mi towarzyszyć.

– Posłuchaj, Compton...

– A przy okazji – przerwałem jej – czy te twoje przecucia zawierają jakieś wskazówki co do tego, z której strony może nadejść niebezpieczeństwo?

Odwróciła wzrok.

– Z każdej – bąknęła. – Nie masz tam przyjaciół.

– Nawet ciebie? – zapytałem żartobliwie. – Ciebie chyba obchodzi, czy żyję, czy umrę, co?

Wyprostowała się.

– Nie jestem pańską przyjaciółką, panie Compton – odparła, patrząc na mnie bez emocji. I nie, wcale mnie to nie obchodzi.

Po tych słowach odepchnęła mnie lekko i wybiegła na korytarz.

Przez długą chwilę gapiłem się na zamknięte drzwi, czując się, jakby ktoś zawiązywał mi w żołądku twarde węzeł. Spodziewałem się czegoś, co przynajmniej da mi do zrozumienia, że jesteśmy po tej samej stronie, nawet jeśli nie łączy nas niezłomny sojusz.

Ale nie. „Nie jestem pańską przyjaciółką”. „Wcale mnie to nie obchodzi”.

Świetnie. W takim razie mnie też nie będzie to obchodzić, kiedy będę robił jej drogim pajęczym przyjaciołom to, co mam zamiar im zrobić.

I będę to robił, śmiejąc jej się w twarz.

Podciągnąłem nogi na łóżko i ostrożnie ułożyłem obolałą głowę na poduszce. Musiałem poczekać

jakieś pół godziny, nim tabletki zaczęły działać i będę mógł odpłynąć w sen.

Odpaliłem pierwszy z plików dotyczących pajęczych systemów bezpieczeństwa i zacząłem czytać.

Gdy pociąg zahamował na stacji Jurskala, pożegnałem się wylewnie z Rastra i JhanKla, opuściłem wagon deluxe i ruszyłem przez peron ku torowi, na który za dwie godziny miał zajechać pociąg do Ostrogi Graklijskiej. Milcząca Bayta z nieodgadnionym obliczem kroczyła u mego boku.

Zastanawiałem się, czyby nie spróbować jakoś się wymknąć z pociągu, ale doszedłem do wniosku, że byłby to próżny wysiłek. Nawet jeśli Bellidowie do tej pory nie zorientowali się, że uciekłem z ich prowizorycznej celi, mieli mnóstwo czasu, by zauważyć, jak się kręcimy po peronie, czekając na przesiadkę. Ukrywając się w jednym z budynków stacji, pewnie jeszcze pogorszylibyśmy sprawę. W tę grę bez wątplenia uwikłanych było wielu graczy, a ja nie miałem zamiaru ujawniać swoich bliskich więzi z Pająkami nikomu, kto sam się tego jeszcze nie domyślił.

Szczególnie kiedy mogliśmy odpowiednio wykorzystać te więzi.

– Do dwóch Bellidów z pierwszej klasy dołączyło trzech innych – mruknęła Bayta, gdy zbliżaliśmy się do pierwszego z torów, które musieliśmy przekroczyć, by dojść na nasz peron. Wyszli z trzeciej klasy.

– Rozmawiają? – zapytałem cicho, powstrzymując się od spojrzenia za siebie. Przecież właśnie dlatego to ona była łącznikiem między mną a Pająkami, żebym ja mógł udawać naiwniaka, który nie ma zielonego pojęcia, co się dzieje za jego plecami.

– Tak – odparła. – Ale w pobliżu nie ma żadnego Pajaka, który mógłby ich podsłuchać.

– Daj mi znać, kiedy się ruszą – powiedziałem. – Ktoś jeszcze na nas patrzy?

Dotarliśmy do kolejnego toru. Niska barierka ochronna złożyła się i utworzyła niewielki mostek dla nas i podążających za nami bagaży.

– Chyba nie – rzekła Bayta. – Chwileczkę. Piątka Bellidów rozdzieliła się znów na dwie grupki i idzie w tę stronę.

– Jak szybko?

– Średnio – odparła, gdy znaleźliśmy się na drugiej stronie i mostek znów zmienił się w barierkę. – Nie idą za nami, po prostu zmierzają w tym samym kierunku.

Albo woleli się nie ujawniać, albo po prostu udawali się w rejon Ostrogi Graklijskiej.

– A co z Rastra i JhanKla?

– Wyszli z wagonu deluxe i idą w stronę budynku zawiadowcy – powiedziała. – Jest z nimi ochroniarz-asystent YirTukOo.

– Pewnie załatwiają przyłączenie wagonu do innego pociągu – mruknąłem. JhanKla wykonał swoją robotę, namawiając mnie na podróż na Modhrę, więc teraz on i jego świta mogli robić, co chcą.

Dotarliśmy do naszego peronu, sąsiadującego, jak wszystkie inne, z restauracjami, poczekalniami, sklepami i hangarami.

– Próbowowałaś kiedyś juriańskiego koktajlu lodowego? – zapytałem.

– Koktajlu lodowego? N... nie.

– No to czas najwyższy – stwierdziłem, ujmując ją pod rękę i prowadząc ku większej z dwóch restauracji.

– Nie jestem głodna – zaprotestowała, usiłując się wyrwać.

– To deser, nie posiłek – wyjaśniłem, trzymając ją mocno. – A co ważniejsze, kręci się tam tylu pajęczych kelnerów, że będziemy mieli większą szansę swobodnie obserwować wszystko, co dzieje się na zewnątrz, niż gdybyśmy siedzieli w poczekalni.

Przestała się opierać.

– Aha – powiedziała.

Zajęta była mniej więcej połowa stolików, co bardzo sprzyjało mojemu pomysłowi. Powściągnąwszy naturalny impuls, by usiąść w miejscu, z którego widać drzwi, poprowadziłem Baytę ku środkowi sali.

– To jak, chcesz ten koktajl? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami. Wyświetliłem menu, znalazłem odpowiednią rubrykę i zamówiłem dwa różne koktajle.

– Wygląda na to, że nie spędziłaś zbyt wiele czasu w Związku Republik Juriańskich zauważyłem, rozsiadając się wygodnie.

– Nie – odparła. – Właściwie Wcale tu nie byłam – dodała po krótkim wahaniu.

– Mhm – przyjąłem do wiadomości, rozglądając się wokół. W odróżnieniu od wagonu restauracyjnego czteroszynówki, projektanci tego miejsca nie zadbali o prywatność klientów.

– Od jak dawna jesteś ze swymi przyjaciółmi? – zapytałem.

– Odkąd pamiętam – odparła, ścisząc głos. – To chyba nie jest właściwe miejsce na tę rozmowę.

– Dlaczego nie? – zaoponowałem. – Nie przepadam za współpracą z kimś, o kim praktycznie nic nie wiem.

Wydęła wargi.

– Skoro już o tym mowa, to ja też niewiele o tobie wiem.

– Mam wrażenie, że twoi przyjaciele mają na mój temat pełne dossier.

– Co nie znaczy, że ja też je mam. – Zmarszczyła lekko czoło. – Wszyscy Bellidowie weszli do jednej z poczekalni na peronie Ostrogi Graklijskiej. A zatem woleli zrezygnować z okazji do podsłuchiwania, by nie zostać zauważonymi i nie przestraszyć ofiary. Najwyraźniej wiedzieli, co robią.

– Co więc chcesz wiedzieć?.

– O mnie.

Z marsem na czole przyglądała się mojej twarzy, bez wątpienia zastanawiając się, czy ją podpuszczam.

– Dobrze. Za co wyleciałeś z wywiadu?

Poczułem ucisk w gardle. Powinienem był odgadnąć, że dziewczyna wybierze tę właśnie broń.

– A co, przespałaś ostatnie dwa lata? – mruknąłem. Poruszyła kącikiem ust.

– Chcę znać prawdę. Odwróciłem wzrok, rozglądając się leniwie po restauracji. Większość klientów stanowili Juriańczycy, ale było też kilku Haików i Cymalczyków. No i byliśmy my. Para Terran, rozbijających się po galaktyce, jakby ta należała do nas.

– Wiesz, jakim sposobem ludzkość trafiła na dwunaste miejsce pajęczej Listy Dwunastu Imperiów?

– Przypuszczam, że tak samo jak wszyscy inni – odparła Bayta. – Pająki wpisują na listę rasy, które skolonizowały wystarczająco dużo układów.

– Konkretnie cztery – uściśliłem, słysząc w głowie echo słów pułkownika Applegate’a sprzed kilku dni. I Yandro to pięć... – Razem z układem macierzystym musi ich więc być pięć. Dostaliśmy się do klubu dzięki założeniu kolonii w Yandro.

– A to wiązało się z jakimiś problemami? Westchnąłem.

– Problem, Bayto, polega na tym, że tam nie ma nic wartościowego. Nic. Kilka gatunków przypraw, kilka gatunków dekoracyjnego drewna twardego, kilka gatunków zwierząt, które być może uda nam

się kiedyś oswoić, a być może nie. I nic ponadto.

– No i?

– Jak to „no i”? – wypaliłem. – Dyrektoriat ONZ wyrzucił w błoto bilion dolarów tylko po to, żeby mieć stację czteroszynówki i móc udawać ważniaków, którzy podróżują sobie po galaktyce.

Jej oczy rozszerzyły się w olśnieniu.

– A ty próbowałeś temu zapobiec?

– Jak cholera – przyznałem. – Czytając sfalszowane sprawozdania i patrząc na starannie zaaranżowany entuzjazm kolonistów, można było pomyśleć, że Yandro to druga Alaska. Nie mogłem pozwolić, żeby im to uszło na sucho.

– Alaska?

– To położony na samej północy stan Sojuszu Zachodniego – wyjaśniłem. – Kiedyś nazywano go „szaleństwem Sewarda”, od nazwiska człowieka, który przed kilkoma wiekami kupił go za mnóstwo pieniędzy, przez większość ludzi uważane za wyrzucone w błoto. Wyśmiewano go dopóty, dopóki nie odkryto na Alasce złóż złota i ropy.

– Nie sądzisz, że coś podobnego może się zdarzyć w Yandro? Pokręciłem głową.

– Sprawozdania, które udostępniono do wiadomości publicznej, były świetnie spreparowane. Ja jednak dotarłem do tych prawdziwych, w których brzmiała czarna rozpacz rzeczoznawców, coraz bardziej zbliżających się do końca swoich poszukiwań i nadal nie znajdujących nic, co byłoby warte eksportu w większych ilościach.

– Teraz rozumiem, dlaczego ONZ był na ciebie zły – przyznała.

– Zły jak diabli – przytaknąłem gorzko. – A opinia publiczna była z kolei zła na ONZ. Ale tylko przez pewien czas. Problem polegał na tym, że ta złość nie trwała dostatecznie długo, by rzeczywiście podjęto w tej sprawie jakieś kroki. Dyrektoriat spektakularnie zwolnił kilku kozłów ofiarnych, wyparł się osobistej odpowiedzialności i poczekał, aż szum ucichnie, po czym spokojnie kontynuował swoje plany i podpisał kontrakt na budowę stacji. Mógłbym jeszcze dodać, że większość kontraktów na materiały i moduły konstrukcyjne przypadła w udziale przyjacielom i popiecznikom członków Dyrektoriatu.

– A ty musiałeś słono zapłacić za swój protest – powiedziała jej. – Przykro mi. Wzruszyłem ramionami, starając się rozluźnić gardło.

– Wszystko w porządku – zapewniłem ją. – Było, minęło.

Było to oczywiście kłamstwo. Nawet po tak długim czasie samo mówienie o tamtych sprawach dosłownie skręcało mi naczynia krwionośne.

Do naszego stolika podszedł Pająk z tacką, na której stały piankowe koktajle.

– Zamówiłem malinę i juriański shisshun – powiedziałem do Bayty, zdejmując z tacki wysokie szklanki. – Który wolisz?

Wybrała malinowy. Jedliśmy w milczeniu. Nie byłem w nastroju do dalszej rozmowy, a ona albo myślała podobnie, albo była zbyt zajęta komunikowaniem się ze swymi pajęczymi przyjaciółmi, by mieć czas dla mnie.

Dopiero kiedy wychodziliśmy na peron, uświadomiłem sobie, że jej pytanie o moje perypetie zawodowe kompletnie zniweczyło mój plan dowiedzenia się czegoś o niej.

Pociąg do Ostrogi Graklijskiej był, rzecz jasna, znacznie krótszy niż ten, którym przybyliśmy do Jurskali, co odzwierciedlało mniejszy przepływ podróżnych i towarów na tej trasie. Pająki zarezerwowały dla nas kolejny podwójny przedział pierwszej klasy. Gdy się rozpakowywaliśmy,

zadzźwięczał dzwonek i w drzwiach pojawił się konduktor, który wręczył Baycie chip.

– To dane na temat JhanKla i Rastry? – zapytałem, gdy wyciągała czytnik.

– Konduktor nie wiedział, ale pewnie tak – odparła, wkładając chip i zerkając na ekran. Tak – potwierdziła, wręczając mi czytnik.

Zerknąłem na spis plików.

– Nie widzę tu niczego na temat tych dwóch Haików, którzy mnie zaatakowali w pokoju przesłuchań.

– Pewnie nie zdążyli jeszcze zebrać tych informacji. Skrzywiłem się. Cóż, lepszy rydz niż nic.

– Jak tam nasi Bellidowie?

– Dwaj z nich mają przedział zaraz za nami – odparła powoli. – Pozostała trójka poszła do ostatniego z wagonów trzeciej klasy.

– Będą nam potrzebne także ich profile i życiorysy – powiedziałem. – Lepiej od razu dodaj to do listy zadań dla Pająków.

– Dobrze – odparła, chwiejąc się lekko, bo pociąg właśnie ruszył. Zerknąłem na szybę za jej plecami, ale po tej stronie toru kręciło się tylko kilku robotników. – Mogę porozmawiać z zawiadowcą na następnej stacji – kontynuowała. – Ale do Sistarrko zostały tylko cztery dni. Mogą nie zdążyć z zebraniem wszystkich danych.

– Wszystko w porządku – powiedziałem, siadając w fotelu. – Na razie mam dość materiału do czytania. Chcesz się przyłączyć?

– Nie, dziękuję – odrzekła, odwracając się ku drzwiom. – Gdybyś mnie potrzebował, będę w swoim przedziale.

– Chwila – zatrzymałem ją, wyciągając rękę i naciskając przycisk otwierający przegrodę między naszymi pokojami. – Nie korzystajmy z korytarza częściej, niż to konieczne, dobrze? Mamy wścibskich sąsiadów.

– Och – zreflektowała się. – Jasne.

Minęła mnie i weszła do drugiego przedziału, po drodze ponownie naciskając przycisk. Poczekałem, aż zamknie się ścianka działowa, po czym przeniosłem się z fotela na łóżko. Wrzuciłem torby na półkę, przyciemniłem światła, wsparłem się wygodnie na poduszce i przystąpiłem do czytania.

Biorąc pod uwagę pośpiech, z jakim Pajaki zbierały te informacje, nie spodziewałem się wielkich rewelacji i miałem rację. Rastra urodził się w dobrej, ale niewysokiej rangą rodzinie i służył w straży, pnąc się po szczeblach kariery, aż wykazał się zdolnościami mediacyjnymi i awansował na Dekomplikatora. W tym zawodzie także piał się w górę, aż doszedł do rangi Falca i został rządowym dzokerem, udającym się wszędzie, gdzie rząd najbardziej go potrzebował. Pajaki dołączyły listę jego podróży transgalaktycznych z ostatnich pięciu lat, potwierdzającą fakt, iż spędził ostatnie trzy miesiące z JhanKla, bez wątplenia ułatwiając Wysokiemu Komisarzowi wędrówki przez mętne labirynty juriańskiego protokołu.

JhanKla dla odmiany urodził się niemal na szczycie łańcucha pokarmowego, w jednym z najznamienitszych halkańskich rodów. Był szkolony do roli arystokraty, a ukończywszy szkoły, otrzymał pracę komisarza we Vlizfa. Służył tam przez trzy lata, po czym kolejno awansował na coraz wyższe stanowiska w różnych halkańskich światach. Nie podano szczegółów jego promocji na Wysokiego Komisarza, ale w przypadku Haików mogła ona wynikać z zasług, fluktuacji w prestiżu rodowym, a nawet szczęśliwego trafu, dzięki któremu właściwa osoba zmarła we właściwym momencie. Większość podróży, które odbył czteroszynówką w ciągu ostatnich pięciu lat, nie wykraczała poza obszar Halkavisti.

Nic nie wskazywało na to, aby on i Rastra kiedykolwiek przedtem znajdowali się w tym samym układzie gwiazdnym. Połączyła ich dopiero obecna wizyta komisarza.

Miałem wrażenie, że na skraju mojego pola widzenia coś mruga. Podniosłem głowę, ale cokolwiek to było, zdążyło zniknąć. Przez chwilę rozglądałem się po pokoju, po czym przeniósłem uwagę z powrotem na czytnik i wymieniłem chip na ten z informacjami o systemie bezpieczeństwa wewnątrz Tuby.

Wcześniej przeglądałem go zaledwie przez kilka minut, ale mimo krótkiego czasu i łupania w głowie byłem pod wrażeniem tego, co przeczytałem. Teraz, gdy wgryzłem się w szczegóły, moje podniecenie wzrosło.

Czujniki Tuby wykrywały, rzecz jasna, materiały wybuchowe, w tym proch obecny w pociskach broni ręcznej. Tyłe wiedzieli wszyscy. Kiedy przeglądałem tekst po raz pierwszy, nie zauważyłem jednak, że detektory wyłapują też szeroką gamę bardziej niewinnych składników, z których można było zmontować coś, co może w nocy zrobić „bum”. Nawet ładunki domowej roboty nie powinny się precyzyjnie.

Lista obejmowała także sporo chemicznych i biologicznych środków trujących oraz organizmów chorobotwórczych, zarówno szybko, jak i wolno działających. O wielu z nich nigdy nawet nie słyszałem. Niektóre – takie jak saarix 5 czy węglík, atakujące w tym czy innym stopniu praktycznie każdy oparty na węglu organizm – stanowiły ogólne zagrożenie dla galaktyki. Inne jak HIV czy szorszyjska toksyna shellbeast, miały bardziej ograniczony zasięg.

Widniały tam wszystkie standardowe narzędzia do wywoływania chaosu, od broni plazmowej i laserowej o ogromnej mocy po pociski do gromników i szatkownic, z którymi byłem najlepiej obeznany, oraz urządzenia bardziej subtelne, takie jak miotacze strzałek, a nawet rzeczy tak marginalne jak kije do walk nunchaku czy policyjne pałki. Zachodziłem w głowę, czy istnieje jakaś broń, o której Pająki nie pomyślały.

Te wszystkie funkcje oczywiście przekraczały możliwości pojedynczego czujnika zamontowanego przy włazie, ale chip wyjaśniał i tę od dawna intrygującą zagadkę. Przy włazach były oczywiście czujniki prześwietlające podróżnych wysiadających z promów, ale głębsze i bardziej subtelne skanowanie miało miejsce już w drodze na peron i było wykonywane przez detektory umieszczone w podłożu Tuby i budynkach pomocniczych. Wskutek tego każda stacja czteroszynówki była olbrzymią komorą czujnikową, dyskretnie strzegącą podróżnych przed sobą nawzajem.

Ten element stacji z całą pewnością nie pochodził z zasobów budowlanych, stanowiących główną pozycję w bilionowym rachunku stacji. Musiał być dodawany później, z własnych środków pajaków. Być może, pomyślałem niechętnie, cena budowy tej stacji wcale nie była tak wygórowana, jak dotąd sądziłem.

Znów wydało mi się, że coś błysnęło nad czytnikiem, ale kiedy podniosłem głowę, nic nie zobaczyłem.

Tym razem jednak zauważyłem coś, co przedtem uszło mojej uwadze. Zaabsorbowany przeglądaniem plików i zagubiony w myślach, zapomniałem o przełączeniu okna w tryb nieprzepuszczalności.

Zmarszczywszy brwi, odłożyłem czytnik i całkowicie wyłączyłem światła w przedziale. Gdy moje oczy zaczęły przywykać do ciemności, w oknie pojawiła się blada iluminacja. Przez moment zastanawiałem się, skąd pochodzi; potem zrozumiałem, że patrzę na odbicie blasku Kręgosłupa, jarzącego się wysoko w górze, na ścianie Tuby.

Wstałem, podszedłem do okna i przez jakąś minutę spoglądałem w wieczną noc cylindra. Nagle

zadalem sobie pytanie, ile tysiecy lat swietlnych przemierzaja te tory. Bylo ich dosc, by polaczyc wszystkie znane nam zamieszkane swiaty, a podejrzewalem, ze kolejne gotowe linie czekaja na ewoluujace gatunki. Wkrótce Lista Dwunastu Imperiów zmieni się w listę trzynastu, czternastu, piętnastu...

Niespodziewanie z jakiegoś punktu w ogonie pociągu wystrzelił snop jaskrawoczerwonego światła. Wzdrygnąłem się. Światło zamigotało i zgasło. Uświadomiłem sobie, że w gruncie rzeczy nie było aż tak jaskrawe, choć wydawało się takim wobec łagodnego poblasku Kręgosłupa i moich rozszerzonych źrenic. Wpatrywałem się w miejsce, w którym się pojawiło, zastanawiając się, czy to ono mignęło mi wcześniej, i co to, u diabła, jest? Jakiś zbłąkany ogień? Semafor? Tu, w sercu pustki? Miałem nadzieję, że nie.

Znów zabłysło. Na próbę odwróciłem nieco wzrok. Wydało mi się, że dostrzegam w świetle jakieś migotanie.

Gdy znowu zgasło, nagle pojąłem.

Moja marynarka wisiała obok, na wieszaku czyszczącym. Gorączkowo grzebałem w kieszeniach, wyciągając własny czytnik i pakiet chipów. Klnąc pod nosem, usiłowałem odczytać etykiety dyskietaek w odbitym świetle Kręgosłupa. W końcu zlokalizowałem właściwą, wepchnąłem ją do otworu, włączyłem czytnik i przytknąłem go do szyby.

I nagle ujrzałem wszystko z jasnością, jakiej rzeczy nabierają dopiero z perspektywy czasu. Bellido z baru nie musiał się imać tak enigmatycznych metod jak podłączanie się do systemu komputerowego lub kontrolnego Pająków, by dać sygnał swoim kumplom z trzeciej klasy. Wystarczyło okno przedziału, prosty, niskoenergetyczny reflektor laserowy, modulator fluktuacji i ściana Tuby, służąca jako ekran dla sygnałów. Nic dziwnego, że jego kumple już na mnie czekali – pewnie zdążyli otrzymać polecenia, nim wyszedłem z pierwszego wagonu pierwszej klasy.

Czerwone światło znów zajaśniało, a ja przytknąłem czytnik do szyby, starając się utrzymać go nieruchomo. Sekwencja modulacji była stanowczo zbyt szybka dla ludzkich oczu, ale wbudowany w czytnik detektor powinien ją zapisać i spowolnić w stopniu pozwalającym mi na późniejsze odczytanie.

W ciągu następnych kilku minut światło zapaliło się i zgasło jeszcze trzy razy. Najwyraźniej Bellidowie byli w nastroju do pogawędki. Trzy minuty później światło błysnęło po raz ostatni i znikło.

Odczekałem przy oknie jeszcze pół godziny, nim wreszcie spasowałem, wróciłem do łóżka, włączyłem przyćmione światła i zabrałem się do roboty.

Miałem nadzieję, że Bellidowie zastosowali łatwy szyfr w rodzaju przetworzonego cyfrowo tekstu czy głosu, sądząc, że ich sposób komunikacji pozostanie niezauważony. Ale nic z tego. Wyglądało to na coś w rodzaju alfabetu Morse'a i nie pasowało do żadnego ze zwykłych bellidyjskich systemów kodowania.

Cóż, wiedziałem przynajmniej, jak się komunikowali. A to już było wiele, bo dawało mi pewien wgląd w charakter osób, z którymi miałem do czynienia. Wyglądali na sprytnych i stosujących proste sztuczki. Warto było o tym pamiętać.

Na razie jednak odczuwałem głównie odradzający się ból głowy i znużenie. Udałem się do maleńkiej łazienki, nalałem sobie trochę wody, łyknąłem kolejną tabletkę przeciwbólową i błyskolek, po czym zgasłem światło i rozebrałem się do snu.

Ostatnią rzeczą, jaką zrobiłem, nim wpełzłem pod kołdrę, było przestawienie czytnika w tryb

nagrywania i ustawienia go przy oknie. Na wszelki wypadek.

Spałem długo i smacznie, a zbudziłem się głodny jak wilk. Zajrzałem do sąsiedniego przedziału; okazało się, że Bayta już wstała. Wziąłem szybki prysznic, ogoliłem się i poszedłem wraz z nią do wagonu restauracyjnego.

Nie było tam żadnego z Bellidów. Pajęczy przyjaciele Bayty donieśli jej, że dwójka z pierwszej klasy zjadła już śniadanie i wróciła do swego przedziału, a ci z trzeciej jedli na zmianę. Obserwowałem kilku znajdujących się w pomieszczeniu Haików, zastanawiając się, czy JhanKla przyczepił nam ogon już na stacji, czy też po prostu wysłał wiadomość, by na nas czekali.

Żaden z nich nie wydawał się zwracać na nas uwagi – co, rzecz jasna, o niczym nie świadczyło.

Po zjedzeniu wróciliśmy do mojego przedziału i przez kilka minut przeglądaliśmy broszury o kurorcie na Modhrze, dyskutując o tym, co właściwie będziemy tam robić.

Ku mojemu zdumieniu, pierwszą kością niezgody okazał się już wybór kwatery. Bayta koniecznie chciała zostać na powierzchni, by móc obserwować Modhrę II i gazowego olbrzyma Casspa, ja zaś upierałem się przy wspomnianym przez JhanKla podwodnym hotelu. W końcu moja towarzyszka dała za wygraną i, wyraźnie urażona, zniknęła w swoim przedziale.

Gdy ścianka między naszymi sypialniami się zamknęła, zajrzałem do czytnika, by sprawdzić, czy Bellidowie ostatniej nocy wysłali jeszcze jakieś wiadomości. Nic nie znalazłem.

Reszta podróży minęła bez niespodzianek. Bayta przez większość czasu siedziała w swoim przedziale, widując się ze mną tylko podczas posiłków, a ja starałem się nadrobić zaległości w spaniu i leczeniu.

Dopiero kiedy przepakowywałem torby, oczekując na przybycie pociągu do Sistarrko, ponieważ przyszło mi do głowy, że informacje nie były jedyną rzeczą, o którą powinienem być poprosić Pajaki, gdy ta cała heca się zaczęła.

Przydałby mi się także pistolet.

JhanKla określił Sistarrko jako niewielki układ kolonialny, ale z rozmiarów i wyglądu stacji przesiadkowej wynikało raczej, że jest to coś w rodzaju stolicy regionu, jak Kerfsis. Biorąc zaś pod uwagę rozmiary dwóch okrętów wojennych, eskortujących nas po cichu w drodze z Tuby, wartość układu mogła być nawet większa.

Nie zapomniałem, że jest to ojczyzna słynnego koralu modhrańskiego i rozrastające się centrum turystyczne. Być może to wyjaśniało środki ostrożności.

Być może.

Przeszliśmy przez odprawę celną bez przygód. Znajdujący się w rączkach moich toreb saarix jedynie zaszeleścił, mijając czujniki. Nie byłem zdziwiony, że nie widzę żadnego z Bellidów. Halkowie mieli osobne stanowiska dla różnych klas podróżnych, a zdążyłem już zaobserwować, jak łatwo ta gromadka potrafi zmieniać klasę i status. Prawdopodobnie znajdowali się dwa poziomy pod nami, z pokorą czekając w kolejce trzeciej klasy.

A potem, rzecz jasna, zamierzali wyciągnąć z sejfów swoje prawdziwe karabiny rangi i podczas następnego spotkania stawić mi czoło w pełnym rynsztunku.

Uroczą perspektywę.

Ostroga Graklijska, podobnie jak cylindry czteroszynówki w każdym rejonie galaktyki, przecinała zewnętrzny system Sistarrko, przechodząc zaraz obok orbity Casspa. To znaczyło, że modhrański kurort przez większość każdej dekady znajduje się w sporej odległości od stacji, co za kilka lat mogło spowodować kłopoty w transporcie turystów. Na szczęście w tej chwili planeta była w niemal

najbliższym punkcie, więc czas podróży liczyło się w godzinach zamiast dni. Przedstawiciel przewoźnika skierował nas do odpowiedniej poczekalni, przy której oczekiwał już pięćdziesięcioosobowy, krótkodystansowy prom odrzutowy. Weszliśmy na pokład z trzydziestoma innymi pasażerami. Spodziewałem się widoku przynajmniej jednego z Bellidów, ale najwyraźniej uznali, że nic się nie stanie, jeśli spuszczą nas z oka.

Wystartowaliśmy w błysku przegrzanej ciężkojonowej plazmy, by po pięciu godzinach dotrzeć do otoczonego subtelnymi pierścieniami gazowego olbrzyma. Wyłączywszy napęd w sporej odległości od lodowej pokrywy Modhry I, przeszliśmy na szerszyjskie silniki nośnonapędowe. Kilka minut później osiedliśmy łagodnie na otoczonym światłami lądowisku.

JhanKla nie kłamał. Na horyzoncie widniała ogromna kula Casspa, z takimi samymi falującymi pierścieniami gazowymi i rozciągającymi się na tysiące kilometrów burzami jak na Jowiszu czy Saturnie w Układzie Słonecznym, ale z szerszym spektrum kolorów niż którykolwiek z tych dwóch światów. System pierścieni Caspa był co najmniej równie imponujący jak Saturna; niestety, ich większa część była dla nas niewidoczna. Nad naszymi głowami sunęła przez niebo Modhra II – lśniąca kula z kamienia i lodu, krążąca po wspólnej dla obu księżyców orbicie.

W ramach dodatkowej atrakcji kaprys niebiańskiej mechaniki umieścił ową orbitę dokładnie pod kątem prostym do pierścieni Casspa, dzięki czemu, gdy księżyce krążyły wokół wspólnego środka ciężkości, początkowo mieliśmy pierścienie nieco nad głowami, potem naprzeciwko, wreszcie poniżej, a potem znów powyżej. Ta zmieniająca się jak w kalejdoskopie panorama prawdopodobnie sama w sobie uzasadniała budowę w tym miejscu kurortu dla zmęczonych życiem turystów.

Budynek, obok którego wylądowaliśmy, był powiększoną repliką starożytnej Wysokogórskiej Fortecy Halkańskiej, zakończoną charakterystycznymi wieżyczkami w kształcie gwiazd. Nowoczesne wejścia ze śluzami powietrznymi nieco psuły efekt, ale żaden z księżyców nie był dostatecznie duży, by wytworzyć gęstą atmosferę. Bayta i ja, idąc w ślady pozostałych pasażerów, włożyliśmy skafandry próżniowe i kilka minut później cała nasza grupa ruszyła przez zamrożoną powierzchnię.

Wnętrze budynku także wystylizowano na Wysokogórską Fortecę. Pod bardzo starymi draperiami stały repliki halkańskiej broni z kilku minionych wieków. Iluzja rozciągała się nawet na procedury rejestracyjne: zamiast samoobsługowych komputerów dokonywali ich recepcjoniści w lekkich koleczkach. Gdy nadeszła nasza kolej, zapytałem o podwodny hotel i zostałem skierowany do szeregu ozdobnych wind oczekujących u wejścia. Dołączyliśmy do pięciorga innych gości, by piętnaście minut później wyłonić się w holu hotelowym, w samym środku czegoś, co można było nazwać jedynie podwodną krainą czarów.

Całe wnętrze było udekorowane wdzięczną mieszanką giętkich alg i wielokolorowych skał, otoczonych cienką warstwą szronu i zamrożonej morskiej piany. Duże, wypukłe okna ukazywały w całej krasie życie pod lodem, oświetlone przez szereg reflektorów szerokostrumieniowych. JhanKla powiedział, że te oceany osiagają głębokość pięciu kilometrów, ale kurort zbudowano na płytkim obszarze, więc z okien można było zobaczyć pokrywające dno pokłady słynnego modhrańskiego koralu.

Recepcjoniści mieli na sobie stroje przywodzące na myśl syreny, choć nie przypomniałem sobie, by w halkańskich mitach występowało coś podobnego. Ceny za jednoosobowy pokój były oburzające, a koszt apartamentu dwupokojowego okazał się znacznie przewyższać sumę znajdującą się na wszystkich moich sztabkach gotówkowych razem wziętych. Pajaki nie wpadły na pomysł dorzucenia do mojego biletu kolejowego pewnej ilości pieniędzy, wskutek czego byłem zmuszony zapłacić kartą

kredytową. Starałem się robić dobrą minę, ale w duchu byłem niemal pewien, że czeka mnie w związku z tym mnóstwo nieprzyjemności.

Cóż... Bayta uważała, że prawdopodobnie i tak tu zginę. Zero przyszłości, zero nieprzyjemności, zero problemów. Podpisałem paragon, po czym oboje udaliśmy się ku wskazanej windzie, by po raz ostatni zjechać na dół.

Nasz apartament okazał się mniej luksusowy niż wagon JhanKła, ale i tak był dość wystawny, a widok zdecydowanie nie przypominał tego, który można było zobaczyć z okna pociągu. Znajdowaliśmy się na najniższym poziomie hotelu, a przejrzysta podłoga i dwie boczne ściany oferowały nam niesamowity spektakl falującej wokół wody i rozpościerających się w dole raf. Pośrodku pokoju stały przodem do siebie dwie kanapy, między którymi znajdował się rozżarzony kominek – sztuczny, rzecz jasna, lecz bardzo realistyczny. Były też dwa wygodne fotele i sześć rzeźbionych drewnianych krzeseł, ustawionych wokół podobnego stołu restauracyjno konferencyjnego. Pod dwiema nieprzejrzystymi ścianami umieszczono biurko z komputerem i ogromne centrum rozrywki.

Sypialnia była równie przyjemna, choć mniejsza. Tu także podłoga i jedyna wychodząca na zewnątrz budynku ściana były przejrzyste. Pośrodku stało olbrzymie łóżko, mogące pomieścić parę Cymalczyków i co najmniej czwórkę ludzi średnich rozmiarów. Jedną ze ścian zajmował duplikat centrum rozrywki z salonu; pod drugą znajdowała się wielka szafa, wypełniona ubraniami o różnych stylach i rozmiarach.

W całym apartamencie nie było ani jednej pluskwy, co zdziwiło mnie bardziej niż wszystko inne.

– Podoba ci się? – zapytałem, przechodząc z sypialni do salonu.

Bayta stała przy jednej z przejrzystych ścian, wpatrzona w rafę i światła rzucane przez grupkę nurków i kilka miniaturowych łódek podwodnych, poruszających się wśród wzgórz.

– Jakby co, to mają tu też apartament królewski – dodałem. – Zawsze możemy się tam przenieść.

– Co właściwie zamierzasz robić? – zapytała, nie odwracając się. Od chwili naszego przybycia do Sistarrko wypowiedziała dwa słowa na krzyż, a mięśnie jej szyi były wciąż napięte.

– Zaczniemy od próby zrelaksowania – oznajmiłem, podchodząc i biorąc ją za rękę. A raczej: próbując ją wziąć za rękę. Nim wysliznęła ją z mojego ucisku, zauważyłem, że ma lodowato zimną skórę. – Nikt przecież nie będzie nas próbował zabić w tym miejscu. Od razu zrobiłby się szum.

– Więc poczekają, aż znajdziemy się na jakimś odludziu? – zapytała z nutką sarkazmu.

Wzruszyłem ramionami.

– Coś w tym stylu.

– Bo oczywiście wybieramy się na odludzie? – pytała dalej.

– Ja tak – odparłem. – Jak już wspomniałem, ty możesz zostać tutaj albo nawet wrócić do Tuby. – Podszedłem do biurka z komputerem. – Zobaczmy, jakie rozrywki nam tu oferują.

Okazało się, że mamy do wyboru całkiem sporo atrakcji JhanKła opowiedział nam już o sportach terenowych, ale w samym ośrodku także było co robić. Miał pół tuzina restauracji, od zwyczajnych do bardzo eleganckich, dwa teatry z obrotowymi scenami, grające spektakle obliczone na przyciągnięcie szerokiej widowni, zarówno halkańskiej, jak i obcej, a także w pełni wyposażone kasyno dla tych, którym po zapłaceniu za lokum i posiłki zostały jeszcze jakieś pieniądze. Nasze centra rozrywki miały dostęp do szerokiej – szerszej nawet niż kolekcja JhanKła

– gamy muzyki i ditreków.

– Zacznijmy od kasyna – zaproponowałem. – Chyba że wolisz popływać.

- Czy nie powinniśmy się skupić na śledztwie? – zapytała.
- Mamy czas – powiedziałem, wstając od biurka i podchodząc do niej. – Nim wydarzy się coś ciekawego, zapewne pojawią się nasi Bellidowie, których z całą pewnością zabrakło na promie. Albo postanowili polecieć późniejszym, który według rozkładu wylądowuje dopiero za osiem godzin, albo polecili do wewnętrznej części układu Sistarrko, co znaczy, że nie przybędą tu wcześniej niż za trzydzieści godzin.
- Po co mieliby lecieć do Sistarrko?
- Nie mam pojęcia – odparłem. – Może muszą jeszcze poczynić jakieś przygotowania.
- Albo właśnie tam ma mieć miejsce twój rzekomy test?
- Możliwe – przyznałem. – JhanKla skierował nas jednak tutaj, nie do Sistarrko, a fałszywego pijaka ewidentnie zainteresowała wzmianka o Modhrze. Nie, tu po prostu musi się coś zdarzyć, i to prawdopodobnie w ciągu najbliższych stu godzin.

Zmarszczyła brwi.

- Dlaczego akurat stu?
- Bo skrzynia, w której mnie zamknęli, zmierzała do Alrakae, znajdującego się o niecałe dwa dni drogi od Jurskali – wyjaśniłem. – Gdyby uwolniono mnie dopiero podczas wylądunku i musiałbym się cofać, stracilibyśmy w sumie właśnie około stu godzin. Jeśli zatem chodziło o wyeliminowanie mnie z gry na czas, kiedy tu będzie się coś działo, możemy założyć, że wszystko rozegra się w przedziale stu godzin.

Wskazałem roztaczający się przed nami widok.

- Zanim jednak się zjawią, nie mamy nic do roboty. Wykorzystajmy więc czas na rozpoznanie terenu.
- Skąd będziesz wiedział, że przyjechali?
- Są sposoby – zapewniłem ją. – Więc jak, kasyno czy basen?
- Kasyno – odparła z ociąganiem, odwracając się w stronę sypialni. – Cały ten lokal będzie pewnie wyłożony korałem modhrańskim – dodała nagle. – Nie dotykaj go, choćby nie wiem co się działo. Dobrze?
- Nie jest taki kruchy – rzekłem uspokajająco. – Widziałem zdjęcia, na których...
- Po prostu go nie dotykaj! – przerwała mi ostro. – Obiecuj mi, że go nie dotkniesz. Uniosła lekko ramiona, biorąc głęboki oddech. – Proszę – dodała ciszej.
- W porządku – zgodziłem się, zachodząc w głowę, o co tu chodzi. Skąd taki wybuch u mojej spokojnej, beznamietnej Bayty? – Skoro prosisz...
- Dziękuję. – Znow uniosła i opuściła ramiona. – Dobrze. Chodźmy już.

Wszystkie halkańskie kasyna były eleganckie, a ja nie przywozłem ze sobą żadnego wytwornego ubrania. Na szczęście w sypialnianej szafie znaleźliśmy trochę formalnych strojów, męskich i damskich. W dodatku wszystkie były remodami, co znaczyło, że gdy już wybierzemy najbardziej odpowiadające nam rozmiary, możemy podłączyć ciuchy do pokojowego komputera, by ten przemodelował je zgodnie z wymogami naszych sylwetek. Jedna z bardziej funkcjonalnych zabawek dla sławnych i bogatych.

Był środek popołudnia czasu miejscowego i kasyno przeżywało oblężenie. Zauważyłem kilka innych osób w hotelowych reniodach, ale większość klientów dumnie obnosiła się z własnymi, daleko bardziej wystawnymi strojami. W dwóch narożnikach sali znajdowały się bary odgródzone od reszty czymś, co wyglądało jak wysokie do pasa murki z okruciami koralu modhrańskiego, zanurzonego w kanalikach z szybko przepływającą wodą. Pośrodku kasyna stał pięciometrowy wodospad-fontanna z

sadzawką, również udekorowaną koralem.

– Widzę Bellidę – mruknęła Bayta, gdy przystanęliśmy u szczytu rampy prowadzącej z windy do sali głównej. – Przy tym długim zielonym stole.

– Stole do wlepek – uściśliłem. Wspomniany Bellido, ubrany w kompletny mundur wojskowy, bacznie przyglądał się, jak trzymający kości Haik odprawia tradycyjny rytuał, mający zapewnić udany rzut. Z tej odległości nie potrafiłem rozpoznać jego insygniów, ale spod obu pach wystawały mu kolby karabinów, co oznaczało, że prawdopodobnie mam przed sobą generała. – To halkański odpowiednik gry w kości.

– Ma na sobie wojskowy mundur, prawda?

– W istocie – przyznałem, otaczając ją ramieniem w talii i ruszając w dół rampy. – Chodź, wtopmy się w tłum. Ty pójdziesz w lewo, a ja w prawo.

– Mamy się rozdzielić? – zapytała, znów zaniepokojona.

– Nie pamiętasz, co mówiłem? W tłumie nikt nas nie tknie. – uspokoilem ją. – Po prostu dużo się uśmiechaj, słuchaj, co mówią, i nie wychodź z kasyna bez mnie. Spotkamy się za godzinę w niebieskim barze na końcu sali.

Dotarliśmy na parkiet. Ścisnąwszy dziewczynę pokrępijąco za ramię, puściłem ją i zanurzyłem się w wytwornym chaosie.

Dobrze wiedziałem, że hazard w prawdziwym życiu nie jest nawet w połowie tak dramatyczny, jak przedstawiają go w dramatach i kryminałach ditrekowych. Kluczowe decyzje rzadko, jeśli w ogóle, zapadały przy stolikach pokerowych, a czarny charakter nie spotykał się z bohaterem przy bakaracie, by prześcigać się w żartach i rzucać zawoalowane groźby.

Niewątpliwie jednak hazard zwracał ludzkie myśli ku pieniądзом i rekreacji, co z kolei rozwiązywało im języki. Kręciłem się więc w tłumie, nadstawiając uszu i zatrzymując się przy każdej trwającej grze, by trochę popatrzeć i posłuchać.

Podobnie jak w wagonach pierwszej klasy czteroszynówki, nie było tu segregacji rasowej. Niestety, w trakcie swojej pielgrzymki zorientowałem się, że interesy najwyraźniej załatwiano w bardziej prywatnych miejscach. Wszystkie rozmowy, które dotarły do moich uszu, dotyczyły albo aktualnej gry, albo rachunku strat i zysków z poprzednich, albo innych opcji rekreacyjnych dostępnych na Młodhrze I. Nawet trójka Cymalczyków, generalnie unikających ruchu jak ognia, gdy już osiągnęli pewien wiek i status, entuzjastycznie rozprawiała o popłynięciu łodzią podwodną do pobliskich kompleksów jaskiniowych i pokręceniu się po nich.

W końcu dotarłem do wodospadu-fontanny.

Był to typowy halkański element wystroju wnętrza, złożony z kilku niewielkich, umieszczonych na różnych poziomach fontann, z których woda wytryskiwała w górę, by następnie spływać po warstwach rzeźbionej skały. Każda fontanna tryskała na inną wysokość i z inną częstotliwością, co razem tworzyło miły dla oka artystyczny wzór. Dodatkowe wtryskiwacze na różnych poziomach wodospadu urozmaicały przepływ, wzburzając wodę i tworząc wiry lub niewielkie obszary piany. Basen w dole miał wysokość około metra, choć woda w nim dochodziła jedynie do pół metra głębokości, a całość otaczało wysokie do pasa obmurowanie, zakończone kolorowymi neonami wyświetlającymi niezależną sekwencję obrazów.

Jak już zauważyłem ze szczytu rampy, basen był wypełniony koralem.

Z bliska okazało się, że jest go znacznie więcej, niż pierwotnie sądziłem. Fragmenty, które dostrzegłem wcześniej, były wystającymi z wody wierzchołkami dużych formacji, te zaś ciągnęły się

po dnie basenu, miejscami całkowicie je zakrywając, a zakamuflowane kolorowe światełka wytwarzały kontrast i niesamowite cienie.

W każdym innym miejscu galaktyki dekoracja zawierająca taką ilość koralu modhrańskiego kosztowałaby miliony. Tu, pięćdziesiąt metrów ponad miejscem, w którym rósł, przypominało to trochę dekorowanie zimowej scenerii Yukonu rzeźbami lodowymi.

– O czym pan myśli? – wzniósł się ponad szmer tłumu jakiś głos.

Odwróciłem się. Za mną stał wskazany wcześniej przez Baytę bellidyjski wojskowy, leniwie poruszając trzymaną w rękę szklaneczką z czerwonym płynem i gapiąc się na wodospad. Teraz, widząc z bliska insygnia, zidentyfikowałem go jako Aposa, odpowiednik naszego generała brygady.

– Jest piękny – powiedziałem.

– Prawda? – zgodził się, przenosząc wzrok na mnie. – Taurine Mahf z Komendy Głównej Armii Ziemi Bellidosza.

– Frank Compton – odparłem. – Obecnie bez stanowiska. Zagulgotał.

– Ci durnie pozwolili panu odejść. Zmarszczyłem brwi.

– Słucham?

Jego wiewiórcza twarz zmarszczyła się w uśmiechu.

– Proszę wybaczyć – rzekł. – Pan jest tym Frankiem Comptonem, który pracował w Wywiadzie Ziemskiego Sojuszu Zachodniego, prawda?

– Zgadza się – odparłem, lustrując wzrokiem jego twarz. Nie pamiętałem jednak, bym ją kiedykolwiek przedtem widział. – Znamy się?

– Spotkaliśmy się raz, przed kilku laty – powiedział. – Na ceremonii otwarcia stacji w Nowym Tigris. Byłem jednym z gwardzistów Przewodniczącego Rady, przysłanych na powitanie pańskich ludzi.

– Ach, tak – odparłem, choć w istocie dobrze pamiętałem tamtą ceremonię i, o ile Apos Mahf nie przeszedł ostatnio znaczącej operacji plastycznej, miałem pewność, że nie było go wśród tamtych żołnierzy. – To była prawdziwa przygoda, co?

– W rzeczy samej – odparł, pociągając łyk napoju. – Czym właściwie się pan teraz zajmuje?

– W tej chwili pracuję dla biura podróży – powtórzyłem swoją bajeczkę. – To znacznie prostsze i bezpieczniejsze zajęcie.

– Mimo to nie można uniknąć niespodzianek – zauważył. – Słyszałem, że podczas ostatniej podróży czteroszynówką omal pan nie zniknął.

Poczułem nieprzyjemne mrowienie skóry.

– Co takiego? – zapytałem ostrożnie.

– Mam na myśli tę przygodę z wagonem bagażowym i anonimowym napastnikiem kontynuował Mahf.

– Bo nie wiadomo, kto to był, prawda?

– Niestety – przyznałem.

– Zupełnie nic pan nie wie? – nalegał Mahf. – Nawet informacja o tym, do jakiego gatunku należał, bardzo pomogłaby władzom.

– Nic nie widziałem ani nie słyszałem – odrzekłem. – Czy śledzenie kolejowych incydentów należy do pańskich zadań?

Machnął ręką w bellidyjskim ekwiwalencie wzruszenia ramionami.

– Skąd. Ale najwyższe sfery galaktycznej społeczności stanowią niewielką maszynę o ściśle połączonych trybikach, napędzanych plotkami i pogłoskami.

– Ach, tak – powiedziałem, postanawiając przeprowadzić mały eksperyment. – Istotnie, była to nieoczekiwana przygoda. Całkiem jak ta, którą przeżyła pewna starsza dama w klasycznym kryminale ditrekowym.

Mahf poruszył niepewnie wąsikami, po czym rozpogodził się.

– A, w tym „Starsza pani znika”. Rzeczywiście, podobna sytuacja. Cieszę się jednak, że to pan był górą.

– Ja też się cieszę – wymamrotałem zeszywniałymi wargami.

Mahf nie miał prawa wiedzieć, o jakim kryminale mówię. Istniało tylko jedno wytłumaczenie: musiał utrzymywać bezpośredni kontakt z kimś, kto jechał wraz ze mną w wagonie deluxe.

Pająki powiedziały Baycie, że wszyscy członkowie naszej grupy pozostali w Jurskali. Sprawdziłem rozkład pociągów zmierzających do Sistarrko i wiedziałem, że nawet gdyby wsiedli w następny, jeszcze by ich tu nie było. JhanKla lub Rastra musieliby zatem wysłać wiadomość, i to dość szczegółową, by zawierała nawet tytuły oglądanych przez nas ditreków. Drugą możliwością była ta, że Pająki nie powiedziały Baycie prawdy.

Albo też ona nie powiedziała prawdy mnie.

– Widzę, że podziwiasz pana koral – wdarł się w moje myśli głos Mahfa.

Nic takiego nie robiłem, ale skinąłem głową.

– Piękny, prawda? Niestety, nasze prawo nie pozwala na jego import.

– Szkoda – rzekł, wskazując fontannę. – Przypuszczam zatem, że nigdy nie miał pan okazji go dotknąć.

W głowie zadźwięczało mi dziwne ostrzeżenie Bayty. Czy cała galaktyka miała obsesję na punkcie tej ozdoby?

– Nie, ale kilkakrotnie dotykałem ziemskiego koralu – odparłem. – Bardzo szorstki, ostry i kłujący.

– Ale to koral modhrański – rzekł z wyrzutem Mahf. – Ma zupełnie inną fakturę niż jakikolwiek inny w galaktyce. Ściślej rzecz biorąc, nie przypomina w ogóle niczego.

Podszedłem do muru i spojrzałem w dół. Nigdy wcześniej nie widziałem koralu modhrańskiego z tak bliska. Był zdumiewająco jaskrawy, kolorowy i lśniący. Ziemski koral leżał bez ruchu, karząc nieostrożnych nurków nieprzyjemnym dotykiem chropawej powierzchni; ten jednak wyglądał na elastyczny, nawet puszysty. Nie miałem pojęcia, co się za tym kryje.

– Śmiało – mruknął Mahf. Stał tak blisko, że czułem na szyi jego oddech. – Niech pan spróbuje. Jest bezpieczny i bardzo przyjemny w dotyku.

– Nie, wystarczy mi widok – powiedziałem, prostując się i robiąc długi krok do tyłu. Matka nauczyła mnie nigdy nie dotykać nieznanymi obiektów.

Z twarzy Mahfa znikła nagle wesołość, ustępując miejsca kamiennej masce. Przez dłuższą chwilę po prostu gapił się na mnie. Potem, ku mojej uldze, spod maski znów wyrzwał uśmiech.

– Nie śmiałbym polemizować z tą radą – rzekł Apos. – Żegnaj, panie Compton. Życzę przyjemnego pobytu.

W rozmieszczonych wzdłuż ścian kabinach siedziało pół tuzina kasjerów, oddzielonych od klientów tradycyjnymi kratami w kształcie płomienia.

– Czym mogę panu służyć? – zwrócił się do mnie jeden, gdy podszedłem do okienka.

– Czy mają państwo gry online? – zapytałem.

– Oczywiście – odparł, wyjmując z pojemnika modem. – Potrzebny panu czytnik?

– Dziękuję, mam własny – powiedziałem, biorąc od niego modem i ruszając w stronę baru.

Wybrałem stolik, przy którym mogłem obserwować całe kasyno, i wyjąłem czytnik, a przy okazji, ukradkiem, także detektor. Włączyłem czytnik i udałem, że wkładam do środka modem, w rzeczywistości umieszczając tam czujnik. Potem rozsiadłem się na krześle i pograżyłem w rzekomej grze, którą zastąpiłem skanem wszystkich połączeń na częstotliwości zarezerwowanej dla komunikatorów.

Biorąc pod uwagę rozmiary kurortu, ruch na linii był zdumiewająco niewielki, co – jak uświadomiłem sobie później – mogło stanowić proste odzwierciedlenie faktu, że ludzie przyjeżdżają tu na wypoczynek. Wszystkie przechwycone przeze mnie sygnały były rzecz jasna zakodowane, a ja nie miałem przy sobie narzędzi pozwalających na złamanie szyfru.

W zasadzie jednak wcale nie chodziło mi o to, by podsłuchiwać rozmowy.

Większość wiadomości stanowiły halkańskie przekazy cywilne, więc zająłem się nimi w pierwszej kolejności. Różniły się złożonością i strukturą w zależności od tego, jak bardzo ich twórcom zależało na zachowaniu tajności, ale wszystkie odpowiadały charakterystycznemu halkańskiemu wzorcowi. Zaraz za nimi plasowały się przekazy Cymalczyków, co również nie dziwiło, biorąc pod uwagę bliskość Republiki Cymalskiej. Zignorowałem więc obie powyższe kategorie, podobnie jak tuzin cywilnych systemów juriańskich i dwa pirkijskie.

Poza nimi nie było nic. Nic, co w jakimkolwiek stopniu przypominałoby wzorce stosowane przez arystokrację halkańską, do której należał JhanKla. Jak również nic, co trzymałoby się standardowych wzorców bellidyjskich, czy to wojskowych, czy cywilnych.

Kątem oka zauważyłem jakiś ruch. Podniosłem głowę. Bayta usiadła na sąsiednim krześle.

– Coś się stało? – zapytała. – Mieliliśmy się spotkać za godzinę.

– Wszystko w porządku – odparłem, wyłączając czytnik i wyjmując chip. – Po prostu się zmęczyłem.

Jesteś pewna, że JhanKla albo któryś z jego ludzi nie wsiadł do naszego pociągu w Jurskali?

– Pajaki mówiły, że wszyscy zostali.

– Skoro tak twierdzą, to chyba możemy im zaufać – powiedziałem, bardzo chcąc w to wierzyć. – No dobrze. Zauważyłaś coś ciekawego?

– Właściwie nie – rzekła, marszcząc lekko brwi. – Większość osób rozmawia wyłącznie o toczących się grach.

– Taaa, ja też się tego nasłuchiwałem. A Cymalczycy? Podsłuchiwałaś jakichś?

– Była jedna grupa – odparła Bayta. – Rozmawiali o popłynięciu łodzią do pobliskiej podmorskiej jaskini.

– Ciekawe – zauważyłem. – Moi też o tym mówili.

– Mnie się to nie wydaje zbyt ciekawe – mruknęła dziewczyna. – Podobnie jak cała reszta.

– I o to chodzi – powiedziałem, spoglądając przez murek na falujący tłum graczy. – Kiedy ostatnio byłaś w takim tłumie i nie słyszałaś ani jednej rozmowy o interesach?

Wydęła wargi.

– Może robią to w innym miejscu.

– Może – odparłem. – Ale nie słyszałem też nic o rodzinach ani o polityce. O nich też rozmawiają w innym miejscu?

Zerknęła ukradkiem w kierunku siedzącej o kilka stolików od nas pary Haików.

– Co sugerujesz? – zapytała cicho.

– Nie jestem pewien – powiedziałem. – Na ogół nie zakładam, że wszyscy oprócz mnie są w coś wtajemniczeni. Ale tym razem... zaczynam mieć wątpliwości.

– Chcesz powiedzieć, że to jakiś spisek?

– Przyznaję, że to oklepana teoria – odparłem. – Ale sama mówiłaś, że nie mam tu przyjaciół. A Apos Mahf dodał, że finansowa elita stanowi zwartą społeczność.

– Apos Mahf?

– Bellido, którego wcześniej mi wskazałaś – wyjaśniłem. – Twierdzi, że spotkaliśmy się wcześniej.

– Jest twoim znajomym?

– Tak mówi. Rzekomo poznał mnie na ceremonii, w której przed kilku laty istotnie brałem udział, ale chyba nie wie, że mam bardzo dobrą pamięć do twarzy. Nawet bellidyjskich.

– Skąd jednak mógłby wiedzieć, że tam byłeś, skoro sam nie był?

– Stąd, że w jakichś wiadomościach, w których transmitowano wizytę VIP-ów, przypadkiem pokazano także kilku członków ochrony, w tym mnie – powiedziałem. – Zresztą nieźle mi się za to później oberwało, jakby to była moja wina. – Przytknąłem palec do ust, porażony nową myślą. – Hej, to nasz stary przyjaciel Applegate tak mnie wtedy zrugął. Chciałem powiedzieć: nasz stary znajomy – poprawiłem się.

Był to malutki żarcik, na który nie oczekiwałem wielkiej reakcji. Bayta nie zaszczyciła mnie żadną.

– O czym rozmawiałeś z tym Mahfem? – zapytała natomiast.

– Usiłował odnowić naszą nieistniejącą znajomość, a potem zapytał mnie o niefortunne zdarzenie z pociągu. Co ciekawsze, wiedział o tamtej podróży rzeczy, o których nie powinien mieć pojęcia. To dlatego cię zapytałem, czy Pajaki nie mogły przeoczyć czyjegoś wyjazdu z Jurskali.

– Nie – odparła stanowczo Bayta.

– W takim razie ktoś musiał mu przysłać diabelnie szczegółowe sprawozdanie mruknąłem, chowając czytnik do kieszeni. – Wracajmy do pokoju i sprawdźmy rozkład wycieczek łodziami podwodnymi.

Wyglądała na przestraszona.

– Czym?

– Łodziami podwodnymi. Mają tu spore wzięcie – zauważyłem. – A co? Coś nie tak?

– Nie, wszystko w porządku – zapewniła mnie, speszona. – Po prostu...

– Nie lubisz, jak się ciebie wodzi za nos? – zasugerowałem. Zacisnęła usta.

i – Coś w tym stylu.

– Ja też za tym nie przepadam – powiedziałem znacząco. – Ale ktoś znów zadał sobie mnóstwo wysiłku, żeby usypać ścieżkę z okruszków chleba. Chcę zobaczyć, gdzie ona się kończy.

– A jeśli na końcu jest pułapka? Wzruszyłem ramionami.

– Mam nadzieję, że ją zauważymy, nim damy się złapać.

Hotel oferował trzy różne wycieczki łodziami, dwie do odległych formacji koralowych i jedną do jaskiń, o których Bayta i ja tyle się nasłuchaliśmy w kasynie. Wszystkie bilety na ten dzień były wyprzedane, ale zostało jeszcze kilka miejsc na wczesny poranek następnego dnia. Zarezerwowałem dwa bilety. Po chwili namysłu zamówiłem też obiad w restauracji.

Zostało nam kilka godzin, więc Bayta udała się do sypialni na krótką drzemkę. Ja zaś nalałem sobie drinka z automatu pokojowego i usiadłem przy komputerze, by dowiedzieć się wszystkiego, co możliwe, o Casspie, dwóch Modhrach i modhrańskini ośrodku wypoczynkowym.

Obiad, podobnie jak wszystko w tym miejscu, był iście pięciogwiazdkowy. Gdy już najedliśmy się do syta, pobuszowaliśmy trochę po sklepach. Kupiłem Baycie komplet spinek do włosów i podróżny zestaw do makijażu. Nie była specjalnie zachwycona. Cała ta idea włączenia się po sklepach ewidentnie śmiertelnie ją nudziła, ale dobry agent biura podróży nie powinien zapominać o takich

rzeczach.

Nie, żebym sądził, że ktokolwiek jeszcze wierzy w tę bajeczkę. Ale trzymając się jej, mogłem przynajmniej ich nabrać, że niczego nie podejrzewam, i uspić ich czujność. Uff! Chwilami to wszystko stawało się zbyt skomplikowane nawet dla mnie.

Gdy już zrobiliśmy wszystkie niepotrzebne zakupy, wróciliśmy do apartamentu i zamknęliśmy drzwi na noc. Było zbyt wcześnie, by iść spać, więc przestawiliśmy okna w tryb nieprze-zroczystości i włączyliśmy ditrek. Wybrałem kolejny kryminał Hitchcocka, „Północpółnocny zachód”, opowieść o człowieku prześladowanym przez niepojęte dla niego siły. Jeśli ten temat poruszył sumienie Bayty, nie okazała tego.

Ponieważ musieliśmy wstać o świcie, położyliśmy się wcześnie. Jak już zauważyłem, łóżko w sypialni było obszerne i wyglądało na wygodne. Na moje szczęście kanapa w salonie również okazała się wygodna.

– Nadszedł czas, by najodważniejsi spośród nas opuścili bezpieczne schronienie łodzi i wyruszyli na podbój jaskiń – obwieścił przewodnik, specjalnie dla nas przechodząc z halkańskiego na angielski. – Uprzedzam jednak, że są one rozległe, a tylko niewielka część została zbadana i naniesiona na mapy. Proszę więc trzymać się obszarów zaznaczonych światłami.

Skinąłem do Bayty i oboje nałożyliśmy hełmy. Tylko kilkoro spośród dwudziestu pasażerów poszło w nasze ślady; pozostali woleli zostać na pokładzie i zrobić jeszcze jedną rundkę wokół obrzeży jaskiń. Nie uszło też mojej uwagi, że mimo wyrażanego poprzedniego dnia entuzjazmu żaden z Cymalczyków nie wybrał się na przejażdżkę łodzią.

Skończywszy przygotowania, ustawiliśmy się w kolejce do wyjścia. Przewodnik szybko sprawdził nasz sprzęt, a potem wysyłał parami do służby powietrznej. Gdy przyszła kolej na Baytę i mnie, musieliśmy wysłuchać ostatniego kazania na temat trzymania się wyznaczonych ścieżek, nim w końcu znaleźliśmy się na zewnątrz.

Wiedziałem, że woda jest lodowata, ale skafandry ciśnieniowe były świetnie zaprojektowane, więc czułem tylko lekki chłodek. Sprawdziłem kontrolkę dmuchawy, po czym ruszyłem wraz z Baytą za pozostałymi ku szerokiemu wylotowi jaskiń, czując, jak strumień wody pod ciśnieniem liżą mi stopy. Przy samym wylocie uderzył w nas przeciwny prąd, ale wystarczyło trochę pomanewrować i ustawić dysze pod innym kątem, by się precyzyjnie.

Przed laty zwiedziłem kilka jaskiń, w tym dwie podwodne, w porównaniu z którymi te tutaj wcale nie robiły wielkiego wrażenia. Światła rozmieszczono jednak w optymalny sposób, co pozwalało dostrzec w bocznych tunelach różne ciekawe formacje.

– Chcesz obejrzeć jakiś konkretny tunel? – rozległ się w głośniczku mojego hełmu głos Bayty.

– Niekoniecznie – odparłem swobodnym tonem, wiedząc, że hełm jest także połączony z łodzią. Nic, co tu powiemy, nie pozostanie między nami. – Zajrzyjmy do tego.

Machnąłem latarką w stronę tunelu, którym nikt inny nie wydawał się zainteresowany. Przepłynęliśmy przez główną pieczarę i zajrzeliśmy do środka.

– Strasznie zakręcony – zauważyła Bayta. – I tylko fragment jest oświetlony.

– Nie taki znowu zakręcony – zaoponowałem, przyglądając się skalistym ścianom. Rzeczywiście, tunel nie był aż tak zakręcony, w każdym razie nie dla nas. Ale nawet stąd widziałem, że Halkowie mogliby się w kilku miejscach nie precyzyjnie.

Czy to dlatego wrobili nas w przyjazd tutaj? Chcieli, żebyśmy zbadali dla nich miejsca, do których sami nie mogli się dostać?

Oświetlając latarką okoliczne ściany, zauważyłem nagle coś ciekawego. O kilka metrów od nas w skale znajdował się płaski, niepasujący do otaczającej go nierównej powierzchni fragment.

– Przecież nie przyjechaliśmy tu po to, żeby się trzymać utartych szlaków – dodałem, machając nogami i wpływając do tunelu. – Sprawdźmy, dokąd nas zaprowadzi ta droga.

Nie pomyliłem się. Fragment, który wcześniej zwrócił moją uwagę, istotnie był płaski i z pewnością nie powstał w sposób naturalny. Coś twardego, prawdopodobnie metalowego, uderzyło o skałę z taką siłą, że dokładnie wypolerowało powierzchnię. Innymi słowy, przetransportowano tędy – prawdopodobnie niedawno – coś wielkiego i ciężkiego.

Zaświeciłem w głąb tunelu. Teraz, gdy wiedziałem, czego szukać, zauważyłem kilka kolejnych płaskich fragmentów. Jeden z nich znajdował się bezpośrednio przed ostatnim światłem znakującym. Spojrzałem na Baytę i wskazałem jej jedno, a potem pozostałe gładkie miejsca. Zmarszczyła brwi, a potem uniosła je w pytającym geście i postukała się w tornister z generatorem powietrza i systemem dysz. Pokręciłem głową, przyciskając koniuszek palca do elastycznej pokrywy, by pokazać, że jest zbyt miękka, by w ten sposób porysować ściany.

– Chyba kończą nam się światła – powiedziałem głośno, chcąc, by mnie usłyszano w łodzi.

Wykonałem zamaszysty gest, a Bayta skinęła głową ze zrozumieniem.

– Moglibyśmy dolecieć przynajmniej do końca – zaproponowała. – Mamy mnóstwo czasu.

– Brzmi nieźle. – Unosząc kciuk na znak aprobaty, ruszyłem naprzód.

Pozostałe płaskie miejsca wyglądały mniej więcej tak samo jak to, które już obejrzałem. Co ciekawe, żadne z nich nie znajdowało się w szczególnie wąskim punkcie tunelu. Wyglądało na to, że ktoś, kto transportował przedmiot, zachowywał ostrożność w niebezpiecznych miejscach, ale gdy przeprawa stawała się łatwiejsza, poczynił sobie dość nonszalancko.

Gdy dotarliśmy do ostatniego znacznika, poświeciłem latarką w głąb tunelu. Zaraz za znacznikiem zauważyłem kolejny płaski fragment skały, większy od pozostałych, jak gdyby transportującym bardzo się spieszyło, by minąć światło i ukryć się w ciemnościach.

Musieli mieć nóż na gardle, bo nie tylko uderzyli o ścianę niesionym przez siebie ciężarem, ale najwyraźniej wbili jego przód w skałę. Tuż przed płaskim obszarem widniała bowiem naturalna wypukłość z nienaturalnym zagłębieniem. Przyjrzwawszy mu się, oceniłem, że przód tajemniczego przedmiotu miał około piętnastu centymetrów średnicy i kończył się czubkiem otoczonym jakimś zakrzywionym, spiralnym kształtem.

Do złudzenia przypominającym kształt przemysłowej koronki wiertniczej.

Wskazałem go Baycie. Skonsternowana, zmarszczyła brwi, ale gdy wskazałem ręką pograżony w mroku obszar tunelu, skinęła głową. Zerkając za siebie, by sprawdzić, czy nikt nie siedzi nam na ogonie, płynąłem w ciemność.

Najbardziej zdradliwy okazał się pierwszy odcinek. Metr za zagłębieniem w kształcie koronki znajdowało się najwęższe miejsce w dotychczasowej części tunelu, a zaraz za nim ostry skręt w lewo. Musiałem się zgiąć w pasie i precyzyjnie przód, a potem obrócić się, by nie zaklinować nóg. Chłopaki z wiertarką najwyraźniej miały podobny problem, bo na samym zakręcie jeszcze dwa razy wyrznęły nią o ścianę. Na szczęście woda w tym miejscu była spokojna; przy takim prądzie jak ten, na który trafiliśmy u wylotu jaskini, nie mielibyśmy szans.

Za zakrętem tunel prostował się i rozszerzał. Zaczekałem, aż Bayta poradzi sobie z przewężeniem, po czym razem ruszyliśmy dalej.

Po kilku kolejnych metrach tunel zmienił się w trudny do ogarnięcia plaster miodu, łączący się z

innymi tunelami i dzielący na kilka odchodzących w różne strony odnóg. Na szczęście byłem przewidujący i zabrałem ze sobą jaskrawoczerwony błyszczący, wyjęty z nowego zestawu kosmetycznego Bayty. Dzięki temu mogłem na każdym rozwidleniu i w potencjalnie mylących punktach robić na kamieniu znaki, które pozwolą nam wrócić do punktu wyjścia.

Kimkolwiek jednak był nasz niezdarny właściciel wiertarki, najwyraźniej posprzątał po sobie. Na przestrzeni kolejnych kilku metrów znalazłem jeszcze dwa ślady, a potem, gdy labirynt wyjątkowo się zapętlił, znaki znikły. Spenetrowałem kilka odnóg na niewielkiej długości, ale nic nie znalazłem.

Właśnie wycofy

wałem się z ósmej odnogi, gdy Bayta poklepała mnie po ramieniu i znaczącym gestem wskazała swój nadgarstek. Niechętnie skinąłem głową, wiedząc, że jeśli nie wrócimy na czas, Halkowie mogą po nas wysłać ekipę poszukiwawczą. Obróciłem się i ruszyłem przodem ku przewężeniu, a następnie dalej, ku pokrępijącemu blaskowi świateł znacznikowych.

Wróciliśmy w samą porę. Ledwie tunel stał się dostatecznie szeroki, żebyśmy mogli włączyć napęd, zobaczyliśmy, że większość nurków zebrała się już przy łodzi i czeka na przejście przez śluzę. Odpaliliśmy dmuchawy i podpłynęliśmy do nich, by po kilku minutach znaleźć się z powrotem na pokładzie.

– Witamy – rzekł przewodnik, gdy odpinaliśmy hełmy i otrząsaliśmy się z wody. – Mam nadzieję, że mieli państwo przyjemną i pouczającą wycieczkę.

– Oczywiście – zapewniłem go z uśmiechem. – Niezwykle pouczającą.

Wróciliśmy do hotelu, mijając po drodze kilka mniejszych, pomocniczych łodzi, które poprzedniego dnia widzieliśmy z okna apartamentu. Zdjęliśmy skafandry, oddaliśmy je do przebieralni i opuściliśmy przystań. Zbliżała się pora lunchu i choć widziałem, że Bayta nie może się doczekać chwili, w której znajdziemy się w pokoju i będziemy mogli porozmawiać, uparłem się, żeby najpierw zajrzeć do restauracji. Dopiero po szybkim posiłku wróciliśmy na dół.

Wpuściłem Baytę do środka, wszedłem, zamknąłem drzwi. I wtedy w końcu poczułem coś, na coś czekałem od chwili wyjazdu z Nowego Jorku: łagodne pulsowanie zegarka na skórze.

Kiedy buszowaliśmy w głębinach oceanów, ktoś założył nam pluskwy w pokoju.

– Czy te ślady były tym, czym myślę, że były? – zapytała Bayta, gdy już zablokowałem drzwi.

– Prawdopodobnie – odparłem, wskazując jedną z kanap i gorączkowo przeredagowując w głowie to, co zamierzałem powiedzieć. Było kilka rzeczy, o których spokojnie mogłem powiedzieć niezidentyfikowanym słuchaczom. Szczerze mówiąc, niektóre półprawdy nawet warto było im wcisnąć. Ale istniały też sprawy, które za wszelką cenę musiałem przed nimi ukryć. – O ile myślisz, że zostały zrobione przez kogoś walącego w ściany przemysłową wiertarką – dodałem.

– Coś w tym stylu – powiedziała powoli, siadając na kanapie. – Ale po co Halkowie mieliby tam zanosić wiertarkę?

– Po pierwsze, to nie byli Halkowie – sprostowałem. – Ze swoim układem stawów nie precyzyjnieliby się przez ten zakręt. Mam nieodparte wrażenie, że ktokolwiek to zrobił, wybrał ten tunel właśnie dlatego, że jest niedostępny dla Haików.

– Ale dlaczego? – dziwiła się. – Co takiego może tam być?

– Jak to co? Pusta przestrzeń. Pamiętasz, przewodnik wspominał, że jaskinie są ogromne i nie zostały całkowicie zbadane. Czy to nie najlepsze miejsce do ukrycia czegoś dużego przed innymi?

– Ale jak duże to mogło być? – zapytała z powątpiewaniem. – Sami ledwo się precyzyjnieśmy.

– Właśnie dlatego potrzebowali wiertarki – wyjaśniłem. – Sądzę, że ktoś dotarł w odległy zakątek

jaskiń i znalazł pieczarę odpowiadającą wielkością tej, przez którą wpłynęliśmy do środka. Potem wywiercił sobie prywatne wejście, zaczynając od środka, żeby nie pozostawić walających się tu i ówdzie odprysków. Potem zaniósł do pieczary to, co chciał ukryć, i zakamuflował wejście, tworząc idealną przechowalnię.

– Ale na co? – zapytała ostrożnie Bayta. – Co oni tam trzymają?

– Podejrzewam – odparłem z myślą o nieznanym słuchaczach – że którąś z hotelowych łodzi podwodnych.

Zrobiła wielkie oczy... – Łódź?

– No, przecież nie turystyczną – dodałem pospiesznie. – Jedną z tych maleńkich łodzi pomocniczych, które widzieliśmy dziś rano. Jeśli chce się przewieźć coś pokaźnego, trzeba mieć taką łódkę.

– Chcesz powiedzieć, że ukradli łódź, żeby coś przetransportować? – zapytała powoli Bayta, najwyraźniej nie ogarniając tego wszystkiego. – Ale co?

– Nie mam pojęcia – odparłem. Niestety, było to w stu procentach prawdą. – Wiem jedynie, że na Modhrze znajduje się ukryta głęboko pod lodem i wodą pieczara skalna, tak niedostępna, jak tylko może być cokolwiek w miejscu posiadającym regularne połączenia kolejowe i promowe. – Zerknąłem na zegarek. – Nic jednak nie zdołaliśmy, siedząc tu z założonymi rękami. Za kilka godzin przylatuje następny prom ze stacji kolejowej. Jedźmy na powierzchnię i przyjrzyjmy się, jak ląduje. Potem możemy trochę pochodzić albo pojeździć na sankach.

Szczęka opadła jej o kilka centymetrów.

– Chcesz jeździć na sankach?

– Jasne – odparłem. – Przecież nie chcemy, żeby ktoś się zastanawiał, po co sterczymy na powierzchni, obserwując kolejne wschody i zachody Modhry II, prawda?

Zacisnęła usta.

– Pewnie, że nie.

– Świetnie – odparłem, wstając. – Sprawdźmy, jakie ubrania do chodzenia po powierzchni mamy w szafie.

Oprócz różnych oficjalnych strojów było tam także kilka cienkich, lecz ciepłych kostiumów, zaplanowanych jako dopełnienie izolacji standardowego skafandra próżniowego. Gdy Bayta przebierała się w jeden z nich, ja zadzwoniłem do recepcji, by sprawdzić procedury związane z wychodzeniem na powierzchnię i zarezerwować dwa skafandry. Sama natura tego miejsca sprawiała, że nie mogliśmy się wymknąć niezauważeni, ale miałem nadzieję, że nasi podsłuchiwanie kupili pretekst, który przedstawiłem Baycie, i nie zwrócą wielkiej uwagi na nasze wyjście na wielkie pustkowie.

Gdy przeszliśmy przez służę i znaleźliśmy się na powierzchni, błądy krąg Modhry II znajdował się wysoko w górze, a większość północnej strony nieba zajmowały wielobarwne, jarzące się pierścienie Casspa. Znajdowaliśmy się poniżej płaszczyzny pierścieni, a światło odległej gwiazdy, odbite od unoszących się w powietrzu fragmentów lodu i skały, prowadziło nad naszymi głowami zdumiewającą grę światła i cienia.

– Jeździłaś już kiedyś na sankach? – zapytałem Baytę, gdy przemieszczaliśmy się skokami wzdłuż czerwonych słupów, wskazujących drogę do tuneli toboganowych.

– Nie. To brzmi dość niebezpiecznie – dobiegł z głośnika w moim hełmie jej głos. – I bezsensownie.

– Wskazała jeden ze słupów. – Nie są trochę za wysokie jak na znaczniki szlaku?

– To słupy trakcyjne przyszłego systemu wyciągów – wyjaśniłem. – Czerwone będą prowadziły do

tuneli dla toboganów, a niebieskie i zielone do tras narciarskich.

– Skąd wiesz? – Piszą o tym w broszurze.

– Aha.

Dotarliśmy do stóp wzgórza, w którym według mapy znajdowało się wejście do tuneli toboganowych, i ruszyliśmy w górę. Mimo podbitych kolcami butów trochę się obawiałem wspinaczki po lodzie, ale okazała się całkiem prosta. Lód był dość chropawy, a grawitacja i temperatura otoczenia zbyt niskie, żeby nasz ciężar pozostawiał zdradliwe wodniste ślady. Przez chwilę zastanawiałem się, jak to wpłynie na nasze manewrowanie sankami, ale szybko dałem sobie z tym spokój. Ludzie od dłuższego czasu radzili sobie z ekstremalnymi warunkami fizycznymi, a projektanci kurortu z pewnością wiedzieli, co robią.

Wyloty trzech tuneli rozmieszczono wokół terenu odpoczynkowego, skąd rozchodziły się w trzech różnych kierunkach, znikając pod ziemią. Wokół każdego wejścia znajdowały się wtopione w lód kręgi świateł, a dobiegający z dołu blask świadczył o tym, że podobnych świateł możemy się spodziewać na całej długości tuneli. Trzy postacie w skafandrach próżniowych prawdopodobnie Halkowie, choć nie dostrzegalem ich twarzy za maskami – przygotowywały właśnie swój tobogan do wjazdu w tunel numer trzy. Ruszyły, nim odczepiliśmy swoje sanki od plecaków. Patrzyłem, jak znikają za pierwszym zboczem, po czym przeniosłem wzrok na wschód, gdzie czerwone słupy wspinały się na kolejną grupę wzgórz i znikały po drugiej stronie.

– Obiecałeś, że mi pokażesz, jak się na tym jeździ – przypomniała mi Bayta.

– Jasne – odparłem, rozpinając pasy i mając nadzieję, że coś z tego pamiętam. – Najpierw musisz to otworzyć...

Przygotowaliśmy sanki i ruszyliśmy w kierunku tunelu numer jeden. Całe szczęście, że wybrałem najmniej wymagającą trasę, choć i ona okazała się ponad moje możliwości. Nie dość, że projektanci idealnie wypolerowali lód, to jeszcze prawdopodobnie zainstalowali pod powierzchnią podgrzewacze, by zapewnić właściwą temperaturę do wytworzenia tej cienkiej warstwy, której brak zauważyłem podczas wspinaczki na wzgórzu.

Co gorsza, Bayta, która nie miała w saneczkarstwie żadnego doświadczenia, radziła sobie lepiej ode mnie. Przewracała się dwa razy rzadziej niż ja, a pod koniec przejazdu ośmieliła się nawet przejechać przez jedną z trzydziestu sześciu spiral, do których ja nie wjechałbym, nawet gdyby mi za to płacili. Zmniejszona grawitacja ułatwiała takie wyczyny, ale nie była to wielka pociecha dla mojej zranionej dumy.

Dotarliśmy na metę, wytracając prędkość na długim wypłaszczeniu i zatrzymując się przy windach. Rozpięliśmy pasy i weszliśmy do kabiny. Nacisnąłem przycisk wiodący na powierzchnię.

– Można tym zjechać na dół? – zdziwiła się Bayta, wskazując dolny przycisk.

– Tak – odparłem – do hotelu. Winda zatrzymuje się bezpośrednio nad holem. Pewnie specjalnie tak to zaplanowali, żeby poobijani amatorzy mogli pokuśtykać prosto do pokoju i paść na łóżko albo do wanny z hydromasażem.

– Pewnie tak – odparła. – Fajna zabawa.

Spojrzałem jej w twarz poprzez maskę. Bayta, dziewczyna bez nazwiska, która kiedyś spokojnie oznajmiła mi, że nie obchodzi jej, czy będę żył, czy umrę, teraz uśmiechała się z zaróżowionymi od wysiłku policzkami. Nigdy przedtem nie widziałem jej tak ożywionej.

– Fakt – przyznałem. – Musimy to powtórzyć, gdy już przestaną mnie boleć kolana.

Zerknęła na mnie i spoważniała, jakby nagle przypomniała sobie, po co w ogóle wyszliśmy na

powierzchnię.

– Tak – powiedziała. – Może... może po prostu posiedzimy na którymś ze wzgórz w pobliżu pensjonatu, popatrzymy na pierścienie i poczekamy, aż odpocznesz.

– Dobra – zgodziłem się.

Wysiedliśmy z windy w pensjonacie, obok wypożyczalni sprzętu i jednej ze śluz powietrznych. Wyszliśmy na zewnątrz i ponownie ruszyliśmy wzdłuż czerwonych słupów ku wierzchołkowi pierwszego wysokiego wzgórza. Tam znaleźliśmy wygodne miejsce do siedzenia. Otoczyłem Baytę ramieniem, dając jej znak, by wyłączyła komunikator.

Pochyliłem ku niej swój hełm, mając nadzieję, że w oczach ewentualnych obserwatorów wyglądamy na zakochaną parę, spędzającą czas tak romantycznie, jak tylko się da w skafandrach próżniowych.

– Słyszysz mnie? – zawołałem.

– Tak! – odkrzyknęła. Przenoszony przez tworzywo naszych hełmów głos brzmiał metalicznie. – Dlaczego chciałeś patrzeć na lądowanie promu?

– Wcale nie chciałem – odparłem. – Ale ktoś założył nam pluskwy w pokoju, gdy byliśmy na wycieczce łodzią, więc musiałem wymyślić pretekst, żeby cię zabrać w miejsce, w którym nikt nie będzie nas słyszał.

– Założyli nam podsłuch? – zapytała, wzburzona. – Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Gdzie, w pokoju?

– O kurczę. – Wzburzenie ustąpiło miejsca zawstydzeniu. – No jasne. Nie mogłeś.

– Z tego samego powodu musiałem ci wcisnąć kilka półprawd – kontynuowałem. Poczawszy od tej o śladach wiertarki na ścianach tunelu. Ktoś rzeczywiście je zrobił, ale ktokolwiek to był, niczego tam nie ukrył. W każdym razie niczego ważnego.

Odchyliła się, żebym zobaczył, jak marszczy brwi. Potem poruszyła ustami. Postukałem w jej maskę. Skrzywiła się, jeszcze bardziej zawstydzona, i ponownie przyłgnęła hełmem do mojego.

– Przepraszam – powiedziała. – Pytałam, skąd wiesz.

– Po pierwsze, było to trochę zbyt oczywiste – odparłem, kątem oka obserwując ją w nadziei, że się zorientuję, ile wie. Na razie wyglądało na to, że nie wie nic. – Ślady znajdowały się w oświetlonych miejscach, nie zrobiono nic, by je ukryć lub usunąć, i urwały się zaraz za przewężeniem, w miejscu, do którego Hałkowie nie mieli szans dotrzeć.

– Może transportujący po prostu zaczęli bardziej uważać.

– Nie – powiedziałem. – Pamiętasz ten prąd, na który wpadliśmy przed jaskinią? Jego obecność oznacza, że w podziemnym oceanie Modhry występują pływy, prawdopodobnie wywoływane przyciąganiem Casspa. W tunelu, który badaliśmy, nie było jednak żadnych prądów. Gdyby ktoś zrobił na drugim końcu otwór, o którym mówiliśmy, woda rzucałaby nami w tę i we w tę jak gupikami, nawet gdyby był zakamuflowany.

– Więc po co robili te znaki?

– W tym samym celu, w którym pijany Bellido zagadnął mnie w pociągu – powiedziałem.

– Potrzebowali czegoś wielkiego i rzucającego się w oczy, żeby odwrócić wzrok i myśli ludzi od czegoś innego.

– Więc wcale nie ukradli łodzi? – zapytała, kompletnie już zagubiona.

– Szczerze mówiąc, sądzę, że jednak ukradli – odparłem. – Fałszywy pijak miał wszelkie cechy prawdziwego, co oznacza, że ci ludzie przywiązują wielką wagę do szczegółów. Jeśli się chce, żeby ktoś przetrząsał jaskinie, trzeba mu dać ku temu dobry powód.

– Rozumiem – rzekła Bayta. – I nie chcesz, żeby Hałkowie się o tym dowiedzieli?

– Nie – odparłem, obserwując ją bacznie. – Bo myślę, że Bellidowie są po naszej stronie. Przez moment panowała cisza. Pomyślałem, że to dobry moment, by Bayta wyznała mi, że już to wie, i zdradziła wszystko inne, co wie na temat Modhry i tego, co się tu dzieje.

Nie zrobiła tego.

– Mówisz o ludziach, którzy uderzyli cię w głowę i zamknęli w skrzyni z przyprawami? zapytała natomiast.

– Mówię o ludziach, którzy nie zrobili mi krzywdy – mruknąłem, niespodziewanie czerwieniąc się ze złości. – O ludziach, którzy mogli mi po prostu złamać nogę, gdyby naprawdę chcieli na jakiś czas wyeliminować mnie z gry. – Obróciłem hełm, by móc jej spojrzeć w oczy. O ludziach, którzy nie okłamywali mnie w żywe oczy od samego początku tej historii.

Jej twarz stężała nagle.

– Co sugerujesz?

– Jak to co? – wypaliłem, czując, że mam tego dość. – Dobrze wiesz, co się tu dzieje. Wiesz wszystko o JhanKla i Bellidach. Od początku wiedziałas.

Chciała się wyrwać, ale złapałem ją za tył hełmu i przyciągnąłem do siebie.

– Powiedz mi, że się mylę – rzuciłem ochryple. – Powiedz, że mam manię prześladowczą.

– Frank, przepraszam! – wyjąkała, wyrzucając słowa wraz z obłoczkami pary. Na jej twarzy malował się lęk; mięśnie gardła poruszały się szybko. – Nie mogłam..

– Jasne, że nie mogłaś – przerwałem jej. – Więc teraz mi powiedz, dlaczego nie miałbym po prostu wycofać się z tej cholernej gry.

– Nie! – wykrztusiła, patrząc na mnie już nie z lękiem, a z przerażeniem. – Proszę. Nie możesz odejść.

– A to dlaczego? – zapytałem butnie. – Bellidowie mnie nie skrzywdzili, bo fałszywy pijak widział, jak biorę chip od Pajaka, i domyślił się, że jestem po ich stronie. Tyle że tak naprawdę nie jestem po ich stronie, co? Nie jestem po niczyjej stronie. Jestem po prostu frajerem.

Puściłem jej hełm, zbyt zde gustowany, by znieść jego dotyk.

– Nie zamierzam pozostawać frajerem, Bayto – oznajmiłem – Ani dla ciebie, ani dla twoich przeklętych Pajaków.

Oddychała głęboko, jak człowiek, który próbuje powstrzymać atak paniki. – Proszę, Frank – wyjąkała. – Proszę. Nie możesz mnie tu zostawić... Nie miałem zamiaru tego słuchać. Wstałem, odwróciłem się do niej plecami i ruszyłem w dół lodowym zboczem. Szedłem i dalej, wspinając się na kolejne wzgórze, a potem schodząc w dolinę. Gdy już straciłem Baytę z oczu, przystanąłem i podniosłem głowę, by spojrzeć na zmieniający się wzór pierścieni, połyskujących lekko na modhrańskim niebie.

To właściwa decyzja, pomyślałem stanowczo. Powinienem się obrócić, wrócić do hotelu, spakować swoje manatki i odlecieć następnym promem prosto do Tuby. Może nawet wrzucę ten luksusowy karnet do kominka, dając dobitnie do zrozumienia jej i tym całym Pajakom, co o nich myślę. Na świecie były znacznie ciekawsze zajęcia niż siedzenie na zimnym księżycu i czekanie, aż ktoś mnie ustrzeli. Im szybciej stąd odleczę, tym lepiej.

Już prawie podjąłem decyzję, gdy przed oczami duszy przemknęła mi twarz martwego posłańca, leżącego przed New Pallas.

Pajaki zadały sobie mnóstwo trudu, by mnie zwabić do tej gry. A ktoś inny zadał go sobie jeszcze

więcej, by mnie z niej wyeliminować.

I niech mnie diabli, jeśli stąd odejdę, zanim się dowiem, o co w tym wszystkim chodzi.

Bayta siedziała w tym samym miejscu co przedtem, szczerze oplatając rękoma podkurczone pod brodę kolana. Jej całe ciało drżało, jakby wstrząsał nim strach czy gniew. Usiadłem obok niej... i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, co naprawdę oznacza to drżenie.

Moja stoicka, wykuta z kamienia Bayta zwyczajnie płakała. Nasze hełmy zetknęły się.

– Jeszcze jedno pytanie – powiedziałem, starając się brzmieć spokojnie. – Czy Bellidowie rzeczywiście są po naszej stronie?

Zamrugała, próbując powstrzymać łzy.

– Tak sędzę – odparła sztywno. – To znaczy w gruncie chodzi nam o to samo. Tyle że oni... działają niezależnie

Skrzywiłem się. Niezależne działania były zwykle bezużyteczne, czasem nawet odnosiły skutek przeciwny do zamierzonego a przy tym niosły ze sobą zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Ale w świecie wywiadu i tajnych operacji ich istnienie było, niestety nieuniknione.

– Znasz ich plany?

Zamknęła oczy, wyciskając z nich jeszcze kilka łez. – Nie.

Wzięłem parę uspokajających oddechów. To wszystko było mi zupełnie, ale to zupełnie niepotrzebne.

– W porządku – powiedziałem. – Spróbujmy się tego dowiedzieć.

Otworzyła oczy, spoglądając na mnie nerwowo, jakby oczekiwała kolejnego wybuchu.

– To znaczy, że zostajesz?

– Chwilowo tak – odparłem, nie chcąc na razie składać długoterminowych obietnic. Włączy komunikator i wracajmy do tuneli.

Sięgnąłem do włącznika swojego komunikatora, ale Bayta złapała mnie za rękę.

– Kiedyś ci powiedziałam, że nie jestem twoją przyjaciółką – powiedziała drżącym z emocji głosem.

– Ale nie jestem też twoim wrogiem.

Spojrzałem w jej oczy; oczy, które niczego już nie ukrywały. Teraz były to oczy prawdziwej, żywej istoty.

– Miło mi to słyszeć – odrzekłem. – Gdy będę chciał, żebyś znów wyłączyła komunikator, dam ci znak.

Włączyłem swój, po czym ruszyliśmy z boczem w górę. Bayta nadal była zbyt roztrzęsiona, by udawać swobodną pogawędkę, musiałem więc podjąć monolog traktujący o tym, że w pierwszym przejeździe po prostu miała fart debutanta. Mniej więcej w połowie drogi dziewczyna w końcu doszła do siebie na tyle, by włączyć się do rozmowy.

Po dojściu do tuneli nie zatrzymaliśmy się, lecz poszliśmy dalej wzdłuż słupów, wspinając się na kolejne wzgórze. JhanKla wspominał, że trwa budowa dwóch dalszych tuneli; wydawało się logiczne, iż Halkowie zaprojektują przyszły wyciąg tak, by obsługiwał wszystkie pięć.

Po dotarciu na szczyt istotnie ujrzeliśmy dwa wielkie otwory, spoglądające na siebie ze zboczy przeciwległych wzgórz. Podobnie jak w przypadku pierwszej trójki, teren pomiędzy nimi wyrównano, by stworzyć miejsce na odpoczynek i przygotowania. Na razie znajdowało się tam mnóstwo ciężkiego sprzętu i skrzyń. Część sprzętu była połączona z przewodami i kablami różnego koloru i średnicy, które następnie znikwały w otworach. Nikogo nie było w zasięgu wzroku, a w tunelach panowały ciemności.

Dałem Baycie znak, by wyłączyła komunikator.

– Jesteśmy w domu – powiedziałem po wyłączeniu swojego, stykając się z nią hełmami.

– To znaczy gdzie? – zapytała, marszcząc brwi.

– To klasyczna technika odwracania uwagi – wyjaśniłem. – Angażujesz uwagę przeciwnika w innym miejscu, by móc spokojnie prowadzić działania w innym. Bellidowie zaangażowali Haików w jaskiniach, a sami uwili sobie gniazdko tutaj. Nieużywany tunel, obstawiony mnóstwem sprzętu i narzędzi... Można tu ukryć praktycznie wszystko.

– Ale pracują tu halkańcy robotnicy – zauważyła.

– Tylko w dzień – powiedziałem, zerkając na zegarek. – Potem schodzą na dół, pozostawiając to miejsce bez opieki. Tak jak teraz.

Ruszyłem naprzód, ona jednak złapała mnie za ramię.

– A jeśli w środku są Bellidowie?

– Nie ma ich – zapewniłem ją. – Nie mogli jeszcze wrócić z Sistarrko.

– Chyba że wcale nie polecili do Sistarrko, tylko przylecieli z Tuby późniejszym promem.

Pokręciłem głową.

– Wczoraj wieczorem, gdy już poszłaś spać, poszperałem trochę w systemie komputerowym ośrodka. Lista klientów hotelu jest zawsze zabezpieczona, ale dane restauracji i obsługi hotelowej są łatwiej dostępne. Wczoraj podano tylko dwa zestawy bellidyjskich dań, w tym jeden prawdopodobnie Aposowi Mahfowi.

– Myślisz, że on dla nich pracuje?

– Z całą pewnością nie – odparłem. – Po pierwsze, za wszelką cenę chciał ode mnie wydobyć informację o tym, kto mnie zamknął w skrzyni z przyprawami. Po drugie, usiłował mnie skłonić do dotknięcia korala.

Bayta gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Ale nie zrobiłeś tego? – zapytała z niepokojem, zaciskając palce na moim ramieniu.

– Nie, nie. Nawet nie podszedłem – zapewniłem ją pospiesznie, nie mogąc znieść jej napięcia. – Ale może powinnaś mi powiedzieć, o co chodzi z tym koralem.

Przełknęła ślinę.

– Nie mogę – powiedziała, puszczając moje ramię. – Musisz mi zaufać.

Przez chwilę znów chciałem ją postraszyć, że odejdę. Ale podjąłem już decyzję i nie chciałem blefować, bo mogłoby to zabrzmieć niewiarygodnie.

– Jasne – mruknąłem. – Chodźmy.

Ruszyłem po lodzie w kierunku tunelu znajdującego się po lewej stronie, na północ od wypłaszczenia. Po chwili wahania Bayta podążyła za mną.

Tunel z całą pewnością miał stanowić większe wyzwanie niż to, któremu wcześniej stawiliśmy czoło. Pierwszy odcinek był znacznie bardziej stromy. Na szczęście halkańcy robotnicy wykuli sobie schodki po lewej stronie tunelu. Wyjąłem latarkę, chwyciłem się poręczy i ruszyliśmy.

Przez pierwszych piętnaście metrów szło jak z płotka. Później dotarliśmy do miejsca, w którym toczyły się prace, i mogliśmy się przekonać, jak skomplikowana jest cała ta konstrukcja. Miałem rację, podejrzewając obecność ukrytego systemu grzewczego: cały tunel otaczały szerokie płyty cienkiej siatki, zagrzebanej na głębokość kilku centymetrów w miejscu, którym w przyszłości miały przejeżdżać tobogany.

Co kilka metrów trafialiśmy na wybite w ścianach wielkie dziury, wewnątrz których znajdowały się

różne urządzenia. Niektóre rozpoznawałem bez trudu: minigeneratory dla świateł i grzejników, rejestratory udarowe podobne do tych używanych na arenach sportowych w celu uprzedzenia personelu o możliwej potrzebie pomocy medycznej. O przeznaczeniu pozostałych nie miałem pojęcia. Po kolejnych stu metrach zakrętów tunel kończył się wklęsłą ścianą, przed którą stało kilka ciężkich jednostek do topienia lodu i dwie wysokoprężne pompy, podłączone do grubych przewodów.

Bayta przytknęła swój hełm do mojego.

– Nic tu nie ma – powiedziała. – Może w tym drugim.

– Może – odparłem, lustrując ścianę po drugiej stronie tunelu i myśląc o tym, że gdybym ja chciał coś ukryć, umieściłbym to jak najdalej od używanych ścieżek. – Możesz powoli wracać, a ja jeszcze się przejdę.

Przeszedłem na drugą stronę tunelu i ruszyłem pod górę, świecąc to na lodową ścianę, to na biegnące wzdłuż niej kable i węże. Nawet przy niskiej grawitacji w kilku miejscach musiałem się podciągnąć na tych kablach, by podejść do góry.

W połowie drogi przez pewien szczególnie ciasny zakręt, w miejscu, w którym tunel gwałtownie spadał, wreszcie coś znalazłem. Pochwyciłem wzrok Bayty i przywołałem ją gestem.

Cofnięcie się do miejsca, w którym mogła przejść na drugą stronę i dołączyć do mnie, zajęło jej minutę.

– Spójrz – powiedziałem przez hełm, wskazując wąż do odwadniania. – W tym miejscu ma trochę inny kolor.

Przyjrzała się.

– Wygląda jak łąta.

– Świetnie – przyznałem, czubkami palców odklejając łątę z jednej strony i odsłaniając kilka niewielkich otworów. – Patrz: prowizoryczne urządzenie do zmieniania wody w mgiełkę, która w zetknięciu ze ścianą zamarza. – Dotknąłem ściany tunelu. – Choćby w tym miejscu. Bayta pokręciła głową.

– Nie rozumiem.

– Powiedzmy, że chcesz wybić dziurę w ścianie – powiedziałem. – Samo wybicie to pestka. Potrzebujesz jedynie wrębiarki plazmowej z wiązką ciągłą albo palnika jądrowego. Trudniej potem ukryć dziurę. Potrzeba wody i sposobu na doprowadzenie jej tutaj.

Wskazałem wąż.

– Na szczęście masz pod ręką jej świeży zasób na końcu tunelu. Wystarczy kilka małych dziurek, dobre oko, może jakaś mała szlifierka do wyrównania większych nierówności i gotowe.

– Ale wąż wypompowuje wodę tylko wtedy, gdy robotnicy pracują.

– Jasne. Sprzęt jednak stoi tu cały czas – zauważyłem. – Nietrudno byłoby zakraść się tu nocą i na chwilę odpalić pompę, żeby wciągnęła tylko tyle wody, ile potrzeba do zamknięcia otworu. – Uniosłem brew, porażony nagłą myślą. – Mogli nawet wkręcić się do ekipy roboczej i zrobić to przed samym nosem Haików. Wielu Bellidów umie mówić w obcych językach bez naleciałości – słyszałem, jak niektórzy to robią – a w tych skafandrach trzeba naprawdę dobrze zajrzeć komuś w maskę, żeby go rozpoznać. Przy odpowiedniej dozie chaosu można sobie wyobrazić taki scenariusz.

Bayta ostrożnie dotknęła ściany koniuszkami palców.

– A jak my się tam dostaniemy?

Przyjrzałem się ścianie, żałując, że nie mam przy sobie czujnika.

– Teraz nie damy rady – odparłem z ociąganiem. – Możliwe, że nas obserwują, a ja nie chciałbym

zdradzić kryjówki Bellidów, dopóki się nie dowiemy, co kombinują. Najlepiej będzie poczekać, aż tu przyjdą i sami nam ją otworzą. Zerknąłem przez ramię w głąb tunelu.

– Albo możemy się przystroić w kombinezony robocze i odwiedzić jutrzejszą zmianę.

Zrobiła wielkie oczy.

– Oszalałeś?

– Prawdopodobnie – przyznałem. – Ale i tak warto się nad tym zastanowić. Tymczasem przyjrzyjmy się drugiemu tunelowi.

Potem pójdziemy na sanki.

Wspięliśmy się do wylotu tunelu i ruszyliśmy przez wypłaszczenie. Roboty w południowym tunelu były posunięte mniej więcej tak daleko jak w północnym. Przeszukałem go z taką samą uwagą, ale nie znalazłem żadnych śladów nieautoryzowanych działań. W końcu, ku wyraźnej uldze Bayty, wyszliśmy i ruszyliśmy ku działającym tunelom.

Tym razem poradziłem sobie ze zjazdem znacznie lepiej. Niestety, Bayta szybko się uczyła, więc i tym razem przewyższała mnie umiejętnościami. Potem zjechaliśmy windą na dół. Oddaliśmy skafandry i resztę sprzętu do recepcji i ruszyliśmy przez hol ku windom prowadzącym do pokojów.

– Co teraz? – zapytała Bayta.

– Kolacja, a potem zaraz do łóżek – odparłem, gdy mijaliśmy jedną z sal obserwacyjnych.

– Jutro możemy mieć mnóstwo...

– Compton! – zawołał z sali jakiś głos, przedzierając się przez gwar rozmów. – Frank! Tutaj!

Ugryzłem się w język i zwróciłem wzrok w tamtym kierunku.

Był to pułkownik Applegate. Siedział przy jednym ze stolików, uśmiechał się przyjaźnie i machał do mnie.

A naprzeciwko niego, z wystudiowaną obojętnością na twarzy, zasiadał wicedyrektor ONZ Biret Losutu.

Człowiek, który kiedyś powiedział, że chciałby mnie widzieć martwym.

– Co robimy? – szepnęła Bayta.

Przez długą chwilę rozważałem obrócenie się do nich plecami i kontynuowanie marszu. Mogłoby to jednak zostać odebrane jako lęk przed stanięciem twarzą w twarz z Losutu, a niech mnie diabli, jeśli pozwoliłbym komukolwiek odnieść takie wrażenie.

– Sprawdźmy, czego chcą – odparłem, ujmując ją za ramię i prowadząc w stronę ich stolika. –

Uszanowanie panom – powiedziałem. – Cóż za niespodzianka!

– Dla nas także – rzekł Applegate. – Chociaż, jak się zastanowić, właściwie nie powinienem być zaskoczony. Agent biura podróży, poszukujący egzotycznych miejsc, prędzej czy później musi trafić na Modhrę.

– Prawda, że jest niezwykła? – zapytałem, przenosząc wzrok na Losutu. – Witam, dyrektorze.

– Witam, panie Compton – odparł, spoglądając na mnie swoimi ciemnymi oczyma z na wpół pogardliwym, na wpół rozbawionym wyrazem twarzy, który strasznie mnie irytował podczas przesłuchań w ONZ-ecie półtora roku temu. – Więc pracuje pan teraz dla biura podróży? Interesująca zmiana profesji.

– Dzięki temu zadaję się z lepszymi ludźmi – odparłem. – Widzę, że dba pan o pieniądze Konfederacji równie starannie jak zawsze.

Rozbawienie zniknęło z jego twarzy.

– Co takiego? – zapytał z nutką przestrogi.

– Chcę powiedzieć, że chyba przeoczyłem broszurę, w której piszą o Modhrze I jako o wiodącym ośrodku handlu bronią.

Losutu przeniósł wzrok na Applegate’a.

– Pułkownik? Applegate przygryzł wargę.

– Być może wspomniałem panu Comptonowi o naszej misji – przyznał. – Myślałem, że jako były agent naszego wywiadu...

– Najistotniejsze w tym zestawieniu jest słowo „były” – przerwał mu Losutu, po czym znów przeniósł wzrok na mnie. – Co konkretnie pan wie, panie Compton?

– Zamierza pan kupić kilka drogich myśliwców do ochrony stacji transferowych w Nowym Tigris i Yandro – odparłem, zmuszając się do patrzenia mu w oczy. Byłem cywilem, a ponadto znajdowaliśmy się bardzo daleko od jego niewielkiego lenna. – Mam wrażenie, że to marnotrawstwo środków.

– W tych dwóch systemach gwiazdnych żyją trzy miliony obywateli Konfederacji – odparł oschle. – W samym Yandro żyje ich prawie pół miliona. Mógłbym dodać: wbrew pańskim prorocstwom.

– Nigdy nie twierdziłem, że nie da się tam żyć – zauważyłem. – Mówiłem tylko, że to miejsce nie jest warte kosztów budowy stacji czteroszynówki.

– Tych pół miliona osadników nie zgodziłoby się z panem – odparł. Teraz, gdy mógł się uciec do wyuczanej racjonalizacji, którą stosował pewnie z tysiąc razy w ciągu ostatnich kilku lat, uspokoił się nieco. – Granice są ważne dla ludzkiego ducha, niezależnie od tego, czy natychmiast zarabiają na sobie, czy nie. Proszę dać tym ludziom jeszcze dwadzieścia lat, a będzie pan zdumiony tym, co stworzą. Na razie jednak musimy im zapewnić ten sam stopień bezpieczeństwa i ochrony co panu. – Wydął wargi. – Cokolwiek myśli pan o mnie jako człowieku, wykonuję tylko swoją pracę.

– Pracę, przy której może pan nam trochę pomóc – wtrącił Applegate. – Sojusz Zachodni ma pewne problemy z przyjęciem propozycji pana dyrektora. Mógłby nam pan nieco utorować drogę.

Chciałem mu przypomnieć, że już mi to proponował w pociągu. Była to jednak, rzecz jasna, tajemnica, a wpędzając go w większe tarapaty, nie zyskałbym nic z wyjątkiem jego małosłownej zemsty.

– Mam wrażenie, że przecenia pan moje wpływy – rzekłem zamiast tego.

– Zdziwiłby się pan – nie ustępował Applegate. – Tak czy owak, może pan przynajmniej obejrzeć myśliwce, które bierzemy pod uwagę, i wyrazić swoją opinię.

Pokręciłem głową.

– Przykro mi, ale w moim kalendarzu nie ma miejsca na wycieczki do Republiki Cymalskiej.

– Nie szkodzi – odparł. – Dwa spośród myśliwców stacjonują tu, na Modhrze.

Poczułem, jak siedząca obok mnie Bayta sztywnieje.

– Po co? – zapytałem.

– W celu ochrony ośrodka wypoczynkowego i miejsc pozyskiwania koralu, rzecz jasna rzekł Losutu, spoglądając na mnie z większym zamyśleniem, jakbym był narzędziem, które ewentualnie może się na coś przydać. – Umieszczono je na drugim księżycu, Modhrze II, żeby nie rzucały się w oczy.

– Jasne – zgodziłem się cynicznie. – Przecież nie chcemy niepokoić klientów. Sądziłem jednak, że interesują panów myśliwce cymalskie – dodałem.

– Owszem – rzekł Applegate. – Chafta 669, wspólny projekt cymalsko-halkański. Rozmowy miały się odbyć w Grakli, ale wystąpiło pewne zamieszanie logistyczne. Ludzie, z którymi musieliśmy porozmawiać, znajdowali się na drugim końcu republiki i mieli wrócić dopiero za kilka dni.

Najbliższe chafty znajdowały się na Modhrze, więc jeden z negocjatorów zaproponował, żebyśmy tu przyjechali i poprosili Haików o demonstrację.

– Kiedy się odbędzie? – zapytałem.

– Jutro rano – odrzekł Applegate, po czym zerknął pytająco na Losutu, otrzymując w odpowiedzi mikroskopijne wzruszenie ramion. – Czy zechciałby nam pan potowarzyszyć?

– Szczerze mówiąc, bardziej odpowiadałoby mi popołudnie – odparłem.

Losutu burknął coś pod nosem.

– Jesteśmy już umówieni na rano – wyjaśnił Applegate, ostrzegając mnie wzrokiem, żebym nie utrudniał sprawy.

Jednak jego lenno również znajdowało się daleko stąd.

– W takim razie życzę przyjemności – powiedziałem, ujmując Baytę pod ramię. – I miłego wieczoru. Przeszliśmy przez salę i już mieliśmy wsiąść do windy, gdy usłyszałem za plecami szybkie kroki. Obróciłem się i zobaczyłem wściekłego Applegate’a.

– Niech to szlag, Compton – warknął. – Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś cholernie upartym sukinsynem?

– Raz czy dwa – odparłem. – Rozmawiamy jak dwaj cywile czy jak sługus ONZ-etu z cywilem?

Spojrzał na mnie spode łba, ale najwyraźniej nie miał ochoty się spierać.

– Posłuchaj. Wiem, że nie lubisz Losutu, ale on naprawdę robi to w interesie Konfederacji. Czy naprawdę nie jesteś w stanie zmienić jutrzejszych planów i polecieć z nami?

Pokręciłem głową.

– Chcę pojechać na wycieczkę do Formacji Balercombu. Autobus wyrusza wcześniej rano. Czytał pan o tych formacjach?

Prychnął.

– Nie jesteśmy na wakacjach.

– Powstały sto lat temu, kiedy jakieś czterdzieści kilometrów stąd rozbiły się o powierzchnię fragmenty komety – wyjaśniłem. – Wielokrotne uderzenia i późniejsze fale uderzeniowe roztrzaskały i stopiły mnóstwo lodu, który niemal natychmiast zaczął z powrotem zamarzać, tworząc kilkanaście kilometrów podziurawionej powierzchni z mnóstwem wzgórz, jaskiń i dziwacznych formacji.

– Fascynujące – burknął bez najmniejszego zainteresowania. – A jeśli podrzucimy cię tam po obejrzeniu myśliwców? Mógłbyś sobie pozwiedzać, a potem wrócić autobusem z resztą grupy.

– Nie wiem – powiedziałem, wyteżając umysł. Na jutrzejszy ranek planowałem w pierwszym rzędzie eksplorację nowych tuneli i wycieczka autobusem ani trochę mi się nie uśmiechała. Wiedziałem, że jeśli szybko czegoś nie wymyślę, zostanę zdemaskowany. – Podobno w drodze do formacji wiele opowiadają o historii. Naprawdę chciałbym posłuchać.

Zdesperowany, wypuścił ze świstem powietrze. – Daj mi przynajmniej szansę przekonania cię.

– Właśnie ją daję.

– Nie tu – odparł. – Zapraszam ciebie i Baytę na kolację. Oczywiście na koszt ONZ.

– Najpierw niech pan spyta Losutu – ostrzegłem. – Tak czy owak, Bayta nie będzie mogła nam towarzyszyć. Musi dla mnie wykonać pewien projekt badawczy.

No to chociaż ty – upierał się Applegate. – I nie przejmuj Jię Losutu. Urobię go. Wzruszyłem ramionami.

– Skoro potrafi go pan przekonać, czemu nie? Gdzie się spotkamy?

– Powiedzmy, że w restauracji Czerwony Ptak, na czwartym poziomie – odparł. – Za czterdzieści

minut?

– W porządku – zgodziłem się. – Nawiasem mówiąc, wspominał pan, że przyjazd na Modhrę zaproponował jeden z pańskich kontrahentów. Kto to był?

– Nie znam nazwiska – rzekł Applegate, marszcząc lekko brwi. – Pewien Haik. A co?

– Tak tylko pytam – wycofałem się. – A zatem widzimy się za Czterdzieści minut w Czerwonym Ptaku.

Pułkownik obrócił się i ruszył z powrotem do sali, a ja nacisnąłem przycisk, by przywołać windę.

– Co to za projekt chcesz mi nagle zlecić? – zapytała podejrzliwie Bayta.

– Coś, o czym powinienem był pomyśleć już wiele dni temu – adparłem. Wsiedliśmy do windy. Skupiłem uwagę na zegarku, nie pulsował. – Gdyby Bellidowie wylecieli ze stacji późniejszym promem, powinni już tu być. Skoro ich nie ma, to znaczy, że jednak polecili do Sistarrko. Zgadza się?

– O ile miałeś rację, uznając, że ich tu nie ma – zgodziła się ostrożnie. – No i?

– Po co mieliby lecieć do wewnętrznej części układu? – zapytałem. – Odpowiedź: albo chcieli poczynić jakieś przygotowania z dala od Modhry, albo musieli tam coś zawieźć lub zabrać stamtąd.

– Niech ci będzie – powiedziała, nadal skonsternowana. – No i?

– Pamiętasz, co Pajaki mówiły o Bellidach, którzy przesiedli się wraz z nami na pociąg do Sistarrko? Grupa z trzeciej klasy znajdowała się w ostatnim wagonie, bezpośrednio poprzedzającym bagażowy. Nie zdążyłem ci tego wcześniej powiedzieć, ale ci, którzy mnie zaatakowali w pociągu do Jurskali, też zajmowali miejsca sąsiadujące z wagonem bagażowym. Widzisz zależność?

– Przecież towar w tym wagonie nie jest zabezpieczony – powiedziała. – Jeśli mieli do przewiezienia coś wartościowego, czy nie powinni tego umieścić wśród przesyłek wartościowych?

– W normalnych okolicznościach tak – przyznałem. – Ale przesyłki wartościowe zwykle przyciągają większą uwagę. Może Bellidowie woleli się nie wychylać, wierząc, że jeśli będzie trzeba, sami potrafią ochronić swój towar.

– No dobrze – rzekła przeciągle. – Więc co twoim zdaniem przewozili?

– Nie mam pojęcia – odparłem. – To zadanie dla ciebie. Chcę, żebyś wysłała do Pajaków prośbę o listę całego towaru i bagażu, który jechał naszym pociągiem. Zakładam, że macie jakiś szyfr?

– Niby tak – powiedziała. – Ale wolno mi go używać jedynie w sytuacjach awaryjnych.

– No to załatwione. Zbierz wszystkie dane, nie tylko te dotyczące Bellidów. Mogli zarejestrować przesyłkę pod fałszywym nazwiskiem. I nie zapominaj o pluskwach w pokoju.

Po powrocie do apartamentu Bayta zaczęła pisać wiadomość, a ja wzięłem szybki prysznic i wyjąłem z szafy ładne, półoficjalne ubranie. Dopełniłem jeszcze jednej formalności i wyszedłem, wyrzucając sobie trochę, że zmuszam dziewczynę, by zamawiała kolację w komputerze hotelowym.

Niepotrzebnie się spieszyłem. Losutu i Applegate, jak przystało na wysokiego urzędnika i jego sługusa, spóźnili się piętnaście minut.

– Compton – przywitał mnie lakonicznie Losutu, siadając przy zajęтым przeze mnie stole.

– Widzę, że wybrał pan miejsce odpowiednio oddalone od przekłętą korala. Świetnie.

– Nie podoba się panu modhrański koral? – zapytałem, przyglądając się przez chwilę dekoracyjnemu wodospadowi z korałem, zdobiącemu środek pomieszczenia. Nie był tak wspaniały jak ten w kasynie, bo też i Czerwony Ptak nie był ani w połowie tak wystawny jak kasyno.

– Nienawidzę go – oznajmił, przywołując menu. – Nigdy nie zrozumieć, dlaczego reszta galaktyki ma obsesję na jego punkcie. Wcale nie jest taki ładny, a po kilku uderzeniach wyglądałby jak źle

przycięty żywopłot.

– To podobno halkański odpowiednik zwierczaków przytulank – dodał Applegate. – Jeśli rozmawiasz z kimś odpowiednio długo, w końcu zaczyna cię nakłaniać do dotknięcia koralu.

– Rzeczywiście, spotkałem się z taką namową – przyznałem. – Ale jakoś mnie to nie pociąga.

– Koral jest obrzydliwie szorstki, ostry i kłujący – mruknął Applegate, nie odrywając wzroku od menu. – Ktoś powinien przywieźć tym ludziom atlas i aksamit.

– Miło, że zgadzamy się w tej kwestii – rzekł Losutu, spoglądając na mnie. – Teraz proszę mnie przekonać, że możemy się zgodzić także w ważnej sprawie. Applegate uważa, że może się pan przysłużyć Dyrektoriatowi w kwestii myśliwców.

– Zastanawiałem się nad tym – odparłem. – Przede wszystkim mam obowiązki wobec swego pracodawcy, ale dam radę potowarzyszyć panom w podróży na Modhrę II i rzucić okiem na myśliwce, pod warunkiem, że w drodze powrotnej podrzucą mnie panowie na Formacje Balercombu.

– Na co? – zdziwił się Losutu, marszcząc brwi.

– Zamierzał się tam udać rano autobusem wycieczkowym – wyjaśnił Applegate.

– To znaczy transportem naziemnym? – zapytał dla pewności Losutu.

– Tak – potwierdziłem. – Nie dopuszczają w pobliże tych formacji nawet szorszyjskich silników raketowych.

Losutu stęknął.

– Świetnie. Miejmy nadzieję, że dyplomatyczna magia Applegate jest dostatecznie potężna, by załatwić nam zezwolenie na lądowanie w okolicy.

– Dziękuję – powiedziałem. – Następne pytanie brzmi: do czego naprawdę mogę się przydać? Nie jestem specjalistą od raket myśliwskich.

– Karty na stół, panie Compton – rzekł Losutu. – Pańska znajomość zagadnień technicznych jest bez znaczenia. Potrzebuję pańskiego wsparcia, które pomoże nam sprzedać ten plan Sojuszowi Zachodniemu.

– Rozumiem – odparłem spokojnie. Cały ten cyniczny zamysł wydał mi się odrażający już za pierwszym razem, gdy usłyszałem o nim od Applegate’a, i w ustach Losutu nie zabrzmiał ani trochę lepiej. Ale dyrektor przynajmniej nie owijał w bawełnę. – Zdecyduję po obejrzeniu myśliwców.

Losutu przyglądał mi się przez chwilę. Potem lekko poruszył wargami i skinął głową.

– Może być. Będziemy czekać na górze, przy głównym wejściu do pensjonatu, o dziesiątej rano.

Harmonogram prac przy tunelach dla toboganów, który ściągnąłem z pokojowego komputera przed przyjściem na kolację, podawał, że załoga zaczyna pracę o siódmej. Dawało mi to sporo czasu.

– Przyjdę – obiecałem.

– Świetnie – rzekł Losutu, rozsiadając się wygodnie i wskazując menu. – Podczas kolacji może mi pan opowiedzieć o tej swojej nowej pracy.

– Jasne – odparłem, przestawiając swój mózg w tryb kłamcy. Przychodziło mi to coraz łatwiej. – Mniej więcej trzy miesiące temu zaproponowano mi...

Wieczór okazał się znacznie przyjemniejszy, niż oczekiwałem, mimo iż nie darzyłem moich kompanów ani przyjaźnią, ani zaufaniem. Losutu potrafił być niemal czarujący na swój chłodny sposób, gdy miał na to ochotę, a Applegate najwyraźniej postanowił zaniechać spoufalania się, którego próbował w pociągu i pozostawił rozmowę w rękach szefa.

Jedliśmy długo i leniwie, konsumując tradycyjny, pięciodaniowy halkański posiłek, zakończony rytualnym wiązaniem pałeczek szczęścia. Gdy już skończyłem moją opowiastkę o pracy w biurze

podróży, rozmowa zeszła na temat interesów, które Losutu prowadził w imieniu Konfederacji z resztą galaktyki, i zaowocowała mnóstwem zabawnych anegdot oraz przydatnych informacji.

Applegate zgodnie z obietnicą zapłacił za kolację pieniędzmi ONZ-etu. Gdy się zegnałem, Losutu zaproponował wizytę w teatrze. Sam nie wiedząc dlaczego, zgodziłem się. Sektor teatralny mieścił się zaraz pod lodem. Losutu wybrał cymalskie przedstawienie o treści dość uniwersalnej, by była w pewnym niewielkim stopniu zrozumiała dla innych gatunków. Uważałem teatr cymalski za skrzyżowanie japońskiego teatru kabuki z angielską komedią z czasów reformacji i ta konkretna sztuka całkiem dobrze wpisywała się w ten trend. Świetnie się bawiłem i pod koniec przedstawienia czułem się tak swobodny jak nigdy podczas ostatnich siedemnastu dni, to jest od owego mrocznego wieczoru, kiedy schodziłem po schodkach New Pallas. Pozostawiwszy Losutu i Applegate'a przy windach – wybierali się do holu teatralnego, by dogadać szczegóły porannej wyprawy – wsiadłem do jednej z kabin i nacisnąłem numer swojego piętra.

W każdym razie tak mi się zdawało. Gdy jednak drzwi się otworzyły, okazało się, że wylądowałem obok kasyna.

W pierwszej chwili chciałem pozostać w środku i postarać się tym razem nacisnąć właściwy guzik. Gwar głosów i stukot kości, żetonów i płytek chinko oraz żywiołowe migotanie wodospadu zawładnęły jednak moją wolą i nim się spostrzegłem, szedłem już po rampie w dół. Niezależnie od tego, jak szybko Bayta wysłała wiadomość, z całą pewnością nie otrzymała jeszcze odpowiedzi, więc nie miałem powodu się spieszyć. Poza tym, umiejętnie nadstawiając ucha, mogłem wyłowić jakąś perełkę czy dwie.

Przez jakiś czas kręciłem się po kasynie, obserwując gry i przysłuchując się rozmowom. Podobnie jak poprzednio, wszystkie zdawały się dotyczyć spraw nieistotnych. Obszedłem parkiet dookoła, potem wykręciłem nieco skrzywioną ósemkę, wreszcie ruszyłem przez środek sali.

I tak po kilku minutach od wejścia do kasyna znalazłem się obok umieszczonej w centrum fontanny. Spoglądałem w głąb sadzawki, obserwując, jak łagodny nurt opływającej koral wody chwyta światła kasyna, dodając blasku subtelnej grze barw. Musiałem przyznać, że w tym świetle koral naprawdę wygląda intrygująco, a przy tym wydaje się pozbawiony wad swego ziemskiego odpowiednika. Wcześniej zgodziłem się z lakoniczną krytyką Applegate'a, ale teraz, stojąc nad sadzawką, czułem, że zrobiłem to zbyt pochopnie. Faktura koralu wcale nie sprawiała wrażenia szorstkiej. Wszyscy dookoła twierdzili, że można jej spokojnie dotknąć. Może mieli rację?

A jeśli nawet nie, to co? W najgorszym wypadku mogłem się trochę podrapać. W najlepszym – wrócić do Bayty i opowiedzieć jej triumfalnie, jakie to wspaniałe uczucie.

Zmarszczyłem brwi. Tok moich rozmyślań gwałtownie przerwało wspomnienie Bayty, spoglądającej mi w oczy z większą troską niż którykolwiek z moich przełożonych ze WSZ-y i błagającej, bym jej obiecał, że nigdy nie dotknę modhrańskiego koralu.

A ja odwzajemniłem jej spojrzenie, zażartowałem i złożyłem obietnicę.

Śmieszne. Bayta była przecież przypadkową towarzyszką, narzuconą mi współniczką w niechcianej pracy. Poza tym była kłamczuchą, a przynajmniej wymigiwała się od mówienia prawdy. Miała swoje własne plany, które mogły, ale nie musiały być zbieżne z moimi. Co z tego, że jej obiecałem? Nie przysięgałem na zunifikowaną Biblię ani nic takiego.

W głębi duszy wiedziałem, że po prostu usprawiedliwiam się przed sobą. Ale czy musiałem się usprawiedliwiać? Byłem dużym chłopcem i mogłem robić, co mi się żywnie podoba. Nie musiałem się przejmować niczym zdaniem, a zwłaszcza zdaniem Bayty.

Dlaczego więc zrobienie tego kosztowało mnie tyle wysiłku?

Skupiłem wzrok na leżącym w dole koralu... i dopiero wtedy odkryłem, że moja ręka zdążyła już wystrzelić do przodu i coraz bardziej zniża się ku falującej powierzchni wody.

Cofnąłem dłoń, czując, jak na twarz występują mi krople potu. Co się tutaj, u diabła, działo? Zrobiłem długi krok w tył, oglądając się przez ramię, by przypadkiem na kogoś nie wejść.

I zamarłem. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, klienci kasyna poprzerywali gry i rozmowy i gapili się na mnie.

Trwało to zaledwie ułamek sekundy. Potem spokojnie wznowili przerwane czynności, udając, że to wszystko było jednym wielkim przypadkiem. Ale ja wiedziałem lepiej.

Wcześniej zastanawiałem się, czy Bayta i ja mogliśmy trafić w sam środek jakiegoś wielkiego spisku. Teraz już nie musiałem się zastanawiać.

Ruszyłem prosto ku rampie prowadzącej do wyjścia, wyostrzając wszystkie zmysły i przybierając bojowy wyraz twarzy na wypadek, gdyby ktoś chciał mnie zatrzymać. Na swoje szczęście nie próbowali. Dotarłem do wind, nacisnąłem przycisk i po kilku sekundach zjeżdżałem już na nasze piętro.

Gdy wszedłem do pokoju, Bayta siedziała przygarbiona na jednej z kanap, wpatrując się tępo w jakiś nieznany mi ditrek. Uniosła wzrok i przez twarz przemknął jej wyraz ulgi.

– Jesteś – powiedziała. – Zaczynałam się niepokoić.

– Przepraszam – odparłem, starając się mówić swobodnie, bo pulsowanie zegarka dawało mi znać, że nadal jesteśmy podsłuchiwani. – Losutu uparł się, żeby po kolacji zabrać nas do teatru. – Wskazałem gestem sypialnię. – Jutro czeka nas pracowity dzień. Lepiej chodźmy do łóżka.

Drgnęła, spoglądając na mnie lekko rozszerzonymi oczyma. Do tej pory nigdy nie spaliśmy nawet w tym samym pokoju, a co dopiero w tym samym łóżku.

– Co? – zapytała.

– Chodźmy do łóżka – powtórzyłem z lekkim naciskiem na ostatnie słowo, ostrzegawczym gestem wskazując ucho.

Przełknęła ślinę.

– W porządku – powiedziała, wyłączając ditrek i znikając w sypialni.

Wyłączyłem światła, zaciemniłem ściany i podłogę salonu, po czym upewniłem się, że drzwi są zamknięte na wszystkie trzy zamki. Nim wszedłem do sypialni, Bayta zdążyła zaciemnić tamtejszą ścianę i podłogę. Leżała na swojej połowie łóżka, podciągnąwszy pod brodę kołdrę i koc. Wyłączyłem światło, zdjąłem buty i wczółgałem się od swojej strony.

– Mmm... pięknie dziś pachniesz – mruknąłem na użytek naszych podsłuchiвачy, przybliżając się do dziewczyny.

Leżała w milczeniu, sztywna jak kłoda i, podobnie jak ja, całkowicie ubrana.

– Przepraszam za to wszystko – szepnąłem jej do ucha – ale pluskwy nadal działają. W tym pokoju umieścili je obok łazienki i szafki, więc jeśli będziemy mówić cicho, nie powinni nas usłyszeć.

– O czym chcesz rozmawiać? – zapytała szeptem.

– Pozwól, że najpierw opowiem ci o swoim wieczorze.

Zrelacjonowałem wszystkie wydarzenia, począwszy od kolacji, a skończywszy na nieoczekiwanej wycieczce do kasyna. Kiedy skończyłem, milczała tak długo, że zacząłem się zastanawiać, czy nie zasnęła. Potem odwróciła głowę i zbliżyła usta do mojego ucha.

– Jesteś pewien, że nie dotknąłeś koralu?

– Całkowicie – zapewniłem ją.

– Jak to? – spierała się. – Przecież mówiłeś, że na sekundę straciłeś świadomość. Może go dotknąłeś, a potem wytarłeś rękę o marynarkę?

Pokręciłem głową.

– W miejscu, w którym stałem, koral leżał tak głęboko, że pomoczyłbym sobie mankiet. A jego tak szybko bym nie wysuszył. – Odwróciłem lekko głowę w jej stronę. – Chyba już czas, żebyś mi powiedziała, co się tu, u diabła, dzieje. Szczególnie jeśli chodzi o ten koral.

Bayta jeszcze bardziej zeszywniała.

– Nie mogę ci tego powiedzieć – powiedziała tak cicho, że z trudem ją zrozumiałem. Jeszcze nie teraz. Przykro mi.

– Będzie ci jeszcze bardziej przykro, gdy coś się stanie – ostrzegłem. – Nie mogę cię uchronić przed nieznanym niebezpieczeństwem.

Zawahała się, a ja wstrzymałem oddech. Ale nie.

– Koral jest niebezpieczny tylko wtedy, gdy się go dotyka – powiedziała. – Więcej nie mogę zdradzić.

Wcześniej, na powierzchni, zastanawiałem się nad ewakuowaniem się z tej całej kabały. Teraz, po zdarzeniu w kasynie, jeszcze bardziej się ku temu skłaniałem. I zamierzałem zabrać Baytę ze sobą, czy tego chciała, czy nie.

W głębi duszy jednak wiedziałem, że to się nie uda. Kimkolwiek byli nasi tajemniczy wrogowie, mieli nas już na oku. Nie było rady, musieliśmy rozegrać to do końca.

– Niech ci będzie – mruknąłem. – Ale pamiętaj, że ty też nadstawiasz karku.

Zadrżała.

– Wiem – szepnęła. – Co robimy?

– Musimy się trzymać planu A i postarać się sprawdzić, co knują Bellidowie – odparłem.

– Przed czy po twojej wycieczce z przyjaciółmi na inspekcję myśliwców?

Zwykle trudno usłyszeć emocje w szepcie, ale tym razem bez trudu wychwyciłem urazę.

– Nie są moimi przyjaciółmi i mam gdzieś ich myśliwce – burknąłem. – A tak w ogóle to o co ci chodzi z tymi przyjaciółmi? Tak bardzo ci zależy na podkreśleniu, że ich nie mam?

Przez chwilę milczała.

– Jak zamierzasz to zrobić? – zapytała w końcu. Skrzywiłem się. Przez chwilę... Ale trudno. Niespecjalnie mizresztą zależało na jej przyjaźni.

– W pensjonacie, niedaleko śluz powietrznych, znajdują się drzwi tylko dla personelu, prawdopodobnie przebieralnia, w której zbierają się rano załogi. Zakradnę się tam po wyjściu robotników i przebiorę w skafander.

– Czy to nie niebezpieczne?

– Zależy, czy w spisku bierze udział cały personel ośrodka, czy tylko ludzie z najwyższych sfer, którzy przyjeżdżają tu, by się pobawić – odparłem. – Tak czy owak, jeśli uda mi się dojść do tamtego zakrętu i jeśli będę miał dość czasu, a nikt nie będzie mnie obserwował, spróbuję wykuć w lodzie niewielką dziurkę, zajrzeć do niej, zamknąć ponownie i o dziesiątej stawić się na spotkanie z Losutu.

– I polecisz z nim na Modhrę II?

– Na razie nie wymyśliłem żadnego wiarygodnego pretekstu, by się wycofać powiedziałem z żalem.

– Ale powiem mu wszystko, co chce usłyszeć, i wrócę tu najszybciej, jak się da. Przy odrobinie szczęścia zdążymy na południowy odrzutowiec do Tuby.

Westchnęła, wyraźnie niezadowolona z całej sytuacji.

– A ja co mam robić w tym czasie?

– Sama zdecyduj – odparłem. – Możesz zostać tutaj, a możesz pojechać z grupą do Formacji Balercombu. Losutu ma mnie tam podrzucić w drodze powrotnej, więc moglibyśmy wrócić razem autobusem.

– W takim razie chyba pojedę – rzekła. – O której start?

– Zbiórka o wpół do ósmej na górze – powiedziałem. – Mnie już nie będzie, więc musisz tam dotrzeć sama. Dasz sobie radę?

– Dotarłam sama na Ziemię i z powrotem – mruknęła z lekką urazą.

– Wiem. Ale na Ziemi wszyscy nie spiskowali przeciwko tobie. Znów zadrżała.

– Poradzę sobie.

– Grzeczna dziewczynka – powiedziałem. – Wysłałaś wiadomość do Pająków?

Skinęła głową. Poczulem dotyk jej włosów na policzku.

– Ale odpowiedź przyjdzie najwcześniej jutro.

– W porządku – powiedziałem. – Gdzie ta wiadomość? Chciałbym na nią zerknąć.

– Na moim czytniku, w folderze „wysłane”.

; – Dobra – powiedziałem, szykując się do wstania.

– Wrócisz? – zapytała.

– Jasne – odparłem, udając chojraka. – Nie zapominaj, że przeszedłem elitarne szkolenie.

– Nie – rzekła z wahaniem. – Pytałam... czy teraz wrócisz. Zmarszczyłem brwi w ciemnościach.

– Co?

Westchnęła, dmuchając mi w szyję ciepłym powietrzem.

– Boję się – powiedziała po prostu. – Nie chcę być sama. Zerknąłem na czubek jej głowy, zastanawiając się, ile ją kosztowało to wyznanie.

Szczerze mówiąc, gdy już o tym wspomniała, doszedłem do wniosku, że ja też nie mam zbyt wiele ochoty zostawać teraz sam.

– Wszystko w porządku – zapewniłem, znajdując pod kołdrą jej dłoń i ściskając. Tym razem nie wyrywała się. – Zerknę na wiadomość i sprawdzę kilka innych rzeczy, a potem wracam.

Czytnik Bayty leżał na biurku obok komputera. Włączyłem go, przeszedłem przez skomplikowaną procedurę dostępu, której mnie nauczyła, i znalazłem wiadomość. Przeczytałem ją, stwierdzając z aprobatą, że dziewczyna napisała dokładnie to, o co ją prosiłem, po czym przeszedłem do wersji zakodowanej. Wyjąłem swój czytnik, zeskanowałem wiadomość i poprosiłem o analizę. Popatrzyłem chwilę, a gdy już upewniłem się, że nie jest to halkański szyfr wojskowy, włączyłem komputer pokojowy i ponownie przejrzałem zapis zamówień z restauracji hotelowej.

Podobnie jak poprzedniego dnia, zamówiono tylko dwa bellidyjskie śniadania i obiady. Z kolacjami rzecz miała się zgoła inaczej. Skonsumowano aż dwanaście, z czego dziewięć zamówiono do pokoju. Albo Apos Mahf nabrał nagle wilczego apetytu, albo nasi zbłąkani Bellidowie w końcu zawitali na Modhrę.

Gdy ponownie zerknąłem na swój czytnik, ten zdążył już ukończyć analizę. Szyfr Bayty okazał się niezwiązany z żadnym szyfrem halkańskim, czy to wojskowym, czy cywilnym. Nie przypominał też znanych systemów cymalskich, juriańskich ani terrańskich.

Miał natomiast ten sam wzorzec co laserowy szyfr, który zauważyłem i zapisałem w pociągu. Szyfr Bellidów.

Pokojowy barek był świetnie wyposażony w przeróżne trunki, wszystkie w butelkach z grubego szkła. Wybrałem dwie o odpowiednich rozmiarach i ciężarze, wyłączyłem komputer i czytniki i wróciłem do sypialni.

Bayta pod moją nieobecność odsunęła się od środka łóżka i skuliła po swojej stronie, odwrócona do mnie plecami. Gdy wśliznąłem się pod kołdrę, nie poruszyła się ani nie odezwała, ale z jej niespokojnych ruchów wywnioskowałem, że nie śpi. Na chwilę położyłem jej dłoń na ramieniu, a potem cofnąłem się na swój skraj łóżka, pozostawiając jej tyle prywatności, ile tylko mogłem.

Jedną z butelek umieściłem pod poduszką, by w razie potrzeby mieć ją pod ręką. Drugą postawiłem na podłodze, przy samym skraju łóżka, by móc po nią sięgnąć, gdybym musiał się pospiesznie ewakuować. Potem ułożyłem się wygodnie, twarzą do drzwi, luźno zamykając dłoń na leżącej pod poduszką butelce, i zamknąłem oczy.

Jutro zapowiadał się pracowity dzień. Jeśli ci, którzy kryli się za całą sprawą, chcieli, żebym rozpoczął go nieco wcześniej, byłem gotów.

Siedziałem na odległym końcu pobliskiej sali, udając zaczytanego w najnowszym numerze „Kuriera Galaktycznego”, a w rzeczywistości kątem oka obserwując, jak poranne brygady robotników powoli zapełniają przebieralnię. Dokładnie o szóstej czterdzieści wyszli całą czterdziestopięciosobową gromadą, ubrani w skafandry próżniowe, i czwórkami wchodzili do służby. Oczekałem kolejnych dwadzieścia minut, by się upewnić, że w środku nie pozostali żadni maruderzy, włożyłem gazetę do kieszeni, swobodnym krokiem podszedłem do drzwi i wśliznąłem się do wnętrza.

Dziesięć minut później, ubrany w odrobinę zbyt obszerny skafander, w masce przyciemnionej w stopniu pozwalającym na ukrycie rysów twarzy, wyszedłem na lód.

Ruszyłem w górę wzdłuż słupów, słuchając dobiegającego z głośnika hełmu halkańskiego trajkotania. Wszystkie dyskusje zdawały się oscylować wokół nowych tuneli, ale kiedy sprawdziłem inne częstotliwości, znalazłem trzy inne grupy rozmówców. Najwyraźniej tego dnia na powierzchni było całe mrowie Haików.

Gdziekolwiek jednak się znajdowali, trzymali się na uboczu. Oprócz grupki gości pensjonatu, zmierzającej ku torowi narciarskiemu, nie widziałem nikogo. Dopiero gdy dotarłem w miejsce, z którego było widać nowe tunele, zobaczyłem dwóch stojących na wypłaszczeniu robotników. Jeden trzymał wąż tryskający wodą, a drugi kuczał przy otwartej pompie i grzebał w mechanizmie.

Ruszyłem w dół, starając się, by mój chód maksymalnie przypominał chód Haików. Z liczby głosów i imion, które udało mi się wychwycić, wnioskowałem, że na miejscu jest od piętnastu do dwudziestu robotników. Dość, bym miał szansę przemknąć niezauważony, wypalić podręcznym palnikiem plazmowym dziurę, zajrzeć do środka i wymknąć się, nim ktoś zacznie coś podejrzewać. Krótko mówiąc – rzucić okiem i w nogi. Łatwizna.

Może jednak za bardzo upraszczałem?

Schodząc z boczem w dół, przyglądałem się dwóm robotnikom, słysząc w głowie coraz wyraźniejsze dzwonki ostrzegawcze. Po co właściwie robotnik miałby trzymać wąż? Wystarczyłyby dwie podpórki i sprawa załatwiona. Gość przy pompie natomiast raczej gapił się i grzebał, niż coś naprawiał. Obok niego stała zaś otwarta skrzynka narzędziowa, mogąca pomieścić dowolną liczbę nieprzyjemnych niespodzianek. Na domiar złego każdy z robotników spoglądał w przeciwnym kierunku, co w sumie dawało im panoramiczny widok na wszystkie strony świata.

Bo to nie byli żadni robotnicy, lecz wartownicy. Najwyraźniej wszystkie moje wysiłki zmierzające do zakradnięcia się w głąb tunelu spaliły na panewce.

W pierwszym odruchu chciałem się obrócić i ruszyć z powrotem do przebieralni. Robiąc to, dałbym im jednak do zrozumienia, że przejrzałem ich grę.

Dotarłem na wypłaszczenie, lecz zamiast ku północnemu tunelowi, skierowałem się ku południowemu. Jeśli się spodziewali, że pójdę prosto do miejsca działań Bellidów, teraz musieli się zastanawiać, czy rzeczywiście coś wiem, czy też jestem po prostu wścibskim turystą.

Południowy tunel wyglądał mniej więcej tak samo jak poprzedniego dnia, tyle że tym razem miał zapalone światła. Zszedłem po ścieżce, gorączkowo przypominając sobie halkańskie zwroty na wypadek, gdyby ktoś zapytał, co tu robię.

Zaprzątnięty tą myślą, uszedłem jakieś trzydzieści metrów w dół, nim wreszcie zaświtało mi, że coś jest nie tak. Zatrzymałem się. Rozmowy, które słyszałem przez komunikator, wskazywały na obecność w tych dwóch wąskich tunelach dwudziestu, a może i większej liczby Haików. Tymczasem ja widziałem tylko stojącą na czatach dwójkę.

Komunikator nadal rozbrzmiewał poleceniami, komentarzami i luźnymi pogawędkami. Czyżby cała grupa zebrała się w północnym tunelu? Zrobiłem jeszcze kilka kroków, usiłując zrozumieć jak najwięcej z szybkiej halkańskiej mowy, po czym skręciłem za załom.

Mylilem się, sądząc, że tunel jest pusty. Za zakrętem czekały na mnie w milczeniu dwie postacie w skafandrach, z rozstawionymi nogami – w pozycji, jaką przy niskiej grawitacji przybierają strzelcy – i karabinami w obu rękach.

Wymierzonymi we mnie.

Zastygłem w pół kroku, pokazując puste dłonie. Maski przeciwników były jeszcze bardziej przyciemnione niż moja, więc pomimo jaskrawych świateł nie mogłem dostrzec kształtów ich twarzy. Znałem się jednak na broni, a wycelowane we mnie spluwy bez wątplenia były bełłidyjskiej roboty.

Wcześniej liczyłem na to, że zrobię swoje i wyjdę, nim Bellidowie dotrą na miejsce. Najwyraźniej jednak się spóźniłem.

Jeden z nich uniósł rękę i pionową dłonią dotknął maski, co w bełłidyjskiej mowie gestów stanowiło ekwiwalent przytknięcia palca do ust. Skinąłem głową, a on wskazał coś za moimi plecami. Obróciłem się, lecz nic nie zobaczyłem. Wskazał jeszcze raz, z większą emfazą. Tym razem zrozumiałem. Mieliśmy wrócić na powierzchnię. Odwróciwszy się, ruszyłem w górę.

Po dotarciu na zewnątrz eskortujący wskazał drugi tunel. Skinąłem głową i ruszyłem przed siebie, kątem oka zauważając, że Bellido nie podąża za mną. Dwaj robotnicy zignorowali mnie, gdy przechodziłem obok, a gdy po dotarciu do wylotu swojego tunelu obejrzałem się, Bellido zniknął w swoim.

Przez chwilę zastanawiałem się, co by się stało, gdybym zmienił kierunek i ruszył z powrotem ku pensjonatowi. Jednak to była tylko chwila. Potem wziąłem głęboki oddech i zagłębiłem się w tunelu.

Za pierwszym zakrętem czekali dwaj kolejni Bellidowie. Tym razem przezroczyście maski i poczwórne kabury naramienne nie pozostawiały wątpliwości co do ich pochodzenia. Dowódca podszedł do mnie i jedną ręką wyłączył umieszczony w moim hełmie komunikator, a drugą przytknął do dolnej części mojej maski czarny dysk transmitera bliskiego zasięgu.

– Słyszysz mnie? – dobiegł z tamtej strony ledwo słyszalny głos.

– Tak – odparłem z mimowolnym drzeniem warg, rozpoznając wzór na wiewiórczej twarzy. To był mój fałszywy pijak z pociągu. Facet, którego kumple zamknęli mnie w skrzyni z przyprawami. – Chyba mamy do siebie pecha.

– Po czyjej jesteś stronie? – zapytał.

– Głównie po swojej – powiedziałem. – Co do innych, to nawet nie bardzo wiem, kto tu gra i o co.

– Zła odpowiedź – odparł twardo. – Albo jesteś z nami i galaktyką, albo z Modhrą. Opuścił ramię, po czym nagle przytknął mi do maski lufę karabinu. – Wybieraj.

W pierwszym odruchu chciałem uskoczyć na bok i wytrącić mu broń, a przynajmniej skierować jej wylot w inną stronę. Jednak miał jeszcze trzy sztuki i kumpla z kolejnymi czterema, poza tym obaj prawdopodobnie lepiej sobie radzili ze słabą grawitacją niż ja.

– Wiesz, po której jestem stronie – odparłem, starając się, by to zabrzmiało uspokajająco. Współpracuję z Pająkami. Próbujemy powstrzymać wybuch wojny.

Bellido wydał wysoki, szczekliwy głos, mający oznaczać prychnięcie.

– Na to już o wiele za późno.

Pomyślałem o Hermodzie i tajemnicach Bayty.

– W takim razie zostałem źle poinformowany - . rzekłem. Przez długą chwilę Bellido po prostu gapił się na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Potem jego wąsy zeszywniały, by znowu opaść łagodnie. Schował karabin do kabury.

– Pająki – mruknął pogardliwie. – Chodź.

Odwrócił się i ruszył w głąb tunelu. Poszedłem za nim. Jego towarzysz zamykał pochód.

– Gdzie Halkowie? – zapytałem.

– Pod strażą, na końcu tunelu – rzekł pierwszy z Bellidów. – Zagarnęliśmy ich po cichu, gdy przyszli do pracy.

– Zostawiliście im włączone komunikatory?

– Bynajmniej – odparł. – Jeden z nas przez kilka dni podsłuchiwał i nagrywał ich rozmowy, po czym stworzył kompilację.

– Którą teraz odtwarzacie na odpowiednim kanale – powiedziałem, kiwając głową. – A jeden z was stoi zapewne obok z syntezatorem głosu i odpowiada na bezpośrednie pytania z bazy. Nieźle pomyślane.

– Choć może bezużyteczne – rzekł. – Ci wszyscy pracownicy podobno są nowicjuszami. Jeśli to nieprawda, alarm został już wszczęty. – Spojrzał na mnie. – Choć, biorąc pod uwagę twoją tu obecność, to też może być nieistotne.

– Nic im o was nie powiedziałem – zapewniłem go, zastanawiając się, o co chodzi z tymi nowicjuszami.

– Nawet to może być nieistotne – rzekł. – On prawie na pewno wiedział o tobie od samego początku.

– Może – odparłem, zachodząc w głowę, o kim mowa. – Podobnie jak wy.

– Tak – przyznał bez przechwałki czy złośliwego rozbawienia. Po prostu stwierdził fakt. Być może jednak jest już za późno, by mógł nas powstrzymać.

– Miejmy nadzieję – zgodziłem się. – Przypuszczam, że nie zechcesz mnie oświecić, o kim mówimy?

– O Modhrim, rzecz jasna. O nim i jego ludziach.

– Chodzi o ten wielki spisek, w którym bierze udział cały kurort?

Zatrzymał się tak gwałtownie, że niemal na niego wpadłem.

– Uważasz to za zwykły spisek?!

– Bardzo dobry spisek – zapewniłem pospiesznie, zaskoczony jego reakcją. – Trzeba przyznać, że świetnie się komunikują.

Znów prychnął.

– Terrański humor w obliczu zagrożenia – mruknął. – Osobliwy, ale ciekawy dar.

Szliśmy dalej w milczeniu. On stracił zainteresowanie rozmową, a ja zachodziłem w głowę, co, u diabła, miał na myśli, mówiąc to ostatnie. Jeśli nie mieliśmy do czynienia ze spiskiem, to z czym? I jeśli ten cały Modhri nie był Haikiem, to kim?

Od momentu, w którym po raz pierwszy wymierzono we mnie karabin, wiedziałem, że Bellidowie mieli pracowity poranek. Ale dopiero po dojściu do miejsca, które odkryłem poprzedniego dnia, zrozumiałem, jak pracowity. Odcinek ściany o wymiarach dwa na trzy metry został stopiony, odsłaniając wykutą w lodzie sporą jamę. W środku stali dwaj kolejni Bellidowie, wycinając wrębiarkami plazmowymi dziurę wokół dwóch przechodzących pionowo przez jamę wielkich, składanych teleskopowo belek dźwigowych.

Gdy resztki wody spłynęły do tunelu i zostały odessane, zobaczyłem wydobywany na powierzchnię wielki metalowy panel. Przyglądałem mu się „przez wirującą mgiełkę formujących się lodowych kryształków, usiłując dociec, skąd znam ten kształt.

I nagle zrozumiałem. Miałem przed sobą górną część pomocniczej łodzi podwodnej. Prawdopodobnie tej samej, co do której Bellidowie usiłowali nabrać wszystkich, że jest ukryta w podwodnych jaskiniach.

Tyle że była tutaj, jakimś magicznym sposobem przeniesiona setki metrów w górę od miejsca, w którym widziano ją po raz ostatni. I do tego przez twardy lód.

Spojrzałem na swojego przewodnika i odkryłem, że on także mi się przygląda.

– Wydajesz się zdziwiony – rzekł.

Skrzywiłem się, ponownie rzucając okiem na jamę. W grę wchodziła moja duma zawodowa. Zlustrowałem wyłaniający się kadłub łodzi, szczególną uwagę poświęcając miejscu, w którym łączył się z belkami wyciągu, i ciekawej fakturze samych belek.

– Nieszczerólnie – odparłem. – Te belki są uzbrojone w mikrofalowe grzejniki powierzchniowo-punktowe. Umieściliście je tutaj, zakamuflowaliście, a potem rozłożyliście teleskopowo, sukcesywnie topiąc lód. Gdy już sięgnęły otwartej wody, skradliście łódź, przymocowaliście do belek i zaczęliście ją wyciągać. Dobra i cicha robota, bez silnych impulsów energii, które mogłyby zostać wykryte przez czujniki, i bez dziury w lodzie, bo woda pod łodzią zamarzała na nowo.

– Świetnie – rzekł i wydało mi się, że słyszę w jego głosie nutkę szacunku. – A teraz?

– Tu mnie masz – przyznałem. – Łódź podwodna wydaje się bezużyteczna w takiej odległości od wody. Chyba że budujecie tu klub sportowy.

– Twoje poczucie humoru jest... – zamilkł nagle, pochylając lekko głowę, jakby nasłuchiwał. Gdy ją wyprostował, zauważyłem, że znów nastroszył wąsy. – Wzywają cię powiedział.

Coś w jego tonie sprawiło, że po plecach przebiegł mi dreszcz. – Kto?

– Twoi kumple. – Sięgnął do mojego hełmu i włączył komunikator.

– ...tona – wzywał znajomy, zaniepokojony głos. – Powtarzam: Terrance Applegate wzywa Franka Comptona. Niech to szlag, Frank. Wiem, że gdzieś tam jesteś.

Wyłączyłem komunikator. – Co mam robić? – zapytałem.

– A co chcesz zrobić? – odpowiedział pytaniem Bellido. Skrzywiłem się, ale nie miałem wielkiego wyboru.

– Muszę iść – powiedziałem. – Znam Applegate’a. Nie przestanie szukać, dopóki mnie nie znajdzie.

– Więc idź – rzekł.

Zawsze uważałem Bellidów za nieco szorstkich, ale zdumiała mnie tak lakoniczna odprawa.

– Dobra – odpowiedziałem w tym samym stylu. Obróciłem się, minąłem jego kumpla i ruszyłem pod

górze.

Dopiero po przejściu trzydziestu metrów zauważyłem, że nadal mam przy hełmie bellidyjski transponder bliskiego zasięgu. Odczepiłem go i schowałem do górnej kieszeni skafandra.

Poczekaj, aż będę dobrze widoczny od strony wejścia, i dopiero wtedy włączyłem komunikator skafandra. Applegate nadal wydierał się do mikrofonu, już mniej zagniewany, a bardziej zaniepokojony.

– Tu jestem, Applegate – zawołałem, gdy tylko zrobił przerwę na nabranie tchu. – Te durne komunikatory nie są warte...

– Zapomnij o komunikatorach – uciął. – Był wypadek na wycieczce do Balercombu.

Serce podeszło mi do gardła.

– Co z Baytą? – zapytałem, ruszając biegiem po śliskiej nawierzchni.

– Nie wiem – odparł. – Gdzie jesteś?

– Przy nowych tunelach toboganowych, na końcu czerwonego szlaku – powiedziałem, wychodząc na powierzchnię. – Już wracam.

– Zostań tam – rozkazał. – Zaraz będę.

Zmarszczyłem brwi i dopiero wtedy usłyszałem w tle cichy warkot szorszyjskich silników. Spojrzawszy w stronę pensjonatu, zobaczyłem lśniący myśliwiec Chafta 669, osiadający na lodzie w odległości dwudziestu metrów.

– Biegnij! – szczechnął mi w hełmie głos Applegate’a.

Gdy do niego dotarłem, miał już otwartą kabinę.

– Siadaj z tyłu – zakomenderował, wskazując za siebie na nieco podwyższone obite siedzenie.

– Skąd to się tu wzięło? – zapytałem, łapiąc uchwyty, podciągając się i sadowiąc. Myślałem, że mamy jechać na Modhrę II, żeby je zobaczyć.

– To był pomysł Losutu – mruknął Applegate, zamykając kabinę i podrywając chaftę. Uznał, że zaoszczędzimy na czasie, przywożąc tu jeden z myśliwców, żebyś go obejrzał na miejscu. Nawet nam nie przyszło do głowy, że może się przydać. Uwaga!

Nagłe przyspieszenie wbiło mnie w fotel.

– Co się stało? – zawołałem, przekrzykując ryk silnika.

– Wygląda na to, że kierowca stracił panowanie i wpadł na słup lodu – rzekł Applegate. Usłyszałem, że Bayta cię wzywa i że nikt nie może cię znaleźć, więc odpaliłem chaftę i wyruszyłem na poszukiwania.

Ciarki przebiegły mi po plecach. Bayta mnie wzywała? Wiedząc, gdzie jestem i co robię? Niemożliwe.

– Twoja kolej – powiedział Applegate. – Co robiłeś w obszarze zamkniętym, ubrany w robotniczy skafander?

– Chciałem zobaczyć, jak idą prace w nowych tunelach – powiedziałem, połową mózgu przechodząc w tryb kłamcy, a drugą połową analizując potencjalne pułapki. – Skoro mam rekomendować to miejsce, muszę wiedzieć o nim wszystko, a zwłaszcza to, jak dynamicznie się rozwija.

– Dlaczego po prostu nie poprosiłeś o oprowadzenie?

– Przewodnicy pokazują tylko to, co im każe dykcja – odparłem, wyglądając przez szybę. Przelatywaliśmy nad pensjonatem. Zauważyłem, że poranny prom z Tuby wylądował i chłodzi się przed podróżą powrotną.

Na lodzie stał jednak jeszcze jeden statek – o pudełkowatym kształcie i słabo widocznym,

antycyjnikiem podwoziu transportowca wojskowego. Przytknąwszy hełm do szyby, dostrzegłem zmierzające ku pensjonatowi postacie w ciemnych halkańskich skafandrach wojskowych.

Wyciągnąłem szyję, by zobaczyć coś jeszcze, ale Applegate celowo przechylił myśliwiec o kilka stopni w lewo.

– Hej! – zaprotestowałem.

– Co „hej”? – odkrzyknął. Zacisnąłem zęby.

– Nic – odparłem. – Daleko jeszcze?

– Jakies trzydzieści kilometrów – rzekł. – Nie martw się, na pewno nic jej nie jest.

Gdy przylecieliśmy na miejsce katastrofy, prace wrzały. Karetki pogotowia stały już wokół autobusu, a kilku Haików pomagało pasażerom wydostać się ze zniszczonego pojazdu, który leżał na lewym boku, niemal do góry nogami, z maską wbitą w wielki lodowy stalagmit. Applegate wylądował w odległości pięćdziesięciu metrów i otworzył kabinę.

– Na jakiej częstotliwości się tu pracuje? – zapytałem, gdy bieглиśmy w tamtym kierunku.

– Ja wciąż jestem na kanale robotników.

– Na ogólnej 2 – odparł Applegate.

Przełączyłem komunikator. Natychmiast w uszach wybuchł mi gwar lakonicznych rozkazów dowódców, jęków i szlochów rannych, przerażonych pasażerów oraz uspokajających głosów lekarzy.

– Bayta? – zawołałem.

– Jest tu – odparł halkański głos i przykucnięty przy jednej z karetek medyk uniósł rękę. Postać siedząca bezwładnie u jego stóp uniosła głowę. Istotnie była to Bayta. Miała napiętą, zbolaną twarz, ale przynajmniej żyła! Ruszyłem ku niej...

I nagle drogę zastąpił mi wysoki Haik.

– Pan jest Compton? – zapytał władcym tonem. Miał na sobie wojskowy skafander z insygniami majora wokół kołnierza.

– Z drogi! – warknąłem, usiłując go minąć. Jednak on nie zamierzał mi na to pozwolić.

– Pan jest Compton? – powtórzył.,

– Tak, to on – odezwał się Applegate, ujmując mnie za ramię. – Przepraszam cię, Frank, ale jest pewna sprawa.

– Chyba pan żartuje – rzuciłem, wrywając się.

– Baycie nic nie będzie – rzekł uspokajająco, prowadząc mnie ku zniszczonemu autobusowi. – To potrwa tylko minutę.

Zaprowadził mnie na drugą stronę autobusu. Z bliska zniszczona maska wyglądała gorzej niż z powietrza. Zastanawiałem się, z jaką szybkością musiał pędzić ten dureń, kiedy roztrzaskał się o lód.

– Tu, pod podwoziem – rzekł Applegate, wskazując miejsce pomiędzy dwoma prawymi kołami. – Widzisz?

– Jasne, że widzę – odparłem tak cierpliwie, jak tylko potrafiłem. Pod tym kątem, przy autobusie leżącym na boku, trudno byłoby nie dostrzec długiego pakunku w plastikowym pudle. Dodając do tego trzech Haików, którzy stali obok i poszturchiwali obiekt, był on mniej więcej równie widoczny jak wielkie holo nad Times Square...

– Wiesz, co to jest?

– Zostawiłem okulary rentgenowskie w drugim skafandrze – burknąłem. – Może by go po prostu rozpakować?

– Nie ma potrzeby – mruknął złowróbnym tonem major. – To fazowa kruszarka akustyczna, służąca do podwodnych prac przy pogłębianiu i górnictwie wstrząsowym.

– W porządku – powiedziałem. – Ale co ja mam z tym wspólnego?

W odpowiedzi Haik dał znak dwóm spośród trzech przyglądających się kruszarce postaci. Te podeszły do nas i nim zdążyłem zareagować, dostrzegłem błysk metalu i już po chwili miałem na rękach kajdanki.

Moje serce, i tak już niespokojne z powodu Bayty, teraz zaczęło walić w tempie wiertarki udarowej.

– Co jest, u diabła? – warknąłem.

– Jest pan poszukiwany w pensjonacie – rzekł major, chwytając mnie za przedramię i prowadząc ku karetkce. Lekarz tymczasem zdołał postawić Baytę na nogi i pomagał jej wsiąść. Pan i pańska kobieta.

– Świetnie – wymamrotałem, widząc w oddali zbliżający się ciężki dźwig latający w kształcie trzmiela, z chwytkami przywodzącymi na myśl owadzie łapy. – Mam nadzieję, że macie dobry powód – ostrzegłem.

– Raczej niedobry, Frank – rzekł cicho Applegate. – Cholernie niedobry.

Applegate i major posadzili mnie pomiędzy sobą w przedniej części karetki, a Baytę zabrano do tyłu, do hermetycznej kabiny dla pacjentów – rzekomo po to, by lekarze mogli ją przebadać, a w rzeczywistości dlatego, żebyśmy nie mogli dotykać się hełmami i rozmawiać bez świadków.

Po wylądowaniu przy pensjonacie czekało na nas czterech kolejnych Haików w wojskowych skafandrach próżniowych. Jeden szybko założył Baycie kajdanki, a następnie wszyscy utworzyli wokół nas standardowy czworokąt eskortujący. Major przeprowadził nas przez służbę towarową, dostatecznie dużą, by pomieścić całą grupę. Gdy już znaleźliśmy się wewnątrz, eskorta przekazała nas dwóm uzbrojonym Halkom w mundurach, a sama wróciła na zewnątrz. Applegate i major zdjęli hełmy i przypięli je do zaczepów na ramionach, po czym zrobili to samo z naszymi. Pod okiem nowej eskorty przeszliśmy przez kilka korytarzy dla personelu i dotarliśmy do drzwi z napisem: „SALA KONFERENCYJNA WATERCOURSE”.

Sala miała równie typowy wystrój jak przebieralnia. Pośrodku stał długi prostokątny stół, otoczony ładnie obitymi krzesłami na kółkach, a pod przeciwległą ścianą sprzęt elektroniczny do służbowych bądź rozrywkowych prezentacji ditrekowych. Tu i ówdzie stało kilka rozproszonych rzeźb, a wzdłuż jednej ściany biegł wąski kanał z bulgoczącym strumyczkiem i wszechobecnym korałem modhrańskim na dnie.

Po stronie stołu położonej najbliżej korala siedziały, najwyraźniej czekając na nas, trzy osoby. Jedną z nich był halkański arystokrata w trójkolorowych szatach, których nie rozpoznałem. Obok siedział Haik w szlacheckim stroju. Trzecią osobą był mój bellidyjski znajomy Apos Mahf.

– Pan Compton – rzekł ten ostatni, kiwając głową, gdy dwaj eskortujący mnie Halkowie ustawili się przy drzwiach – Znów się spotykamy.

– Istotnie – przyznałem. Applegate posadził mnie na krześle naprzeciw Mahfa, a sam usiadł po mojej lewicy. – Być może zechce mi pan wyjaśnić, co tu się właściwie dzieje.

– Sądzę, że pan to wie – odparł złowróbnym tonem Mahf, przenosząc wzrok na Baytę, siedzącą obok halkańskiego majora na końcu stołu, niedaleko drzwi. – Na początek może pańska towarzyszka zechce nam opowiedzieć o tym, co się wydarzyło w autobusie wycieczkowym.

– Właściwie nie wiem – odparła drżącym głosem Bayta. Przyjrzałem jej się w drodze z karetki do pensjonatu: o ile mogłem to ocenić poprzez skafander próżniowy, nie wydawała się poważnie ranna, niewątpliwie jednak była wstrząśnięta. – W jednej chwili jechaliśmy po lodzie, a kierowca

opowiadał nam o formacjach, a w następnej nagle rzuciło nami o krzesła i ściany. Autobus uderzył w coś i się przewrócił.

– Czy widziała pani, by któryś z pasażerów podchodził do kierowcy bezpośrednio przed tym zdarzeniem? – zapytał Mahf.

Pokręciła głową.

– Patrzyłam przez okno.

– Nie widziała pani nikogo szamoczącego się z kierowcą ani usiłującego wyrwać mu kierownicę? – nie ustępował Mahf. – A po wypadku nikogo, kto próbowałby uciec?

– Nie, nic z tych rzeczy – obstawała przy swoim Bayta. – Patrzyłam przez...

– Przez okno – dokończył za nią Mahf. – Oczywiście. – Gwałtownie przeniósł wzrok na mnie. – A pan?

Niespodziewany atak był starym jak świat sposobem na wyprowadzenie przesłuchiwanego z równowagi. Na nieszczęście Mahfa czytałem te same instrukcje co on.

– Ja? – powtórzyłem spokojnie. – Byłem o trzydzieści kilometrów stamtąd.

– W miejscu, w którym nie miał pan nic do szukania – wtrącił „niearystokratyczny” Haik.

Wlepiłem z niego wzrok.

– Z kim mam przyjemność?

– To nadinspektor PrifKlas – rzekł Applegate z miną kogoś, kto nie z własnej woli znalazł się w samym środku kłopotliwej sytuacji i dałby wszystko, by być teraz gdzie indziej. Administrator ośrodka.

– A! – powiedziałem, lustrując Halka od stóp do głów. – Przepraszam. Sądziłem, że to Apos Mahf tu dowodzi.

PrifKlas najeżył się.

– Jestem tu tylko jako doradca – interweniował pospiesznie Mahf. – Głównodowodzącym operacji jest pułkownik AvsBlar z armii halkańskiej.

– Gdzie teraz przebywa?

– Rozmieszcza swoje wojska – odparł Mahf.

– Ale to już nie pańska sprawa – wtrącił arystokrata.

– Z kim mam przyjemność? – zapytałem.

– Moje nazwisko jest tu bez znaczenia – odparł. – Nadinspektor PrifKlas zaprosił mnie do udziału w sprawie.

– Rozumiem – powiedziałem, zwracając się ponownie do PrifKlasa. – Można wiedzieć, skąd tak szybko ściągnęli państwo pułkownika?

– Z garnizonu na Modhrze II, rzecz jasna – odparł ze złośliwą satysfakcją w głosie. – Nie wiedział pan, że mamy tam garnizon, co?

Poczułem, jak Applegate wierci się na krzesle. Być może on i Losutu przekroczyli swoje uprawnienia, mówiąc mi o obecności wojsk na Modhrze. Nie powiedzieli jednak, że chodzi o cały garnizon.

– Nie – odparłem szczerze. – Nie wiedziałem.

– W porządku – rzekł PrifKlas. – A teraz proszę nam powiedzieć, co pan robił na miejscu budowy.

– Sprawdzalem, jak rozwija się ośrodek.

– Na obszarze, do którego turyści nie mają wstępu?

– Nie zauważyłem żadnych znaków zakazu – odparłem. – Nawiasem mówiąc, co moglibyście tam

mieć do ukrycia?

Siedzący obok Bayty major prychnął lekko.

– Masz odpowiadać, Terraninie, a nie pytać! Wzruszyłem ramionami.

– W porządku. Więc niech pan pyta.

– Mówiłem panu, że to twarziel, nadinspektorze – mruknął Mahf. – Bardzo chłodny, bardzo profesjonalny. Teraz jestem już absolutnie pewien, że Korak Fayr maczał w tym palce.

Nadstawiłem uszu. Kora był bellidyjskim odpowiednikiem majora, a końcowe „k” oznaczało, że chodzi o majora komandorów. Może to właśnie z nim przez większość podróży prowadziłem tę sfingowaną wojnę.

– Ale nie ma pan nawet dowodów na obecność Fayra na Modhrze – zauważył PrifKlas.

– Jest tu – zapewnił go ponuro Mahf. – I z pewnością to niefortunne zdarzenie go nie zniechęci. Czy ewakuowano z hotelu wszystkie łodzie?

– Tak. Rozmieściliśmy je w jaskiniach – odparł PrifKlas.

– A wojsko? – zapytał Mahf, spoglądając na siedzącego obok Bayty majora.

– Rozmieszczone wokół formacji. – Po tych słowach major przystąpił do podawania liczb i współrzędnych.

Udało mi się poluzować łańcuchy na nadgarstkach. Kiedy Halkowie mi je nakładali, mój skafander był w pełni hermetyczny. Nikomu nie przyszło do głowy, by je poprawić, gdy zdjęto mi hełm. Jeśli po rozhermetyzowaniu skafander dostatecznie sflaczał, była szansa, że zdołam oswobodzić ręce.

Istotnie, był nieco sflaczały, choć nie wiedziałem, czy to wystarczy.

Siedzący obok mnie Applegate odchrząknął lekko. Odwróciłem się i zobaczyłem, że gapi się na mnie i zerka znacząco na moje nadgarstki. Ledwo zauważalnie skinął głową, po czym odwrócił się, jakby nigdy nic.

Major zakończył odczytywanie danych.

– I znowu dochodzimy do pańskiej osoby – zwrócił się do mnie PrifKlas. – Bardzo ułatwi pan sobie życie, jeśli zacznie pan współpracować.

– Bardzo bym chciał – odparłem – ale nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

– Szczerze mówiąc, nadinspektorze, on może nawet mówić! prawdę – rzekł z ociąganiem Mahf. – Czytałem jego dossier i nie wyobrażam sobie, żeby mógł się zaangażować w coś takiego. Zgodzi się pan, pułkowniku?

– Nie miałem okazji poznać go aż tak dobrze – odparł wymijająco Applegate. – Był tylko jednym z wielu podlegających mi agentów.

– Jeśli jednak jest niewinny, czym pan tłumaczy jego obecność tutaj? – zapytał PrifKlas.

– Zostaliśmy zaproszeni – wyjaśniłem. – Wysoki Komisarz JhanKla ze Zgromadzenia Piątego Sektora polecił nam to miejsce.

– A cała reszta to czysty zbieg okoliczności? – spytał sarkastycznie Haik.

– Cała reszta czego? – odpowiedziałem pytaniem. PrifKlas prychnął.

– Chce pan zyskać na czasie?

– Może naprawdę go wrobili – upierał się Mahf. – Jeśli tak, to nie miałby powodu ukrywać przed nami informacji mogących nas zaprowadzić do Fayra.

Przez chwilę obaj spoglądali sobie w oczy, a ja musiałem powstrzymać cyniczny uśmiezek. Czy naprawdę sądzili, że tak łatwo dam się nabrać na zabawę w dobrego i złego gliniarza? Zwłaszcza gdy Applegate, oczywisty kandydat na dobrego, najwyraźniej nie miał zamiaru współpracować?

– Może pan spróbować – rzekł PrifKła. – Tylko proszę się streszczać.

Mahf zwrócił się twarzą do mnie.

– Sądzymy, że w okolicy grasuje oddział bellidyjskich wichrzycieli – rzekł cichym, szczerym głosem.

– Prawdopodobnie są już na Modhrze I, choć niektórzy mogą nadal znajdować się w drodze. Przybyli

– skrzywił się – by zniszczyć rafy koralowe.

Poczułem, jak unoszą mi się brwi. W życiu nie przyszłoby mi do głowy, że może chodzić o ekoterroryzm.

– Po jakie licho?

– Nie wiemy – odparł Mahf. – Może żywią jakąś urazę do Haików, a może po prostu stracili rozum.

Zaczął się dwa miesiące temu od kradzieży jednej z należących do ośrodka pomocniczych łodzi podwodnych. Na podstawie strzępów informacji wnioskujemy, że jest ukryta gdzieś w kompleksie jaskiń, które zwiedzał pan dwa dni temu.

– Sam się nad tym zastanawiałem – przyznałem, postanawiając udać, że nie wiem o podsłuchu w pokoju.

– Do dziś nie działa się nic więcej – kontynuował Mahf. – Halkowie usiłowali prześwietlić jaskinie, ale skany okazały się nie dość dokładne: zbyt wiele kamieni, woda obfitująca w rozpuszczone minerały. Tak czy inaczej, nie upatrywaliśmy w tej jednej łodzi wielkiego zagrożenia, zwłaszcza że od tamtej pory prowadzimy ścisły monitoring wszystkich wylotów jaskiń.

– Rozumiem – powiedziałem, zauważając z zaciekawieniem, że Mahf przez cały czas mówi w pierwszej osobie liczby mnogiej. Najwyraźniej współpracował z Halkami znacznie dłużej niż od dzisiejszego ranka. – Dlaczego po prostu nie próbowali państwo odnaleźć Fayra w ośrodku? – zapytałem. – Bo zakładam, że wiadomo, jak on wygląda?

– Oczywiście – odparł Mahf, wyciągając czytnik, wystukując coś i puszczając go w moją stronę poprzez stół. – Poznaje go pan?

Tak jak się spodziewałem, że zdjęcia spoglądał mój fałszywy pijak, ten sam, którego przed godziną zostawiłem w tunelu toboganowym.

– Widziałem go w pociągu do Jurskali – odparłem, odsyłając czytnik z powrotem. Dlaczego po prostu go nie aresztowano?

– Bo aż do dzisiejszego ranka nie mieliśmy pojęcia, jaki gatunek jest zamieszany w tę sprawę – mruknął PrifKlas. – Nie mówiąc już o konkretnych osobach.

– A teraz są państwo pewni, że to Fayr?

– Na sto procent – odparł ponuro Mahf. – To jeden z jego ludzi usiłował wyrwać kierowcy kierownicę, powodując wypadek autobusu.

Zmarszczyłem brwi.

– Nic nie rozumiem.

– Czyżby? – zapytał chłodno PrifKlas. – Naprawdę pan nie zauważył, że formacje lodowe są położone dokładnie nad jaskiniami, w których ukryto skradzioną łódź? Ani że lód w tym miejscu ma zaledwie trzydzieści kilometrów grubości i może zostać skruszony przez serię odpowiednio rozmieszczonych ładunków termicznych?

– Nie – odrzekłem spokojnie. – Nie zwróciłem uwagi na żadną z tych rzeczy.

Z ich punktu widzenia była w tym nawet pewna logika.

Jeśli nie liczyć nieco niewygodnego faktu, że łódka znajdowała się zupełnie gdzie indziej, niż sobie wyobrażali. Swoją drogą, co ten Fayr kombinował?

– Czyżby? – zapytał znów PrifKlas. – Mam wierzyć, że zupełnie przypadkowo znalazł się pan na powierzchni, w miejscu, w którym nie miał pan nic do szukania, akurat wtedy, gdy te wydarzenia miały miejsce?

I wtedy nagle mnie olśniło.

– Chwileczkę – powiedziałem. – Sugeruje pan, że Fayr użył mnie do odwrócenia uwagi?

– Dlaczego nie? – odciął się PrifKlas. – Szczególnie że był pan w tym samym miejscu wczoraj, kiedy komandosi ukrywali w autobusie kruszarkę. Skoro raz udało się zmylić przeciwnika, dlaczego nie zrobić tego po raz drugi?

– Nie rozumiem jednak, dlaczego moje posunięcia w ogóle miałyby zwracać czyjąś uwagę

– odparłem chłodno. – Czym sobie zasłużyłem na taki nadzór?

– Niczym konkretnym, Frank – odezwał się Applegate. – Ale musisz przyznać, że odkąd wsiadłeś do pociągu na stacji Terra, przytrafił ci się cały łańcuch dziwnych zdarzeń. – Wskazał czytnik Mahfa. – A teraz w dodatku słyszymy, że miałeś już do czynienia z tym całym Fayrem. Co ty byś myślał na naszym miejscu?

– Po pierwsze, nie miałem z nim do czynienia – powiedziałem, unosząc skute rękę i licząc na palcach. – Zobaczyłem go w barze i tyle. Po drugie, Bayta i ja w ogóle nie znaleźlibyśmy się na Modhrze, gdyby JhanKla nie polecił nam tego miejsca. Jeśli musicie kogoś winić, wińcie jego. Po trzecie, jeśli złapaliście jednego z ludzi Fayra, dlaczego nie przesłuchujecie jego zamiast mnie?

Mahf zerknął na halkańskiego majora, który siedział obok Bayty z kwaśną miną.

– Odpowie pan? – zapytał.

Mina majora skwasiła się jeszcze bardziej.

– Wymknął nam się z rąk – rzekł głosem, w którym gniew walczył o lepsze ze wstydem. Przeprowadzono go do pensjonatu, ale umknął strażom. Szukamy go.

– Ojej – powiedziałem, z trudem przełykając porcję sarkastycznych uwag, która wystarczyłaby na trzy daniowy obiad. – Cóż, przynajmniej za to nie mogą mnie państwo winić.

– Zdziwiłby się pan – ostrzegł PrifKlas. – Halkańskie prawo jest jasne i nieubłagane, kiedy chodzi o spiski.

– Co oznacza, że czas zawrzeć układ – włączył się Applegate. – Jeśli masz jakieś pojęcie o tym, gdzie jest Fayr albo jak zamierza się dostać do łodzi, musisz im to powiedzieć. I to zaraz! Zerknąłem na Baytę. Siedziała ze ściśniętym gardłem, spoglądając na mnie błagalnie.

Tylko o co błagała? Żebym się poddał i powiedział Mahfowi i PriKlasowi o znalezisku w tunelu, czy żebym siedział cicho, dając Fayrowi i jego ludziom czas na dokończenie tajemniczej misji?

Zresztą dlaczego miałoby mnie obchodzić, czego chce Bayta? Od początku łągała w żywe oczy, wypierając się konszachtów z Fayrem, a jednak używając tego samego szyfru co on. Nie obowiązywała mnie lojalność wobec niej. Odwróciłem się w stronę Mahfa, zaczerpnąłem tchu i...

I zamyśliłem się. On zaś siedział z nastroszonymi węsami, wpatrując się we mnie z nieznośnym wyczekiwaniem.

Dotarło do mnie, że znów próbuję się przed sobą tłumaczyć.

Mahf nadal czekał.

– Tak się zastanawiałem – powiedziałem powoli, jakby moje wahanie wynikało z długich przemyśleń. – Nawet jeśli Fayr dotrze do łodzi, czy nie będzie musiał przesznułować także ładunków wybuchowych do zniszczenia raf?

Wąsy Mahfa nieco oklapły.

– Nie, jeśli będzie miał jeszcze jedną kruszarkę akustyczną – odparł z nutką rozczarowania. – Przy jej pomocy może roztrzaskać łożysko rafy, rozpraszając i zabijając znajdujące się wewnątrz polipy.

– Tracimy czas – wtrącił szorstko PrifKlas. – Panie Compton, jak długo miał pan zamiar tu pozostać?

– Miałem rezerwację na kolejne dwa dni – powiedziałem

o czym zresztą prawdopodobnie już pan wie.

– Jak więc wyjaśni pan to? – Sięgnął pod stół, wydobyl moje torby i z triumfalnym trzaskiem rzucił je na blat. – Może pan powie, że to nie pański bagaż?

Omal się nie skrzywiłem. On tymczasem wyjął torbę Bayty i postawił obok moich. Nie dziwiło mnie, że dziewczyna spakowała nasze bagaże przed wyruszeniem na wycieczkę: powiedziałem jej przecież, że odleciemy popołudniowym promem.

– To nasze rzeczy – przyznałem.

– Jak wytłumaczy pan fakt, iż został on spakowany, skoro zamierzali państwo zostać jeszcze dwa dni?

– Program podróży leży w gestii Bayty – odparłem. – Pewnie się dowiedziała, że nasze pierwotne plany kłócą się z rozkładem pociągów i postanowiła je zmienić.

Przez buldogowatą twarz przemknął grymas gniewu. Halkowie z pewnością mieli już wyciąg komunikacji długodystansowej ośrodka z ostatniej nocy i wiedzieli, że Bayta wysłała wiadomość do Tuby. Nie mieli więc na mnie żadnego haka.

Co nie znaczyło, że nie będą próbowali go znaleźć.

– Na czym konkretnie polegał problem z rozkładami? – zażądał wyjaśnień PrifKla.

Siedzący obok niego arystokrata poruszył się niespokojnie.

– Z całym szacunkiem, nadinspektorze, to bezcelowe – rzekł.

– Tak jest, ekscelencjo – odparł przymilnie PrifKlas. – Co pan proponuje?

Arystokrata ledwo widocznym ruchem głowy wskazał za siebie.

– Mamy tu pokłady koralu – zauważył. – Czas z nich skorzystać.

W mgnieniu oka zmieniła się atmosfera w pokoju.

Nie wydarzyło się nic konkretnego: nie zaległa ponura cisza, nikt nie wciągnął gwałtownie powietrza, nie zmienił wyrazu twarzy, nie zaczął się wiercić na krześle. A jednak coś się stało. Coś bardzo, bardzo ważnego.

– Tak – mruknął PrifKlas, spoglądając na mnie z tym samym subtelnym błyskiem, który zobaczyłem w oczach Mahfa. – Istotnie

– Chwileczkę – wtrącił ostrożnie Applegate, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego. Proszę wybaczyć, ale to chyba jakiś żart.

– Śmie pan zwracać się do nas w ten sposób na naszej ziemi? – zapytał arystokrata. Mówił spokojnie, ale jego oczy świdrowały Applegate’a jak dwa palniki plazmowe.

– To obywatel Konfederacji Terrańskiej – nie ustępował pułkownik. – Przysługują mu pewne prawa.

– Może pan złożyć protest po zakończeniu działań – odparł arystokrata, dając znak stojącym przy drzwiach żołnierzom. – Straż! Zdjąć mu skafander. – Przechylił głowę, namyślając się. – I kobiecie też – dodał.

– Mogę go dla was znaleźć – odezwała się Bayta, gdy żołnierze ruszyli do przodu.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niej.

– Fayra? – zapytał PrifKlas.

– Tak – potwierdziła ze ściśniętym gardłem i miną osoby stojącej przed plutonem egzekucyjnym. –

Muszę tylko wyjąć czytnik z torby.

Zmarszczyłem brwi, próbując odgadnąć, co skrywa jej napięta twarz i przerażone oczy. Niemożliwe, żeby miała w czytniku coś, co pomoże znaleźć Fayra. Co ona knuła?

– Dobrze – rzekł przeciągle PrifKlas, wstając, przewracając torbę Bayty na bok i pstrykając automatyczny zamek.

Olśnienie przyszło tak nagle, że cały się spociłem. Bayta woląla odpalić saarix 5 niż dopuścić, by mnie zmuszono do dotknięcia koralu. Spojrzałem z powrotem na grzebiącego w torbie PrifKlasa, koncentrując się na przymocowanym do naramiennika hełmie. W zależności od promienia dyspersji trucizny istniała szansa, że zdążymy włożyć hełmy i uszczelnić skafandry, nim saarix nas zaatakuje.

Applegate też mógłby to zrobić, gdyby dostatecznie szybko zorientował się w sytuacji i zadziałał.

Ale byli jeszcze inni.

Czy musiałem ich chronić? Z całą pewnością żaden spośród nich nie zagroził nam ani nie zrobił nic innego, co uzasadniałoby użycie śmiercionośnej broni. Nie mogłem czekać z założonymi rękami, aż Bayta ich wymorduje!

PrifKlas tymczasem wyjął czytnik i obracał go w palcach, przyglądając się Baycie podejrzliwie. Nie był naiwny; wiedział, że coś tu jest nie tak.

– Dobrze – rzekł. – Ale najpierw oboje musicie zdjąć skafandry, Bayta zerknęła na mnie w panice.

– Na co czekasz? – rzuciłem lekko zniecierpliwionym tonem. – Rób, co ci każą, i powiedz im, gdzie mogą go znaleźć, żebyśmy w końcu mogli stąd wyjść.

Przez ułamek sekundy dziewczyna gapiała się na mnie, a przez twarz przemykały jej coraz to nowe emocje, by wreszcie z ostatnim drżeniem warg ustąpić miejsca znajomemu, beznamietnemu obliczu.

Starałem się przybrać podobny wyraz twarzy, wiedząc, że aby zdjąć nam skafandry, Halkowie muszą najpierw rozkuć nasze ręce.

Nadal wprawdzie byłbym sam przeciwko dwóm halkańskim żołnierzom i jednemu oficerowi, ale i tak była to nasza największa szansa. I prawdopodobnie jedyna.

Żołnierze oflankowali Baytę i podnieśli ją z krzesła. Obserwowałem ich ruchy, planując, kiedy i w jaki sposób przystąpić do akcji, gdy nadejdzie moja kolej.

I wtedy – dokładnie w momencie, w którym jeden z żołnierzy sięgał do zapinek w kołnierzu Bayty – drzwi sali otworzyły się.

Obaj żołnierze obrócili się gwałtownie, machinalnie sięgając po broń. Jednak to był tylko Cymalczyk w jasnopomarańczowym skafandrze, z przyciemnioną maską, jakby dopiero co wszedł z dworu. Gruszkowaty kształt ciała nie pozostawiał wątpliwości. Cymalczyk rozkołysanym krokiem wszedł do pomieszczenia i zamarł na nasz widok.

– To być grupa nauka nart? – zapytał niepewnie. Dobiegający spod hełmu chropawy głos brzmiał, jakby się wydobywał ze studni.

– Pomylił pan pokoje – rzekł szorstko PrifKlas.

Starając się utrzymać w bezruchu górną połowę ciała, przygotowałem nogi do wyskoku. Nie odrzucało się daru niebios, a tym niewątpliwie było dla mnie nagle pojawienie się Cymalczyka. Obaj żołnierze stali odwrócenie do mnie plecami, a uwagę pozostałych także zajmowała sytuacja przy drzwiach.

Nadszedł czas działania.

Najlepszym celem byłiby żołnierze, ale dzielił mnie od nich Applegate i prawie cała długość stołu. Inaczej rzecz się miała z Mahfem. Siedział dokładnie naprzeciwko mnie, połyskując lśniąco

karabinami w naramiennych kaburach. Gdybym dostatecznie szybko sięgnął przez stół, mógłbym złapać jeden z nich, nim właściciel zdąży zareagować. Schwyciłem się skraju stołu i uniosłem nieco na krzesło, przygotowując się do wykopania go spod siebie.

– Przepraszam – rzekł Cymalczyk, kłaniając się nisko i rozkładając ramiona, jakby miał nas pobłogosławić. Przed oczami mignęły mi dwie przymocowane do rąk pomarańczowe rurki...

Z podwójnym trzaskiem, jakby ktoś łamał cienkie gałązki, wystrzeliły z nich dwa pociski, godząc halkańskich żołnierzy w samo serce.

Ci zatoczyli się na stół, chwytając się za torsy i po omacku szukając broni. Ćwierć sekundy później nogi ugięły się pod nimi i obaj padli na podłogę. Niemal jednocześnie siedzący obok Bayty major dostał swój przydział i osunął się na stół. Mahf zaklął, zrywając się z krzesła i sięgając po broń. Jednak Cymalczyk miał go już na oku. Umocowane przy nadgarstkach pistoleciki znowu wypaliły. Karabiny z trzaskiem uderzyły o podłogę, a sam Mahf zwalił się jak kłoda w ślad za nimi.

PrifKlas i arystokrata, starsi, bardziej konwencjonalni i znacznie mniej nawykli do tak gwałtownych i brutalnych działań, nie zdołali nawet podnieść się z krzesel.

Pozostało nas troje: Bayta, Applegate i ja.

– Spokojnie – powiedziałem, pokazując Cymalczykowi skute ręce. – Być może wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

– Być może – odparł. – Proszę chwilę poczekać.

Trzymając jeden z pistoletów wymierzony w Applegate drugim systematycznie oddawał po trzy kolejne strzały do każdej z leżących już bezwładnie na podłodze lub krzesłach postaci.

– Potrzeba więcej niż jednego pocisku, żeby całkowicie kogoś uspić – powiedział.

Nie spuszczać lufy z Applegate’a, drugą ręką sięgnął do maski i nacisnął przycisk regulujący przejrzystość.

Nie byłem ani trochę zdziwiony odkryciem, że twarz po drugiej stronie należy do Koraka Fayra.

– Dzięki za pomoc – rzekłem. – Pojawiłeś się w samą porę.

– Istotnie, byłeś w potrzebie – przyznał, lustrując wzrokiem Baytę i Applegate’a. – To twoi zaufani współpracownicy?

– Bayta tak – odparłem, tylko nieznacznie naginając prawdę. – Obawiam się, że za pana Applegate’a nie mogę ręczyć.

Ten rzucił mi zaskoczone spojrzenie.

– Dzięki – burknął. – Serdeczne dzięki.

– Proszę nie brać tego do siebie – pocieszyłem go, opuszczając ręce na kolana i usiłując zsunąć kajdanki. – W tej chwili nie ufam nikomu na tym kawałku skały.

– Oprócz bellidyjskich odszczepieńców – skomentował oschle Applegate, próbując mi pomóc uwolnić ręce.

– Kto powiedział, że im ufam? – odparłem, przenosząc wzrok na Fayra, który metodycznie odpinał halkańskim żołnierzom karabiny i komunikatory. Jego pomarańczowy skafander niczym kameleon szybko zmieniał barwę na zieloną, a gruszkowaty dół zapadał się, porzucając cymalski kształt. – Chyba już czas, żeby ktoś mnie oświecił, co właściwie się tu dzieje.

Fayr zerknął na Applegate’a.

– Później.

– Nie, mogę ci to powiedzieć już teraz – włączył się Applegate, nadal zmagając się z moimi kajdankami. – Okazuje się, że koral modhrański ma pewne właściwości, które Halkowie starannie

zawali przed resztą świata. Konkretnie rzecz biorąc, chodzi o obecne w jego powłocie związki chemiczne wywołujące u większości gatunków łagodne odurzenie. Dla niewielkiego procenta populacji mogą one być równie uzależniające jak heroina 3 czy redpeace. – Pułkownik zerknął na Fayra. – Nie jesteśmy aż tak nieorientowani, Koraku Fayr.

– Nie licytujmy się – upomniałem go, zatroskany. Tak groźne jak heroina 3? – Od jak dawna rozprawdzają ten towar po całej galaktyce?

– Urzędnicy twierdzą, że o niczym nie wiedzieli – wyjaśnił Applegate. – Może nawet mówią prawdę. Ale ktoś wykorzystuje cora do manipulacji ludźmi. Wysoko postawione osoby, korporacje, może nawet całe rządy.

– Również na Ziemiach Bellidosza? – zapytałem, unosząc brwi i spoglądając na Fayra. Nie odpowiedział, ale Applegate przytaknął.

– Prawdopodobnie. Ci, których przyłapano, nie są zbyt chętni do współpracy.

– Kto za tym stoi? Applegate wzruszył ramionami.

– Pewna tajemnicza grupa, występująca pod kryptonimem Modhri – rzekł. – Kimkolwiek są ci ludzie, źródło ich mocy znajduje się właśnie tu, kilometr pod nami. Niszcząc je, zniszczymy także ich. Ponownie przeniosłem wzrok na Fayra. Zarówno on, jak! Bayta przysłuchiwali się rozmowie w zaskakującym milczeniu.

– Chcesz coś dodać? – zapytałem.

– Pan Applegate przedstawił kwintesencję – rzekł beznamiętnie Fayr, obchodząc stół i podnosząc karabiny Mahfa.

– Tylko kwintesencję?

– Jest jeszcze parę szczegółów. – Fayr wskazał uśpionego arystokratę. – Na przykład to, że ten Haik należy do owej grupy. Zarządza przedsiębiorstwem, które wydobywa, pakuje i eksportuje koral.

– Mhm. – Spojrzałem na Applegate’a. – Jakie jest stanowisko Konfederacji w tej kwestii? Zrobił nieszczęśliwą minę.

– Oficjalnie żadne. Na naszych światach nie ma koralu i chcemy, by tak pozostało. Nieoficjalnie – pociągnął mocno za kajdanki, otwierając je z trzaskiem – ONZ wspiera wszelkie działania wymierzone w niebezpieczne, uzależniające narkotyki. Jeśli o mnie chodzi, w pełni popieram działania organizacji na Modhrze I. Jeśli chcesz się przyłączyć, nie będę cię powstrzymywał. Popatrzyłem na Baytę.

– Chcesz iść?

– Tak – odparła drżącym lekko głosem.

– Koraku Fayr?

Bellido skinął głową.

– Wasza pomoc bardzo nam się przyda.

– W takim razie przyłączamy się – powiedziałem, wstając.

– Do boju, tygrysie! – mruknął z nieznacznym uśmiechem Applegate.

Przeszedłem obok niego, po czym zatrzymałem się i odwróciłem.

– Jeszcze jedno – rzekłem, dając znak Fayrowi. – Wolelibyśmy, żeby PrifKlas i Mahf nie zastanawiali się, czy pan ich zdradził. Zgadza się?

Applegate zrobił wielkie oczy.

– Co takiego? Chwil...

Jego protest przerwał trzask pistoletu Fayra. Applegate zdążył jedynie posłać nam wściekle

spojrzenie, po czym osunął się bezwładnie na krzesło.

– Dobry strzał – powiedziałem, odpinając hełm od uchwytu naramiennego i zakładając go. Wyłączywszy znajdujący się w środku komunikator, wyjąłem z kieszeni transponder i ponownie przyczepiłem go do maski. – Co teraz? – zapytałem, wybierając z równego rzędu, który ułożył na stole Fayr, jeden z halkańskich pistoletów i chowając go do bocznej kieszeni.

– Zobaczysz – odparł Fayr przez transponder, mocując do maski Bayty podobne maleńkie urządzenie. Jego skafander przeobraził się tymczasem w udaną kopię halkańskiego ubioru wojskowego. – Zabierzcie swoje bagaże – dodał, przywłaszczając sobie pistolet drugiego Halka. Nie wrócimy tu już.

Korytarz za drzwiami sali konferencyjnej był pusty. W drodze do szluz powietrznych zauważyliśmy kilka osób, wśród nich garstkę żołnierzy halkańskich. Wszyscy oni znajdowali się jednak w pewnej odległości i nie zauważyłem, by któryś zwrócił na nas uwagę.

Na zewnątrz niewiele się zmieniło podczas naszej nieobecności. Prom odrzutowy nadal stał na lodzie. Halkański transportowiec wojskowy także. Ruszyliśmy ku lądowisku: przodem Bayta i ja z bagażami, a za nami, niczym dobry halkański konwojent, Fayr z bronią.

– Mam nadzieję, że nie masz zamiaru nabrać Haików na ten kameleonowy skafander ostrzegłem go. – Ich komandosi też takie mają.

– Bez obaw – uspokoił mnie Fayr. Przez mój transponder dobiegały ledwo słyszalne odgłosy sprawozdania, które ktoś mu składał za pośrednictwem komunikatora w hełmie. – Załatwiliśmy inny transport.

Jakby na potwierdzenie tych słów na horyzoncie pojawił się duży, niezgrabny pojazd latający, lecący nisko nad ziemią w naszym kierunku. Przez chwilę gapiłem się na niego z otwartymi ustami, nim wreszcie dotarło do mnie, że to ten sam ciężki dźwig, który widziałem wcześniej, tyle że teraz trzyma w chwytakach rozbity autobus. Dźwig leciał ku nam znacznie szybciej, niż można by się spodziewać po czymś tak obciążonym.

Kiedy tak patrzyłem, chwytaki puściły autobus, który majestatycznie popłynął ku ziemi. Bayta wciągnęła gwałtownie powietrze. Sekundę później autobus z trzaskiem spadł na tylną sekcję transportowca wojskowego.

Nawet w rozrzedzonej atmosferze Modhry uderzenie było słyszalne. Brzmiało, jakby ktoś wrzucił kość do maszynki do mięsa.

– Do promu! – rozkazał Fayr, przekrzykując hałas.

Przyspieszyliśmy, starając się osiągnąć maksymalną prędkość, a jednocześnie nie uderzać o ziemię zbyt mocno, by nie podskakiwać jak kangury. Za naszymi plecami ludzie na dźwięk huków zaczęli wybiegać ze szluz. Także z pobliskiego wzgórza wyłoniło się kilkanaście postaci w wojskowych skafandrach. Uwolniony od ciężaru dźwig przeleciał natomiast nad pensjonatem i zniknął na horyzoncie, zdążając w kierunku tuneli toboganowych.

Bez przeszkód dobiegliśmy do otwartych zewnętrznych drzwi promu i wśliznęliśmy się do środka. Gdy Fayr zamykał drzwi i uruchamiał szluz, na wszelki wypadek wyjąłem pistolet. Wewnętrzne drzwi otworzyły się i weszliśmy do środka.

Broń okazała się niepotrzebna. Na stanowisku dowódcy i drugiego pilota siedziały już dwie postacie i choć miały na sobie halkańskie skafandry wojskowe, ich nonszalanckie spojrzenia wyraźnie zdradzały, że mamy do czynienia z komandosami Fayra.

– Chyba już wiem, dokąd się udał więzień Haików – powiedziałem, przesuając się do przodu.

– Zdziwisz się, ale pilotuje dźwig – odparł Fayr. – Uznałem, że nie będą go szukać w miejscu, w którym wcześniej został schwytany. Potrafisz tym latać?

– Pewnie tak. – Stałem między dwoma Bellidami i zerknąłem na pulpit sterowniczy. Wszystkie podpisy były po halkańsku, ale układ wyglądał raczej typowo. – Przyjmijmy, że tak powiedziałem. – O ile tylko nie każesz mi wykonywać zbyt skomplikowanych manewrów.

– Bez obaw – zapewnił mnie Fayr, dając podwładnym znak, by opuścili swoje siedzenia. Musimy jedynie wrócić do miejsca, w którym spotkaliśmy się dziś rano.

– W porządku – odparłem, wślizgując się na siedzenie pilota i zapinając pasy. Sprawdziłem silniki i napęd jonowo-plazmowy, upewniając się, że etap rozruchu został przeprowadzony prawidłowo.

– Daj znać, kiedy ruszać.

– Już – rzekł Fayr.

Moje skromne szkolenie pilotażowe we WSZ-y skupiało się głównie na myśliwcach raketowych i innym sprzęcie wojskowym, więc pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, były spóźnione reakcje promu. Gdy jednak skierowałem go w odpowiednią stronę i uruchomiłem napęd jonowo-plazmowy, znacznie się ożywił, wgniatając nas lekko w siedzenia. Po minucie pędu przez lodową pustynię dotarliśmy do końca linii czerwonych słupów i początku nowych tuneli.

– Co teraz? – zawałem.

– Musimy stopić lód nad północnym tunelem – odkrzyknął z tylnej części kokpitu Fayr. Wiesz, w którym miejscu.

Spojrzałem przez ramię. Gdy ja koncentrowałem się na pilotowaniu, Fayr i jego kumple złożyli dwa groźnie wyglądające miotacze pakietowe kalibru 15mm.

– Nieźle – powiedziałem. – Przywieźliście je z Sistarrko?

– Tak – odparł Fayr. – Broni typu wojskowego nie wolno przewozić koleją, więc przywieźliśmy towary na wymianę i kupiliśmy potrzebny sprzęt od miejscowych producentów.

– Na czarnym rynku? – bardziej stwierdziłem, niż zapytałem.

– Nawiasem mówiąc, chyba macie świadomość, że to importowane zabawki?

– Spokojnie – rzekł. – Skoncentruj się na topieniu lodu, a walkę z myśliwcami pozostaw nam.

– Z czym? – Zerknąłem na pulpit, a potem podniosłem wzrok i spojrzałem przez osłonę promu. Rzeczywiście: parka Chaft 669 wisiała wyczekująco nad lodem, z dziobami skierowanymi w naszą stronę.

Na moich oczach jeden z myśliwców obniżył dziób, a potem uniósł go ponownie, przesuając po naszym kadłubie systemem naprowadzania broni w uniwersalnym wezwaniu do poddania się.

– Nie wydają się zbyt zadowoleni – ostrzegłem Fayra.

– Nie zwracaj na nich uwagi – odparł, pomagając jednemu z uzbrojonych towarzyszy wejść do prawej śluzy. Drugi strzelec był już w lewej, czekając na zamknięcie się wewnętrznych drzwi.

– To cywilny pojazd – dodał Fayr, przechodząc do przodu i siadając na miejscu drugiego pilota. – Nie wystrzelą do nas, póki się nie zorientują, że nie daliśmy się nabrać.

– Nabrać na co?

– Później – rzekł Fayr. – Teraz uwaga. Zahamowałem, zawieszając prom kilkanaście metrów od powierzchni i jakieś trzydzieści od miejsca, w którym czekała ukryta łódź. Przechylając dziób w górę – co nie przyszło łatwo, zważywszy, że nasze silniki były zwektorowane – zacząłem powoli dodawać mocy.

– Na co nie daliśmy się nabrać? – zapytałem ponownie, gdy lód topił się już w tornadzie wirującej

bieli.

– Wspomniałem wcześniej, że w opowieści Applegate’a nie zgadza się kilka szczegółów rzekł, dzieląc uwagę między tył promu, pod którym gotował się lód, a przód, przed którym wisiały myśliwce. – Jednym z najistotniejszych jest charakter zagrożenia – kontynuował. – Modhri nie jest zwykłą grupą handlarzy narkotyku. To koral.

Zmarszczyłem brwi.

– Że co?

– Koral modhrański składa się z wielu niewielkich polipów, otoczonych czymś w rodzaju skorupy – wyjaśnił. – W odróżnieniu od polipów innych koralu, te stanowią komórki zbiorowego umysłu.

Przesuń trochę w lewo.

Skierowałem strumień gazów nieco w lewo.

– Co to takiego, ten zbiorowy umysł?

– Polipy działają tak jak komórki normalnego mózgu, tyle że zamiast neuronów mają łącze telepatyczne – rzekł. – Wystarczy kilka tysięcy takich komórek, by stworzyć prymitywną samoświadomość, a jeśli grupa jest wystarczająco duża, może się łączyć z innymi, odległymi nawet o setki kilometrów, tworząc znacznie inteligentniejsze byty. – Spojrzał mi w oczy. – Ale ty oczywiście mi nie wierzysz.

– Tego bym nie powiedział – odparłem ostrożnie, pamiętając o miotaczach pakietowych w rękach jego podwładnych. – Skąd wiesz to wszystko?

– Patrz – rzekł, wskazując ekran. – Widzisz? Spodziewałem się czegoś w stylu starego ditreku o hrabim Drakuli: jakiejś bezkształtnej masy koralu, wyłaniającej się z pary i zamrażającej deszcz. Tymczasem nie zobaczyłem nic i dopiero po upływie sekundy zrozumiałem, że Fayr wskazuje dwa słupy z szarego metalu – belki dźwigowe połączone ze skradzioną łodzią. Byliśmy blisko celu.

– Na czym dokładnie polega zagrożenie? – zapytałem. – Eksportowane kawałki szpiegują dla jakiejś centrali, czy co?

– Eksportowane masy koralu – nazywamy je przyczółkami – są zbyt daleko od ojczyzny, żeby mieć bezpośrednie połączenie – rzekł Fayr. – Niebezpieczeństwo stanowią przemieszczające się kolonie zwane wędrowcami, które koral osadził w większości elity społecznej i przywódców politycznych galaktyki.

Zaczynałem się czuć naprawdę dziwnie.

– Jak to: osadził?

– Przez dotyk – odparł Fayr. – Polip może wnikać do skóry, a następnie do krwioobiegu człowieka poprzez niewielkie zadrapanie przy dotyku. Gdy już tam jest, rozrasta się w samodzielny organizm, po czym dzieli się i tworzy własną kolonię.

– A potem?

– Kolonia tworzy drugą, ukrytą osobowość, zwykle pozostającą w podświadomości nosiciela i starającą się subtelnie nim sterować, podsuwając pozornie racjonalne zachowania i dyktując decyzje. „Śmiało” – przypomniały mi się słowa Mahfa, wypowiedziane nad sadzawką z korałem. „Niech pan spróbuje”.

A następnego dnia, z niewiadomych przyczyn zasnawszy na stojąco, sam omal nie nakłoniłem siebie do dotknięcia koralu.

– Czy tylko nosiciele polipa mogą słyszeć te podszepty? – zapytałem, nie wiedząc, czy naprawdę chcę usłyszeć odpowiedź. Jeżeli wprowadzili mi go do organizmu bez mojej wiedzy...

Ku mojej uldze Fayr pokręcił głową.

– Nie. Jeśli kolonia jest dostatecznie duża, może oddziaływać nawet na odległość – rzekł. Nazywamy te zjawiska wirusami myśli. Mogą pozostawać w umyśle przez kilka minut, a nawet godzin.

– Dając ofierze czas na wytłumaczenie sobie, że to, czego od niej żądają, ma sens mruknąłem ponuro.

– Istotnie – przyznał Fayr. – Patrz!

Poprzez parę było już widać górną część łodzi, która stopniowo wyłaniała się spod lodu.

– Skoro chcecie zniszczyć koral, to po co wam ta łódź na powierzchni? – zapytałem.

– Przerwij na chwilę, żeby dźwig mógł ją przyczepić – zakomenderował Bellido. – Potem stopimy resztę.

Na tylnym ekranie coś się poruszyło: z wnętrza południowego tunelu wyłonił się ten sam ciężki dźwig, który upuścił autobus na transportowiec. Manewrując ostrożnie, przemieszczał się przez lodową burzę ku łodzi.

– Uwaga! – ostrzegł Fayr. – Myśliwce zaraz ruszą. Zerknąłem na chafty. Nie zmieniły położenia, ale nagle poczułem, że szykują się do akcji.

– Na nas czy na łódź?

– Na łódź – odparł. – Ale...

Jego protest utonął w ryku silników. Włączając deflektory manewrowe, w skupieniu obróciłem statek i zwektorowałem silniki tak, by wśliznąć się między myśliwce a łódź.

– Jesteś pewien, że nas nie zaatakują? – zawołałem, przekrzykując hałas.

Ledwie skończyłem, myśliwce rozpoczęły natarcie.

Rozdzieliły się: Jeden usiłował ominąć znajdujący się na linii strzału prom dołem, drugi górą. Opuściłem statek, by zablokować drogę temu, który próbował przelecieć dołem. W odpowiedzi myśliwiec jeszcze bardziej obniżył lot, najwyraźniej stwierdzając, że jego pojazd ma większe zdolności manewrowe. Jego partner, widząc wolną drogę, przygotował się do zadania ostatecznego ciosu.

Przeszkodził mu morderczy deszcz ognia przeciwpancerneho z miotacza pakietowego, obsługiwanego przez Bellidę ukrytego w lewej śluzie. Chafta wykonała gwałtowny zwrot, ale gondola jej prawego silnika była już w strzępach.

Pierwszy myśliwiec nadal usiłował przemknąć pode mną. Zacisnąłem zęby i zacząłem schodzić w dół...

I ze zdumieniem zobaczyłem, że Fayr sięga do pulpitu drugiego pilota i przełącza silniki na pełną moc.

– Co ty wyprawiasz? – wrzasnąłem, gdy prom wystrzelił w górę jak oszołomiony korek.

– Oczyszczam pole – odkrzyknął. – Przygotuj się!

Właśnie brałem głęboki oddech, gdy pod nami przemknął smukły czarny cylinder, zostawiający za sobą smugę żółtego ognia, i ugodził dolną chaftę wprost w zespół przednich działek.

Myśliwiec zniknął w chmurze dymu i ognia.

Spojrzałem w drugą stronę. U wylotu południowego tunelu stali ramię w ramię dwaj Bellidowie z naramiennymi wyrzutniami pocisków. Na moich oczach druga wyrzutnia strzeliła żółtym płomieniem, który przeleciał nad promem i uderzył w drugą chaftę. Nastąpiła kolejna eksplozja. Nasza bitwa dobiegła końca.

Z trudem odnalazłem głos.

– Całkiem nieźle – powiedziałem, siląc się na lekki ton.

– Na razie tak – przyznał, nie odwzajemniając mojej lekkości. – Pytanie brzmi, jakie niespodzianki Modhri ma jeszcze w zanadrzu.

– Ta mi wystarczyła – zapewniłem go. Tymczasem dwaj Bellidowie odczepili wyrzutnie i szli w stronę wytopionego przeze mnie w lodzie krateru. Z tunelu wyłonili się też ich towarzysze, których widziałem rano, i ruszyli ich śladem. Po dotarciu do na wpół odsłoniętej łodzi i wiszącego nad nią dźwigu zaczęli je łączyć za pomocą belek dźwigowych.

– Znajdziesz chwilę na dokończenie opowieści? – zapytałem. – Począwszy od tego, co ta łódź robi na górze, skoro chcecie zniszczyć koral na dole?

– Nie chcemy zniszczyć koralu na dole – odparł Fayr. – To kolejny rażący błąd w opowieści Applegate’a. Widzisz – kontynuował – koral modhrański wcale nie pochodzi stąd. Wskazał gestem teren leżący pod nami.

– Chyba żartujesz – zachnąłem się, zapominając na chwilę o bliskości miotaczy pakietowych. – To przeczy wszystkim sprawozdaniom na ten temat, jakie w życiu widziałem.

– Sprawozdania stwierdzają, że ojczyzną koralu jest Modhra

– przyznał Fayr, poruszając węsami w kontrolowanym uśmiechu. – Rzecz w tym, że wcale nie znajdujemy się na Modhrze I. Koral zamienił nazwy obu księżyców, by wprowadzić w błąd potencjalnych agresorów.

Gapiałem się na niego jak sroka w gnat.

– Jaja sobie robisz. Jak można zmienić nazwy dwóch światów w taki sposób, żeby nikt tego nie zauważył?

– A kto miał zauważyć? – zapytał Fayr. – Wszyscy, którzy zbierają, pakują i eksportują koral, są wędrowcami, ściśle kontrolowanymi przez Modhriego, który szepcze im do ucha, co mają robić. Pozostali po prostu akceptują oficjalne wytyczne na temat tego, który z bliźniaczych księżyców jest jedyneką, a który dwójką.

Ugryzłem się w policzek. Trudno było zaprzeczyć logice tych słów.

– Jesteś pewien, że się nie mylisz?: Wskazał dymiące resztki, które kiedyś były chaftą.

– Ich własne działania tego dowodzą – rzekł. – Myślisz, że Modhri zaatakowałby w ten sposób, gdyby nagle nie uświadomił sobie, że znamy prawdę i że prawdziwe łożyska koralowe są w niebezpieczeństwie?

– Pytałem, czy masz jakieś inne dowody na zamianę nazw? Jego oczy dosłownie wwierciły się w moje.

– Wy, Terranie, jesteście dziwnym gatunkiem. Bardzo często działacie pod wpływem nielogicznych impulsów i przeczuć, które zdziwiłyby nawet Szorszyjczyków, a jednocześnie żądacie dowodów znacznie przewyższających to, co usatysfakcjonowałyby każdą inną rasę.

– Przyznaję, że jesteśmy siedliskiem sprzeczności – zgodziłem się. – Więc jak, macie niezależne potwierdzenie czy nie?

– Mamy – powiedział nieco znużonym głosem, być może zaczynając żałować, że w ogóle uratował nas przed korałem. – Modhri był dostatecznie sprytny, by zmienić dane w oficjalnych rejestrach, a nawet w dokumentach historycznych. Zaniedbał jednak dane oceanograficzne. Staranne badania map głębokości wyraźnie wskazują, że koral pochodzi z drugiego księżyca i że to tamten księżyc nosił niegdyś miano Modhry I.

Pokiwałem głową. To wszystko powoli zaczynało się układać w całość. To dlatego Fayr wykradł jedną z łodzi hotelowych i zadał sobie trud wyciągnięcia jej na powierzchnię przez grubą warstwę

lodu zamiast po prostu kupić jakąś łódkę i przywieźć ją tutaj razem z bronią i resztą sprzętu. Odgrywał komedię przed Modhrim, udając, że dał się nabrać na zamianę nazw księżyców.

– Czy cały Modhri już wie, że ma kłopoty? – zapytałem. – Czy tylko miejscowa populacja?

– Nie, macierz wie – odparł Fayr, przyglądając się działaniom w dole. – Jest paru wędrowców, którzy noszą w sobie spore kolonie, i wiele przyczółków koralu w różnych częściach kurortu. Taki segment może bez trudu nawiązać łączność z macierzą.

Zerknął na mnie z ukosa.

– Prawdopodobnie to dlatego cię tu zaproszono – dodał. – Agent Pająków to rarytas, któremu Modhri z pewnością ma ochotę się bliżej przyjrzeć. Zanim cię zniewoli.

Poczułem ucisk w żołądku.

– Świetny materiał na szpiega, co?

– Gorzej – rzekł. – Modhrańska kolonia zwykle pozostaje w cieniu, ale w razie potrzeby potrafi wyprzeć pierwotną osobowość wędrowca i przejąć całkowitą kontrolę nad ciałem.

Pomyślałem o dwóch Halkach z Kerfsis.

– To znaczy, że może skłonić nosiciela nawet do kradzieży lub zabójstwa?

– W takim momencie życzenia czy skrupuły wędrowca nie mają żadnego znaczenia odparł. – Jego własna osobowość zostaje wyparta i doznaje całkowitego zaćmienia. Jeśli modhrańska kolonia jest dostatecznie sprytna, wędrowiec może pozostać kompletnie nieświadom faktu, że coś takiego mu się przydarzyło.

– I ten kurort jest pełen modhrańskich wędrowców? Fayr prychnął.

– Jest pełen możnych i bogatych galaktyki – rzekł – a to mówi samo za siebie.

Zerknąłem w stronę pensjonatu, jakbym się spodziewał, że zobaczę tłum zombich ze starego horroru, pędzący ku nam z widłami i pochodniami.

Jednak na lodzie nie było nikogo. Zresztą w tej atmosferze pochodnie i tak by nie płonęły.

– Jakiego powitania możemy oczekiwać w głównej bazie? – zapytałem.

– Centrum zbioru koralu ma do dyspozycji dziesięć małych łódek i pięćdziesięciu nurków

– odparł Fayr. – Jest tam również około pięćdziesięciu innych pojazdów, w tym dziesięć lub dwanaście dźwigów i innych niewielkich maszyn latających.

– Nie wspominając o tym, co nadal znajduje się w garnizonie.

– Po unieszkodliwieniu transportowca i chaft pozostało im co najwyżej pięć pojazdów. A ponieważ wielu żołnierzy przetransportowano już tutaj, w bazie może brakować personelu, który potrafiłby kierować tym sprzętem.

– Chyba że zarekwirują pozostałe dźwigi kurortu i zabiorą żołnierzy z powrotem zauważyłem, spoglądając w niebo. Ono jednak także było puste.

– Nie ma tu już żadnych pojazdów zdolnych do podróży kosmicznych – zapewnił mnie Fayr. – Unieszkodliwiliśmy także komunikatory dalekiego zasięgu.

– To dobrze – powiedziałem. – A obrona naziemna?

– Centrum koralowe ma czynny system obrony przeciwlotniczej – odparł. – Na szczęście wylądujemy poza jego zasięgiem. Wytopimy dziurę w lodzie w bezpiecznej odległości od kompleksu i pošlemy łódź wzdłuż łożysk koralu, by je zniszczyć przy pomocy kruszarek akustycznych i niewielkich ładunków wybuchowych.

– Jak ją później odzyskamy?

– Nie odzyskamy – odparł Fayr. – Dla tych dwóch ludzi od początku była to misja samobójcza.

Poczułem, jak w żołądku zawiązuje mi się wielki supeł. Zawsze nienawidziłem misji samobójczych. Fayr bez trudu odczytał moje myśli.

– Mnie też się to nie podoba – rzekł ponuro. – Ale nie widzę innego wyjścia.

– Daj mi czas do namysłu. – Myśl szybko. – Wskazał ekran. – Już skończyli. Zerknąłem w dół. Łódź była już przymocowana do dźwigu, a Bellidowie spieszyli w naszą stronę.

– Weźmiemy ich na pokład – rzekł Fayr, zmniejszając moc silników i opuszczając prom na powierzchnię. – Potem uwolnimy łódź i ruszymy w drogę.

Po raz ostatni spojrzałem w niebo. Nadal było czyste.

– To mi się wydaje podejrzane – powiedziałem.

– Może zaskoczyliśmy Modhriego – rzekł Fayr.

– Może – odparłem. – Może. Trzy minuty później, z komandosami na pokładzie i oswobodzoną spod lodu łodzią, wyruszyliśmy w drogę.

Prom leciał przodem, a dźwig z przymocowaną łodzią za nim, trzymając się naszej prawej strony jak mały wielorybek matki. Bez przeszkód przemierzyliśmy przestrzeń dzielącą dwa księżyce. Fayr poinformował mnie, że zbiór koralu odbywa się po drugiej, niewidocznej dla ciekawskich klientów kurortu stronie. Lecieliśmy w tamtym kierunku, trzymając się blisko powierzchni. Zgodnie z obietnicą Fayr wylądował w sporej odległości od kompleksu, wybierając krater po uderzeniu meteoru, gdzie lód był stosunkowo cienki.

Stosunkowo. Biorąc pod uwagę fakt, że nie mogliśmy zbyt mocno rozgrzać silników, żeby prom nie wystrzelił w niebo, wytopienie dziury mogło nam zająć całkiem sporo czasu.

Byliśmy mniej więcej w połowie, gdy przeciwnik w końcu wykonał ruch.

Na horyzoncie pojawiło się sześćdziesiąt pojazdów lądowych i powietrznych, sunących niezdarnie po lodzie niczym przysłowiowe lemingi zdążające ku urwisku. Na pierwszy rzut oka wyglądały na sprzęt cywilny, ale nasz dźwig, uwolniony już od łodzi i trzymający straż wysoko w górze, doniósł o obecności w różnych punktach konwoju garstki uzbrojonych wojskowych roamerów. Może mieli nadzieję, że nie zauważymy ich w tłumie albo że nie odważymy się strzelać do cywilów, by je unieszkodliwić.

Jeśli taka była ich strategia, nie sprawdziła się. Stłoczone wokół pojazdy cywilne utrudniały im ruchy, a siedzący w dźwigu Bellidowie z miotaczami pakietowymi mieli dostatecznie wprawne oko, by wychwycić i zniszczyć lub uszkodzić sprzęt wojskowy, nim sami znajdą się w zasięgu ognia.

Miałem nadzieję, że cywile pójdą po rozum do głowy i wycofają się, ale Modhriego najwyraźniej bardziej interesowało powstrzymanie nas niż ocalenie swoich ludzi. Pojazdy wciąż się zbliżały, omijając sterty gruzu, ale poza tym jakby nie dostrzegając rozgrywającego się wokół pandemonium. Bellidyjscy strzelcy odpowiedzieli w pierwszej kolejności wyeliminowaniem reszty sprzętu latającego, a potem zrzucaniem ładunków wybuchowych przed pojazdy naziemne, by zablokować im drogę.

Te jednak nie rezygnowały. Ponieważ w tej sytuacji jedynym wyjściem poza przerwaniem działań było wybicie wszystkich cywilów, Fayr chcąc nie chcąc zaprzestał drażenia dziury i przeniósł prom w miejsce położone przed czołem nadciągającej kawalkady, po czym wykorzystał odrzut gazów do wytopienia rowu w lodzie w nadziei powstrzymania pochodu.

Było to szlachetne posunięcie, które omal nie pozbawiło nas życia. Strzelcy wprawdzie istotnie wymietli wszystkie pojazdy wojskowe, ale Modhri okazał się dostatecznie sprytny, by ukryć dwóch halkańskich żołnierzy w jednym z cywilnych transportowców. Podniosłem głowę znad okopu

dokładnie w momencie, w którym ci wychylali się z przeciwległych stron wozu z wyrzutniami pocisków.

Nim jednak zdolali wycelować, transportowiec roztrzaskał się na kawałki. Na nasze szczęście Bellidowie siedzący w dźwigu także znali tego rodzaju sztuczki.

Skończyliśmy budowę okopu bez dalszych incydentów i wróciliśmy.

– Zastanawiam się, co chcieli osiągnąć – powiedziałem, gdy podjęliśmy przerwane działania.

– Z pewnością nie spodziewali się, że nas powstrzymają – odparł Fayr. – Pewnie chcieli opóźnić naszą pracę, by dać mu czas na przygotowanie łodzi do obrony koralu.

– Nasze szansę w dole wyniosą jeden do dziesięciu, prawda? – zauważyłem trzeźwo. – Nie wspominając o numerach, które mogą nam wywinąć nurkowie. Mam nadzieję, że twój plan jest wystarczająco dobry.

– Bez obaw – zapewnił mnie Fayr. Nigdy wcześniej nie słyszałem, aby jakiś Bellido używał tego zwrotu, ale on najwyraźniej go polubił. – Łódź jest wyposażona w wykrywacze pułapek i inne środki obronne. Spodziewam się też, że zniszczenie koralu wywrze destruktywny wpływ na wędrowców.

– Ale pewności nie masz.

– Nie – przyznał. – O ile mi wiadomo, jeszcze nigdy nie próbowano atakować Modhriego, a już na pewno nigdy nie zaatakowano go skutecznie.

– Hm... – mruknąłem, spoglądając w stronę pojazdów naziemnych, które utknęły przed okopem. – Więc po spuszczeniu łodzi do wody zamierzasz po prostu się ulotnić?

– Chyba źle zrozumiałeś – rzekł twardo Fayr. – Nie mam zamiaru zostawiać nikogo na pastwę losu. Nie możemy jednak zakładać, że nie wysłano żadnych wiadomości, nim unieszkodliwiliśmy transmitters kurortu. Za cztery godziny mogą się tu zjawić halkańskie okręty wojenne stacjonujące na kolejowej stacji przesiadkowej, a zniszczenie koralu pomiędzy tym miejscem a centrum zbiorów zajmie łodzi co najmniej dwie godziny i czterdzieści minut. Jeśli będziemy czekać kolejnych czterdzieści na ich powrót, może być za późno na ewakuację.

– A gdybyśmy polecili do centrum zbiorów i tam odebrali łódź? – zapytałem. Zaoszczędzilibyśmy co najmniej czterdzieści minut.

– Albo dali się szybciej zabić – odparł. – Czyżbyś zapomniał o broni naziemnej w centrum koralowym?

– Bynajmniej – odparłem. – Po prostu wydaje mi się, że są przynajmniej dwie kwestie, które warto rozważyć. – Wskazałem horyzont. – Po pierwsze, zastanawiam się, przez kogo będzie obsługiwana ta broń, zważywszy liczbę osób zaangażowanych w konwój.

– Zapewne nie będzie miała pełnej obsady – przyznał Fayr. – Poza tym po zniszczeniu floty latającej Modhri będzie miał mniejsze szansę w walce z wojskiem naziemnym. – Przyjrzał mi się z zainteresowaniem. – To ciekawe, że tak się troszczysz o życie Bellidów.

– Nie lubię, gdy poświęca się życie, czy to Bellidów, czy kogokolwiek innego – odparłem.

– Poza tym myślę, że powinniśmy się dobrze przyjrzeć danym, które tu przechowują.

– Jakiego rodzaju danym?

– Różnym – powiedziałem. – Cały czas się zastanawiam, dlaczego Modhri rzucił nam wszystkich pracowników na pożarcie jako mięso armatnie, ale nie zrobił tego samego z gośćmi kurortu.

– W kurorcie mieszkają bogaci i możni – przypomniał mi Fayr. – Być może Modhri obawiał się reperkusji, które mogłyby wywołać śmierć tak wielu ważnych osobistości.

– Tak, ale dlaczego? – nalegałem. – Czy obrona tego miejsca nie jest dla niego priorytetem?

– To miejsce jest jego ojczyzną, bazą jego intelektu i potęgi -. rzekł w zamyśleniu Fayr. Ale, jak już wspomniałem, ma też wiele przyczółków w całej galaktyce i mnóstwo, mnóstwo wędrowców. Być może nadal sądzi, że zdoła nas powstrzymać, nie ryzykując ujawnienia swojej tajemnicy.

– Też mi tajemnica! – prychnąłem. – Wygląda na to, że twój rząd wszystko o niej wie.

– Czyżby? – odparł z goryczą Fayr. – Mój rząd, podobnie jak wiele innych, został zniewolony. Co naprawdę wiadomo o Modhrim, a co jest starannie przemilczane, tego nie wiem.

– Sądziłem... – zacząłem i nagle urwałem.

– Że wykonujemy oficjalną misję rządu bellidyjskiego? – Fayr pokręcił głową. – Nie. Przynajmniej w tym względzie Apos Mahf nie kłamał: mój oddział i ja istotnie jesteście renegatami. Zauważyliśmy, że coś jest nie tak, i na podstawie danych z różnych źródeł zdołaliśmy dociec prawdy. Ale nie mamy oficjalnego rozkazu czy sankcji. – Poruszył nerwowo węsami. – Ściśle rzecz biorąc, ci spośród nas, którzy przeżyją, z całą pewnością staną po powrocie przed sądem wojskowym. Skrzywiłem się. Potem jednak przyszło mi do głowy, że mnie zapewne czeka na Ziemi coś bardzo podobnego.

– Nadal chciałbym poznać odpowiedź na kilka pytań – powiedziałem. – A centrum zbiorów jest najlepszym miejscem do ich poznania.

– Być może – zgodził się. – Mówiłeś, że są dwa powody, dla których warto zaryzykować tę wyprawę?

Skinąłem głową.

– Wspomniałeś coś o obawie przed udaniem się w miejsce strzeżone przez system obrony przeciwlotniczej, prawda?

– Tak.

– Zakładając jednak, że masz rację i że Modhri uknuł ten cały spisek dla własnej korzyści, jak myślisz, gdzie znajduje się system obrony – w centrum administracyjnym, w którym przechowywane są poszukiwane przez nas dane, czy w miejscu zbioru koralu?

– Hm... – mruknął. – Ciekawe pytanie.

– Kiedy już będziemy na dole, i tak będzie trzeba dotrzeć do biur pieszo kontynuowałem. – No i zneutralizować dostateczną część broni strzegącej zejścia pod lód, by wydostać twoich ludzi po wykonaniu misji. Ale, jak sam wspomniałeś, Halkowie stracili większość, albo i całość, swoich sił powietrznych, które zwykle stwarzają największe niebezpieczeństwo.

Przez długą minutę Fayr gapił się na mnie z nieodgadnionym wyrazem pasiastej twarzy.

– Wy, ludzie, z całą pewnością jesteście najbardziej irracjonalnym gatunkiem w całej galaktyce.

– Pewnie tak – zgodziłem się. – Ale to nam służy.

– Istotnie – odparł, strożąc wąsy w kontrolowanym uśmiechu. – W porządku. Zróbmy to.

Dokończyliśmy wytapianie dziury i spuściliśmy łódź. Wystartowała energicznie, zanurzając się głęboko i mknąc ku łożyskom koralowym – a także z pewnością ku czekającym już na nią halkańskim łodziom.

Obrońcami byli jednak głównie cywile – nawet jeśli mieli w głowach całe organizacje dziwnych doradców – napastnikami zaś wojownicy. Nie wątpiłem więc, że Bellidowie zdołają się przedrzeć. Zwłaszcza jeśli my im pomożemy, wywołując dodatkowy chaos na drugim końcu króliczej nory. Wystartowaliśmy z dźwigiem przytulonym do flanki, minęliśmy masę naziemnych pojazdów, nadal bezskutecznie usiłujących nas dosięgnąć, i ruszyliśmy w stronę kompleksu koralowego.

Gdy podlecieliśmy bliżej, w pierwszej chwili pomyślałem, że ktoś musiał znacznie przecenić wagę

tego miejsca i czerpanych z niego zysków. Zobaczyliśmy bowiem jedynie trzy skromne, jednokondygnacyjne budynki, rozmieszczone wokół doków i obszaru zejścia pod lód.

Byliśmy już niemal nad nimi, gdy uświadomiłem sobie prawdę. Te trzy budowle stanowiły zaledwie forpocztę całości, celowo złudną fasadę, zaprojektowaną w celu zmylenia ciekawskich oczu i umysłów. Reszta kompleksu była niemal niewidoczna: prawdopodobnie zbudowano ją na powierzchni, a potem pokryto warstwami lodu.

Prawdziwy obszar dostępu do łożysk koralowych był jeszcze bardziej zakamuflowany. Jedynie dzięki wyśledzeniu źródła ognia przeciwrakietowego, który uderzył w nas, gdy się zbliżyliśmy, wiedzieliśmy, gdzie się znajduje.

Jednak moje przeczucia się sprawdziły. Obrona była nastawiona w znacznie większym stopniu na ratowanie pól koralowych niż na ochronę pracowników. W efekcie – prawdopodobnie niezamierzonym – kilka spośród większych, pokrytych lodem budynków leżało dokładnie na linii ognia, tworząc w zewnętrznej części kompleksu wielką strefę ochronną. Fayr wylądował na jednym z nich, wybierając optymalne miejsce, po czym, trzymając broń w pogotowiu, ruszył wraz ze swymi ludźmi do boju.

Bayta i ja pozostaliśmy w promie. Nasze skafandry próżniowe nie były wyposażone w broje ochronne i wysokiej klasy systemy uszczelniające, którymi mogły się poszczycić kameleonowe skafandry Bellidów. Ponadto wątpiłem, czy któreś z nas ma dostateczne umiejętności i wytrzymałość, by dotrzymać kroku komandosom.

Dzięki temu wreszcie mieliśmy okazję zamienić kilka słów.

– No, no – rzuciłem, obracając się twarzą do Bayty. Zdjęliśmy hełmy, by Fayr i jego ludzie nie mogli nas usłyszeć, ale trzymaliśmy je w pogotowiu na wszelki wypadek. – Ciekawa teoria, co?

– Niby jaka? – zapytała ostrożnie Bayta.

– Te zwariowane podejrzenia Fayra, że złowrogi koral chce zawładnąć wszechświatem powiedziałem, przyglądając jej się uważnie. – Złowrogi, telepatyczny koral. Toż to czyste szaleństwo!

Odwróciła wzrok.

– Owszem – przyznała z wystudiowaną obojętnością. – Ciekawa teoria.

– W życiu czegoś takiego nie słyszałem – kontynuowałem swobodnie. – A ty?

Nie odpowiedziała.

– Nie było żadnej wizji ataku na Filijczyków, prawda? – zapytałem, zmieniając nagle ton. Cała ta historia to jeden wielki pic i fotomontaż, co?

– Nie – zaprotestowała, spoglądając na mnie. Zaciśnęła usta, po czym znów spuściła wzrok. – Nie, galaktyka istotnie jest w niebezpieczeństwie. W ogromnym niebezpieczeństwie.

– Ze strony pożądanego władzy koralu? Zerknęła na mnie spode łba.

– Nie powinieneś żartować z rzeczy, których nie rozumiesz.

– Więc oświeć mnie – zirytowałem się. – Poczynając od tego, jaka była moja rola w tej historii.

– Jak to jaka? – zapytała Bayta, znów z rezerwą. – Zostałeś zaangażowany do pomocy w wojnie z Modhrim.

– Nie. Zostałem zaangażowany do odwrócenia uwagi – odparłem bez ogródek. – Twoi pajęczy przyjaciele wiedzieli wszystko o Fayrze i jego prywatnej wojence. Chcieliście wzmocnić jego szansę, a wiedząc, że wróg czuwa, zwabiliście mnie tu, żeby go czymś zająć.

Warga Bayty zadrżała.

– To nie było tak.

– A jak? – fuknąłem. – Najpierw jakiś robotnik zaczepia mnie i zabiera mi bagaż na oczach wszystkich obecnych na stacji. Potem ty wyrzucasz wszystkich z mojego wagonu w połowie drogi do Nowego Tigris pod najnędniejszym pretekstem na świecie i zmuszasz mnie do udziału w spotkaniu na tajnej bocznicy. Wreszcie przeprowadzasz nas oboje z wagonu bydłowego do przedziału pierwszej klasy. Równie dobrze mogłabyś przyczepić mi do pleców etykietkę z napisem: „JESTEM AGENTEM PAJĄKÓW – ZABIJ MNIE” w trzech językach.

Bayta wyglądała, jakby za chwilę miała się rozplakać.

– Nie sądziliśmy, że będzie chciał cię zabić – rzekła z powagą. – Musisz mi uwierzyć. Myśleliśmy, że uzna twoją obecność za naszą ostatnią próbę znalezienia go, i po prostu będzie cię obserwował. Tylko tyle.

– Cóż za ulga – zakpiłem. – Niestety, dobre chęci to nie wszystko. Tamci wiedzieli także o Fayrze, a przynajmniej podejrzewali, że coś się szykuje. – Przerwałem, studiując malujący się na jej twarzy wstyd i czując lekki wyrzut sumienia. – Nawiasem mówiąc, nie wierzę, że ci dwaj Halkowie w Kerfsis naprawdę chcieli mnie zabić – dodałem niechętnie. – Cały ten incydent został zaplanowany tylko po to, by Rastra i JhanKla mogli mnie ściągnąć do wagonu deluxe.

... Zadrzała.

– Po to, by się z nami zaprzyjaźnić i przysłać nas tutaj. Zaprzyjaźnić. Znowu ta sama śpiewka.

– Wciąż mówisz o przyjaciółach – zauważyłem. – Co to ma do rzeczy?

– Naturalne bariery emocjonalne pomiędzy ludźmi blokują wirusy myśli – odparła. – Tylko między przyjaciółmi lub zaufanymi partnerami istnieją połączenia, które pozwalają na rozprzestrzenianie się wirusa.

– Mhm... – mruknąłem. To rzucało światło na kilka kolejnych kwestii. – To dlatego Mahf udawał, że się znamy, gdy mnie spotkał w kasynie. I dlatego ty wciąż się dopytywałaś, czy Rastra i Applegate są moimi przyjaciółmi.

Skinęła głową.

– Nie wiedziałam, czy któryś z nich jest wędrowcem. Ale gdyby byli, bałam się, że twoje zaufanie do nich pozwoli na zarażenie cię wirusem.

– To dlatego wybraliście mnie do tej roboty? – zapytałem. – Bo jestem samotnikiem?

– Poniekąd – przyznała. – Ale głównie dlatego, że wyrzekli się ciebie wszyscy wcześniejsi współpracownicy, pracujący dla rządu terrańskiego. Modhri postępował w taki sam sposób ze wszystkimi gatunkami: oficjalna ekipa rządowa przyjeżdżała tu i zostawiała zarażona, po czym wracała do domu, by zarazić i podbić resztę wyższych warstw wojska i elitę władzy. Ponieważ wirusy myśli szybko się rozprzestrzeniają między przyjaciółmi, nie zajmowało to wiele czasu.

Uśmiechnęła się blado.

– Ludzie są niemal ostatnim gatunkiem, który jeszcze nie dał im się podbić. Nie chcieliśmy ryzykować, angażując kogoś, kto nadal utrzymuje kontakty z ważnymi figurami rządowymi.

– Więc wybraliście mnie – powiedziałem, w jakimś stopniu doceniając potencjalnie zabójczą ironię całej sytuacji. Gdybyż oni wiedzieli, z kim utrzymuję kontakty! – Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wszystkiego wczoraj wieczorem, gdy pytałem?

Odwróciła wzrok.:

– Nie byłam pewna, czy mogę ci zaufać.

– A teraz? Wzruszyła wymijająco ramionami.

Pomyślałem, że to cholernie niewdzięczne z jej strony po tym wszystkim, co zrobiłem dla niej i jej pajęczych przyjaciół. Odparłem zalewającą mnie falę wściekłości, wiedząc, że pole bitwy nie jest właściwym miejscem na wybuch niekontrolowanych emocji.

– Skąd wiesz, że ludzkość nie została jeszcze podbita?

– Pająki bardzo dokładnie obserwują wyższe warstwy waszego rządu – odparła, wyraźnie zadowolona z powrotu na mniej osobisty grunt. – Do tej pory nie zauważyły śladów modhrańskich wpływów.

– Sama jednak mówiłaś, że nawet nosiciele nie wiedzą, iż zagnieździła się w nich kolonia

– zauważyłem. – Macie jakiś test Rorschacha?

– Chciałabym – odparła nostalgicznie. – Ponieważ jednak kolonia trzyma się zwykle na obrzeżach umysłu wędrowca, testy psychologiczne niewiele mogą wykazać.

– Testy badające reakcje emocjonalne, czy też reakcje skóry lub oka, pewnie też dodałem. – Pozostają badania fizyczne.

– Nawet one nie są zbyt pomocne – rzekła. – Polipy zwykle gromadzą się w niewidocznych niszach, szczególnie wokół mózgu i pod nim. Znalezienie ich wymagałoby bardzo szczegółowych badań mikroskopowych.

– To dlatego JhanKla nalegał na skremowanie tych dwóch Haików?

– Tak, choć zapewne sam nie był tego świadom – powiedziała. – Znalazł sobie jakieś racjonalne wytłumaczenie, może nawet kilka. A my nie wynaleźliśmy jeszcze techniki skanującej, która pozwalałaby na oddzielenie polipów od organizmu, na którym pasożytuje.

– Skąd zatem wasze przekonanie, że Ziemia nie jest infiltrowana?

– Istnieją pewne widoczne wzory zachowań i decyzji, szczególnie na poziomie zbiorowym – wyjaśniła. – Ani ONZ, ani żaden z rządów państw nie wykazuje oznak takich poczynań.

– Jesteśmy zbyt mało ważni, żeby Modhri zawracał sobie nami głowę?

– Powody są prawdopodobnie bardziej przyziemne – rzekła. – Po pierwsze, na waszych światach nie ma przyczółków koralowych, co już samo w sobie utrudnia inwazję. Drugą przyczyną jest struktura polityczna: mnóstwo państw, brak autentycznego rządu centralnego. To największe utrudnienia pośród wszystkich dwunastu imperiów.

Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby panujący na Ziemi polityczny chaos mógł być atutem militarnym. Bardzo często natomiast słyszałem o nim jako o słabości.

– Co by się stało, gdybym wczoraj dotknął koralu? Byłbym już wędrowcem?

– Jeszcze nie – odparła. – Szczep potrzebuje dni, a nawet tygodni, by się rozwinąć w polip, a potem rozmnożyć do rozmiarów kolonii.

– Wróćmy do bieżących wydarzeń – powiedziałem. – Modhri wiedział zarówno o Fayrze i jego ludziach, jak i o nas, ale nie wiedział, co łączy te dwie grupy. Więc zwabił nas tutaj w nadziei, że odkryjemy spisek Fayra i zdemaskujemy go. – Uniosłem brwi. – No i trzeba przyznać, że prawie się udało.

Skrzywiła się nieszczęśliwie.

– Wiem – wymamrotała.

– Skoro tu jest jego ojczyzna, dlaczego Pająki po prostu go nie odetną? Modhri musi podróżować koleją jak wszyscy, prawda?

– Oczywiście – przyznała. – Początkowo jednak wiedzieliśmy tylko, że ktoś kontroluje wielu przywódców i infiltruje rządy. Dopiero po dłuższym czasie dowiedzieliśmy się, w jaki sposób to

robi, a jeszcze później, skąd pochodzi.

– Ale teraz to wiecie – zauważyłem. – Dlaczego więc nie zakazać przewożenia koralu koleją?

– Bo czujniki nie potrafią go wykryć – odparła. – Jego skład chemiczny jest tak zbliżony do składu setki innych rzeczy, że konieczne byłoby ręczne przeszukiwanie. – Wzruszyła niepewnie ramionami. – Poza tym koral tak się już rozprzestrzenił, że odcięcie układu Sistarrko nic by nie dało.

W tym momencie ostatni element układanki wskoczył na swoje miejsce. Modhrańskie przyczółki w całej galaktyce, dostępne jedynie dzięki systemowi kolei czteroszynowej Pająków...

– Nie zaangażowaliście mnie po to, żebym się dowiedział, jak powstrzymać wojnę powiedziałem cicho. – Miałem się dowiedzieć, jak ją rozpocząć.

Odwróciła wzrok.

– Musisz nas zrozumieć – powiedziała potwornie zmęczonym głosem. – W końcu odkryliśmy siedzibę wroga, ale wiedzieliśmy, że te same ograniczenia, które powstrzymują jedno imperium przed zaatakowaniem drugiego, powstrzymają także nas przed podjęciem jakichkolwiek działań przeciwko Modhriemu. Podejrzewaliśmy, że Fayr coś planuje, ale sądziliśmy, że jest dopiero na etapie śledztwa. A Modhri z pewnością zadbał o to, by wszystkie okręty wojenne strzegące Tuby były obsadzone wędrowcami. Musieliśmy jakoś przełamać impas.

Mimowolnie wyjrzałem przez osłonę kabiny. Zupełnie zapomniałem o tych wszystkich okrętach wojennych i o fakcie, że być może właśnie w tej chwili tną przestrzeń, pędząc w naszym kierunku. Miałem nadzieję, że Fayr nie traci czasu na wachanie kwiatków.

– Mogłabyś zaoszczędzić nam wszystkim mnóstwo czasu, gdybyś od razu mi wszystko powiedziała – zauważyłem. – Mógłbym wtedy polecić wam zrobienie tego samego, co zrobił Fayr: przywiezienie towaru na wymianę i zakup broni w układzie docelowym.

Westchnęła.

– Teraz to wiem. Ale Pajaki uważały, że opowieść o ataku na Filijczyków będzie jedynym sposobem na przyciągnięcie twojej uwagi.

– Zwłaszcza że technika Fayra nie byłaby skuteczna w przypadku Filijczyków przyznałem. – Nie prowadzą nielegalnego handlu bronią, za to mają zbyt wielu genetycznie uwarunkowanych na lojalność żołnierzy, którzy wszędzie się kręcą i wszystko obserwują.

– Tak. – Bayta przecesała palcami włosy. – Ale na szczęście to już prawie koniec.

– Może tak – powiedziałem – a może nie.

Zmarszczyła brwi. Ale zanim zdążyłem zapytać, o co chodzi, coś piknęło mi w hełmie.

– Compton? – odezwał się ledwo słyszalny głos. Podniosłem hełm i włożyłem na głowę.

– Jestem.

– Mamy dane i ruszamy z odsieczą drugiej połowie oddziału – doniósł Fayr. – Planowany czas dotarcia do doków i przejęcia łodzi godzina czterdzieści, powrót dwadzieścia minut później. Jakież problemy?

– Żadnych – odparłem, wyglądając przez osłonę i lustrując ekrany. – Wygląda na to, że wróg skoncentrował się na was.

– Rozumiem – rzekł. – Bądźcie czujni. Wyłączył komunikator, a ja ponownie zdjąłem hełm.

– Mówi, że wrócą za jakieś dwie godziny – poinformowałem Baytę.

– Dopiero wtedy będziemy wiedzieć, czy to już koniec.

Wrócili za dwie godziny i pięć minut, ku mojemu zaskoczeniu w pełnym składzie, łącznie z dwoma komandosami z łodzi. Podobno zniszczyli cały koral, jaki udało im się znaleźć, a Fayr zlokalizował i

zdobył wszystkie dane trzymane w tej części kompleksu. Po krótkich przygotowaniach byliśmy gotowi do wylotu.

Niestety, niepożądane towarzystwo już nadciągało.

– Patrz – rzekł Fayr, wskazując ekran dalekiego zasięgu, gdy odpaliliśmy silniki i ostrożnie oddalaliśmy się od nieczynnego już centrum zbiorów. – Widzisz?

– Trudno nie zauważyć – odparłem, choć większość ludzi zapewne by to przegapiła. Na czujniku widniała mała, niemal ukryta za smugą hamującego napędu jonowego plamka, którą z trudem można by uznać za transportowiec rudy. Jednak wprawne oko od razu rozpoznało zamaskowany okręt wojenny.

– Szybko nadlatuje – zauważyłem. – Mam nadzieję, że wiesz, jak go ominąć.

– Nie da się go ominąć – rzekł spokojnie Fayr, gdy znaleźliśmy się w bezpiecznej odległości od resztek systemu obronnego centrum i unieśliśmy w górę.

– Gadaniem z pewnością się nie wybronimy – ostrzegłem i zmarszczyłem brwi. Fayr bowiem skierował prom dokładnie ku dyskowi Casspa, wiszącemu przed naszym nosem niczym wielka czarna dziura, oświetlona tylko na brzegach odbitym przez swoją zewnętrzną atmosferę światłem odległej gwiazdy. Co oznaczało, że lecimy w kierunku dokładnie przeciwnym do tego, w którym znajduje się Tuba. Z tej strony zaś znajdowało się tylko...

– Sistarrko?

– Dlaczego nie? – odparł spokojnie. – Mieszka tam około trzech miliardów osób, w tym w tym co najmniej sto tysięcy Bellidów i trzy tysiące Terran. W wewnętrznej części systemu znajduje się także kilka mniejszych centrów wydobywczych, kolonii i farm. Jakież lepsze miejsce na kryjówkę dla niewielkiej grupy uciekinierów, którzy muszą się gdzieś zadekować do czasu załatwienia transportu kolejowego?

– Zapominasz, że te kolonie i farmy mają policję i wojsko, które chodzi sobie w błyszczących mundurach, nie mając nic do roboty – zauważyłem. – Posiekaliby nas na kawałeczki, nim byśmy się zbliżyli.

– Chyba że mamy pomysł na uniknięcie tego – rzekł Fayr, przyglądając się kontrolkom prędkości i dodając nieco kopa.

– A mamy?

– Nie. – Zastrzygł wąsami. – Ale Halkowie przecież o tym nie wiedzą.

Zmarszczyłem czoło... i nagle wreszcie pojąłem.

– Niezłe – przyznałem. – Myślisz, że dadzą się nabrać?

...: Wzruszył ramionami, po czym skoncentrował się na locie.

– To się okaże.

Oddalaliśmy się od Modhry I, nabierając prędkości i mknąc w stronę potężnego pola grawitacyjnego gazowego olbrzyma Casspa. Dzielilem uwagę między nasz kurs a tylne ekrany i po niecałych dziesięciu minutach od startu smuga gazów okrętu wojennego znikła mi z oczu.

– Skręca – oznajmiłem. – Najwyraźniej doszedł do wniosku, że naprawdę lecimy w głąb układu, i nie chce nas zgubić.

– Nie dziwię mu się – rzekł Fayr. – Nawet w zasięgu samego Casspa są cztery punkty wydobywcze umieszczone na pierścieniach i odległych księżycach, ku których moglibyśmy się kierować.

Skinąłem głową. Odrzutowce były najszybszymi cywilnymi pojazdami latającymi w galaktyce, ale statki wojskowe latały jeszcze szybciej. Ten jednak wyhamował, szykując się do lądowania na

Modhrze, podczas gdy my oddalaliśmy się od bliźniaczych księżyców, jakby nas diabeł gonił. Gdyby Halkowie pozwolili nam za bardzo się oddalić, mogli mieć problem z dogonieniem nas.

No i rzeczywiście, statek pojawił się na czujniku znowu, tyle że tym razem smuga znajdowała się za kropką oznaczającą kadłub.

– Są – poinformowałem Fayra. – Odwrócili się i – zerknąłem na dane z czujnika – lecą z niemal maksymalnym przyspieszeniem.

– Moment przechwycenia?

Sprawdziłem prognozy komputera i szybko dokonałem kilku własnych obliczeń.

– Za około osiem godzin – powiedziałem. – Co ważniejsze, będziemy w zewnętrznej atmosferze Casspa na długo przed tym, nim oni znajdą się w zasięgu ognia.

– Świetnie. – Zerknął na mnie z ukosa. – Podobno zostałeś wydalony dyscyplinarnie z służby swojemu imperium. Wygląda jednak na to, że nie za brak kompetencji.

– Niektórym osobom nie podobała się moja gęba – odparłem. – Kiedyś ci o tym opowiem, jeśli jesteś ciekaw.

– Jestem – rzekł Fayr. – Ale najpierw przekonajmy się, czy zdołamy przeżyć najbliższe godziny.

Trzydzieści minut później wlecieliśmy w zewnętrzną atmosferę Casspa.

Pod wieloma względami było to całkiem przyjemne miejsce. Co prawda kłębiące się gazy powodowały pewne tarcie na kadłub, co zawsze stanowiło potencjalny problem, a poza tym spowalniało nas, powodując, że musieliśmy dodać mocy, by zachować prędkość, ale jednocześnie pomagało rozproszyć smugę światła z silników, utrudniając wychwycenie nas zarówno przez czujniki optyczne, jak i inne. Promem, nadal mknącym ku planecie, zaczęły wstrząsać turbulencje, niekiedy dość silne. Obraz przeciwnika na czujniku zamazał się za warstwami metanu i wodoru, by w końcu całkiem zniknąć za skrajem planety. Wykorzystując fakt, że i oni chwilowo nas nie widzą, Fayr przyhamował i uwolnił dźwig, który od czasu opuszczenia Modhry leciał przytulony do naszego kadłuba. Po włączeniu zaprogramowanego wcześniej kursu dźwig popędził w stronę Sistarrko i układu wewnętrznego.

Żegnałem go wzrokiem z przyjemnym, choć nieco złośliwym uczuciem zadowolenia. Teoretycznie, rzecz jasna, nikt nie powinien się nabrać na tę sztuczkę. Napęd dźwigu nie mógł się w żaden sposób równać z napędem promu i nawet gdyby Halkowie uznali, że celowo zwolniliśmy, by ich zmylić, już pierwszy wyraźny obraz na czujniku pokazałby im, z jakim statkiem mają do czynienia.

Ale oni jeszcze długo nie mogli liczyć na wyraźny obraz. Jeśli nie było ich stać na znacznie większe przyspieszenie niż to, które zademonstrowali dotychczas, przez następnych kilka godzin czekało ich obserwowanie oddalającego się dźwigu poprzez przywodzącą na myśl ditrekowy horror mgłę Casspa. Nim się zorientują, zabrną w swoim pościgu bardzo, ale to bardzo daleko.

My tymczasem raz dwa okrążymy Casspa i opuścimy jego atmosferę pod kątem obróconym o dwieście siedemdziesiąt stopni w stosunku do tego, pod którym w nią wlecieliśmy. Słowem – pomkniemy ku stacji czteroszynówki z dodatkową premią w postaci prędkości, która wyniesie wówczas coś koło dwukrotnej prędkości orbitalnej Casspa.

Zakładając, rzecz jasna, że Halkowie dadzą się nabrać.

Cztery godziny później, gdy znowu z maksymalną prędkością ruszyliśmy ku nowemu celowi, okazało się, że sztuczka zadziałała.

– Będą oczywiście próbowali zaalarmować stację transferową, gdy tylko odkryją swój błąd – rzekł Fayr, spoglądając na odległe światółko okrętu wojennego. – Musimy mieć nadzieję, że Halkowie z

Modhry nie zdołają naprawić transponderów dalekiego zasięgu, nim tam dotrzemy.

– Być może istnieje sposób na całkowite uniknięcie tego problemu – zasugerowałem. Jeśli stąd udamy się bezpośrednio do Tuby, możemy się prześliznąć na drugą stronę i lecieć równoległe do niej, aż dotrzemy do stacji. Jeśli tylko drugi okręt wojenny trzyma się blisko stacji, a nie widzę powodu, dla którego miałoby być inaczej, powinniśmy się prześliznąć niezauważeni.

– Nadal musimy znaleźć sposób na wślizgnięcie się do środka, gdy już tam dotrzemy rzekł z powątpiewaniem Fayr.

– Nie sądzę, aby był z tym większy problem – powiedziałem, zerkając z ukosa na Baytę. Na całej długości stacji znajdują się luki tylko dla personelu, przez które obsługa stacji transportuje ciężki sprzęt. Założę się, że znajdziemy kogoś, kto otworzy dla nas taki luk.

Fayr spojrział na mnie jak na idiotę.

– Chyba żartujesz.

Ja jednak dostrzegłem mikroskopijne skinienie głowy Bayty i odpowiedziałem uśmiechem.

– Ależ skąd – zapewniłem go.

Przyglądał mi się jeszcze chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Dobrze – powiedział. – To wariactwo. Ale czymże jest cała ta operacja? Spróbujmy.

Nigdy przedtem nie wypróbowaliśmy, czy telepatia Bayty działa przez ścianę Tuby, i w duchu zastanawiałem się, czy dziewczyna zdoła wysłać sygnał poprzez materiał, który tak skutecznie blokuje czujniki i komunikatory. Poszło jednak jak z płatką. Prześliznęliśmy się wzdłuż Tuby, niezauważeni przez nikogo, i zahamowaliśmy na tyłach stacji, w odległości stu kilometrów od głównych luków.

Po krótkiej dyskusji na temat możliwości przybicia do jednego z luków serwisowych doszliśmy do wniosku, że prom jest zbyt duży, by próbować tak delikatnej operacji. Zaparkowaliśmy go więc o kilkaset metrów dalej, po czym przespacerowaliśmy się w przestrzeni z bagażem w rękach. Jeszcze zanim zamykający pochód Fayr dotarł do Tuby, luk zaczął się rozsuwać w odpowiedzi na niemą prośbę Bayty.

W odróżnieniu od zwykłych luków promowych, ten posiadał prawdziwą śluzę powietrzną i był dostatecznie duży, by wpuścić całą naszą grupę naraz. Zapakowaliśmy się do środka i czekaliśmy z pewną dozą niecierpliwości i obawy. Gdy w końcu otworzyły się wewnętrzne drzwi, znaleźliśmy się w roboczej części stacji, o jakieś pół kilometra od ogólnodostępnej przestrzeni.

A wokół nas tłoczyła się gromada Pająków-robotników.

Odebrali nam bagaż, szczególnie troszcząc się o uwolnienie Bellidów od karabinów rangi, po czym zaprowadzili nas do mieszczącego się w pobliżu dużego warsztatu maszynowego. Tam przejęło nas pół tuzina małych Pajączków, jakich nigdy wcześniej nie widziałem. Starannie przeszukując nasze rzeczy, wydobywały małą broń i inne zakazane artykuły, wychwycone przed czujniki stacji. Gdy wkładały kontrabandę do sejfów, pojawili się dwaj konduktorzy, by przyjąć zamówienia na bilety.

Bayta i ja wykorzystaliśmy swoje karnety i tradycyjnie zamówiliśmy podwójny przedział pierwszej klasy. Fayr zamówił osobny przedział, a reszta jego załogi zadowolili się miejscami w drugiej i trzeciej klasie. W pustych naramiennikach komandosi umieścili wyjęte z toreb plastikowe karabiny o rozmiarach i w ilości odpowiadającej klasie, którą podróżowali ich właściciele. Fayr, jak przystało podróżującemu pierwszą klasą, zawiesił sobie na ramionach cztery takie zabawki.

Po zakończeniu tej nieoficjalnej procedury celnej odebraliśmy swój bagaż i ruszyliśmy za jednym z konduktorów na zewnątrz.

Na różnych peronach czekało kilkaset osób, głównie Haików, z nieskrywaną fascynacją przyglądając się, jak Pająk prowadzi nas przez labirynt bocznic ku głównej części stacji. Słyszałem, jak Fayr mamrocze pod nosem coś o tym, jak to mieliśmy „prześliznąć się niezauważeni”, ale w obecnej sytuacji niewiele zależało od nas. Konduktor zaprowadził nas na peron, życzył przyjemnej podróży i wrócił do swojej pracy, a pozostali pasażerowie mimo wielkiego zaintrygowania byli dość uprzejmi – lub dość ostrożni – by pozostawić nam sporo miejsca.

Jak można było oczekiwać, Pajaki dały nam miejsca w najbliższym pociągu zmierzającym ku wylotowi Ostrogi Graklijskiej i dalej ku Jurskali. Biorąc pod uwagę liczbę dobrze ubranych Haików, wśród których niewątpliwie znajdowali się nosiciele koralowych kolonii, byłem przekonany, że wieść o nas dotarła na stację wcześniej niż my sami. Nie spuszczałem więc z oka najbliższych luków promowych, podejrzewając, że halkańscy oficjele podejmą ostatnią próbę zatrzymania nas.

Do czasu przybycia pociągu nikt się jednak nie pojawił. Przepuściliśmy wysiadających, po czym wsiedliśmy i rozeszliśmy się do swoich wagonów. Piętnaście minut później, gdy wciąż obserwowałem przez okno luki, pociąg ruszył łagodnie i bez przeszkód rozpoczął swoją podróż.

Chwilowo byliśmy bezpieczni.

Jechaliśmy do Jurskali wzdłuż Ostrogi Graklijskiej przez cztery długie dni, a ja ani na moment nie przestałem wyczekiwać następnego posunięcia Modhriego – czy też tego, co z niego pozostało.

Pociąg jednak zatrzymywał się na stacjach, wypuszczając i przyjmując kolejnych pasażerów, i nic się nie działo, jakby zniszczenie centrali kompletnie wyłączyło z czynnego funkcjonowania przyczółki i wędrowców.

Fayr ani przez chwilę w to nie wierzył.

– On coś knuje – oświadczył po dwóch dniach podróży, gdy pociąg ruszał z jednej z cymalskich stacji. – Na pewno nie puści nam płazem takiego ataku.

W gruncie rzeczy byłem tego samego zdania. Cokolwiek jednak czuł w tej kwestii Modhri, faktem było, że opuściliśmy układ Sistarrko najszybciej, jak się dało, utrudniając mu nieco zemstę.

Z drugiej strony wcale nie musiał się spieszyć. Nawet jeśli Bayta miała rację, mówiąc, że nie przeniknął jeszcze do ziemskich i konfederacyjnych struktur, było mnóstwo innych miejsc, w których wędrowcy mogli nas dopaść bez najmniejszego trudu.

Tak czy owak, choć ani na chwilę nie traciliśmy czujności, czterodniowa podróż upłynęła bez przygód. Nie wiem, jak spędzali czas Bellidowie podróżujący drugą i trzecią klasą, ale nasza trójka wypełniała go głównie opowiadaniem sobie swoich historii.

W przypadku Fayra wszystko zaczęło się kilka lat wcześniej, kiedy bellidyjski wywiad wpadł na trop tajnych kontaktów Pająków z Trahosejami. Bellidowie przeprowadzili śledztwo, które okazało się prowadzić ku bliźniaczym księżycom modhrańskim i jakimś nieokreślonym pochodzącym z nich wpływom. Sami Trahosejowie zaś nagle i nieoczekiwanie przerwali prowadzoną właśnie operację wojskową.

Bellidowie, teraz już nie tylko zaciekawieni, usiłowali dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Zamiast jednak podążać własnym tropem, szefowie wywiadu popełnili fatalny w skutkach błąd, kontaktując się z wywiadem Traho w nadziei uzyskania poufnych informacji. Udali się, rzecz jasna, do osoby, z którą utrzymywali najbliższe stosunki zawodowe i osobiste, a modhrański wirus myśli dokonał reszty. Wyższe warstwy bellidyjskich służb wywiadowczych w szalonym tempie ulegały niewidzialnej inwazji. Po nich ten sam los spotkał przywódców wojskowych, którzy sprawowali nad nimi kontrolę, a na końcu przywódców politycznych, którym podlegali tamci. Dla Modhriego był to

po prostu kolejny podbój, eliminacja jeszcze jednego potencjalnego zagrożenia.

Tak przynajmniej sądził. Nie wiedział bowiem, że bellidyjski system wywiadowczy jest bardzo podzielony. W jego skład wchodziło wiele niezależnych grup, z mgliście tylko pamiętanych przyczyn historycznych zachowujących od wieków własną tożsamość. Fayr i jego towarzysze, należący do jednej z takich grup, zauważyli dziwne postępowanie swoich przełożonych i wszczęli własne śledztwo.

Usiłowali też nawiązać kontakt z Pająkami. Ci po fiasku rozmów z Trahosejami trochę kręcili nosem, ale w końcu udzielili buntownikom pewnego wsparcia logistycznego, między innymi w postaci kodu, którym Fayr nadawał swoje laserowe komunikaty w pociągu. Bellidowie działali metodycznie, przez dwa lata transportując do Sistarrko przyprawy, delicje i wysokiej klasy elektronikę, aby móc dokładnie zbadać sytuację i stworzyć sieć partnerów handlowych, w tym czarnorynkowych, do wykorzystania w odpowiednim momencie. Wysyłali też członków swojej ekipy do kurortu na Modhrze, by bratali się z elitą władzy i pieniądza i robili rozpoznanie na polu przyszłej bitwy.

Na ich szczęście wśród klientów kurortu było wielu nowobogackich, których Modhri nie zdążył jeszcze zainfekować, dzięki czemu „zdrowi” Bellidowie nie wyróżniali się aż tak bardzo. Nim Fayr rozpoczął fazę numer dwa – kradzież łodzi pomocniczej – infiltrujący tak wrośli w codzienność kurortu, że najwyraźniej nawet Modhri nie wiedział, jaki gatunek stoi za tym przestępstwem.

Co do mnie, przykułem uwagę Fayra już podczas pierwszego etapu swojej podróży koleją. Wykupiłem miejsce w hybrydowym wagonie osobowo towarowym, by mieć na oku ostatni transport antycznej biżuterii, i nabrał podejrzeń, gdy Pajaki bezceremonialnie przeniosły do lepszego wagonu wszystkich oprócz mnie. Kiedy zaś zobaczył wślizgującą się do wagonu Baytę, a potem odkrył, że drzwi zostały zablokowane, był już niemal pewien, że coś się święci. Następnie, widząc nas przenoszących się do pierwszej klasy w Nowym Tigris, uznał, że Modhri wykrył jego spisek. Gdy Bayta i ja wysiedliśmy w Kerfsis, Fayr wziął czterech ludzi i ruszył za nami, wysyłając resztę swojej ekipy wraz z biżuterią do Sistarrko, by załatwili ostatnie sprawy. Po naszym powrocie do pociągu w towarzystwie wysokiego urzędnika rządu juriańskiego umieścił trzech komandosów w ostatnim wagonie, by ci dali mu znać, gdybym opuścił wagon deluxe.

Gdy jednak ujrzał w wagonie restauracyjnym, jak konduktor wciska mi do ręki chip z danymi, musiał odwrócić swoją teorię o sto osiemdziesiąt stopni. Ulżyło mu, że nie jestem modhrańskim wędrowcem, ale zaczął z kolei podejrzewać, że Pajaki szykują własną operację, która może stanąć na drodze jego zamiarom i zrujnować oba plany. Nie chcąc ryzykować, kazał swoim ludziom zaatakować mnie w drodze powrotnej do wagonu i wepchnąć do skrzyni z przyprawami w nadziei, że spędzę tam dość czasu, by oni zdążyli wykonać swoją robotę.

Jak wiadomo, nie udało się. Od tamtego czasu byliśmy nieoficjalnymi i nieco problematycznymi sojusznikami – do momentu, w którym Fayr usłyszał przez znajdujący się w mojej kieszeni transponder rozmowę odbywającą się w sali konferencyjnej i uznał, że warto przyjść mi z pomocą.

Wiele czasu spędzaliśmy także na przeglądaniu informacji z chipów, które komandosi wykradli z centrum koralowego. Były to trzy dyskietki o nieco nietypowych wymiarach, akceptowane jedynie przez czytnik Bayty. W dodatku miały zabezpieczenia przeciwko kopiowaniu, wskutek czego musieliśmy albo przeglądać pliki na zmianę, albo przepychać się jeden przez drugiego.

Tak czy owak, niewiele nam z tego przyszło. Halkowie eksportowali koral modhrański od prawie stu pięćdziesięciu lat, a te konkretne dane obejmowały zaledwie ostatnich dziesięć. Mimo to była tam mowa o mnóstwie koralu. Okazało się, że Fayr zgodził się na kradzież danych głównie dlatego, iż

liczył na zlokalizowanie bellidyjskiego przyczółka i wędrowców. Transakcji i przypadków pośrednictwa było jednak tyle, że nie dało się prześledzić nawet dokąd wywieziono koral, a tym bardziej, kto mógł mieć z nim kontakt.

Powody, dla których ja sam chciałem zdobyć te dane, zachowałem dla siebie. Nie chciałem niepokoić towarzyszy, dopóki nie będę całkowicie pewien.

Tak się miały sprawy, gdy dotarliśmy do Jurskali. Tam także, mimo mojej wzmożonej czujności, nikt na nas nie czekał. Wyglądało na to, że Modhri nadal jest o kilka kroków za nami. Miałem nadzieję, że jeśli przesiadka przebiegnie bez incydentów, wreszcie trochę odetchnę.

Kiedy jednak poszliśmy sprawdzić rozkład jazdy, tajemnica, którą nosiłem w sobie od czasu New Pallas, w końcu mnie dogoniła.

– Nie – rzekł stanowczo Fayr, wskazując falujący hologram.

– Owszem, przejazd przez Pętlę Bellidyjską opóźni o kilka dni twój powrót do swoich. Ale pociąg wyrusza stąd za niecałą godzinę, o trzy godziny wcześniej niż ten bezpośredni. Równie ważne jest to, że będziemy mogli trzymać się razem do czasu opuszczenia terytorium juriańskiego.

– Tylko po to, by znaleźć się w samym środku Ziemi Bellidosha zauważyłem w nadziei, że Fayr zrozumie sugestię. Wokół naszej trójki tłoczyło się kilka innych istot także czytających rozkład i nie chciałem, żeby ktoś usłyszał, jak mówimy o Modhrim.

– Nie jestem pewien, czy coś na tym zyskamy.

– Juriańczycy mają ten problem od prawie stu lat – mruknęła stojąca obok mnie Bayta – a Bellidowie od niecałych dziesięciu.

– Może i tak – odparłem, studiując rozkład. Tak naprawdę najważniejszą różnicą było dla mnie to, że pociąg do Pętli Bellidyjskiej nie zatrzymywał się na tyłu juriańskich stacjach co następny, jadący do Konfederacji. Im mniej zaś przystanków, tym mniej szans, że modhrańscy wędrowcy czymś nas zaskoczą.

Poczułem, że ktoś stojący po mojej drugiej stronie ciągnie mnie za rękaw. Odwróciłem się nerwowo, ale zobaczyłem tylko lekko przygarbionego człowieka w średnim wieku, z ciemnymi, przyprószonymi siwizną, upiętymi w krótki kucyk włosami, bokobrodami i nieco zakłopotaną miną.

– Przepraszam pana – odezwał się drżącym głosem. – Nie mogę znaleźć swojego pociągu. Mógłby mi pan pomóc?

– Spróbuję – odparłem. – Dokąd chce pan jechać?

– Nie umiem wymówić nazwy – przyznał, wciskając mi w rękę złożoną kartkę. – Tu jest napisana.

Rozwinąłem papier. W środku nie było jednak nazwy żadnej stacji, ani łatwej, ani trudnej do wymówienia.

Tlexiss Cafe. Teraz. Mc.

Podniosłem twarz na mężczyznę i przyjrzałem mu się uważniej. Dopiero teraz rozpoznałem ukrytą pod bokobrodami, lekko potarganymi włosami i wyrazem bezradności znajomą twarz.

Był to Bruce McMicking, ochroniarz i doradca przemysłowca multibilionera Larry’ego Cecila Hardina.

Mojego szefa.

– To tu – powiedziałem wyschniętymi nagle wargami, wskazując byle jakie miejsce na rozkładzie. McMicking tutaj... i Bayta stojąca obok mnie... To nie wyglądało dobrze. – Tor piąty, za trzydzieści pięć minut.

– Dziękuję panu – odparł, po czym wyjął mi kartkę z ręki, odwrócił się i niepewnym krokiem zaczął

się wycofywać z tłumu.

Fayr i Bayta nadal czekali na moją decyzję.

– W porządku – powiedziałem. – Pojedziemy przez Pętłę. Idźcie zarezerwować miejsca. Ja muszę coś sprawdzić. Spotkamy się na peronie za dwadzieścia minut. Pilnujcie moich bagaży, OK?

I oddaliłem się, nim zdążyli zaprotestować, mijając po drodze dwóch komandosów. Jeden spojrzał na mnie pytająco; dałem mu znak, by został z Fayrem i Baytą. Jeśli był tu McMicking, mógł być także Hardin, a nie chciałem, żeby Bellidowie zobaczyli nas razem.

McMicking znajdował się o jakieś pięćdziesiąt metrów przede mną. Szedł, powłócząc nogami, by dopełnić obrazu osoby, w którą się wcielił. Podążałem za nim, zachowując bezpieczną odległość i po raz kolejny zastanawiając się nad jego niezwykłym talentem do przeobrażania się w kogoś innego. Widziałem go osobiście trzy razy i nigdy nie wyglądał tak samo. Zmieniał fryzurę i brody tak, jak inni zmieniają rękawiczki. Nie miałem pojęcia, czy wynika to z charakteru jego pracy, czy z jakiegoś psychicznego skrzywienia.

Tlexiss Cafe była jedną z kilku kawiarenek obsługujących stację w Jurskali. W odróżnieniu od pozostałych mogła się pochwalić ogródkiem przystrojonym pergolami i altankami podobnymi do tych, które można spotkać na wiejskich obszarach EuroUnii. McMicking przeszedł pomiędzy dwoma krzakami w doniczkach i zatrzymał się, by na mnie poczekać.

– Compton – przywitał mnie, gdy do niego dobiełem. Drzenie i niepewność ulotniły się z jego głosu, jakby ich tam nigdy nie było. – Pan Hardin chce zamienić z tobą słówko.

– Oczywiście – odparłem najspokojniej, jak się dało. A więc Hardin rzeczywiście tu był. Zebrałem się w sobie, przeszedłem pomiędzy krzakami i znalazłem się w kawiarni.

Według czasu stacyjnego nie była to pora posiłków, a mimo to osiem z dwudziestu stolików było zajętych przez różne istoty, popijające jakieś napoje lub pogryzające przekąski. Na drugim końcu, pod łukowatą kratownicą ozdobioną delikatnymi fioletowymi pnączami i jaskrawym czerwono-fioletowym kwieciami, zasiadał Larry Cecil Hardin.

Na Ziemi trzeba spełniać wyśrubowane kryteria, by stać się gwiazdą, ale Hardin był wręcz obiektem superkultu. Zaczynał jako wynalazca supernowoczesnych, precyzyjnych urządzeń i przełączników optycznych, został biznesmenem, by sprzedawać swoje produkty, i kilkakrotnie wykorzystał koniunkturę, by niemal z dnia na dzień stać się miliarderem. Nie mając najmniejszego zamiaru osiąść na laurach, pracował dalej i po kilku kolejnych cyklach biznesowych i garstce drobnych, lecz pożądanym wynalazków przekroczył granicę biliona. Potem mógł już tylko pomnażać zyski.

Rozmiarów jego bogactwa nie znał nikt, być może w wyjątkiem niego samego, a on nie dzielił się tą wiedzą. Nie przeszkadzało to jednak mediom spekulować na ten temat. Hardin świetnie nimi manipulował: udając nieśmiałego skromnisia, zapraszał dziennikarzy do oglądania swoich samolotów, samochodów i starych motocykli.

Ironiczne w tym wszystkim, przynajmniej dla mnie, było to, że co najmniej ośmioro obywateli Konfederacji miało większe fortuny od niego. Media jednak wykreowały na gwiazdę Hardina. Wizyta w takim miejscu jak Jurskala, gdzie nie zwracano większej uwagi na Ziemian, musiała stanowić dla niego interesującą odmianę.

Hardin uwielbiał odzywać się pierwszy. Pod wpływem przewrotnego impulsu postanowiłem nie dać mu szansy.

– Pan Hardin – powiedziałem i nie czekając na zaproszenie, usiadłem przy stole naprzeciw niego. – Cóż za miła niespodzianka. Jak mnie pan znalazł?

Za moimi plecami McMicking wydał niewyraźny, gardłowy pomruk. Jednak Hardin nawet się nie skrzywił.

– Ostroga Graklijska ma tylko jeden koniec – rzekł spokojnie. – Gdy się dowiedziałem, że tu jesteś, po prostu kazałem swoim ludziom sprawdzić wszystkie pociągi powrotne i czekałem, aż się pojawisz.

– Ach, tak – powiedziałem. – Jasne. Mam nadzieję, że nie jechał pan tak daleko tylko po to, by się ze mną zobaczyć.

– Miałem do załatwienia inne sprawy – Jego głos i wzrok stały się nagle o kilka stopni chłodniejsze.

– Myślałeś, że nie zauważę, iż wymknąłeś się na kilka dni do luksusowego kurortu?

A zatem – tak, jak się obawiałem – zadał sobie trud dokładnego prześledzenia moich transakcji kredytówką.

– Załatwiałem sprawy służbowe – odrzekłem.

– Moje?

– Oczywiście! – zapewniłem go, udając niewiniątko. – Jakie inne sprawy mógłbym załatwiać?

– Nie wiem – odparł. – Może te związane z trupem, którego pozostawiłeś przy krawężniku w noc zniknięcia?

Zerknąłem na McMickinga i zrozumiałem, w czym rzecz.

– A więc to ty stałeś nad ciałem, gdy stamtąd odchodziłem. Skinął lekko głową.

– Powinieneś mi o tym powiedzieć wcześniej – rzekł. – Można to było załatwić po cichu.

– Nie wiedziałem wcześniej! – odparłem, spoglądając z powrotem na Hardina. – Myśli pan, że to ja go zabiłem?

– To ty mi powiedz – odparł. – Ja wiem tylko to, że gdziekolwiek się pojawiaasz, zostawiasz za sobą mnóstwo trupów. Najpierw ten dzieciak w Nowym Jorku, potem dwaj Halkowie na stacji Kerfsis...

– To też nie moja robota – przerwałem mu.

– Jasne, że nie – powiedział. – A teraz słyszę o jakichś zamieszkach w kurorcie, z którego właśnie wracasz.

Zawahałem się, żałując, że nie znam treści otrzymanych przez Hardina sprawozdań. Czy była w nich mowa o dwojgu ludziach, czy tylko o Fayrze i jego komandosach?

– Za to też nie ponoszę winy – zaryzykowałem.

– Jasne, że nie – powtórzył. – Wiesz, Compton, kiedy cię angażowałem, ustaliliśmy, że nie będziesz się wychylał. Czy tak wygląda niewychylenie się?

Rozłożyłem ręce.

– Przykro mi – powiedziałem przeprasząco. – Czasami dzieją się rzeczy, nad którymi nie można zapanować.

Hardin westchnął ciężko.

– Chciałbym w to wierzyć, Frank – rzekł. – Ale szkód nie da się naprawić. – Wyciągnął rękę. – Zabieram kartę kredytową i cały sprzęt, który ci dałem. Mam nadzieję, że trafisz sam do domu?

Gapiałem się na niego.

– Pan chyba żartuje – powiedziałem. – Przyjechał pan taki kawał drogi tylko po to, by mnie wylać?

– Jak już mówiłem, załatwiam w tej okolicy inne sprawy – przypomniał mi, nie cofając ręki. – Znalezienie ciebie było dodatkową premią. Kredytówka?

– Przecież robię postępy! – upierałem się. Co ciekawsze, była to prawda.

– Jasne, że tak – rzekł. – Nie wiem tylko, czy są to te same postępy, dla których cię zaangażowałem.

Widzisz, zwróciłem uwagę na fakt, że choć balujesz na mój rachunek w eleganckich kurortach, nie płacisz moją kartą za podróże koleją.

Omiał się nie skrzywiłem. Powinienem być się domyślić, że i to zauważy.

– Sądziłem, że się pan ucieszy, iż znalazłem sposób zaoszczędzenia panu wydatków.

– Kiedy już mam kogoś w kieszeni, wolę, żeby tam pozostał – odparł. – Gdy zaczyna się wygrzebywać o własnych siłach, pomagam mu zrobić to szybciej. Kredytówka i sprzęt?

Skrzywiłem się, ale sprawa była przegrana.

– W porządku – powiedziałem, wygrzebując z kieszeni kredytówkę. Ignorując jego wyciągniętą rękę, rzuciłem kartę na stół. W ślad za nią poszedł zegarek, czytnik i chipy z zakamuflowanymi danymi.

– Dziękuję – rzekł Hardin, zgarniając to wszystko na swoją stronę stołu. – Miłego dnia, panie Compton.

Przez długą chwilę rozważałem podjęcie jeszcze jednej próby. Nadal potrzebowałem tych rzeczy, zwłaszcza karty. I chociaż Hardin nie mógł tego wiedzieć, byłem pewien jak diabli, że nigdy, przenigdy nie znajdzie detektywa o kwalifikacjach dorównujących moim.

Byłaby to jednak strata cennego czasu, a poza tym miałem na głowie większe problemy niż duma zawodowa. Wstałem, odwróciłem się do niego plecami i ruszyłem ku wyjściu, starając się nie myśleć o długiej i znacznie przekraczającej moje obecne możliwości finansowe podróży odrzutowcem ze stacji Terra na Ziemię. Może jednak pojedę z Fayrem na Ziemię Bellidosha?

Byłem już niemal na zewnątrz, gdy odkryłem, że McMicking wciąż mi towarzyszy.

– Czego chcesz? – burknąłem.

– Eskortuję cię z powrotem na peron – odparł łagodnie. – A co? Nie podoba ci się moje towarzystwo?

Nie podobało mi się, ale nie było sensu mówić mu o czymś, co sam dobrze wiedział.

– Hardin robi błąd – powiedziałem zamiast tego, próbując jeszcze raz.

– Możliwe – zgodził się. – Każdemu się zdarza. A skoro o błędach mowa, powiedz no, nie zadarłeś ostatnio z halkańską arystokracją?

Zerknąłem na niego spode łba.

– Dlaczego pytasz?

– Tak sobie – odparł. – Po prostu zauważyłem, że kręci się tu mnóstwo Haików w tych trójkolorowych szatach, które zawsze nosi ich elita.

– Serio? – zapytałem, czując kluchę w gardle. Zakładałem, że jeśli Modhri będzie chciał nam coś zrobić, posłuży się miejscowymi Juriańczykami. Nie przyszło mi do głowy, że może w tym celu ściągnąć do Jurskali gromadę Haików. – Może mają jakiś zjazd?

– A może nie – powiedział, świdrując mnie wzrokiem. Z całą pewnością zauważył moje napięcie. Ludzie pokroju McMickinga mają świetne wyczucie nastroju. – Naliczyłem co najmniej pięć różnych kombinacji kolorów, od pięciu do dziesięciu Haików w każdej. Czy to ma coś wspólnego z incydentem w kurorcie, o którym wspominał pan Hardin?

– Może mieć – przyznałem, wyciągając szyję. Bayta i Fayr stali na naszym peronie, rozglądając się za mną.

McMicking miał rację. Wokół aż się roiło od halkańskiej elity.

– Dzięki za ostrzeżenie – powiedziałem. – Dalej dam sobie radę sam.

– Chętnie się przespaceruję – zapewnił mnie. – To dla mnie żaden problem.

– A dla mnie tak – odparłem z przekąsem. – Nie chcę, by moi przyjaciele zobaczyli nas razem.

– A! – powiedział, uśmiechając się znacząco. – No jasne.

– Poza tym – dodałem – jeśli masz dość oleju w głowie, powinieneś ukryć pana Hardina, a potem najbliższym pociągiem ewakuować go na Ziemię.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– W coś ty się wpackował? – zapytał cicho.

– W nic, co mogłoby cię interesować – odparłem. – A teraz znikaj. I to już.

Jeszcze przez pół sekundy spoglądał mi w oczy. Potem z krótkim skinieniem głowy odwrócił się i wmieszał z powrotem w tłum. Ja zaś ruszyłem ku peronowi, starając się patrzeć we wszystkich kierunkach naraz.

– Jesteś – przywitała mnie Bayta ni to z ulgą, ni z wyrzutem. – Gdzie się podziewałeś?

– Robiłem rozpoznanie – odparłem. – Mamy mały problem. Wygląda na to, że zjechała tu do nas cała arystokracja halkańska.

Fayr zerknął w tłum ponad moim ramieniem i nastroszył wąsy

– Masz jakiś pomysł? – zapytał.

– Proponuję pojechać najbliższym pociągiem, zgodnie z planem powiedziałem. – Nie sądzę, by wszyscy Halkowie zdążyli kupić bilety.

– Może i tak – mruknął. – To pewnie najbezpieczniejsze wyjście.

Spojrzał mi w oczy. Przeniósł wzrok na Baytę, potem znów na mnie.

– Dobrze – powiedziałem z ledwo widocznym skinieniem głowy. Rozumieliśmy się jak dwaj wojownicy, którzy uczyli się z tej samej książki. – Zróbmy to.

Trzy minuty później pociąg wjechał na stację i zaczął wypuszczać pasażerów. Dwie minuty po ich wyjściu siedziałem już z Baytą w swoim przedziale.

– Tylko nie zacznij czuć się jak w domu – uprzedziłem, rzucając torby na łóżko i podchodząc do okna. Poczulem ucisk w żołądku. Trójkolorowe szaty tłoczyły się przy wejściach.

Nie tylko tych do pierwszej klasy. Jak okiem sięgnąć, Halkowie i wsiadali także do drugiej i trzeciej. W normalnych okolicznościach osoby z ich sfery prędzej dałyby się zabić, niż zrobiły coś takiego.

Ktoś zabębnił w drzwi. Rozpoznałem uzgodniony z Fayrem rytm. Bayta otworzyła drzwi i Bellido wśliznął się do środka, blokując za sobą zamek.

– Kiepsko to wygląda – zauważył.

– Fakt – przyznałem. – Mówiłeś wcześniej, że modhrańskie kolonie mogą przejąć pełną kontrolę nad wędrowcami. Wiesz może, jak długo potrafią ją utrzymać?

– Nie mam pojęcia – odparł. – Chyba bez ograniczeń.

– Im dłużej jednak wędrowiec jest pod kontrolą, tym większe prawdopodobieństwo, że po wszystkim zorientuje się, iż coś jest nie tak – dodała Bayta. – Modhri może bezkarnie skraść kilka sekund, ale jeśli to potrwa dłużej, wędrowiec nie uwierzy, że po prostu się zamyślił.

– W takim razie musimy tu mieć do czynienia z mnóstwem zawilej racjonalizacji zauważyłem. – Ci Halkowie tłoczą się na całej długości pociągu, łącznie z trzecią klasą.

– Chce się zemścić w trakcie podróży – mruknął Fayr, bawiąc się plastikowymi karabinami i niewątpliwie żałując, że nie ma przy sobie prawdziwych. – Rozmieścił wędrowców tak, żeby w całym pociągu nie było dla nas bezpiecznej przystani.

Ponownie wyjrzałem na zewnątrz. Mnóstwo Haików wsiadło do pociągu; drugie tyle stało na sąsiednich peronach.

– Nie – powiedziałem. – Dla zwykłej zemisty nie zadawałby sobie tyle trudu..

– O co więc mu chodzi? – zapytał Fayr.

– Mam pewne podejrzenie – odparłem. – Mogę się jednak mylić, a niech mnie diabli, jeśli mamy teraz czas na dyskusję. Zabieraj swoją torbę, Bayto. Wsiadamy.

– Co? – zdziwiła się.

– Musimy się rozdzielić – powiedziałem, myśląc intensywnie. Przy tej liczbie kręcących się po stacji Haików mój pierwotny plan wyskoczenia z pociągu, gdy ten będzie ruszał, mógł się okazać nieco chybiony.

Musieliśmy wykombinować coś lepszego.

– Moi ludzie zostaną w pociągu i zajmą się wędrowcami – wyjaśnił Baycie Fayr – a my przesiądziemy się do innego składu. Klasyczny trick...

– Który nie zadziała – przerwałem mu. – Bayto, czy potrafisz otworzyć drzwi podczas jazdy?

Zrobiła wielkie oczy.

– Drzwi na zewnątrz?

– Będziemy skakać? – zapytał nie mniej zdziwiony Fayr.

– Dwa razy tak – odparłem, dotykając kontrolki, by przyciemnić okno. – Nie mamy wyboru. Jeśli po prostu wrócimy na peron, zaraz rzucą się na nas pozostali wędrowcy. To jak, możesz otworzyć te drzwi czy nie?

– Nie – odparła, nadal wyraźnie za mną nie nadążając. – Ale któryś z Pająków...

– Przyrowadź mi tu jakiegoś – poleciłem, chwytając swój bagaż. – Owszem, Koraku Fayr, będziemy skakać. Ale nie we troje. Tylko Bayta i ja. Biorąc pod uwagę liczbę wędrowców w pociągu, będziesz potrzebny swoim ludziom na miejscu.

Wlepił we mnie wzrok. Przygotowywałem się na protest, ale – ku mojej uldze – Fayr tylko skinął głową. Obaj wiedzieliśmy, że im mniej osób zaangażuje się w naszą sztuczkę, tym większa szansa na jej powodzenie.

Z dołu dobiegło zwielokrotnione dudnienie zwalnianych hamulców i pociąg ruszył.

– Dobrze – rzekł Fayr, unosząc ręce ze skrzyżowanymi nadgarstkami w bellidyjskim salucie. Gest kończył się dotknięciem górnej pary karabinów. Niespodziewanie Fayr pociągnął za nie, obracając rękojęścią do mnie.

– Bierz – powiedział. – Przydadzą ci się.

Nie było czasu pytać, do czego, u diabła, mogą mi się przydać plastikowe karabiny. Wcisnąłem je pod marynarkę, pospiesznie skinąłem głową na pożegnanie i wyszedłem na korytarz, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś zobaczę Fayra.

Gdy dotarliśmy do drzwi, czekał już przy nich konduktor. Do tego czasu pociąg zdążył niebezpiecznie przyspieszyć, ale wiedziałem, że jeśli będziemy zwlekać, tylko pogorszymy sprawę.

– Bayto? – zawołałem.

Nie odpowiedziała, ale już po sekundzie drzwi rozsunęły się opornie, wpuszczając strumień wirującego powietrza. Wyrzuciłem swoje torby, a po nich torbę Bayty, po czym, zastanawiając się, czy robię właśnie najgłupszą rzecz w swoim życiu, czy tylko jedną z pierwszej dziesiątki, złapałem dziewczynę za nadgarstek i skoczyłem.

Upadliśmy z hukiem, przez kilka następnych sekund w bólu i oszołomieniu tocząc się po podłożu stacji. W końcu się zatrzymaliśmy: Ja na plecach, Bayta leżąca w poprzek mnie.

– Nic ci nie jest? – zapytałem, robiąc szybki przegląd własnych kości i stawów. Kolana, lewa goleń i łokieć oraz każdy fragment odsłoniętego ciała paliły mnie potwornie, jakbym się ostro spiekł na

słońcu. Jednak wyglądało na to, że nie mam żadnych złamań ani skręceń.

– Chyba nic – wymamrotała i z tłumionym jękiem zaczęła się gramolić na nogi.

– Nie podnoś się – powiedziałem, chwytając ją za przedramię i ściągając z powrotem w dół. Obok nas wciąż przetaczał się nabierający prędkości pociąg. Gdy minął nas ostatni wagon bagażowy, poczekałem, aż jego tył zniknie w ciemnościach na końcu Tuby. Dopiero gdy tradycyjna gra świateł Kręgosłupa zgasła w oddali, ostrożnie podniosłem głowę o kilka centymetrów, by ocenić sytuację.

Gdybym miał więcej czasu na planowanie działań, nie wymyśliłbym nic lepszego. Znajdowaliśmy się w roboczej części stacji, podobnej do tej, przez którą weszliśmy na stację Sistarrko po wariackiej ucieczce z Modhry I. O dwa tory od nas, dokładnie naprzeciwko, stał duży hangar serwisowy. Gdybyśmy wylądowali o zaledwie trzy metry dalej, prawdopodobnie połamalibyśmy sobie liczne kości na skrzyżowaniu torów.

Najistotniejsze było jednak to, że wszystkie perony pasażerskie, a wraz z nimi ci wędrowcy, którzy nie wsiedli do pociągu, pozostali o dobre półtora kilometra za nami.

– Co teraz? – zapytała Bayta.

Nagle uświadomiłem sobie, że wciąż przyciskam ją do siebie.

– Musimy się dostać do innego pociągu i wynieść się stąd – powiedziałem, puszczaając jej rękę. – Myślisz, że jesteśmy w stanie nakłonić Pająki, żeby skombinowały dla nas prywatny pociąg i podstawily go tutaj?

– Nie sądzę – odparła. – Pociąg musi uzyskać pewien pęd, by podjechać do góry i przejść przez barierę atmosferyczną. Na ogół potrzebuje na to całej długości peronu.

– Nawet jeśli ma tylko lokomotywę i jeden wagon?

– Nawet. – Zawahała się. – A jeśliby nam się udało, to i tak nie jestem pewna, czy to coś da.

Wędrowcy z pewnością zauważą zatrzymujący się pociąg, zorientują się, w czym rzecz, i wyślą wiadomość. Na następnej stacji będą już na nas czekać. Chyba że – dodała w zamyśleniu nie będziemy się zatrzymywać na żadnych innych stacjach.

– Nie – powiedziałem, kręcąc głową – to też by nic nie dało. I tak musielibyśmy przejeżdżać przez te stacje. Wędrowcy każą swoim kumplom niszczyć szyny albo rzucać gruz na tory. Może nawet skakać pod pociąg.

– Niemożliwe – upierała się. – Modhri nie poświęcałby tych wszystkich ludzi tylko po to, by się zemścić. – Powiodła wzrokiem wzdłuż torów ku peronom, na których nadal roiło się od halkańskich arystokratów. – Chyba że tu nie chodzi o zemstę.

Westchnąłem.

– To stało się oczywiście już wtedy, gdy uwalnialiśmy łódź spod lodu. Modhri powinien był wówczas zrobić wszystko, by nas powstrzymać od ucieczki z Modhry II i udania się do jego głównej siedziby na Modhrze I. Ale tego nie zrobił.

– Tak – mruknęła złowróźnie Bayta. – Już to mówiłeś.

– A potem, gdy pozwolił nam uciec, przez cztery dni byliśmy uwięzieni w pociągu kontynuowałem. – Jeśli chodziło mu tylko o zemstę, dlaczego wędrowcy nie zebrali się i nie załatwili nas wtedy?

– Nie zdążyli się zorganizować?

– Początkowo też tak sądziłem – przyznałem. – Aż do momentu, gdy dotarliśmy do Jurskali i zobaczyłem tych wszystkich wędrowców.

Machnąłem ręką w stronę odległego peronu.

– Prawda, Bayto, jest taka, że Modhri nie przejmował się zbytnio zniszczeniem przez nas

modhrańskich łożysk koralowych. Przejął się dopiero wówczas, gdy ktoś odwiedził centrum zbiorów i zauważył, że zabraliśmy dane. – Wziąłem głęboki oddech. – Dane dotyczące eksportu.

Gapiła się na mnie zmartwiały mi nagle oczyma.

– O, nie – jęknęła. Skinąłem głową.

– Gdy znaleźliśmy się na Modhrze, jego już tam nie było. Pozostawił wprawdzie część siebie i jestem pewien, że Fayr i jego ludzie potwornie go zranili, niszcząc tamtejsze łożyska, ale większość zdążyła się przenieść do jakiejś nowej siedziby.

– Tyle że tym razem nie znamy jej położenia.

Miałem wrażenie, że leżymy tam przez wieki, każde pograżone we własnych myślach.

– A co z danymi? – zapytała w końcu Bayta. – Modhri pewnie się boi, że dzięki ich analizie zlokalizujemy jego nową siedzibę. Inaczej nie zależałoby mu tak na powstrzymaniu nas.

– Może tak – odparłem. – Ale wątpię. Fayr nie zdołał nawet odczytać danych na temat eksportu na Ziemi Bellidosha, a informacje o nowej siedzibie będą jeszcze lepiej ukryte. Myślę, że Modhri po prostu nie chce ryzykować.

– Mimo to możemy spróbować – powiedziała, ożywiona iskierką nadziei. – A w tym celu musimy się najpierw stąd wydostać.

– Z całą pewnością – przyznałem. W mojej obolałej głowie zaczął kiełkować pewien pomysł. – Mylisz, że zdołasz nakłonić Pajaki, żeby przyniosły nam parę rzeczy do tego hangaru?

– Jeśli tylko je zdobędą – powiedziała. – Masz jakiś plan?

– Może – odparłem. – Pamiętasz ten klasyczny ditrek Hitchcocka, który oglądaliśmy z Rastra i JhanKla? „Starsza pani znika”. Przypomnij sobie, jak przeszumglowali do pociągu tę drugą kobietę.

– Zabandażowali ją, udając, że miała wypadek – odparła powoli Bayta. – Ale na tym końcu stacji nie powinno być nikogo oprócz Pajaków. Jeśli Modhri zobaczy, że ktoś stąd wychodzi, czy nie nabierze podejrzeń?

– Słusznie. Dlatego nie wyjdziemy stąd. – Wskazałem hangar. – Przede wszystkim jednak musimy się doczołgać do tego budynku i zniknąć im z oczu. Kiedy już znajdziemy się w środku, zawołasz kilku robotników, żeby nam przynieśli bagaże. A potem zrobimy tak...

Sztuczka, jak zawsze, zależała od wycucia czasu.

Było niemal pewne, że segment umysłu modhrańskiego znajdujący się w pociągu do Pętli Bellidyjskiej szybko zauważy, iż się stamtąd ulotniliśmy, i prawdopodobnie trochę go to wkurzy. Wtedy jednak będzie już zdecydowanie za daleko, by wysłać telepatyczny sygnał do segmentu, który został na stacji w Jurskali. Będzie musiał poczekać około czterech godzin do następnego postoju i dopiero wtedy wysłać wiadomość.

Na razie wędrowcy, którzy pozostali na stacji, prawdopodobnie szykowali się do powrotu do domu, wierząc we wszystkie racjonalne wytłumaczenia swojego przybycia na stację, jakie podsunął im Modhri. Gdy jednak jego segment znów ich zaalarmuje, polowanie rozpocznie się na nowo.

Bezpośredni pociąg na Ziemię odjeżdżał o godzinę wcześniej, niż mogli otrzymać wiadomość. Jeżeli udałooby nam się wśliznąć tam, nie zwracając niczyjej uwagi, moglibyśmy się stąd wynieść, nim tamci się zorientują.

Na pierwszy rzut oka nasze szanse nie wyglądały różowo. Mieliśmy ograniczony czas, ograniczone środki, ograniczoną możliwość przebrania się. Dalej mogliśmy liczyć już tylko na to, co nam skołują Pajaki. Było zresztą bardzo prawdopodobne, że każda damsko-męska para natychmiast wzbudzi zainteresowanie.

Na szczęście, tak jak nam trudno było rozróżnić Haików, im także niełatwo było rozróżnić nas. Zadanie mogło się więc okazać znacznie łatwiejsze niż gdybyśmy usiłowali się prześliznąć obok grupy Ziemiaków.

Co się tyczyło modhrańskich pasożytów w ciałach Haików, wciąż pamiętałem, jak kolonia Falca Rastry przejęła nad nim kontrolę na dość długo, by zdążyć krzyknąć „Zostawcie to!” do żołnierzy juriańskich w pokoju przesłuchań w Kerfsis. Fakt, iż odniósł się do mnie jak do przedmiotu nieożywionego, wskazywał, że Modhri postrzega nas jako coś w rodzaju organicznych taksówek samoobsługowych. Powinno nam więc wystarczyć minimum sprytu, o ile tylko nie ściągniemy na siebie uwagi, wkraczając na peron od strony bocznic.

Na szczęście nie musieliśmy.

Przysłali nam mały, sfatygowany stateczek pomocniczy, przeznaczony głównie do transportu materiałów naprawczych przez zawieszonych na zewnątrz robotników. Nie był hermetycznie zamknięty, ale wszędzie znajdowało się mnóstwo butli tlenowych, których zadaniem było uzupełnianie powietrza uciekającego przez bariery atmosferyczne na krańcach stacji. Na wszelki wypadek zabraliśmy parę ze sobą, po czym ruszyliśmy z łagodnym, podsycającym niesamowitość całej sytuacji sykiem. Pajaki manewrowały stateczkiem, zgodnie z moimi instrukcjami kierując nas ku lukowi położonemu najbliżej peronu, z którego miał odjechać nasz pociąg. Dokładnie na piętnaście minut przed jego przyjazdem stateczek zaparkował pod stacją.

Spojrzałem na Baytę, owiniętą opatrunkiem sterylizującym i przypiętą do automatycznych noszy. Jej twarz była całkowicie pokryta białymi bandażami, a ze środka twarzy wyrastał sztuczny dziób, pod nim zaś umieszczono maskę tlenową, połączoną ze zbiornikiem przymocowanym do noszy. Dalsza prowizoryczna protetyka pod opatrunkiem kamuflowała kształt czoła i brody, uwypuklała ramiona i tworzyła u stóp trójpalczaste szpony.

– Gotowa? – zapytałem.

Spod maski tlenowej wydobyło się stęknienie, które wywołało we mnie ukłucie współczucia. Konieczność przedostania się przez szyki wroga sama w sobie była nieprzyjemna, a fakt, iż jest się oślepionym i przypiętym do obrotowego stołu, musiał ją czynić sto razy gorszą.

Nie mieliśmy jednak wyboru. Modhri szukał ludzkiej pary, a z zakrytą twarzą i ciałem Bayta mogła uchodzić za ciężko raną Juriankę.

Starannie przeczesalem palcami włosy, przyciemnione i zaczesane do tyłu dzięki kilku kroplom oleju silnikowego, i wygładziłem nierówny, zrobiony z przyklejonych kawałków włosów Bayty wąs. Musiałem się zadowolić tym oraz ochronnym kitem, zabranym z punktu pierwszej pomocy.

– Dobrze – powiedziałem. – Chodźmy.

Dotknąłem kontrolki wjazdu. Ten otworzył się, a w ślad za nim to samo uczynił luk stacji. Po drugiej stronie czekała dwójka robotników.

– Szybko – powiedziałem, starając się naśladować natarczywy, a zarazem współczujący głos lekarza, zapamiętany z ditreków. Prostując się, wskazałem wnętrze statku. Za placami Pajaków zgromadził się już niewielki tłum, najwyraźniej ciekaw, co też kombinują ci dwaj.

– Ostrożnie – dodałem, schodząc im z drogi. – Nie potrząsajcie nim.

Oba Pajaki wyciągnęły do przodu po jednej parze nóg, by chwycić nosze. Pomogłem im w manewrowaniu, uspokajając się nieco na widok zamykającego się luku. Każdy z gapiów, któremu udałooby się podejść dostatecznie blisko, natychmiast by zauważył, że nie ma do czynienia ze zwykłym promem medycznym. Długie nogi robotników zdołały jednak utrzymać tłum w bezpiecznej odległości

na dość długo, by zażegnać niebezpieczeństwo.

Dotknąłem kontrolki umieszczonej z boku noszy, spuszczać nogi na kółkach.

– Dziękuję – rzekłem do Pająków, gdy postawiły je na ziemi. – Teraz już sobie poradzę.

Odczepiłem pilota i ruszyłem w stronę naszego peronu. Nosze jechały za mną.

Tłum, nadal spoglądający z fascynacją na ten spektakl, rozstępował się przed nami jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. Kątem oka dostrzegłem kilka zmierzających ku nam osób w strojach halkańskiej arystokracji i wysiłkiem woli powstrzymałem się od przyspieszenia.

– Co się stało? – zapytał stojący na boczniczy niski Juriańczyk, podchodząc do noszy i gapiąc się sponad dzioba na Baytę, jakby chciał przeświecić bandażę i zobaczyć, co jest w środku.

– Wypadek z kwasem – powiedziałem, dając mu znak, by się odsunął. – Proszę zachować ostrożność. Doznał silnych poparzeń i ma bardzo osłabioną odporność.

– Czy nie powinien go pan zawieźć na stację transferową? – zapytał ktoś z tłumu. – Tam jest najbliższy szpital.

– Właśnie stamtąd przyjechaliśmy – powiedziałem. – To zadanie dla specjalistów.

– Chyba są tacy w Jurskali? – wtrącił ktoś inny.

– Proszę – wycodziłem przez zaciśnięte zęby. Czy ci ludzie nie mogli gapić się w milczeniu, jak wszyscy normalni świadkowie wypadków? – Niech państwo nas przepuszczą...

– Dzięki Bogu dotarliście! – wykrzyknął z ulgą jakiś głos, po czym osobnik w garniturze poszedł do noszy od drugiej strony.

Otworzyłem usta, by kazać mu się cofnąć, ale on mówił dalej.

– Dostałem pańską wiadomość. Cały czas jestem w kontakcie z biurem. Specjaliści powinni dotrzeć na miejsce przed nami. Biuro nalega, że trzeba go ratować za wszelką cenę.

Gapiłem się na tego niepozornego człowieczka z przydługimi włosami i gładko ogoloną twarzą... i nagle mnie olśniło. Nie miałem do czynienia z żadnym szaleńcem ani nawet z nieprawdopodobną pomyłką.

Mężczyznę stojącym po drugiej stronie noszy byi nie kto inny, jak król kameleonów, Bruce McMicking.

Byłem tak zbity z tropu, że na moment zapomniałem języka w gębie. Ale to i tak nie miało znaczenia, bo Bruce gadał jak najęty.

– Jak ciężki jest stan? – zapytał, zmierzając wraz z nami ku peronowi. – Powiedziano mi, że rany wywołał głównie kwas solny, ale w grę wchodzi także inne chemikalia.

– Zgadza się – odparłem, odzyskując w końcu głos. Na odległym krańcu stacji rozpoczął się już laserowy pokaz, zwiastujący nadejście pociągu. – To one wyrządziły największą szkodę. Kiedy skóra pękła, a do środka dostały się parichlorek i dwufluoro-monistak... Sam pan rozumie.

– Oczywiście – wysyczał pod nosem McMicking. – Parichlorek. Cóż za potworna tragedia!

Pociąg przetoczył się wzdłuż toru i zahamował obok nas. McMicking i ja kontynuowaliśmy pseudomedyczne brednie, dopóki sznur wysiadających pasażerów nie dobiegł końca. Potem, nadal utrzymując tłum w bezpiecznej odległości, przetoczyliśmy nosze przez drzwi i wnieśliśmy do przedziału pierwszej klasy. Pomogli nam dwaj czekający przy wejściu konduktorzy.

Stanąłem nad owiniętą jak mumia Baytą, wydając uspokajające odgłosy dla zmylenia przechodzących korytarzem podróżnych. W końcu Pajaki wyszły, zamykając za sobą drzwi.

– Nie zrozum mnie źle – powiedziałem, przyciemniając okno i obracając się twarzą do McMickinga – ale co ty tu, u diabła, robisz?

Wzruszył ramionami.

– Jak to co? Chronię inwestycję pana Hardina. Zerknąłem w dół, zastanawiając się, ile z naszej rozmowy dociera do Bayty.

– Podobno mnie zwolnił – rzekłem ciszej.

– Postanowił dać ci jeszcze jedną szansę – odparł McMicking, po czym, spoglądając na mnie z zaciekawieniem, wyjął z kieszeni mój zegarek, czytnik i kredytówkę, i rzucił je na łóżko.

– Więc jednak masz problemy z halkańską arystokracją.

– Podobnie jak z każdym przedstawicielem elity biznesu i przywódcą politycznym na tej stacji – powiedziałem. Potem rozpiąłem pasy, którymi przypięto Baytę do noszy, i zacząłem odwijać jej głowę z bandażu. – Zdawało mi się, że kazałem ci wywieźć stąd pana Hardina.

– Jest już w drodze – zapewnił mnie McMicking, patrząc z fascynacją, jak z kokonu wyłania się Bayta. – Pojechał z resztą naszych ludzi na stację transferową, żeby sprawdzić pewne inwestycje, które poczynił w tym układzie. Zostanie tam dzień lub dwa, a potem poleci do domu.

– Uniósł brwi. – Mam nadzieję, że do tego czasu piwo, którego tu nawarzyłeś, zostanie wypite?

– Bez obaw – powiedziałem – to piwo poleci za mną. Dzięki za pomoc, ale chyba powinieneś już iść.

– Doceniam twoją troskę – rzekł. – Dzień dobry! – dodał, gdy cała twarz Bayty wyłoniła się spod bandażu.

Baycie zaparło dech, a oczy niemal wyszły jej z orbit.

– Wszystko w porządku – uspokoiłem ją pospiesznie. – On nam pomógł wymknąć się wędrowcom.

– McMicking – przedstawił się spokojnie Bruce. – Znajomy pana Comptona.

Bayta wlepiła we mnie złowróżbny wzrok.

– Znajomy?

– Piąta woda po kisielu – zapewniłem ją. – Pracuje dla Larry’ego Hardina, jednego z ziemskich bogaczy. – Zerknąłem na McMickinga ostrzegawczo. – W przeszłości prowadziłem z Hardinem pewne interesy.

McMicking, rzecz jasna, od razu załapał, w czym problem.

– Właśnie – poświadczył. – Zauważyłem, że szybko się ewakuujecie z poprzedniego pociągu, i domyśliłem się, że macie kłopoty.

– Skąd pan wiedział, że tędy wrócimy? – zapytała Bayta, nadal spięta.

– W sumie nie wiedziałem – odparł, wzruszając ramionami. – Ale zanim zacząłem pracować dla pana Hardina, przez dziesięć lat byłem łowcą nagród, więc wiem co nieco na temat sposobu myślenia uciekinierów. – Zaszczycił mnie lekkim uśmieszkiem. – A zwłaszcza tak sprytnych jak pan Compton. Może tak powiedziałbyś mi, co tu się dzieje?

Nadal rozwijając bandaż Bayty, poczułem, jak dziewczyna tężeje jeszcze bardziej. Na szczęście miałem już w zanadru pewną historyjkę, którą McMicking mógł uznać za wiarygodną.

– Ogólnie rzecz biorąc, chodzi o sprawę pewnego szantażu i wymuszenia – powiedziałem.

– Wmieszano w nią większość wyższych sfer galaktyki.

– Nasi ludzie nic o tym nie słyszeli – odparł, przyglądając mi się bacznie.

– To bardzo cicha sprawa – wyjaśniłem. – Ludzi i obywateli Konfederacji na razie w nią nie wmieszano. Ale to ma się zmienić, a gdy przyjdą po nas, gwarantuję ci, że pan Hardin będzie jednym z pierwszych na ich liście.

McMicking zmrużył oczy, wyraźnie zaintrygowany.

– Niech no przyjdą – wycedził z groźbą w głosie. – Będziemy gotowi.

– Możecie nawet nie wiedzieć, że to już się stało – ostrzegłem go, oświecony dodatkową iskierką inspiracji. Applegate zadowolili się połową modhrańskiej historii. Być może McMickingowi też to wystarczy. – Dokonują podboju dzięki silnie uzależniającym związkom chemicznym, obecnym w koralu modhrańskim.

Zmarszczył brwi.

– W koralu?

– Przedostają się przez niewielkie zadrapania na skórze – powiedziałem. – Wystarczy raz dotknąć i gotowe.

Prychnął.

– Dotknąć? Korala? Chyba żartujesz.

– Ich agenci mają wielką zdolność perswazji.

– Aż takiej? – rzucił bez przekonania. – Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś potrafił przedstawić w korzystnym świetle dotyk kawałka koralu.

Gapilem się na niego, czując nagle ciarki na karku. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś potrafił przedstawić w korzystnym świetle dotyk kawałka koralu...

Wszystkie fragmenty układanki wskoczyły nagle na miejsce.

To było to. Na Boga, to było to!

– Ale dlaczego uwzięli się na was? – kontynuował McMicking. – Wykradliście im listę sławnych i bogatych?

– Nic z tych rzeczy – odparłem machinalnie, usiłując się skupić na bieżącej rozmowie. Niektórzy z nas kilka dni temu narobili bałaganu w ich głównej bazie. Chcą nas ukarać.

Rozległo się pukanie.

– Spodziewacie się kogoś? – zapytał nerwowo McMicking, podchodząc do drzwi.

– Nie – odparłem, ścisząc głos.

– Wszystko w porządku – odezwała się Bayta. – To tylko bagaż.

McMicking spojrzał na nią dziwnie.

– Wasz bagaż ma sekretny kod?

– Otwórz że te drzwi – burknąłem.

Przeniósł dziwny wzrok na mnie, po czym spełnił polecenie. Po drugiej stronie stał konduktor, trzymając w trzech nogach nasze torby. McMicking wziął je i rzucił na łóżko, po czym zamknął i zablokował drzwi.

– A więc – rzekł swobodnie, podchodząc do kanapy narożnikowej i siadając – mamy tylko jeden przedział?

– Nie – odparłem. – My mamy dwa przedziały. Ty natomiast wysiądziesz z tego...

Przerwałem, słysząc dudnienie zwalnianych hamulców.

– Obawiam się, że nie – rzekł spokojnie McMicking.

– McMicking, ty sukin... – przełknąłem przekleństwo i złapałem go za ramię, by wyrzucić za drzwi.

To znaczy: chciałem go złapać za ramię. On jednak bez trudu uniknął mojego chwytu, a co więcej, było już za późno. Spróbowałem raz jeszcze – z równym skutkiem. Pociąg tymczasem zdążył ruszyć.

– McMicking! – warknąłem, opuszczając ręce wzdłuż tułowia.

– Spoko! – powiedział. – Chyba nie sądziłeś, że przyszedłem tu tylko po to, by wam pomóc dostać się do pociągu, a potem pozwolić odjechać w głąb króliczej nory. Człowiek pokroju pana Hardina

nie doszedłby tam, gdzie doszedł, gdyby nie chronił swoich inwestycji.

– Inwestycji? – zapytała Bayta. Westchnąłem.

– Potem ci wyjaśnię.

– No więc – kontynuował McMicking, splótszy dłonie z tyłu głowy – gdzie ja śpię?

Podróż z Jurskali na stację Terra trwała cztery dni. Podobnie jak podczas jazdy z Sistarrko do Jurskali, szybko popadliśmy w dość nudną rutynę.

Nudną, ale naznaczoną piętnem posępnego napięcia. Przede wszystkim nie mogliśmy wypuszczać Bayty z przedziału, a ja nie ośmielałem się wyściubiać nosa nawet w przebraniu, jeśli nie liczyć odbywanych trzy razy dziennie wypraw do wagonu restauracyjnego po posiłki. Fakt, iż udawałem lekarza opiekującego się ciężko rannym Juriańczykiem, tylko pogarszał sprawę, gdyż za każdym razem jedna z porcji musiała zawierać wyłącznie juriańską dietę. Mniej więcej w połowie drugiego dnia miałem tego dość.

Na każdej stacji stawałem w oknie przedziału, obserwując wsiadających podróżnych i usiłując się domyślić, którzy z nich mogą być modhrańskimi wędrowcami. Były to próby dość jałowe, zważywszy, że oni sami tego nie wiedzieli. Bayta zauważyła jednak, że w pierwszej kolejności Modhri atakuje bogatych i możnych, a im bardziej oddalamy się od Jurskali, tym mniej pasażerów wsiada do pierwszej klasy.

Niestety, ruch panujący na korytarzu przed naszymi drzwiami wskazywał, że wszystkie przedziały nadal są pełne, a wszyscy pasażerowie pierwszej klasy byli niejako z góry podejrzani.

No i był jeszcze McMicking.

Od samego początku miałem poważne opory przed dzieleniem z nim przedziału, ale gdy pociąg ruszył ze stacji, nie zostało mi wiele możliwości. Pozostali pasażerowie mogli szybko zapomnieć o naszym dramatycznym pojawieniu się w pociągu, ale równie dobrze mogli to zapamiętać. Byłoby nierozsądne po prostu puścić McMickinga wolno po tym, jak udawał naszego towarzysza, zwłaszcza że prawdopodobnie nie miał biletu na żadne inne miejsce. Musieliśmy trzymać się razem, póki nie dotrzemy na stację Terra, więc nie chciałem jeszcze bardziej utrudniać sobie życia. Bruce nie był zresztą szczególnie niewygodnym gościem. Przeciwnie: gdy już minęła mi początkowa złość o to, że mnie tak wrobił, okazał się całkiem rozsądnym kompanem. Przyjął na siebie zadanie spacerowania kilka razy dziennie po całym pociągu, by obserwować sytuację, dzięki czemu Bayta i ja mogliśmy przez chwilę odetchnąć. Od czasu do czasu, gdy siedzieliśmy we trójkę, a McMicking miał dobry humor, opowiadał nam o swoim życiu łowcy nagród.

Po trzech dniach podróży zatrzymaliśmy się w Kerfsis, ostatnim wielkim systemie kolonialnym przed Ziemią. Pamiętając o problemach, jakie spotkały nas tu poprzednim razem, nawet bym się nie dziwił, widząc na stacji majora Tasa Buskszę z nakazem aresztowania w rękę. Ruszyliśmy jednak w dalszą drogę bez przygód i w końcu zacząłem się trochę rozluźniać. Po Kerfsis czekał nas przystanek w Homshil, punkcie przesiadkowym, w którym przecinało się kilka linii transgalaktycznych, a potem dwa ostatnie postoje na juriańskiej ziemi – niewielkie, przyczółkowe kolonie, niemal równie słabo rozwinięte jak Nowe Tigris czy Yandro. Za dwadzieścia trzy godziny i pięć przystanków mieliśmy wjechać na stację Terra i znaleźć się w najbezpieczniejszej przystani, jaka tylko istniała w galaktyce. Dwie godziny przed Homshil wszystkie te plany wzięły w łeb.

– ...i miskę bulionu frisjisowego – powiedziałem do Pajaka stojącego przy ladzie z daniami na wynos. Szczerze mówiąc, miałem już tego bulionu po dziurki w nosie, a przecież od czasu wyjazdu z Jurskali piłem go zaledwie trzy razy. W części medycznej swojej encyklopedii wyczytałem jednak, że

ten specyfik pomaga w regeneracji tkanki u cierpiących z powodu poparzeń Juriańczyków, co znaczyło, że musimy się go trzymać.

Pająk pochylił nieco swój kolisty kadłub, akceptując zamówienie, i udał się na zaplecze. Odszedłem od lady i usiadłem na wolnym krześle nieopodal. Teraz, gdy zbliżaliśmy się do Ziemi, trzeba było pomyśleć o tym, co będziemy robić, gdy już się tam znajdziemy. Nawet jeśli do tej pory Modhri pozostawiał ludzkość w spokoju, miałem nieodparte wrażenie, że sielanka wkrótce się skończy.

Problem polegał na tym, że to samo, co sprawiło, że Pajaki wybrały mnie do wykonania swojego zlecenia, teraz miało się obrócić przeciwko mnie. Nie utrzymywałem bliskich kontaktów – ani osobistych, ani zawodowych – z nikim w rządzie i z pewnością nikt nie był zainteresowany tym, co mam do powiedzenia. Jediną wpływową osobą, jaką znałem, był Hardin, ale już sobie wyobrażałem minę, jaką by skwitował moją zwariowaną opowieść.

Kątem oka zauważyłem, że ktoś zatrzymuje się obok mnie. Westchnąwszy, przybrałem życzliwą minę i powtórzyłem sobie w duchu gadkę zatroskanego medyka. Większość podróżnych, którzy widzieli mnie wnoszącego Baytę do pociągu, dawno już wysiadła, ale zostało kilku... no, przynajmniej jeden, który zamęczał mnie pytaniami, gdy tylko mnie gdzieś zobaczył.

– Tak? – zapytałem łagodnie, unosząc wzrok.

Ale to nie był wścibski pasażer. Była to natomiast ostatnia osoba, jaką spodziewałem się ujrzeć w tym miejscu.

– No, no – mruknął posepnym, sarkastycznym tonem Losutu, spoglądając na mnie jak letnia chmura gradowa. – Kogo my tu mamy...

– Dyrektor Losutu? – wykrztusiłem, niezdarnie podnosząc się z krzesła. Za jego plecami ujrzałem spieszącego ku nam od strony sekcji barowej skonsternowanego Applegate'a. – Co pan tu robi?

– Mógłbym panu zadać to samo pytanie – odgryzł się. – Logicznie rzecz biorąc, powinien pan wisieć w tej chwili na halkańskim kole tortur.

Nadal nie wierząc własnym oczom, potrafiłem jedynie pokręcić głową. Nasz prom pod wodzą Fayra dotarł na stację Sistarrko w ostatniej chwili, by zdążyć na pociąg do Jurskali, i nawet biorąc pod uwagę nasze trzygodzinne oczekiwanie na tamtejszej stacji, nie wyobrażałem sobie, jakim cudem Losutu i Applegate mogli nas dogonić, wyruszając z Modhry później.

Co oznaczało, że przez cały czas jeździli tymi samymi pociągami co my. Tylko jak się dostali na stację Sistarrko przed naszym pożyczonym promem?..

– Nie wiem, co panu odbiło, żeby wziąć udział w tak idiotycznym przedsięwzięciu beształ mnie Losutu, rozkręcając się na dobre. – Applegate powiedział, że pan...

– Panie dyrektorze – uciszył go pułkownik, który zdążył już do nas dobić – nie tutaj! Mówiłem, że...

– Mam już dość słuchania – fuknął Losutu, zerkając na niego spode łba i przenosząc wzrok z powrotem na mnie. – Czekam, Compton. Proszę mi podać powód, dla którego nie miałbym nychmiast oddać pana w ręce Wysokiego Komisarza JhanKla. Serce omal mi nie stanęło.

– Wysokiego Komisarza JhanKla?

– Właśnie wyszliśmy z jego wagonu deluxe – rzekł Losutu „z przebijającym spod gniewu samozadowoleniem z faktu, że spotkał go taki zaszczyt. – Był tak miły, że zaoferował nam gościnę w drodze ze stacji Sistarrko po tym, jak nadinspektor PrifKlas wyrzucił nas z Modhry.

– A potem sprowadził ze stacji transferowej kolejny okręt wojenny, żeby was zawiózł do Tuby – powiedziałem, pojmując wreszcie. Nic dziwnego, że nie mieliśmy problemów z drugim halkańskim okrętem: został wykorzystany jako transportowiec dla Losutu i Applegate'a, którzy mieli siedzieć

nam na ogonie. Rzecz jasna, zakradając się do Tuby tak, jak to uczyniliśmy, nie mieliśmy okazji zauważyć, że okrętu nie ma na swoim miejscu.

– Przez ciebie Halkowie mogą nam zablokować kupno tych chaft – wtrącił z oburzeniem Applegate. – Zrujnowałeś całą inicjatywę dyplomatyczną...

– Daj pan spokój z chaftami – uciszył go Losutu. – Nadal czekam na wyjaśnienia pana Comptona na temat Modhry.

– Tak jest – odparł Applegate. – Nalegam jednak, byśmy nie rozmawiali o tym w miejscu publicznym. Być może Wysoki Komisarz pozwoli nam kontynuować rozmowę w wagonie deluxe.

– Z pewnością – odparłem, w końcu uruchamiając na nowo szare komórki. – Nie ma jednak potrzeby chodzić tak daleko. Mam bardzo wygodny przedział o dwa wagony stąd.

– Nie – rzekł ostro Applegate, nim Losutu zdążył odpowiedzieć. Jak podejrzewałem, zastępca dyrektora ONZ raczej nie pozwalał podwładnym podejmować decyzji za siebie.

– Co pan powiedział? – zapytał złowróźnie.

Applegate zerknął na mnie. Zmarszczki wokół oczu pogłębiły mu się na moment, jakby i on był zdziwiony słowami Losutu.

– Przepraszam, panie dyrektorze – ukorzył się. – Ale Wysoki Komisarz musi uczestniczyć w każdej rozmowie dotyczącej ataku na Modhrę.

– Rozczarowuje mnie pan, pułkowniku – wtrąciłem. – Nie tak się pan zachowywał na Modhrze. Tak bardzo się pan starał ze mną zaprzyjaźnić...

– To było zanim przyłączyłeś się do ekoterrorystów i uczestniczyłeś w ataku na halkańską ziemię – odparował sztywno Applegate.

– Czyżby? – zapytałem. – A może nawet wtedy usiłował pan wzbudzić moją ufność, by dać Modhriemu szansę wykończenia mnie?

Applegate zmarszczył czoło.

– Nie mam pojęcia, o czym gadasz.

– Nawet panu wierzę – przyznałem. – Niestety, wiem, co knuje pański mały, cichy przyjaciel. Zdradziliście się podczas kolacji w Czerwonym Ptaku. Wówczas się w tym nie zorientowałem, ale dotarło to do mnie później, gdy usłyszałem, jak ktoś mówi, że nie wyobraża sobie, by potrafił przedstawić w korzystnym świetle dotyk kawałka koralu.

– Z pewnością nie przedstawiałem w korzystnym świetle dotyku koralu – zaoponował Applegate, nie przestając marszczyć brwi. – Wydaje mi się wręcz, że powiedziałem coś wprost przeciwnego.

– Istotnie – zgodziłem się. – Wpadka polegała na użyciu pewnych konkretnych słów. Powiedział pan mianowicie, że koral jest szorstki, ostry i kłujący.

– O co tu chodzi? – zapytał Losutu, nadal rozgniewany, ale jakby trochę zaciekawiony. Przy całej swojej niechęci do mojej osoby dobrze wiedział, jakim agentem byłem we WSZ-y.

– Zaraz to wyjaśnię, dyrektorze – powiedziałem. – Otóż dzień wcześniej ja sam użyłem identycznych słów, w identycznej kolejności, gdy Apos Mahf wychwalał przy mnie pod niebiosą modhrański koral. Szorstki, ostry i kłujący. Proszę mi powiedzieć, pułkowniku: jak duże jest prawdopodobieństwo, że wymyślił pan te trzy słowa sam, bez niczyjego podszeptu?

– To szaleństwo – upierał się Applegate. – Kompletne szaleństwo.

– Zgadza się – poparł go Losutu. – Jeśli ma pan coś do powiedzenia, panie Compton, niech pan to powie teraz.

– Z radością, dyrektorze, o ile tylko wstąpi pan do mojego przedziału – odparłem. – Jeśli JhanKla ma

ochotę się przyłączyć, będzie mile widziany.

– Chcesz, żeby Wysoki Komisarz dla twojej wygody zrezygnował z komfortu, jaki daje mu wagon deluxe? – zapytał z pogardą Applegate.

– Chodzi panu o jego komfort – zapytałem – czy o bezpieczeństwo?

– Bezpieczeństwo? – zapytał zdziwiony pułkownik.

– Owszem – odparłem, czując, jak ogarnia mnie nagłe zmęczenie. Applegate nigdy nie był moim przyjacielem, ale i tak walka z kimś, kto nawet nie wie, że jest moim wrogiem, okazała się dziwnie obezwadniająca. Może właśnie w tym tkwiła potęga Modhriego. – Proszę powiedzieć, pułkowniku, kogo on się tak boi? Mnie? Bayty?

– Niech pan skończy z tym pułkownikiem – burknął Losutu. – On jest teraz cywilem.

Pokręciłem głową.

– Nie, panie dyrektorze. Przeszedł tylko do innej armii. Do armii Modhriego.

– Co takiego? – zdziwił się gniewnie Losutu.

Ale ja nie patrzyłem już na niego. Oczy Applegate'a stały się dziwnie puste, a mięśnie twarzy wyraźnie zwiotczały, jakby usnął na stojąco. Nim zdążyłem zareagować, twarz na powrót stężała, a wzrok odzyskał ostrość.

Tyle że teraz oczy były zbyt jasne, postawa zbyt sztywna, a twarz stanowiła subtelną parodię twarzy człowieka, który swego czasu spoglądał na mnie zza biurka w kwaterze WSZ-y, mówiąc mi, że już tu nie pracuję. Mężczyzna, który stał przed nami, nie był już Terrance'em Applegate'em.

Prawdziwy wróg zdecydował się w końcu stanąć do otwartej walki.

– A – powiedziałem, starając się brzmieć swobodnie – Czy wreszcie dostąpiłem zaszczytu rozmowy z Modhrim we własnej osobie?

– Owszem – odparł Applegate nieswoim głosem. Losutu najwyraźniej też dostrzegł różnicę.

– Applegate? – odezwał się niepewnie, już nie zagniewany, za to wyraźnie zaniepokojony.

– Co się dzieje?

– Zamknij się – rzekł Applegate, po czym podszedł do dyrektora i nagle założył mu blokadę na przegub. Losutu wciągnął gwałtownie powietrze. – Wygrałeś, Compton. Chodźmy do twojego przedziału.

– Po co? – zapytał Losutu, usiłując zachować spokój, gdy Applegate ciągnął go przez wagon.

– Mamy do pogadania – odparł spokojnie pułkownik, po czym spojrzał na mnie. Jego oczy znów były martwe. – A potem – dodał – skończę z tym.

Gdy przeszliśmy przez drzwi do wagonu pierwszej klasy, okazało się, że cały kontyngent pasażerów został zmobilizowany. Porzuciwszy swoje drinki, czytniki i karty, szli ku nam dziarskim krokiem, jak żołnierze zmierzający na pole bitwy. Spiałem się i zacisnąłem pięści, ale ku memu zdumieniu – oni po prostu minęli nas i szli dalej w stronę wagonu restauracyjnego.

– Dokąd oni idą? – zapytał Losutu, wyciągając szyję, by patrzeć, jak ostatni pasażerowie opuszczają wagon.

– Nie twój interes – odparł Applegate, a raczej to, co go opętało. Powtarzałem sobie, że kiedy nadejdzie czas konfrontacji, będę musiał pamiętać, iż nie mam już do czynienia z człowiekiem.

Byliśmy w połowie opustoszałego wagonu, gdy nagle drzwi z przodu otworzyły się i wypłynął z nich kolejny strumień pasażerów, prąc przed siebie z takim samym przekonaniem jak poprzedni. Najwyraźniej Modhri ewakuował swoich wędrowców ze wszystkich przedziałów pierwszej klasy.

Nim dotarliśmy do naszego wagonu, korytarz był pusty.

– Który to? – zapytał Losutu.

– Te dwa – wskazał drzwi naszych przedziałów Applegate. – Tylko nad nimi nie miałem kontroli.

– Wejźmy do tego – powiedziałem, podchodząc do przedziału Bayty i naciskając dzwonek. – Bayta też może wziąć udział w rozmowie.

– Podobnie jak twój drugi towarzysz – dodał Applegate. – Kolejny fałszywy doktor.

Drzwi się otworzyły. Gdy Bayta zobaczyła, że nie jestem sam, przez twarz przemknęła jej iskierka zdumienia. W ślad za nią pojawiła się druga, gdy dziewczyna rozpoznała moich towarzyszy.

– Tak? – zapytała ostrożnie.

– Przepraszam – powiedziałem, odsuwając ją łagodnie wchodząc do środka. Ścianka rozdzielająca nasze przedziały była częściowo rozsunięta, tak jak przed moim wyjściem. Obawiam się, że się przeliczyliśmy.

– Co masz na myśli? – zapytała.

Pozostali tymczasem weszli w ślad za mną. Applegate zamknął drzwi.

– To, że gra się skończyła – rzekł pułkownik, uwalniając nadgarstek Losutu i popychając dyrektora w stronę łóżka. – Wszyscy siadać! Załatwię to najszybciej i najbardziej bezboleśnie, jak tylko się da. Ty tam, w drugim przedziale! Chodź tu. I to już!

Odpowiedziała mu cisza.

– Do ciebie mówię, Terranie! – zawołał ponownie Applegate, tym razem ostrzej. – Do mnie!

– Chwileczkę – odpowiedział speszony, drżący jak u przerażonego księgowego głos McMickinga. – Proszę. Muszę się ubrać.

Applegate zawahał się, prawdopodobnie niepewny, czy bezpieczne będzie pozostawienie nas samych, pójdzie do sąsiedniego przedziału i przywleczenie McMickinga za kark. Zerknął na mnie i chyba uznał, że jednak nie.

– Masz minutę! – zawołał. Losutu odchrząknął.

– Obiecał pan powiedzieć mi wszystko, co pan wie, panie Compton.

– Mówiąc najkrócej, pułkownik Applegate został zmieniony w coś w rodzaju strąka odparłem, starając się mówić dostatecznie głośno, by moje słowa docierały do McMickinga. Mówię „coś w rodzaju”, bo do niedawna był kompletnie nieświadom faktu, że stał się nosicielem sekcji zbiorowego umysłu zwanego Modhrim.

– Nawet teraz nie jest tego świadom – dodała Bayta tak cicho, że ledwie ją słyszałem. Modhri przejął kontrolę, usypiając jego osobowość. Kiedy go uwolni, Applegate nie będzie nic pamiętał. Będzie mu się zdawało, że po prostu stracił przytomność.

– Tyle że tym razem możemy mieć problem – ostrzegłem, spoglądając na pułkownika w zamyśleniu. – Będzie pamiętał, że bezpośrednio przed tą niezrozumiałą utratą świadomości mówiłem o tobie. Jest zbyt dobrym wywiadowcą, by nie umieć połączyć tych dwóch faktów.

– Wątpię – odezwał się Applegate. – Takie prymitywne istoty jak wy mają świetne sposoby na tłumaczenie sobie rzeczy, których nie rozumieją.

– Dlaczego to robisz? – zapytał Losutu. Muszę przyznać, choć niechętnie, że wzbudził we mnie coś w rodzaju podziwu. To wszystko spadło na niego jak góra kamieni, a on już zaczął myśleć dyplomatycznie. – Czego konkretnie chcesz?

– Chcę być wszystkim i rządzić wszystkimi – odparł Applegate, jakby to było oczywiste. I ten dzień nadejdzie. Ale przejdźmy do rzeczy – kontynuował, przenosząc spojrzenie swych martwych oczu na mnie. – Ukradłeś z Modhry I trzy chipy z danymi. Oddaj mi je.

– Skoro nalegasz. – Wskazałem fotel z rozkładanym blatem, na którym leżał czytnik Bayty i chipy. – Oto one.

Applegate podszedł do fotela, nie spuszczać nas z oka, i podniósł chipy. Przyjrzał im się szybko, by się upewnić, że to te, po czym wrzucił je do kieszeni.

– A teraz powiedz, czego się z nich dowiedziałeś. Początkowo chciałem udawać głupka, ale stwierdziłem, że gra nie byłaby warta świeczki.

– Ostatnio wyeksportowałeś mnóstwo koralu – powiedziałem. – Nic poza tym.

Oczy mu zabłyśły..

– Nic?

– Zupełnie nic – zapewniłem go zgodnie z prawdą. Całej reszty nie dowiedziałem się przecież z jego cennych dyskietek. – Choć nie powiem, że bym nie próbował.

– Rozumiem – mruknął Applegate, po czym zaczął się odwracać.

Nim zdążyłem zareagować, podszedł do łóżka, złapał Baytę za włosy i podniósł.

– Łziesz – rzekł spokojnie, obracając dziewczynę i przyciągając do siebie. – Powiedz mi, gdzie to jest, a puszcę ją.

– Nie wiem, gdzie to jest! – zaprotestowałem, widząc, jak Applegate prawą ręką ścisną gardło Bayty, i czując krople potu na czole. – Zostaw ją.

– Gdzie jest co? – chciał wiedzieć Losutu.

– Dobrze – rzekł Applegate. – Niech ci będzie. – Włożył lewą rękę do kieszeni, by po chwili wyjąć ją ponownie.

Wraz z kawałkiem modhrańskiego koralu.

– Czy teraz – powiedział, pod tykając mi go pod nos – powiesz mi prawdę? Czy też mam ją podrapać – udał, że przesuwa korałem po policzku Bayty – i zmienić w rzecz, której boi się najbardziej na świecie?

– Zostaw ją, do cholery! – warknąłem, próbując się podnieść.; Applegate ostrzegawczo skrzywił koral. Zacisnąłem zęby i usiadłem grzecznie. – Mówię ci, że nie wiemy.

– Zgadzasz się z nim, sługo Pająków? – zapytał pułkownik Baytę, niemal dotykając wargami jej ucha. Nie odpowiedziała, patrząc na niego z wściekłością i przerażeniem.

– No? – zachęcił.

– Umrzesz – powiedziała w końcu napiętym, ale stanowczym głosem. – Słyszysz, co mówię?

– Słyszę – odparł spokojnie. – Ostatnia szansa: albo mówicie, gdzie znajduje się kolebka, albo przyłączacie się do nas. A zapewniam..

– Wychodzę! – zawołał z drugiego przedziału drżący głos McMickinga. – Proszę, nie rób mi krzywdy!

Applegate rzucił okiem na częściowo odsuniętą ścianę, wyraźnie wściekły, że mu przeszkodzono.

– Właż – fuknął.

Po chwili wahania McMicking nerwowo wśliznął się przez szparę.

Nie zmienił fryzury, ale i tak przez pierwszych kilka sekund był niemal nierozpoznawalny. Postawa pewności i profesjonalizmu ustąpiła miejsca przerażeniu. Oczy wychodziły mu z orbit, palce i usta poruszały się nerwowo, a twarz wyglądała, jakby za chwilę miały po niej spłynąć łzy.

– Proszę, nie rób mi krzywdy! – błagał.

– Siadaj! – rzucił z niesmakiem Applegate, gwałtownym ruchem głowy wskazując łóżko. Potem przeniósł wzrok na mnie, jakby nawet ten obcy, który nim zawładnął, nie mógł patrzeć na tak żalną

parodię człowieka. – No? – ponaglił, ponownie unosząc koral ku twarzy Bayty.

W tym momencie McMicking uderzył.

Rzucił się na Applegate'a, jednym skokiem pokonując dzielące ich dwa metry i uderzając pięścią w odsłoniętą prawą pachę. Pułkownik zawył z bólu i ręka mu zwiotczała, co natychmiast wykorzystała Bayta, uwalniając się z uścisku. Applegate obrócił się, wyciągając koral w stronę twarzy McMickinga.

Jego jednak już tam nie było. Opadł na kolana, nim Bayta zdążyła się oswobodzić. Gdy koral przeszywał powietrze nad jego głową, Bruce obrócił się gwałtownie i podciął Applegate prawą nogą.

Pułkownik z przekleństwem zwałił się na podłogę, uderzając w nią plecami. Podskoczyłem, by wspomóc McMickinga, ale nie było potrzeby. Bruce dokończył obrót, podskoczył, by wyprostować nogi, i wyrzucił lewą stopę niczym rosyjski baletmistrz, kopiąc Applegate'a mocno za prawym uchem. Rozległ się źle wróżący łomot, po którym pułkownik zadrżał konwulsyjnie, osunął się bezwładnie i leżał bez ruchu. Jego lewa dłoń rozwarła się, wypuszczając koral, który potoczył się po podłodze i znieruchomiał w odległości kilku centymetrów.

– Nikomu nic nie jest? – zapytał McMicking, szturchając Applegate pod żebrem, by się upewnić, że nie wstanie.

– Wszystko w porządku – powiedziałem, wstając i klękając przy pułkowniku. – Dotknął cię korałem?

– Nawet się nie zbliżył – uspokoił mnie Bruce.

– Uważaj – ostrzegła Bayta, gdy sprawdzałem leżącemu puls. – Modhrańskich wędrowców niełatwo ogłuszyć.

– Chyba nie będziemy mieć z tym problemu – odparłem ponuro, podnosząc się. – Nie żyje.

– Co? – zdenerwował się McMicking, opadając na kolana, by sprawdzić samemu. – To szaleństwo. Nie uderzyłem go tak mocno.

– Kolonia musiała popełnić samobójstwo – powiedziała drżącymi wargami Bayta. – Jak ci dwaj Halkowie w Kerfsis.

– Wygląda na to, że ten cały Modhri nie umie przegrywać – mruknął McMicking, stękając, a potem prostując się i odsuwając butem koral. – Co mam z tym zrobić?

– Nie dotykaj – ostrzegłem. Odepchnąwszy go, wkopałem koral głęboko pod łóżko. Ciekaw jestem, skąd on go, u diabła, wziął.

– Z wagonu deluxe – mruknął machinalnie Losutu, nadal wpatrzony w ciało Applegate'a. JhanKla ma w swojej sypialni sadzawkę z pokaźną rafą.

A zatem wagon deluxe nie był jedynie wygodnym, komfortowym środkiem transportu wędrowców, lecz ruchomym centrum dowodzenia.

– Powinienem był się domyślić – powiedziałem. – Jak myślisz, Bayto, czy on nas słyszy?

– Koral? – zdziwił się Losutu, odrywając wzrok od ciała i wlepiając we mnie. – Co u li...

– Dyrektorze, proszę – uciszyłem go. – Bayto?

– Nie sądzę – odparła. – Polipy potrafią odbierać i interpretować wibracje, ale tylko pod wodą.

– Co z Applegate'em?

– Mówił pan, że nie żyje! – zaprotestował Losutu.

– Dyrektorze! – skarciłem go ponownie, starając się powściągnąć zniecierpliwienie.

– Możliwe – przyznała Bayta. – Ale... degeneracja komórek nerwowych jeszcze się nie rozpoczęła...

– Na korytarz z nim! – zakomenderował energicznie McMicking, chwytając pułkownika pod pachy. –

I lepiej na wszelki wypadek wykopcie też ten koral.

Minutę później zostawiliśmy ciało i koral w korytarzu, uprzednio wyjąwszy dyskietki z kieszeni trupa.

– A ty? – zapytałem Baytę po powrocie do przedziału. – Miałaś kontakt z korałem?

– Nie – odparła, pocierając ostrożnie policzek.

– Na pewno? Nie... nie ruszaj się! – rozkazałem, ujmując ją za brodę i unosząc głowę ku światłu. – Lepiej sprawdzę.

– I co chcesz znaleźć? – fuknęła, odpychając moją rękę. – Mikroskopijne zadrapanie? Mówię ci, że mnie nie dotknął.

– Dobra, dobra – burknąłem. – Chciałem tylko pomóc.

– To lepiej się zastanów, co on teraz robi – odparowała, opadając z powrotem na łóżko, podciągając kolana pod brodę, obejmując je rękoma i gapiąc się w kąt.

– Jak to: co robi? – zapytał Losutu z nieodgadnionym wyrazem twarzy. – Przecież nie żyje!

– Ona ma na myśli Modhriego, umysł zbiorowy – powiedziałem. – Nie słuchał pan?

– Słuchałem, ale... – Umilkł. – Mówił pan serio? Przecież to...

– Szalone? – podpowiedziałem z przekąsem. – Śmieszne? Przeróżające? Niech pan szybko wybierze przymiotnik i kontynuuj, bo cała reszta też jest prawdą.

Losutu wziął głęboki oddech, po czym powoli wypuścił powietrze.

– W porządku – rzekł. – Załóżmy na razie, że tak jest. Co dalej? Jak pan sądzi, co on może zrobić?

– Widział pan tych wszystkich pasażerów pierwszej klasy, którzy parli do przodu jak banda zombich, gdy my wracaliśmy do przedziału? – zapytałem. – Wszyscy są wędrowcami Modhriego, jak Applegate, i prawdopodobnie są sterowani bezpośrednio przez umysł zbiorowy. Postukałem się po kieszeni. – A jedynym celem ich życia jest odzyskanie tych chipów.

– Ilu ich jest? – wtrącił McMicking.

– Z pewnością wszyscy podróżujący pierwszą klasą, JhanKla i jego świta, plus prawdopodobnie garstka innych, na wszelki wypadek rozsianych po całym pociągu – odparłem. Rokowania nie są najlepsze.

– Tak – przyznał McMicking – ale do Homshil została tylko godzina jazdy. Może zdołamy się zabarykadować i przeczekać.

– A potem przepchnąć się przez nich, by wysiąść? – zapytałem z powątpiewaniem. – No, ale spróbować warto. Sprawdźmy, czy da się odsunąć te łóżka od ści...

Za moimi plecami Bayta krzyknęła rozdzierająco.

– Co jest? – zawołałem, obracając się ku niej.

Patrzyła przed siebie martwym wzrokiem, blada jak ściana, oddychając szybko i płytko.

– Bayto? – zapytałem, siadając na łóżku obok i ujmując ją za lodowatą rękę. – Co się stało?

– Zabili – wyszeptała drżącym głosem. – Zabili Pajaka.

– Kto? – zapytałem, czując ciarki na plecach.

– Tłum – powiedziała. – Motłoch. Wszyscy.

– To niemożliwe – zaproponował McMicking. – Mówiłeś, że tylko ci z pierwszej klasy. Nie ma ich dostatecznie dużo, by zabić Pajaka.

– Mylił się – wymamrotała Bayta, nadal patrząc przed siebie martwym wzrokiem. – Oni wszyscy należą już do Modhriego. Atakują Pajaki. Chcą zabić wszystkie.

Zamknęła oczy.

– A potem przyjdą po nas.

Przez jakieś pół minuty nikt się nie odzywał. Zerknąłem na Baytę, potem na McMickinga, na koniec na Losutu i ujrzałem na twarzach ich wszystkich to samo niedowierzanie, które zapewne malowało się na mojej. Pająki od wieków stanowiły najbardziej stabilną i niezmienną część galaktycznego krajobrazu: enigmatyczne i anonimowe, maszerujące w milczeniu na tle międzygwiazdnych wydarzeń, których zaistnienie same przecież umożliwiły. Nie miały twarzy, osobowości, widocznych pragnień – z wyjątkiem tego, by służyć – własnych nadziei, marzeń, radości ani smutków.

I nigdy, przenigdy nie wydarzyło się nic, co mogłoby wskazywać, że mogą być równie śmiertelne jak my.

– Co robimy? – zapytał w końcu Losutu. – Nie damy rady odpierać ataku całego pociągu aż do Homshil.

– Nieważne, czy my damy radę, czy nie – odparła Bayta. Przerazenie znikło z jej twarzy, ustępując miejsca gorzkiej rezygnacji. – To Pająki kierują pociągiem.

– Chcesz powiedzieć, że wędrowcy dostali się do lokomotywy? – zapytał McMicking. Pokręciła głową.

– Lokomotywa jest pusta. Sterują nią z wnętrza pociągu. Kiedy wszystkie Pająki zginą, będziemy jechać tak długo, aż zabraknie paliwa. Albo aż w coś uderzymy.

– Z prędkością stu kilometrów na godzinę – mruknął Losutu.

– Lub roku świetlnego na minutę – zauważyłem ponuro. – Zależy, jak na to patrzeć. Ale to wszystko nie trzyma się kupy. Mówiłaś, że wytworzenie kolonii we wnętrzu nosiciela zabiera dni, a nawet tygodnie.

– Tak, jeśli zaczyna się od pojedynczego polipa, zaszczepionego wskutek mikroskopijnego zadrapania – odparła z westchnieniem Bayta. – W przypadku dużej liczby dojrzałych polipów... – Przełknęła ślinę. – Można stworzyć nowego wędrowca w ciągu kilku godzin, nawet minut.

A więc to tym straszyl ją Applegate. Smagnięcie korałem przez policzek wpuściłoby dziesiątki tych przeklętych polipów prosto do jej krwiobiegu.

– Od zera do Modhriego w piętnaście sekund – mruknąłem.

– Chyba już wiem, dokąd udali się wszyscy pasażerowie pierwszej klasy. Do wagonu deluxe po kawałek koralu, a potem na pierwszą doroczną modhrańską wyprawę rekrutacyjną.

– Niech pan przestanie bredzić! – ofuknął mnie Losutu. – Lepiej niech mi pan powie, co im z tego przyjdzie? Teraz wszyscy zginą.

– Może Modhri nie rozumie, że zabija maszynistów? – zasugerował McMicking.

Przez twarz Bayty przemknął tymczasem spazm bólu.

– Zabił kolejnego – wymamrotała.

– Świetnie to rozumie – powiedziałem. – Pamiętaj, że to umysł zbiorowy, w którym każda kolonia tworzy połączenia z okolicznymi. Oto, co się tu wydarzyło: kolonie obecne w Applegacie, JhanKla i pasażerach pierwszej klasy miały połączenie z korałem znajdującym się w wagonie deluxe. Po zarażeniu pozostałych pasażerów segment objął cały pociąg.

– Co nie zmienia faktu, że wszyscy zginą – zauważył zniecierpliwiony Losutu.

– Jego nie obchodzi, że straci jeden segment – powiedziałem.

– Zależy mu jedynie na tym, by stworzyć segment zdolny połączyć się z tym, który będzie czekał na stacji Homshil, gdy nasz pociąg z hukiem na nią wjedzie.

– I przekazać informacje – rzekł McMicking, kiwając głową.

– Jasne.

– Jakie informacje? – zapytał Losutu. – Co jest takie ważne?

– Fakt, że mamy ich skradzione chipy – powiedziałem. – Do tej pory Modhri nie wiedział, czy mamy je my, Fayr, czy ktoś inny.

– Ale jeśli pociąg się rozbije, Modhri nie odzyska swoich chipów.

– Nie potrzebuje ich – wyjaśniłem. – Chodzi jedynie o to, żeby nikt inny ich nie miał.

– I to jest warte poświęcenia JhanKla, Applegate’a i całej reszty? – nie mógł uwierzyć Losutu.

– Dla Modhriego jednostki nie mają żadnego znaczenia, byleby tylko całość przetrwała – powiedziałem. – Czy pan by się przejmował poświęceniem kilku komórek swego mózgu?

Losutu syknął przez zęby.

– To nie może się dziać naprawdę – wymamrotał.

– Ale się dzieje – zapewniłem go, usiłując myśleć. Nie wiedziałem, ile Pająków jest w pociągu, ale byłem pewien, że wyeliminowanie wszystkich zajmie wędrowcom, nawet tak licznym, sporo czasu. To dawało nam pewną swobodę. – Bayto, czy ty mogłabyś coś zrobić z lokomotywą? – zapytałem. – Przyspieszyć lub spowolnić bieg... lub cokolwiek.

– Nie – odparła głucho. – Nie stąd.

– Ale rozmawiasz z Pająkami – zauważyłem.

– To nie to samo! – wybuchła nagle. – Gdybym była w lokomotywie, mogłabym coś zrobić. Ale nie jestem. – Znow zadrżała spazmatycznie, opuszczając bezradnie ramiona. – I nie ma sposobu, by się tam dostać.

– Dlaczego nie? – zapytał McMicking.

– Po prostu nie ma – odparła. – Pomiędzy lokomotywą a resztą pociągu nie ma żadnych przejść.

– Bez wątplenia jednak jesteśmy z nią połączeni – zauważyłem. – Może można by się tam dostać z zewnątrz?

– Na zewnątrz nie ma powietrza – przypomniał mi Losutu. – W każdym razie nie dość, by móc oddychać.

– Ale we wszystkich wagonach są zestawy pierwszej pomocy – rzekł McMicking. – A w nich aparaty tlenowe, prawda?

– Tak – przyznała Bayta powoli, z nutką ostrożnej nadziei w głosie. – I większe butle do pompowania tlenu w sytuacji awaryjnej. Moglibyśmy użyć którejs z nich, gdy już się znajdziemy we wnętrzu lokomotywy.

– No to do roboty – powiedziałem. – Jak otworzymy drzwi? Westchnęła.

– Nie da rady – powiedziała, znow popadając w przygnębienie. – Są zamknięte hermetycznie.

– Wszystkie? – zapytał Losutu.

Skinęła głową. Potrzebowalibyśmy kogoś o sile pająka robotnika, by je otworzyć. Zawahała się. – Są jeszcze panele na dachach wagonów bagażowych, przeznaczone do ładowania wielkich skrzyń. Ciężkie, ale niehermetyczne. Może udałoby nam się któryś otworzyć.

– To na samym końcu pociągu! – zaoponował Losutu. – Jak mamy się tam dostać, skoro wszędzie jest pełno Modhriego?

– Niech pan zostawi to nam – powiedziałem, spoglądając pytająco na McMickinga. Wchodzisz?

– Jasne – odparł ponuro. – Pokażmy temu Modhriemu, co potrafi garstka prymitywów.

Naszym pierwszym zadaniem było zebranie wszystkich potrzebnych zbiorników tlenowych. Zrobiłem to wespół z McMickingiem, przemykając do bezprzedziałowego wagonu pierwszej klasy i zabierając

stamtąd zestaw pierwszej pomocy wraz z aparatem tlenowym. Na szczęście w przedziale nie było pasażerów; najwyraźniej nadal zajmowali się mordowaniem Pająków. Butla tlenowa w aparacie była niewielka, ale powinna wystarczyć jednemu z nas na dotarcie do lokomotywy.

Nie opracowałem jeszcze konkretnego planu. O ile było mi wiadomo, wyskakując z pociągu w Jurskali Bayta i ja staliśmy się pierwszymi osobami, jakie kiedykolwiek wyściubiły nos z jadącej czteroszynówki. Wejście na dach pociągu w pełnym biegu było co najmniej o jeden rząd wielkości bardziej szalone. Istniało tyle niewiadomych, że nawet nie było sensu ich wyliczać, i prawdopodobnie wybrałbym przedzieranie się przez wnętrze pociągu, gdybym nie miał absolutnej pewności, że żadne z nas go nie przeżyje.

Znaleźliśmy i zabraliśmy także zbiornik do pompowania tlenu, o którym wspomniała Bayta. Okazało się, że nie jest to zwykły zbiornik, tylko całkowity, samosterujący system pompująco-oczyszczająco-regulujący. Ważył przy tym prawie tyle co Bayta, ale na szczęście miał wbudowaną uprząż, dzięki której można go było nosić jak plecak.

Wróciliśmy do przedziału i zrzuciliśmy zbiorniki, po czym ściągnęliśmy zestaw pierwszej pomocy z naszego własnego wagonu. W ten sposób mieliśmy dwa zbiorniki wielkości człowieka. Dodając do tego ten będący na wyposażeniu noszy i dodatkowy, przywieziony z Jurskali, uzyskiwaliśmy cztery, po jednym dla każdego z nas.

Bayta i Losutu także nie próżnowali. Zgodnie z naszymi instrukcjami ustawili nosze na kółkach i wyładowali ubraniami na zmianę, pościelą i wszystkimi innymi łatwopalnymi rzeczami, jakie znaleźliśmy w przedziale. Przyczepili też uprzęże do naszych czterech zbiorników z tlenem.

Byliśmy gotowi.

– No, w każdym razie bardziej gotowi już nie będziemy – powiedziałem, przyczepiając do pasa małą butlę tlenową, a dużą montując na środkowej półce noszy. W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek żałowałem, że nie poprosiłem Pająków o pistolet, gdy miałem po temu okazję. Weź jeszcze te dwie torby – dodałem, wskazując McMickingowi mój bagaż.

– Chcesz zabierać ze sobą bagaż? – zdziwił się, przechodząc przez przedział i podnosząc torby.

– Zaufaj mi – powiedziałem, umieszczając je na dolnej półce noszy. – Jesteś gotowa, Bayto?

– Chyba tak – odparła. Nadal była blada, ale głos miała pewny. Najwyraźniej znalazła sposób poradzenia sobie z otchłanią, która się w niej otwarła, gdy Pajaki zaczęły ginąć.

– Dyrektore?

– Jeśli mam być szczery, to wszystko wcale a wcale mi się nie podoba – rzekł ponuro Losutu. – Atakować, a może nawet zabić dużą grupę ludzi, którzy w dodatku nie są odpowiedzialni za swoje czyny...

– To nie ludzie – przerwał mu McMicking. – To tarcze, marionetki wroga, wielkookie potwory. Nie ludzie. Jeśli zaczniesz pan myśleć o nich jako o ludziach, już jest pan martwy.

– Dziękuję za wykład z psychologii wojskowej – odparł lodowato Losutu. – Wolałbym jednak, żebyśmy nie musieli tego robić.

– A ja chciałbym, żeby był z nami Fayr i jego komandosi – odparowałem. – Nie zawsze można mieć to, co się chce.

– Gdyby tak było, mielibyśmy kilka sztuk prawdziwej broni – dodał ponuro McMicking. Jeśli Pajaki nie walczą jak lwy, cały ten sprzęt na niewiele się nam zda.

Miał, rzecz jasna, rację: nasze podrasowane nosze nie były idealną bronią. Jednak nic innego nie mieliśmy.

– Chcesz parkę plastikowych karabinów rangi na postrach? – zaproponowałem, wskazując łóżko, na którym wylądowały, gdy Bayta wyjmowała z moich toreb ubrania. – Fayr dał mi je, gdy się żegnaliśmy.

– Serio? – zdziwił się McMicking, marszcząc brwi. – Po co? Otworzyłem usta i... zamknąłem je.

– Dobrze pytanie – rzekłem po chwili, podnosząc karabiny. „Przydadzą ci się”, powiedział Fayr. Tak nie mówi zwykle człowiek, który ofiarowuje drugiemu coś na pamiątkę.

Zaraz potem Bayta i ja wyskoczyliśmy z pociągu. Nie było czasu się zastanawiać, o co chodziło Fayrowi; po prostu upchnąłem spluwy do torby i już.

– Obejrzyj go – rzekłem do McMickinga, wręczając mu jeden z karabinów, a sam biorąc drugi.

Badaliśmy je w milczeniu, a Losutu i Bayta zaglądali nam przez ramię. Karabiny były w całości zrobione z miękkiego plastiku, z wyjątkiem przyczepionych do kolby ozdobnych zaplatanych frędzli, których materiał wyglądał na coś w rodzaju syntetycznego jedwabiu. Były ewidentnie puste w środku, a metodyczne ściskanie nie wskazało żadnych wybrzuszeń, w których coś mogłoby być ukryte. Zresztą czujniki Pająków i tak nie przepuściłyby niczego niebezpiecznego. Zbyt duża lufa była zatkana i miała w różnych punktach kilka wzdłużnych żeber, nadających jej pewną sztywność. Biorąc jednak pod uwagę znikomy ciężar, nie była to zbyt skuteczna broń.

Chyba że...

– Sprawdź lufę – poleciłem McMickingowi, przesuwając palcami wokół gniazdka, w którym ta była przymocowana do reszty. – Zobacz, czy można ją... O, właśnie – powiedziałem, gdy lufa oderwała się od rękojeści. Była zatkana z obu stron, ale wewnętrzna zatyczka wyglądała na odkręcaną. Miała też dwa małe oczka, łączące się bez otwierania do środka.

– Pałki do zabawy? – zaryzykował Losutu, gdy i McMickingowi udało się odłączyć lufę.

– Coś lepszego – zapewniłem go, odkręcając nakrętkę i wręczając ją Baycie wraz z lufą. Napełnij ją wodą. W całości. Bez bąbelków. Ty też, McMicking.

– Rozumiem, będą cięższe – rzekł Losutu, nadal marszcząc brwi, gdy tamci udali się do łazienki. – Ale i tak są zbyt krótkie, żeby posłużyć jako pałki.

– Niech pan patrzy i się uczy – powiedziałem, obracając do góry nogami resztę mojego karabinu i zaczynając odczepiać frędzle. – Swego czasu WeSZ przeprowadziła szkolenie na temat możliwości zaimprovizowania broni z materiałów dostępnych w czteroszynówce. Wygląda na to, że Bellidowie wyprzedzili nas w tym względzie.

Nim McMicking i Bayta wrócili z wypełnionymi wodą lufami, zdążyłem odczepić frędzle i zrobić z nich pojedynczą, gładką, jedwabną nić. Gdy moi towarzysze trzymali lufy, przeciągnąłem ją wielokrotnie przez oczka na szczytach obu luf, pozostawiając kilka centymetrów luzu. Gdy skończyłem, związałem ją w mocny supel obok jednego z oczek.

– Proszę bardzo – oznajmiłem, chwytając lufy i odciągając gwałtownie od siebie, by zlikwidować luz. – Prowizoryczny, lecz bardzo przydatny zestaw kijów nunchaku.

– Niech mnie diabli – rzekł Losutu takim tonem, jakby nie był pewien, czy jest zachwycony, czy zdegustowany. – Czy Pajaki o tym wiedzą?

– Nie mam pojęcia – odparłem. – I nie obchodzi mnie to. McMicking? Ty czy ja?

– Ja – odparł pewnie, biorąc ode mnie nunchaku i wymachując nim eksperymentalnie. Pozorny eksperyment okazał się wykonany, zaskakującym i trudnym do prześledzenia manewrem, w wyniku którego jedna lufa utrzymała się w jego dłoni, druga zaś została bezpiecznie umieszczona pod ramieniem. – Przyda się jak nic – powiedział, uśmiechając się z wyższością do Losutu. – Widzi pan,

dyrektorze? Czasami jednak dostaje się to, czego się chce.

Losutu milczał.

– W takim razie ja kieruję – powiedziałem, sięgając po pilota noszy.

– Chodźmy.

Gdy wyruszyliśmy ku tyłowi pociągu, zarówno nasz korytarz, jak i następny, bezprzedziałowy wagon pierwszej klasy pozostali wały puste. Gdy ja manewrowałem noszami, przepychając je przez wijącą się nawę utworzoną przez poprzestawiane krzesła, Bayta i Losutu zbierali karty i inne łatwopalne materiały, dorzucając je do stosu i polewając to wszystko pozostałościami różnych alkoholi. Przeszedłszy przez przedsionek, weszliśmy do barowej części wagonu restauracyjnego...

I zastaliśmy scenę jak z horroru. W trzech różnych punktach pomieszczenia stali, zbici w ciasne kręgi, dobrze ubrani Juriańczycy, Halkowie, Bellidowie i Cymalczycy, metodycznie atakujący podziurawione kule i połamane nogi osaczonych Pająków, waląc w nie pięściami, krzesłami, stołami i wszystkim, co tylko znaleźli.

Z gardła Bayty wydobyło się dziwne gulgotanie. Widząc, że dziewczyna się trzęsie, schwyciłem ją za ramię, przyciągnąłem do siebie i szedłem dalej.

Zdążyliśmy zrobić może ze cztery kroki, nim ktoś nas dostrzegł, a cały tłum przerwał bicie i obrócił się ku nam. Sprężyłem się, ale Modhri najwyraźniej miał na głowie ważniejsze rzeczy. Wędrowcy jak jeden mąż odwrócili się z powrotem i kontynuowali atak na Pająki.

– Co oni wyprawiają? – mruknął stojący obok mnie Losutu. – Nie wiedzą, kim jesteśmy?

– Jasne, że wiedzą – odmruknąłem. – To przecież zbiorowy umysł. Wszystko, co widzi jeden wędrowiec, widzi cały Modhri. On po prostu uważa, że i tak jesteśmy już trupami. Wskazałem głową bar. – Pan i McMicking, do roboty.

Losutu zawahał się, po czym, niechętnie oddalając się od Bayty i mnie, ruszył za McMickingiem w stronę baru. Wśliznęli się przez przejście i zniknęli na zapleczu. Nie spuszczałem z oka linczującego tłumu, wypatrując wszelkich oznak kłopotów i starając się nie myśleć o tym, co robią ci ludzie. Było oczywiste, że te Pająki są już stracone i że nijak nie jesteśmy w stanie im pomóc. Ale ta świadomość nie ułatwiała mi patrzenia.

Po dwóch minutach McMicking i Losutu wrócili, obładowani butelkami płynu do skinski flambe.

– Świetnie – powiedziałem.

Załadowaliśmy, ile się dało, na dolną półkę noszy, a resztę upchnęliśmy niezręcznie pod pachami. Chwyciłem pilota i ruszyłem naprzód. Minęliśmy pierwszą grupę oprawców i weszliśmy do sekcji restauracyjnej.

Rozgrywał się tam identyczny spektakl, tyle że w tym wypadku większość oprawców wyglądała na pasażerów drugiej klasy. Najwyraźniej Modhri awansował ich na tę okoliczność do pierwszej.

– Czy ktoś wie, ile ten pociąg ma wagonów? – zapytałem, gdy dotarliśmy do końca i otwarliśmy drzwi.

– Do pierwszego bagażowego jedenaście – rzekł McMicking. – Trzy już za nami; zostało osiem.

Pokiwałem głową. Cała nasza czwórka stłoczyła się w przedsionku.

– Miejmy nadzieję, że Modhri nie zmieni zdania o nas. Poczekajcie tu chwilę powiedziałem, gdy McMicking zamknął za sobą drzwi wagonu restauracyjnego. – Wylejcie resztę butelek na nosze.

– Daj pan spokój – rzekł Losutu, gdy otwieraliśmy butelki z flambe i rozlewaliśmy zawartość. – Nic nam z tego nie przyjdzie. I tak będzie śmierdziec po drodze.

– Może – odparłem, pochylając się, by poluzować korki w butelkach, które umieściliśmy na dolnej

półce. Później mogło nie być na to czasu. – Ale robienie tego na oczach Modhriego byłoby jeszcze gorsze. Każda drobna przewaga nad nim jest ważna.

– Powinno wystarczyć – rzekł McMicking, opróżniając ostatnią butelkę. – Lepiej chodźmy, nim za nami zateśkni. I weź to – dodał, podając mi zapalarkę. – Ma większy zasięg niż twoja zapalniczka.

Następny był wagon bezprzedziałowy drugiej klasy. Siedziało tam kilka osób, dyszących i opatrujących ręce lub nogi, prawdopodobnie zranione przez broniące się Pajaki. Zdecydowanie jednak nie była to pełna obsada wagonu. Część brakujących pasażerów prawdopodobnie widzieliśmy w restauracji, a pozostali mogli się udać na tył.

Ujrzelśmy też rozplaszczone na siedzeniach resztki czterech kolejnych Pajaków.

Na szczęście tutejsza ekipa nie wyglądała na kogoś, kto zdoła nas powstrzymać, nawet gdyby Modhri sobie tego zażyczył. Przeszliśmy przez wagon, nie niepokojeni przez nikogo. W odróżnieniu od poprzednich wędrowców, ci jednak obserwowali nas czujnie. Trudno powiedzieć, czy Modhri doszedł już do wniosku, że stanowimy zagrożenie, ale ewidentnie zainteresował się nami. Zebrawszy się w sobie, wszedłem do kolejnego przedziałka, a potem ruszyłem dalej.

Następny wagon bardzo przypominał poprzedni. Także tu nie było nikogo oprócz rannych i zbyt zmęczonych, by walczyć. Tym razem było ich więcej, a liczba zwłok Pajaków wynosiła sześć. Zastanawiałem się, ilu ich jeszcze zostało, ale doszedłem do wniosku, że to płynna liczba. Bayta nadal od czasu do czasu dostawała drgawek, co znaczyło, że nie wszystkie zginęły.

W połowie drogi przez następny wagon w końcu opuściło nas szczęście.

Zauważyłem różnicę, gdy tylko przeszliśmy przez drzwi. Przedtem wędrowcy albo zerkali na nas pobieżnie i wracali do swoich zajęć, albo przyglądali nam się bacznie, nie wykonując jednak żadnych ruchów. Tu natomiast znaleźliśmy się w centrum uwagi, ledwie nasze wyjechały z przedziałka.

W odróżnieniu od dwóch poprzednich wagonów, ten nie był zasiedlony wyłącznie rannymi i łamagami. Większość obecnych wyglądała, jakby była już po kilku bitwach i szykowałą się do kolejnej.

Bayta też to zauważyła.

– Frank? – mruknęła nerwowo.

– Nie zatrzymuj się – odmruknąłem. – McMicking?

– Widzę – powiedział, mijając Losutu i mnie, by się lepiej przyjrzeć. – Mówiliście, że umysł zbiorowy widzi to, co widzi każdy nosiciel. Czuje też?

– Chyba tak – odparła Bayta.

– To dobrze – rzekł ponuro McMicking. – Zobaczmy, jak bardzo lubi ból. Siedzenia w drugiej klasie nie były tak ruchome jak te w pierwszej, ale można było nimi manewrować w stopniu pozwalającym wędrowcom na zrobienie sporej luki pośrodku wagonu. Podejrzywałem, że Modhri wykona ruch, gdy dotrzemy do tego miejsca, i nie pomyliłem się. Ledwie nasze minęły ostatni rząd krzeseł, grupa Juriańczyków i Haików wstała i niemal od niechcienia przemieściła się, by zablokować nam przejście. Niektórzy mieli w rękach kawałki stołów czy krzeseł z wagonu restauracyjnego, a inni błyszczące metalowe pręty, prawdopodobnie niegdyś będące fragmentami pajęczych nóg. Jeszcze inni, głównie ci więksi, zdawali się polegać wyłącznie na własnych pięściach. Zerknąłem przez ramię i ujrzałem za plecami Losutu podobną grupkę, blokującą nam drogę ucieczki.

– Nie zatrzymujcie się – rzekł McMicking, przyspieszając. Blokująca przejście grupa patrzyła, jak się zbliżamy, a na twarzach wszystkich wędrowców malowało się dziwnie podobne uczucie

oczekiwania.

Unieśli prowizoryczną broń, by zadać śmiertelny cios.

Nie zdążyli. O dwa kroki od nich McMicking wyszarpnął ukryte pod marynarką kije nunchaku i z całej siły walnął największego Halka w głowę.

Obcy zatoczył się do tyłu, a przez całą grupę przetoczyła się fala wstrząsu, jakby niespodziewany i dojmujący ból dotknął wszystkich. McMicking nie dał Modhriemu szansy ochłonięcia. Walił kijami po głowach i ramionach, żebrach i nogach, najpierw tak, by wyeliminować z walki, a potem, by zadać jak największy ból.

Dwaj siedzący z boku Cymalczycy podnieśli się i ruszyli w moją stronę. Chwyciłem jedną z leżących na półce noszy butelek z flambe i ścisnąłem z całej siły, posyłając korek i strumień płynu wprost w ich twarze. Ryknęli infradźwiękami, które zagrzechotały mi w głowie, i cofnęli się, wpijając pazury w oczy.

– Dalej! – zawołał Losutu, popychając mnie natarczywie. Okazało się, że McMicking zdążył zrobić nam przejście. Ruszyłem truchtem, popychając przed sobą nosze. Minęliśmy wolną przestrzeń i...

– Za tobą! – krzyknął McMicking.

Obróciłem się błyskawicznie. Tylna straż przesuwała się do przodu, już bez wyczekiwania na twarzach. Chwyciłem kolejną butelkę, wylałem płyn na podłogę za nami i dotknąłem skraju zapalarką.

Bładoniebieskie płomienie strzeliły w górę, zatrzymując bojówkarzy. Wycisnąłem w ogień kolejną butelkę i poczułem żar na twarzy. Losutu schwycił mnie za ramię i popędziliśmy. Stłoczyliśmy się w przedsionku, zamykając za sobą drzwi.

– Nie na długo ich to powstrzyma – wysapał Losutu napiętym głosem. – Wystarczy, że Modhri przrzuci kilku wędrowców nad ogniem i zbuduje most.

– Może – odparłem. – Z drugiej strony on jednak odczuwa ból zadawany jego ludziom, a oparzenia nie są czymś, co można spokojnie przetrzymać. Może się zawahać przed zadaniem sobie takiego cierpienia.

– Gadamy czy idziemy? – burknął Losutu.

– Idziemy – odparłem. – Ja przodem.

Zmarszczył na moment brwi, potem skinął głową. Trzymając zapalarkę w pogotowiu, pchnąłem drzwi i znalazłem się w wagonie barowym na styku drugiej i trzeciej klasy.

Czekało tam na nas potrójne półkole wędrowców, ustawionych w sporej odległości od drzwi. Niektórzy mieli na głowach i pod oczami zawiązane pospiesznie ręczniki, mające chronić przed płynem flambe. Wszyscy trzymali jakąś broń. Za ich plecami widziałem kolejnych wędrowców, czekających na swoją kolej.

– Cholera – wycedziłem.

– A czegoś się spodziewał? – odparował McMicking. – To ostatnie naprawdę otwarte miejsce w pociągu; ostatnie, w którym mogą nas skutecznie osaczyć.

– Co robimy? – zapytał nerwowo Losutu.

Wędrowcy nadal stali bez ruchu, najwyraźniej czekając, aż my pierwsi wykonamy ruch.

– Nie ma innego wyjścia, jak tylko ich minąć – powiedziałem. – Błyskawica?

– Błyskawica – zgodził się McMicking.

Wziąłem głęboki oddech, mocno chwyciłem Baytę za ramię, po czym zapaliłem zapalarkę i dotknąłem skraju noszy. Cała góra zajęła się ogniem – z początku bładoniebieskim, potem, w miarę

jak karty, odzież i inne palne materiały zaczynały płonąć, żółtawym. Chwytając po jednej butelce flambe w każdą rękę i krzywiąc się pod wpływem bijącego w twarz gorąca, ruszyłem naprzód. Potrójne półkole ustąpiło przed płonącym wózkiem. Gdy jednak pędziłem środkiem, wędrowcy ustawili się po obu stronach, próbując nas oflankować. Wycelowałem po butelce w środek każdej flanki i nacisnąłem mocno, kierując strumień tak, by otarł się o płonące nosze. Płyn zapalił się w powietrzu i przez grupę przebiegł dreszcz, a dwóch wędrowców otoczyła jaskrawa, bladoniebieska aureola.

Ten krótkotrwały dreszcz był naszym jedynym wytchnieniem. Sekundę później grupa znów natarła. Wiedziałem, że tym razem nie da się jej powstrzymać. Za sobą słyszałem rytmiczny trzask kości, łamanych przez nunchaku McMickinga, ale wędrowców było stanowczo zbyt wielu.

Pozostawało nam tylko jedno wyjście.

– Maski! – zaordynowałem, jedną ręką sięgając po kolejną butelkę, drugą zaś chwytając maskę tlenową. Wyciskając butelkę w twarz atakującego Juriańczyka, kopnąłem go mocno w środkowy segment i naciągnąłem maskę na twarz.

– Maski? – zawołałem ponownie. Otrzymałem trzy lakoniczne potwierdzenia.

– Bayto, odpalaj! – krzyknąłem, trzymając w duchu kciuki. Wokół nas śmigały różne sztuki broni, gdy nagle z półki noszy dobiegło jakieś skwierczenie i...

Pierwszy rząd wędrowców zatrzymał się gwałtownie, oddychając ciężko i spoglądając przed siebie w oszołomieniu. Ci za ich plecami, usiłujący się przepchnąć, po chwili także zamarli. Przygotowałem nogę do kolejnego kopniaka... i wtedy, jakby odcięto im sznurki, wędrowcy jednocześnie osunęli się na podłogę.

– Jezu – dobiegł mnie stłumiony głos Losutu. – Co to...

– Saarix 5 z moich toreb – wyjaśniłem, oddychając ciężko poprzez maskę. Zimny tlen łaskotał mnie w nozdrza. Rozejrzałem się szybko po wagonie. Same trupy. – Drobnny podarunek od Pająków. – Jezu

– jęknął ponownie Losutu. – My właśnie... właśnie...

– Wolałby pan, żebyśmy to my tam leżeli? – burknął McMicking.

– Skąd! – rzekł Losutu. – Ale to...

– Oni już byli martwi – przerwałem mu, zaglądając przez znajdujące się na drugim końcu wagonu drzwi i przepychając nosze ponad ciałami dwóch Haików. Jak na razie Modhri nie wydawał się zainteresowany przysłaniem posiłków. – Nawet gdyby jakimś cudem zatrzymał pociąg, nie pozwoliłby im żyć. Zbyt wiele widzieli, nim przejął nad nimi kontrolę. Losutu westchnął pod maską.

– Pewnie tak – mruknął niechętnie, z obrzydzeniem torując sobie drogę wśród ciał.

– To tylko wielkookie potwory, pamięta pan? – rzekł McMicking. – Mamy więcej tego gazu?

– Tak – odparła Bayta, której głos, w odróżnieniu od głosu Losutu, rozbrzmiewał ponurą satysfakcją. Udało jej się zranić Modhriego, i to jak! Po tym, jak musiała patrzeć na śmierć Pająków, drobna zemsta najwyraźniej poprawiła jej samopoczucie.

– Lepiej zostawmy go na czarną godzinę – doradził McMicking. – Tu leży spory odsetek pasażerów, ale pozostało jeszcze wielu.

– I nie zdejmujcie masek, kiedy stąd wyjdziemy – dodałem, patrząc na unoszący się z noszy czarny dym i próbując je przepchnąć przez ostatnie skupisko ciał. – Ten dym z pewnością nie jest zdrowy, a saark na naszych ubraniach utleni się dopiero za kilka minut.

– Wystarczy nam tlenu, by dotrzeć do lokomotywy? – zapytał Losutu.

– Powinno – odparła Bayta.

– Może po drodze znajdziemy jakieś nadwyżki – powiedziałem, otwierając wózkami drzwi i przechodząc przez przedsionek. McMicking znów przesunął się do przodu i razem wkroczyliśmy do kolejnego wagonu.

Byliśmy już w trzeciej klasie, gdzie krzesła ustawiono w nieruchomych rzędach. Jak zauważył McMicking, uniemożliwiałoby to Modhriemu oczyszczenie sporego terenu i skoncentrowanie tam swoich sił.

No i rzeczywiście wszystko wskazywało na to, że zrezygnował. Oprócz resztek dwóch Pająków, rozsmarowanych na siedzeniach w środku wagonu, nie dostrzeżliśmy nikogo.

– Uwaga – ostrzegłem McMickinga, gdy ruszał wzdłuż przejścia. – Mogą się chować za siedzeniami.

– Mam nadzieję – mruknął żartobliwie. Nic dziwnego: biorąc pod uwagę niewielkie przestrzenie, mogło go zaatakować nie więcej niż dwóch naraz, a z taką liczbą on i jego nunchaku powinni sobie łatwo poradzić.

– Mimo to uważaj – powiedziałem, spoglądając na zestaw pierwszej pomocy zawieszony na ścianie przed ubikacjami. – Dyrektorze, niech pan wyjmie z tego zestawu butlę tlenową, OK?

– OK – odparł, podchodząc do zestawu i wyjmując butlę. Nim Losutu do nas dołączył, McMicking dotarł do końca wagonu.

– Droga wolna! – zawołał. – Cokolwiek on planuje, chce to zrobić gdzie indziej.

W następnym wagonie było to samo: pozostałości kilku Pająków i ani śladu wroga. McMicking ruszył przodem z nunchaku w rękach, a Losutu przystanął, by zabrać kolejną butlę.

Ledwie zdążył otworzyć apteczkę, drzwi ubikacji u wejścia do wagonu otworzyły się i ze środka wyskoczyło dwóch krzepkich Haików.

– Compton! – wykrztusił Losutu, usiłując biec do tyłu, uderzając nogą o siedzenie i przewracając się w przejściu. – Compton!

Przeklinając pod nosem, puściłem pilota i pobiegłem w tamtą stronę. Jednak Halkowie byli szybsi. Jeden z nich złapał Losutu za marynarkę i podniósł, obracając twarzą do mnie i ściskając ręką gardło.

– Stój albo on zginie – warknął.

Nie było czasu na zastanawianie się, o co chodzi Modhriemu. Parłem niestrudzenie naprzód, a gdy do nich dobiełem, moja ręka wystrzeliła przed siebie, złapała Losutu za skronie i trzasnęła tyłem jego głowy o twarz stojącego za nim Halka.

Ten zatoczył się, oślepiony bólem, osłabiając chwyt na gardle Losutu. Drugi Haik tymczasem zadrzał lekko – wiedziałem już, że oznacza to nagły ból w zbiorowym umyśle – a ja wykorzystalem ten moment i skoczyłem na niego, z całej siły uderzając w szyję przedramieniem i łokciem. Teraz i on się zatoczył, a ja przeniósłem uwagę na pierwszego, chwytając za tkwiącą wciąż na gardle Losutu rękę, wykręcając ją i napierając na staw w taki sposób, że Haik zwałił się na podłogę pomiędzy ubikacjami. Kolejne uderzenie w gardło drugiego Halka i mocny kopniak w środkowy segment pierwszego, gdy ten usiłował się podnieść, dokończyły dzieła.

– Nic się nie stało? – zapytałem Losutu, pomagając mu wstać. – Już w porządku – dodałem do McMickinga, który podbiegł i zatrzymał się obok mnie.

– Chyba nic – stęknął Losutu, mrużąc oczy ponad maską i pocierając tył głowy. – Nie spodziewałem się, że pan to zrobi.

– Modhri też nie – powiedziałem, prowadząc go wzdłuż przejścia do miejsca, w którym czekała Bayta i nosze. – Walka niewykwalifikowaną armią ewidentnie ma pewne wady.

– Takie jak marnowanie idealnych okazji – mruknął McMicking, wskazując drzwi po drugiej stronie

wagonu. – Powinni zaatakować, gdy byliśmy zajęci.

– Nie o to chodziło w tej akcji – odparłem ponuro. – Czyżbyś nie zauważył, że Haik bardzo uważał, by nie strzaskać maski tlenowej Losutu?

– A – zrozumiał McMicking. – Kumam. Niezłe.

– Co jest niezłe? – zapytał Losutu.

– Mieli nadzieję, że zużyjemy kolejną partię saarixsu na uwolnienie pana – powiedziałem, chwytając pilota noszy i uruchamiając je na nowo. – Zostały dwa wagony. Obstawiamy, gdzie się schowali?

– Moim zdaniem siedzą w obu – rzekł McMicking, gdy dotarliśmy do drzwi. – Pamiętaj, że nie wiesz, ile saarixsu nam zostało.

– Dobra uwaga – odparłem. – Może zdołamy to wykorzystać.

– Jak? – zapytał Losutu.

– Zobacz pan. – Po tych słowach wtoczyłem nosze do przedsionka. McMicking wysunął się przede mnie i otworzył drzwi do kolejnego wagonu. Znowu na nas czekali: milczący szereg obcych w całości wypełniał przejście, podczas gdy inni stali za siedzeniami, gotowi w każdej chwili przystąpić do walki. Czterej ustawieni z przodu Juriańczycy trzymali wielki kawał poskręcane metalu: zdeformowaną kulę i trzy posegmentowane pręty, wymierzone w nas jak włócznie. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że to resztki Pająka.

– Co teraz? – wymamrotał Losutu. W odpowiedzi wyciągnąłem rękę.

– Witaj, Modhri – zawołałem. – Zanim zrobisz coś nieprzemyślanego, musimy porozmawiać.

Przez chwilę nic się nie działo. Twarze zgromadzonych przebierały różne wyrazy, by wreszcie zastygnąć jako posępne kamienne oblicza.

– O czym mamy rozmawiać? – zapytał wreszcie pierwszy z brzegu furiańczyk.

– Chcę ci zaoferować układ – powiedziałem.

– Frank? – mruknęła niepewnie Bayta.

– Spokojnie – odmruknąłem. – Wiem, co robię. Juriańczyk zaklekotał.

– Myślisz, że masz jeszcze coś do zaoferowania?

– Jasne – odparłem. – Widzisz, mogę ci pozwolić wygrać tę rundę. Mogę też uczynić z niej całkowitą stratę twojego czasu i energii.

Juriańczyk przekrzywił dziób.

– Wyjaśnij.

Wskazałem tłące się wciąż nosze.

– Mam dość saarixsu 5, by zniszczyć wszystkich wędrowców, których rozstawiłeś pomiędzy tym miejscem a końcem pociągu – rzekłem. – Widziałeś, jak to działa. Wiesz, co może zrobić.

– Nawet jeśli ich wszystkich zabijesz, sam i tak umrzesz – zauważył.

– Wiem – odparłem. – Rzecz w tym, że ty również. Zgromadzeni drgnęli.

– Rozumiesz więc problem – kontynuowałem. – Jeśli ten segment umysłu zginie, nie przekazując informacji o tym, że chipy z danymi są w naszych rękach, nigdy nie zaznasz spokoju. – Wskazałem tłum.

– Szczerze mówiąc, podejrzewam, że właśnie dlatego zacząłeś nas tak agresywnie atakować. Nagle dotarło do ciebie, że zmierzamy prosto do wagonu deluxe, po prywatny przyczółek koralowy JhanKla. Jeśli zniszczymy wszystkich wędrowców i koral, cały segment przejdzie do historii.

– Dobrze – rzekł Juriańczyk. – Zgadzam się. Możecie wrócić do swoich przedziałów i w spokoju oczekiwać śmierci.

– Cóż za wspaniałomyślność – odparłem z przekąsem. – Dobrze, ale najpierw musimy coś wydostać

z wagonu bagażowego.

Przez tłum przebiegł kolejny dreszcz.. – Nie – odparł krótko Juriańczyk. Wzruszyłem ramionami.

– Nie ma sprawy. – Sięgnąłem na dolną półkę, znalazłem torbę z ładunkiem, który Bayta już odpaliła, i wyjąłem. – Proszę

– powiedziałem, zasłaniając dłonią zniszczoną rączkę i pokazując torbę Modhriemu. Chcesz to przenieść na środek pomieszczenia, gdzie będzie działać najszybciej? Czy po prostu mam to rzucić?

– Czekaj – warknął Juriańczyk. – Co chcesz zabrać z bagażowego?

– Talię kart do bezika – odparłem z przesadną cierpliwością.

– A w ogóle co cię to obchodzi? Przecież i tak mamy zginąć!

Zamilkł... a ja nagle poczułem na ramieniu uścisk dłoni Bayty.

– Frank – wyszeptwała natarczywie. – Ten Pająk... on jeszcze żyje!

Skupiłem wzrok na splątanym metalu w rękach Juriańczyków.

– Chyba żartujesz.;

– Nie – upierała się. – Jest w agonii, ale żyje.

Biorąc pod uwagę fakt, że Pajaki potrafiły sterować pociągiem, być może, gdyby udało nam się przenieść tego osobnika do wagonu pierwszej klasy, nie musielibyśmy łązić po dachu pociągu jak bohaterowie z Dzikiego Zachodu.

– Dobrze – rzekł Juriańczyk. – Możesz przejść. Tłum zaczął się wycofywać między siedzenia.

– Chwila – powiedziałem. – Jeśli sądzisz, że po prostu damy się pobić twoim ludziom, to się mylisz.

Wszyscy muszą się cofnąć do drugiego bagażowego i zostać tam. Wszyscy.

– Dałem słowo – zaprotestował Juriańczyk.

– Już ci wierzę – odparłem z ironią. – Zabieraj ich, i to już. A to – wskazałem wymiętoszonego Pajaka – zostaw. Jak na mój gust za bardzo przypomina broń.

Juriańczycy w milczeniu złożyli Pajaka na znajdujących się obok nich siedzeniach, po czym podążyli za resztą wędrowców ku tylnym drzwiom. Patrzyłem, jak wychodzą, obawiając się jakiejś sztuczki.

Gdy za rzecznikiem Modhriego zamknęły się drzwi, usłyszałem, jak Losutu mruczy coś pod nosem.

– Nie podoba mi się to – powiedział. – Zbyt łatwo ustąpił.

– Zgoda – powiedziałem, wkładając torbę na półkę. – McMicking?

– Sprawdzę. – Trzymając nunchaku w pogotowiu, ruszył wzdłuż przejścia, szukając ukrytych za krzesłami niespodzianek. – Czysto! – zawołał, gdy dotarł do końca. – Chodźmy, nim zmieni zdanie.

Skinąłem głową i popchnąłem nosze do przodu, by zatrzymać się przy konającym Pajaku.

– Pomóc panu przy tym, dyrektorze? – zapytałem, chwytając zdeformowaną kulę.

– Co z nim robimy? – zapytał Losutu, zbierając nogi Pajaka i trzymając w rękach jak wiązkę drewna.

– Zabieramy ze sobą – powiedziałem, znów ruszając naprzód. – Bayta mówi, że jest jeszcze żywy.

– Może zatrzymać pociąg?

– Nie stąd – odparła dziewczyna. – Ale jeśli uda nam się go przetransportować do lokomotywy, albo on, albo ja zdołamy to zrobić.

– Dalej, chodźcie! – pogonił nas zniecierpliwiony McMicking, przyglądając się Pajakowi.

– Naprawdę chcecie go targać?

– Może się przydać – powiedziałem. – Odwróćmy go. Minutę później Pająk leżał na noszach z nogami skierowanymi do przodu.

– W porządku – rzekłem do McMickinga. – Otwieraj. Zobaczmy, co tam mamy.

Byłem w pełni przygotowany na widok czyhającej w ostatnim wagonie pasażerskim armii

wędrowców, gotowej rzucić się na nas, ledwie przekroczyliśmy próg. Gdy drzwi się otworzyły, ukazując rzędy pustych siedzeń, przeżyłem prawdziwy zawód.

– Zbyt łatwo idzie – mruknął McMicking, lustrując pozornie pusty wagon. – On coś kombinuje.

– Wiem – powiedziałem. – Sprawdź łazienki.

Podszedł do jednych drzwi i otworzył je gwałtownie. Rozejrzał się, zamknął drzwi i otworzył drugie.

– Puste.

– Nie ma rady, musimy spróbować – powiedziałem. – Ty pierwszy. Ostrożnie. Bayto, trzymaj saarix w pogotowiu.

McMicking ruszył wzdłuż przejścia, ponownie sprawdzając po drodze wszystkie rzędy. Szedłem o kilka kroków za nim, nie chcąc, by nasza grupa za bardzo się rozproszyła.

Byliśmy w połowie wagonu, gdy z rzędu, do którego właśnie zbliżał się McMicking, wyskoczyło dwóch Haików i rzuciło się na niego. McMicking uderzył jednego nunchaku w czubek głowy, po czym cofnął się o krok i ruszył na drugiego.

W tym momencie cały tył wagonu jakby eksplodował. Zewsząd wyskakiwali wędrowcy, poupychani po trzech z każdej strony każdego rzędu. Wszyscy trzymali fragmenty pajęczych ciał, którymi cisnęli w nas jak na komendę.

Główny cel, McMicking, natychmiast został zagrzebany pod stertą odłamków. Odruchowo schwyciłem Baytę za ramię i ściągnąłem w dół, za prowizoryczną barykadę z noszy. Stłumiłem jęk, gdy fragment nogi Pajaka uderzył mnie w sam środek pleców.

– Odpalaj! – zakomenderowałem.

Nie musiałem powtarzać. Jeszcze nie umilkły trzaski kolejnej partii rozbijających się o krzesła przedmiotów, usłyszałem znajome skwierczenie. Bayta uaktywniła gaz z drugiego uchwytu torby. Przycisnąłem ją mocno do siebie, mając nadzieję, że McMicking zdołał utrzymać maskę na twarzy. Pociski przestały latać i zaległa cisza. Podniosłem ostrożnie głowę.

Saarix znów zrobił swoje. Wędrowcy padli trupem.

A my straciliśmy ostatnią kartę atutową.

– Nie stójcie tak! – dobiegł spod stosu poskręcane go metalu zduszony głos McMickinga. Wyciągnijcie mnie stąd!

Oboje z Baytą przepchnęliśmy się obok noszy i zabraliśmy do roboty. Po minucie McMicking był wolny.

– Nic ci nie jest? – zapytałem, pomagając mu wstać.

– Wszystko w porządku – stęknął, eksperymentalnie potrząsając rękoma, po czym schylił się po nunchaku. – Drugi Haik był dość uprzejmy, by wziąć na siebie część uderzeń.

– To miło z jego strony – powiedziałem, oglądając się za siebie. Losutu zbliżał się do nas, marszcząc brwi nad maską. – Szybciej, Losutu, szybciej.

– Sprawdzam apteczkę – powiedział zdenerwowanym głosem. – Ktoś zabrał zbiornik z tlenem i maskę.

– Super – powiedziałem, czując ucisk w żołądku i szybkim spojrzeniem lustrując leżące na siedzeniach i podłodze ciała. Poza naszymi nie zauważyłem żadnych masek.

– W poprzednim wagonie też nie sprawdziliśmy – przypomniał sobie McMicking. – Co oznacza, że mogą mieć dwie.

– Trzy, jeśli liczyć wagon deluxe – powiedziałem. – Ciekawe, co z nimi zrobił.

– Nic dobrego – mruknął ponuro McMicking. – Im szybciej się stąd wyniesiemy, tym lepiej.

– Zgadzam się w zupełności – odparłem. – Może tym razem ja pójdę przodem?

– Nie, dam sobie radę – rzekł, ustawiając nunchaku w pozycji bojowej i ruszając. – Zdaje mi się jednak, że będziesz musiał porzucić nosze.

Przyjrzałem się wąskiemu przejściu i zagradzającemu nam drogę kłębowisku ciał. Chyba miał rację.

– Bayto, czy nasz Pająk nadal żyje?

– Tak – odparła – ale kiepsko z nim.

– Poniesiesz go razem z dyrektorem – poleciłem, ściągając z półki dużą butlę tlenową i kładąc na siedzeniu obok, by przypiąć uprząż. – McMicking?

– Nikogo nie widać – odkrzyknął od strony drzwi wyjściowych.

– Dobra. – Włożyłem ręce w uchwyty i zarzuciłem butlę na plecy. – Chodźmy.

W wagonie bagażowym nikt na nas nie czekał. W każdym razie nikt widoczny.

– Zostańcie tu – ostrzegłem pozostałych, rozglądając się wokół.

– Ja się tym zajmę – rzekł McMicking, ruszając naprzód i zaglądając między stosy owiniętych siatką ochronną skrzyń. – Gdzie dokładnie są te włazy?

– Tam. – Bayta zrobiła ruch głową ku górze, po czym wraz z Losutu położyła Pajaka na podłodze. – Może będziemy musieli przesunąć kilka skrzyń.

– Albo wspiąć się po siatce – zaproponowałem, wyciągając szyję, by popatrzeć na właz. Był dość spory, a Bayta już wcześniej ostrzegła, że kłapa jest ciężka. – Macie pomysł, jak go otworzyć?

– Może to się przyda – zasugerował Losutu, unosząc szpiczastą końcówkę pajęczej nogi.

– Może – przyznałem. – Jeśli ją tu wciągniemy...

– Compton? – zawołał ktoś z drugiego końca wagonu. – Frank Compton?

Odwróciłem się gwałtownie. Ten głos...

– Fale Rastra?

– Tak – odkrzyknął Rastra. – Proszę... Nie jestem uzbrojony. Chcę tylko porozmawiać.

– Nie – rzekł McMicking, nim zdążyłem odpowiedzieć.

– Jasne, że nie – zawtórował mu Losutu. – To pułapka. Byłem prawie pewien, że mają rację. A jednak...

– Wyjdź, żebym mógł ci się przyjrzeć – zawołałem. Nastąpiła chwilowa pauza, po czym Rastra wyszedł pomiędzy dwóch stosów skrzyń na końcu wagonu.

– Nie jestem uzbrojony – powtórzył, rozkładając ręce i robiąc krok ku nam. – Popelnia pan wielki błąd.

– Jak zawsze – powiedziałem. – Już się przyzwyczailem.

– Naprawdę – upierał się, robiąc kolejny krok do przodu. – Modhri wcale nie jest takim złym, podłym stworzeniem, za jakie zdaje się pan go mieć.

– Mówi pan to z doświadczenia? – zapytałem, zsuwając z pleców butlę tlenową i stawiając na podłodze.

– Szczerze mówiąc, tak – rzekł, robiąc jeszcze jeden krok. – Noszę w sobie jego fragment, odkąd awansowano mnie na Falca.

– Cóż za zbieg okoliczności – zakpiłem, podchodząc do McMickinga. – Ja zaś od godziny mam bliską styczność z wielkim jego kawałem i nie mogę powiedzieć, żebym to komuś polecał.

– A czego się pan spodziewał? – odparował Rastra. – Związał się pan z ludźmi, którzy próbują go zniszczyć.

Stałem obok McMickinga.

– Wracaj do pozostałych – poleciłem mu cicho. Za jego plecami, tak, by Rastra nie widział, wyjąłem z kieszeni zestaw wielonarzędziowy i pstryknąłem, by otworzyć nóż. – Jeśli to jest próba odwrócenia uwagi, główny atak przyjdzie stamtąd.

– Mam go załatwić? – zapytał.

– Nie – odparłem, przerzucając scyzoryk do prawej ręki i zakrywając ostrze palcami. – Nie chcę, żebyś się oddalał. W razie kłopotów sam sobie z nim poradzę.

Skinął głową i wycofał się.

– Chcą go zniszczyć, bo on próbuje zawładnąć galaktyką – zawołałem do Rastry, unosząc prawą dłoń i kładąc ją od niechcienia na najbliższym stosie skrzyń. Za załomem, w niewidzialnym dla Rastry miejscu, wsunąłem ostrze pod siatkę ochronną i zacząłem ciąć. – A na bardziej osobistej płaszczyźnie, próbował zawładnąć mną.

Rastra zaklekotał z wyrzutem.

– Próbował panu pomóc wejść do społeczności – poprawił mnie. – Proszę uczciwie powiedzieć: kiedy ostatnio naprawdę czuł się pan częścią czegoś ważnego?

– To nie ma nic do rzeczy – odparłem, leniwie przesuwając rękę wzdłuż skraju skrzyń i tnąc sznurki. Gdy dotarłem tak wysoko, jak tylko się dało bez wysiłku, obróciłem nóż i zacząłem pracować nad dolnymi skrzyniami. – Poza tym nigdy nie utożsamiałem niewolnictwa z kółkiem zainteresowań.

– To nie niewolnictwo – przekonywał mnie spokojnie. – Jestem pewien, że Pajaki i Bellidowie powiedzieli panu co innego, ale nie mieli racji. Modhri nie narzuca swojej woli, jeśli nie jest to absolutnie konieczne. Pamięta pan zdarzenie na stacji Kerfsis. To on, reagując szybciej niż mógłbym ja, zawołał do żołnierzy, by pana nie zabijali.

– Pamiętam – odparłem. – Zdaje się, że zawołał: „Zostawcie to”. Od razu widać, jak wysoko nas ceni.

– Był wstrząśnięty – powiedział Rastra z odrobiną frustracji w głosie. – Chce pan opierać swój sąd na jednym nieprzemyślanym słowie?

– A niby na czym miałbym go opierać? – rzuciłem gniewnie, czując gromadzące się pod kołnierzem krople potu. Powinniśmy iść dalej, ale nie mogliśmy zacząć się wspinać pod sufit, dopóki Rastra stał tu i patrzył. Gdyby Modhri zrozumiał, co robimy, natychmiast rzuciłby przeciwko nam wszystkie siły, jakie mu pozostały.

– Na tym, co on może panu dać – rzekł Rastra. – Na wiedzy, której nie zdobyłby pan nigdzie indziej. Na informacjach, których pańscy krajanie nie posiadają, otrzymanych dzięki uprzejmości umysłu, który jest wszędzie i widzi wszystko. A przede wszystkim na obietnicy wiecznego pokoju.

Zmarszczyłem brwi.

– Pokoju?

– Po co wszczynać konflikty, jeśli przyjaciele Modhriego zasiadają w każdej sali posiedzeń i na każdym dyplomatycznym tronie galaktyki? – zapytał. – Wreszcie po wsze czasy wszyscy będziemy żyć w prawdziwej harmonii.

– Brzmi to jak niebo na ziemi – przyznałem. – I wszystko dzięki uniwersalnej współpracy z Modhrim?

Znów zaklekotał.

– Nie inaczej.

Pokręciłem głową z udawanym zdumieniem.

– Niezły jesteś – powiedziałem. – Nawet świetny. Kiedykolwiek cię słuchałem, brzmiałeś jak

przechwalający się zdobywca in spe z jakiegoś ditrekowego dramatu. Teraz widzę, że potrafisz też odegrać rolę Prawdziwego Przyjaciela Ludzkości.

– O czym pan mówi? – zapytał Rastra, marszcząc łuski wokół dzioba. – To ja, pański stary przyjaciel, Fale Rastra.

– Przyjaźniłem się z Tasem Rastra, Modhri – poprawiłem go. – A z tego, co widzę, po tamtym pozostało już tylko ciało.

Przez twarz Rastry przemknął wyraz konsternacji.

– Compton... Frank... Posłuchaj mnie.

W tym momencie Modhri uruchomił pułapkę. Usłyszałem za plecami nagły szelest tkaniny o plastik i obróciłem się gwałtownie, by ujrzeć ochroniarza-asystenta JhanKla,

YirTukOo, który stoczył się ze szczytu jednego ze stosów i wylądował na podłodze pomiędzy Losutu i Baytą. Połowę jego twarzy skrywała jedna z brakujących masek tlenowych. Lewą ręką uderzył Losutu w bok głowy, powalając na ziemię, a prawą posłał w przeciwnym kierunku, uderzając Baytę tyłem dłoni w twarz, aż się zatoczyła. Potem nadepnął na skulonego Losutu. McMicking skoczył na pomoc i...

Znów usłyszałem ruch za plecami. Obróciwszy się, ujrzałem Rastrę, który szarżował na mnie, w biegu nakładając na dziób maskę. Zakląłem pod nosem i przeciągnąłem ostrze noża przez resztę sznurków siatki, a potem z całej siły wbiłem je w bok jednej z krat.

Gdy Rastra skończył uszczelniać maskę i rozłożył ręce, mocno zacisnąłem palce na trzonku scyzoryka, cały ciężar ciała przenosząc na lewą stronę.

Ciągnięta skrzynia zmieniła położenie, częściowo wysuwając się przez wyciętą w siatce dziurę, co spowodowało zachwianie równowagi pozostałych. Cały stos runął i rozsypał się w przejściu.

Dostrzegłem przerażenie w oczach zagrzebanego pod lawiną Rastry, po czym oswobodziłem nóż i ruszyłem na odsiecz towarzyszom.

Do tej pory McMicking świetnie sobie radził z Modhrim. Ale albo był już zmęczony, albo grad metalu w poprzednim wagonie wstrząsnął nim bardziej, niż nam się zdawało, bo YirTukOo zdołał uchylić się przed rozkołysanym nunchaku i prawą pięścią wyrznąć go w twarz. McMicking zatoczył się o dwa kroki do tyłu i potknął o leżącego Pajaka, a nunchaku wyleciało mu z ręki i z trzaskiem uderzyło o najbliższy stos skrzyń. Zacisnąłem zęby, ustawiłem nóż prostopadłe i nabrałem szybkości. YirTukOo zauważył, że się zbliżam, i uniósł pięści do obrony, a ja wyobraziłem sobie uśmiezek samozadowolenia, jaki zapewne malował się pod jego maską.

Tyle że w tym ułamku sekundy ja dostrzegłem coś, co on przeoczył. Wciągnąłem powietrze w płuca i wydałem przez maskę bitewny wrzask, który odbił się echem od sufitu.

Krzyk, który zagłuszył wszelkie odgłosy, jakie mogła wydać Bayta, podkradając się do Halka zza pleców i rzucając się na niego z góry. Rękoma z całej siły złapała go za szyję, a oba kolana wbiła w plecy i pociągnęła.

YirTukOo prawdopodobnie kompletnie się nie spodziewał, że ktoś, kogo tak mocno uderzył, zdąży tak szybko wstać. Nim się otrząsnął z szoku, minęło o pół sekundy za dużo. YirTukOo sięgnął do rąk dziewczyny, po czym uświadomił sobie, że jestem zbyt blisko, i znów usiłował przygotować pięści do obrony.

Nim zdążył, zaatakowałem.

Fizjologia Haików miała niewiele słabych punktów, a jeszcze mniej takich, których mógł dosięgnąć mój krótki nóż. Na nieszczęście dla przeciwnika znałem je wszystkie. Wystarczyły dwa precyzyjne

dźgnięcia i było po wszystkim.

– Nic ci nie jest? – zapytał Baytę, spychając z niej ciało Halka i pomagając wstać. Cała prawa połowa jej twarzy ponad maską, w miejscu, w które uderzył tył dłoni napastnika, była czerwoną plamą.

– Chyba nic – odparła drżącym głosem. – Co z innymi?

– U mnie w porządku – stęknął Losutu, leżący na podłodze za jej plecami. Zaczął się gramolić na nogi, po czym nagle znieruchmiał. – O nie! – wyszeptał. – Spójrzcie...

Podążyłem wzrokiem we wskazanym przez niego kierunku. W prawej dłoni martwego YirTukOo, uwięziony między zgiętymi palcami, tkwił niewielki fragment koralu.

Ze ściśniętym sercem odtwarzałem w głowie przebieg walki. Haik uderzył Losutu lewą ręką – a więc niegroźnie. Prawą uderzył Baytę, ale zrobił to tyłem dłoni, więc i tu niebezpieczeństwo było znikome.

Potem jednak uderzył McMickinga.

Usłyszałem za plecami stłumione stęknięcie i obróciłem się. McMicking podnosił się z podłogi.

– Prymitywna sztuczka – wymamrotał, pocierając tył głowy i podnosząc nunchaku. Prymitywna, cwana sztuczka. Co się stało?

– Bayta i ja załatwiliśmy go – odparłem, przyglądając się jego twarzy. Ponad skrajem maski widniała czerwona plamka, a pod nią długie, ciągnące się wzdłuż maski zadrapanie.

– Trafił chyba głównie w maskę – mruknęła z nadzieją Bayta. – Tak – odparłem ponuro ale nie tylko.

– O czym wy gadacie? – zdenerwował się McMicking, unosząc rękę i dotykając policzka. Gdy ją cofnął, ujrzał na placu kropelkę krwi i zmartwiał. – Cholera – rzekł bardzo cicho. – Czy to jest to, co myślę?

– Nie wiem – powiedziałem. – Może trafił cię tylko ręką.

– Wątpię – odparł z westchnieniem McMicking. – No to koniec. Lepiej już idźcie. Mam wam pomóc w otwarciu włazu?

– Nie zostawimy pana – rzekł stanowczo Losutu. – Nie pozwolę na to.

– Nie ma pan wyjścia – odparł równie stanowczo McMicking. – Jestem teraz jednym z nich. Albo wkrótce będę.

– Ale nie przez najbliższe dni ani tygodnie – rzekł Losutu. – Zgadza się, Compton? Mamy czas na zabranie go do szpitala.

– Szpital mu nie pomoże – rzekła Bayta z odrobiną smutku w głosie. – Lekarze nie będą nawet wiedzieli, czego szukać.

– A twoi przyjaciele, Pajaki? – zapytałem, zastanawiając się, czy w ogóle mnie to obchodzi. McMicking nie był przecież dla mnie nikim więcej niż pracownikiem człowieka, dla którego ja także chwilowo pracowałem. – Czy oni potrafiliby mu pomóc?

Zawahała się. Na ułamek sekundy, ale to wystarczyło.

– Nie – powiedziała. – Przykro mi.

– Zostały mu jednak dni, może tygodnie, prawda? – upierałem się. – Nawet jeśli nie zdołamy mu pomóc, możemy go ze sobą zabrać.

– A potem? – chciał wiedzieć McMicking. – I tak będziecie musieli mnie w końcu zabić.

– Pomyślałem, że autentyczny okaz mógłby pomóc uwiarygodnić naszą historię stwierdziłem.

Losutu zerknął na mnie znad maski niedowierzającym wzrokiem.

– Compton, ty gruboskórny, bezduszny...

– Daj pan spokój – uciał McMicking. – Ma rację. Dobrze, pójdę. Możemy teraz otworzyć właz?

– Możemy spróbować – powiedziałem. – Bayto, czy... Przerwał mi dobiegający z góry klekot, po którym powietrze wokół mnie nagle zawirowało. Uniosłem głowę i zobaczyłem, że fragment dachu ześlizguje się w dół jak zwijany blat.

– Bayto? – zawołałem, przekrzykując huragan.

– To Pająk – odkrzyknęła, ledwie słyszalni wśród huku uciekającego z przedzału powietrza. Po jednym bolesnym trzasku w uszach mój stan jakby się unormował. Najwyraźniej siedem wieków wycieku powietrza z dziesięciu tysięcy stacji czteroszynówki wytworzyło w Tubie dość ciśnienia, by uratować nasze bębny uszne przed pęknięciem.

– Wezmę zbiornik – zawołałem do pozostałych, wracając do miejsca, w którym go zostawiłem. – McMicking, Losutu – weźcie Pajaka.

Potrzeba było całej naszej czwórki, by wciągnąć Pajaka na sterty skrzyń i przeciągnąć przez właz. Losutu i McMicking wypętlili w ślad za nim, a ja pomogłem Baycie się wspiąć.

Potem sam wszedłem na górę i położyłem rękę na włazie, gdy coś mnie tknęło.

Spojrzałem w dół. Ciało Rastry nadal leżało, przygwożdżone przez kraty, które na niego zważyłem. Jednak jego twarz była widoczna, a oczy wpatrywały się we mnie, płonąć bezradną furją. Widziałem poruszający się pod maską dziób, ale powietrze w przedziale było zdecydowanie zbyt rzadkie, żebym mógł z tej odległości usłyszeć słowa.

– Przepraszam – powiedziałem, wiedząc, że i on nie zdoła mnie usłyszeć; wiedząc też, że te spoglądające nienawistnie oczy nie są oczami Tasa Rastry, którego niegdyś znałem, lubiłem i szanowałem. Świadomość, że to, co zrobiłem, było konieczne, nie umniejszała jednak tłące się we mnie bólu i poczucia winy.

Mimo tych uczuć uświadomiłem sobie nagle, że Modhri zmarnował okazję. Powinien był uwolnić Rastrę i pozwolić mu, szczerze skonsternowanemu, porozmawiać ze mną i błagać o pomoc.

Być może nawet kusiłoby mnie, by to zrobić.

Miałem jednak na głowie bardziej naglące sprawy niż rozpaczanie po starym znajomym. Odwróciłem się plecami do konającego i wygramoliłem na dach.

Nie było tam nawet w połowie tak źle, jak się spodziewałem. Dachy wagonów były w miarę płaskie i choć nie miały żadnych występów ani szyn ochronnych na skrajach, posiadały wiele wbudowanych haków i punktów zaczepienia dla Pajaków i żurawi naprawczych. Niskie ciśnienie atmosferyczne oznaczało, że nasze twarze będzie owiewać tylko lekka bryza, a Kręgosłup, w odróżnieniu od oszalamiającej gry świateł, którą demonstrował zwykle na stacjach, tu emitował jedynie falujący poblask, dobiegający zza luźnej drucianej siatki i łagodny niczym letni księżyc w pełni.

– Pójdę przodem – powiedziałem. – Za mną Bayta, dalej McMicking i Losutu. Bayta może w ostateczności poprowadzić pociąg, więc jeśli nie będziecie mogli przenieść Pajaka, nie ryzykując upadku, zostawcie go. – Po tych słowach Bayta poruszyła się nerwowo, lecz milczała. Gotowi? To do roboty.

Ruszyłem wzdłuż dachu wagonu bagażowego, przemieszczając się na kolanach i łokciach jak komandos, tak szybko, jak tylko miałem odwagę. Bayta twierdziła, że nie można otworzyć drzwi poza stacją, ale obawiałem się, iż Modhri zdoła znaleźć na to sposób. Dotarłszy do końca wagonu, opuściłem się na nieco niższy i bardziej elastyczny dach przedsiionka, po czym przeczołgałem się na drugą stronę. Zerknąłem przez ramię, by sprawdzić, czy pozostali idą za mną, i szedłem dalej.

Minąłem drugi wagon i właśnie miałem się wspiąć na kolejny, gdy zbyt mocno przechyliłem się na

bok i zbiornik na moich plecach zaczął się zsuwać.

Natychmiast się zatrzymałem, rozpościerając ręce i nogi na boki. Zbiornik ważył ponad połowę tego co ja, więc niewiele było trzeba, by mnie obrócił, a może nawet ściągnął w dół. Trwałem w tej pozycji, czując pod sobą rytmiczne wibracje pociągu, dopóki się nie upewniłem, że zbiornik znieruchomiał. Potem ostrożnie popchnąłem go biodrem i ramieniem, próbując wcisnąć z powrotem na miejsce. Przesunął się trochę, ale nim dotarł do właściwej pozycji, znów znieruchomiał, prawdopodobnie zaplątany w któryś ze swoich pasów.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie poczekać na Baytę, by mi go poprawiła. Nie chciałem jednak tracić czasu ze względu na Modhriego. Poza tym były inne sposoby. Uniosłem się i gwałtownie pochyliłem do przodu, sprawiając, że butla wyleciała w górę i uwolniła się. Szarpnięcie było tak silne, że poczułem, jak unoszę się o centymetr ponad dach.

I nagle zacząłem się bezradnie zsuwać.

Znów rozpostarłem kończyny, na próżno usiłując złapać któryś z uchwytów lub przynajmniej zwolnić, a jednocześnie zastanawiając się, co się, u diabła, stało. Moją pierwszą, przerażającą myślą była ta, że Modhri zdołał jakoś przejąć kontrolę nad lokomotywą i zahamować. Drugą, jeszcze bardziej przerażającą – że uderzyliśmy w coś. Tak czy owak wiedziałem, że jeśli nie zdołam się zatrzymać, będę się zsuwał do końca wagonu, po czym spadnę na tory.

Dach gwałtownie usunął się spode mnie. Przygotowałem się na najgorsze, i ledwie zdążyłem sobie uświadomić, że wylądowałem na kolejnym przedsionku, wyrznięłem głową w następny wagon.

Zobaczyłem chyba wszystkie gwiazdy galaktyki. Leżałem tak przez kilka minut, zastanawiając się, czy skręciłem kark, rozplatałem sobie czaszkę, czy jedno i drugie. Na szczęście nie stała się żadna z tych rzeczy. Kiedy ból nieco zelżał, znów zacząłem się zastanawiać, co się w ogóle stało. Nie słyszałem żadnego pisku ani dudnienia hamulców, nie było też eksplozji ani odgłosu uderzenia. Co więcej, wyglądało na to, że pociąg nadal radośnie sunie naprzód.

Po jakiejś minucie doszedłem do wniosku, że jeśli będę tak leżał, niczego się nie dowiem. Wędrowcy nadal siedzieli mi na ogonie. Pokręciłem eksperymentalnie szyją, po czym wspiałem się na następny wagon.

I przeżyłem szok swego życia. Przede mną, w odległości jednego wagonu od tego, na którym się znajdowałem, widniała lokomotywa.

Gapilem się na nią, zachodząc w głowę, czy to blask Kręgosłupa płata mi figle, ale to naprawdę była ona: jasna, lśniąca lokomotywa, ciągnąca nas przez Tubę ze stałą prędkością jednego roku świetlnego na minutę.

Tyle że to nie było możliwe. Przed chwilą znajdowałem się o dwa wagony od bagażowego i o dziewięć od tego, na którym byłem teraz. Czyżbym doznał chwilowego zaćmienia i przebył te wszystkie wagony nieświadomie?

A może ktoś mi pomógł?

Poczułem nagle suchość w ustach. Zaćmienie, próba przebiegnięcia wagonów zamiast przeczołgania się po nich – to wszystko świetnie pasowało do modhrańskiej kolonii odprawiającej w moim ciele swoje czary.

Ale jeśli tak było, to dlaczego w ogóle jeszcze żyłem? Niemożliwe, żeby Modhri próbował mnie zrzucić z pociągu, a potem zmienił zdanie. Gapilem się na terkoczącą w przodzie lokomotywę i...

I nagle ni stąd, ni zowąd pojąłem. To wcale nie był Modhri.

To było coś znacznie gorszego.

Nie wiem, jak długo tam leżałem. Wystarczyło jednak, żebym znów zaczął myśleć i przypomniał sobie o priorytetach. Pocierając kark, wspiąłem się na wagon i przeczołgałem do przodu. Lokomotywa nie miała wygodnego przedsionka, ale miała szeroki łącznik z wieloma uchwytami dla rąk i nóg. Ostrożnie spelzłem w dół, stanąłem na łączniku i przeszedłem na tył lokomotywy. Drzwi kabiny na szczęście mieściły się z tej właśnie strony. Pchnąłem je. Okazało się, że nie są zablokowane. Wszedłem do środka.

Przygotowałem zbiornik tlenowy do postawienia w jednym z przednich kątów i czekałem. Po chwili pojawiła się Bayta.

– Uff! – powiedziała, gramoląc się do kabiny i padając na podłogę koło zbiornika. Pierwszy raz byłam na dachu pociągu. Myślałam, że będzie znacznie gorzej. Nie otwieraj jeszcze zbiornika. To pomieszczenie nie ma śluzy powietrznej.

– Wiem – odparłem. – Nic ci nie jest?

– Wszystko w porządku – zapewniła mnie. – A co?

– Jakoś nerwowo brzmisz – powiedziałem. – Gadasz jak najęta. Normalnie ci się to nie zdarza.

– Po prostu jestem zmęczona – odparła szybko. Zbyt szybko. – Zbyt wiele emocji w ciągu jednej godziny.

– Mhm – mruknąłem. – Skoro mamy tę chwilę tylko dla siebie, pozwól, że cię o coś spytam. W wagonie bagażowym, gdy McMicking został uderzony koralem, powiedziałaś, że nie możesz nic dla niego zrobić.,

Odwróciła wzrok.

– Przykro mi.

– Dopiero może ci być przykro – ostrzegłem. – Konkretnie rzecz biorąc, powiedziałaś wtedy, że Pająki nie mogą nic dla niego zrobić. Nie było mowy o tym, czy ty możesz coś zrobić.

– Nie wiem, co masz na myśli – powiedziała ostrożnie.

– Ależ wiesz – odparłem. – Podniosłaś się po ataku YirTu-kOo znacznie szybciej, niż ktokolwiek z nas się spodziewał.

Jej oczy znieruchomiały.

– Nie jestem modhrańskim wędrowcem, Frank – powiedziała spokojnie.

– Zgadza się – przyznałem. – Należysz do tych, którzy zwalczają Modhriego, a kontrolują Pająki, kolej i większość galaktyki.

– Uniosłem brwi. – Podejrzewam też, że wy i Modhri macie podobne korzenie. Mylę się?

Przez długą chwilę Bayta gapiła się na mnie w milczeniu. Przez chwilę żałowałem, że nie poczekałem, aż pomieszczenie wypełni się powietrzem, żebym mógł lepiej zobaczyć jej twarz i mieć jakiś wgląd w to, co myśli. Jednak w tak małej kabinie nie było mowy o żadnej prywatności, gdy dołączą McMicking i Losutu, a ja zdecydowanie nie chciałem prowadzić tej rozmowy przy nich.

– Czego chcesz? – zapytała w końcu.

– Chcę, żeby twoi ludzie usunęli polipy z ciała McMickinga – powiedziałem. – I żądam rozmowy z którymś z waszych przywódców, żeby się dowiedzieć, co dokładnie się tu dzieje.

Pokręciła głową.

– Nie mogę tego zrobić.

– Musisz – odparłem twardo. – Bo znam twój sekret, Bayto. Wiem, co robisz. I chyba wiem dlaczego, ale chcę to usłyszeć od kogoś, kto tym zarządza.

Skóra wokół jej oczu zmarszczyła się, sugerując, że pod masą wykwitł blady uśmiech.

– Prosisz o bardzo wiele, Franku Comptonie.

– To dlatego, że mam wiele do zaoferowania – powiedziałem.

– Ponieważ ja także znam sekret, dla ochrony którego Modhri zabił właśnie wszystkich pasażerów. Wyprostowała się.

– Wiesz, gdzie się znajduje jego nowa siedziba?

– Wiem, gdzie się znajduje, jak się tam dostać i może nawet, jak ją zniszczyć. Pochyliłem się, by zerknąć we wzniernik umieszczony w drzwiach kabiny. – A ty musisz podjąć decyzję, nim przyjdą pozostali – dodałem. – Tak czy nie?

Teraz i ona spojrziała we wzniernik.

– W porządku – rzekła w końcu. – Ale nie możemy tam zabrać całego pociągu.

– Więc uwolnij go – powiedziałem. – Wszyscy, którzy pozostali w środku, i tak już nie żyją. Dla Pająków będzie nawet lepiej, jeśli cały skład po prostu zniknie. Nikt nie będzie zadawał niewygodnych pytań w rodzaju tego, skąd się wzięły te wszystkie trupy.

Obrzuciła mnie gwałtownym spojrzeniem. Po chwili jednak jej mina złagodniała. W końcu Bayta niechętnie skinęła głową.

– Masz rację – rzekła z westchnieniem. – A co z Losutu i McMickingiem? Co im powiesz?

– Nic – zapewniłem ją. – Nie bój się, poradzę sobie z nimi. Dokąd zamierzasz nas zabrać?

– Prosiłeś o rozmowę z Chahwynem – odparła z oficjalnym skinieniem głowy. – Zabiorę cię do naszej ojczyzny.

– Aha. Dobra – powiedziałem, powstrzymując drżenie. A zatem miałem rację co do niej. Szkoda. Wolałbym się mylić. – Oby to tylko nie było na drugim końcu galaktyki. Ani McMicking, ani ten sprzęt nie są chyba gotowi na taką podróż.

– To bardzo blisko – odparła, wstając. – Sprawdźmy, czy pozostali nie potrzebują pomocy.

Gdy wreszcie pomogliśmy Losutu i McMickingowi wnieść Pajaka do kabiny, byli wykończeni. Ledwie jednak ciśnienie w kabinie wzrosło na tyle, że mogli zdjąć maski, zdecydowanie się roz pogodzili.

Jeszcze bardziej ucieszyła ich informacja, dokąd się udajemy.

– Zdawało mi się, że Bayta mówi, iż nie mogą nic dla mnie zrobić – rzekł McMicking, przyglądając się dziewczynie podejrzliwie. – Jeśli to ma być jakaś sztuczka dla pocieszenia mnie, darujcie sobie.

– To nie sztuczka – zapewniłem go. – Ale musisz obiecać, że zachowasz wszystko w tajemnicy. – Zerknąłem na Losutu. – Pan też. Pajaki na to nalegają.

– Rozumiem. Ma pan moją obietnicę – odparł z powagą Losutu. – A co z panem?

– Bayta i ja musimy się udać na zebranie strategiczne – powiedziałem. – Między innymi w sprawie kosztów, jakie wynikną z nagłego zniknięcia pociągu ze wszystkimi pasażerami.

– Jak to: zniknięcia? – zdenerwował się Losutu. – Nie może pan tak po prostu...

– Oni już są trupami, dyrektorze – przerwał mu McMicking. Losutu zacisnął usta, ale skinął głową.

– Jasne – wymamrotał. – Jak chcecie to zrobić?

– Już to zrobiliśmy – odparłem, zerkając przez wzniernik na resztę pociągu, odłączonego i powoli znikającego za nami. Coś w ostatniej chwili zwróciło moją uwagę, więc spojrziałem raz jeszcze. Na dachu pierwszego wagonu ujrzałem samotną, wysoką postać Halka. Stał wyprostowany, patrząc, jak się oddalamy. Płaską twarz na wpół skrywała maska tlenowa, ale czerwono-pomarańczo-fioletowe szaty szlachetnie urodzonego, powiewające w łagodnej bryzie, nie pozostawiały wątpliwości.

Gdy tak patrzyłem, postać uniosła bojowo pięść w naszym kierunku. JhanKla, Wysoki Komisarz Haików, modhrański wędrowiec i niekwestionowany władca pozbawionego lokomotywy pociągu sunął wraz z nim ku milczącej, samotnej śmierci wśród gwiazd.

Życzyłem mu radości zwycięstwa.:

Nie dojechaliśmy do stacji Homshil. Bayta zawiozła nas na bocznice, która znajdowała się na jej prywatnej mapie, a stamtąd na inną linię, której z całą pewnością na tej mapie nie było.

Godziny mijały wolno. Kabina lokomotywy została zaprojektowana dla nie więcej niż dwóch Pająków, więc cztery ludzkie ciała praktycznie zajmowały całą dostępną przestrzeń. Na szczęście po ostatnich przejściach żadne z nas nie miało specjalnej ochoty na gimnastykę. Głównie siedzieliśmy lub leżeliśmy, drzemiąc, gdy się dało, i tylko od czasu do czasu rozmawiając.

W ciągu pierwszych trzech godzin, nie wiadomo dokładnie, w którym momencie, uratowany przez nas Pająk umarł cichutko. Po tym zdarzeniu Bayta siedziała w milczeniu, pogrążona w myślach, nie odzywając się do nikogo, nawet gdy się do niej zwracano.

Zaczynałem się właśnie martwić o takie rzeczy jak żywność, woda czy łazienka, gdy dotarliśmy na miejsce.

– Pan McMicking zostanie zabrany na leczenie do punktu znajdującego się na stacji poinformowała nas Bayta, gdy lokomotywa wtoczyła się powoli na miejsce, które rozpoznałem jako typową bocznice czteroszynówki. – Dyrektor Losutu będzie mu towarzyszył. Pozostanie pan z nim przez cały czas. Proszę nie próbować wyjść – dodała, spoglądając na Losutu. Zrozumiano?

– Tak – odparł spokojnie. – Czy wolno mi zadawać pytania?

– Ile tylko pan zechce – powiedziała. – Na większość nie otrzyma pan odpowiedzi. Panie Compton, proszę ze mną.

Odwróciła się i otworzyła drzwi kabiny, a ja poczułem niewielkie ukłucie. Po wszystkim, przez co razem przeszliśmy, ona nagle wraca do „panie Compton”. Czyżby dawała mi do zrozumienia, że nie powinienem był jej zmuszać do przyjazdu tutaj?

Może. Tak czy owak, jej ludzie nie mogli sobie pozwolić na zabicie mnie. Przynajmniej na razie.

Na zewnątrz czekało osiem Pająków: dwaj robotnicy, reszta należąca do nieznannej mi klasy, z którą zetknąłem się po raz pierwszy, gdy Bayta zaprowadziła mnie na spotkanie z Hermodem. Dwa spośród nich odłączyły się od grupy i poprowadziły nas przez bocznice do oddalonego o pięćdziesiąt metrów luku o czerwonej obwódce. Gdy tam dotarliśmy, luk się otworzył. Bayta ruszyła przodem po schodach prowadzących do niewielkiego promu.

– Czy mógłbym się dowiedzieć, gdzie jesteśmy? – zapytałem, gdy zajmowaliśmy miejsca przed panelem z ekranami, oznaczonymi podpisami w formie zbitych zakrętaków. Nigdzie nie widziałem prawdziwego pulpitu sterowniczego; najwyraźniej Pająki i Chahwyni kierowali swoimi gadżetami w sposób telepatyczny.

– A czy nazwa układu coś ci powie? – zapytała Bayta, gdy luk nad naszymi głowami zamknął się i odbiliśmy od Tuby.

– Pewnie nie – przyznałem. Rozległo się kliknięcie i panele wokół nas rozsunęły się, odsłaniając okna.

Ujrzałem typowy pejzaż gwiazdny, jaki można zobaczyć z każdego z tysiąca układów rozsianych po galaktyce. Pośrodku pola widzenia znajdowała się niewielka biała gwiazda o osobliwym zielonkawym poblasku.

– Witaj na Viccai – rzekła Bayta, wskazując widoczny na wprost ciemny krąg z jasną obwódką. – W

naszym języku znaczy to „nadzieja”.

– Przypuszczam więc, że nie jest to pierwotna ojczyzna twojego ludu?

– Nie. Przenieśliśmy się tu po Wielkiej Rewolcie, gdy wraz z Pająkami wybudowaliśmy Tubę. Nie było tu żadnego życia ani nic, co mogłoby kogokolwiek zainteresować. Trudno o bardziej bezpieczne miejsce.

– Zdziwiłabyś się, co może zainteresować Ziemian – powiedziałem. – Niezależnie od tego, czy im się do czegoś przyda, czy nie.

Wzruszyła ramionami.

– Może.

– Uwierz mi – zapewniłem ją. – Jak dawno temu miała miejsce Wielka Rewolta?

– Tysiąc sześćset lat – odparła Bayta. – Ale ten temat lepiej pozostawić Starszym.

– Pewnie tak – powiedziałem, marszcząc brwi. Kolejny klocek dołączył do układanki. Poślaniec, który mi dostarczył bilet na pociąg, był jednym z was, prawda?

– Tak – odparła i usłyszałem w jej głosie łagodny ból. – Wysłano nas na Ziemię, by cię sprowadzić do Hermoda. On pojechał po ciebie, a ja przygotowywałam sprawy w porcie. Mieliśmy podróżować we trójkę. – Zamknęła na moment oczy. – A potem ty zjawiliś się w porcie sam, a ja nie miałam czasu lecieć i próbować go odnaleźć, bo musiałam jechać z tobą.

– Przykro mi – powiedziałem. – Jeśli ci to pomoże, prawdopodobnie i tak nie mogłabyś nic dla niego zrobić. Gdybyś tam była, zginęlibyście oboje.

– Wiem. – Wzięła głęboki oddech, po czym zmęczonym gestem wypuściła powietrze. Ale cała logika i rozsądek świata nie pomogą, gdy ktoś był twoim przyjacielem.

Odwróciłem wzrok.

– Wierzę na słowo. Czuję na sobie jej wzrok.

– Masz przyjaciół, Frank – powiedziała. – A przynajmniej możesz mieć, jeśli zechcesz.

– W to też wierzę – odrzekłem, tym razem nieco bardziej oschle. Nie potrzebowałem jej współczucia. – Więc co dokładnie ma z tym wspólnego Modhri?

– Starsi ci wyjaśnią. On najlepiej znają historię. – Zawahała się. – Poza tym oni mogą z tobą pertraktować – dodała. – Jeśli zechcą.

Planeta Viccai, gdy już na nią dotarliśmy, okazała się w każdym calu tak zimna, ciemna i ponura, jak wyglądała z daleka. Jeśli tak wyobrażają sobie Chahwyni nadzieję – myślałem, patrząc na jałowy krajobraz – to nie chcę wiedzieć, co uznaliby za przygnębiające.

Ale, podobnie jak w przypadku Bayty, wszystko było trochę inne, niż się zdawało. Wylądowaliśmy. Nim jeszcze Bayta skończyła wyłączać systemy, ziemia pod promem zapadła się i po kilku minutach znaleźliśmy się w podziemnym mieście wypełnionym światłami, muzyką i dziwnymi, lecz przyjemnymi aromatami. Bayta poprowadziła mnie do pobliskiego budynku, do niewielkiego pokoju o rzeźbionych ścianach i suficie, który wyglądał jak niebo za dnia, z dryfującymi chmurkami i jaskrawożółtym słońcem. Pośrodku pokoju znajdowało się dziewięć krzeseł, ustawionych w trójkąt przodami do środka.

– Usiądź tu – powiedziała, wskazując jedno z narożnych, a sama siadając na innym. Starszy, który będzie z tobą rozmawiał, już nadchodzi.

Ledwie zdążyła to powiedzieć, otworzyły się drzwi za trzecim rogiem trójkąta, których przedtem w ogóle nie zauważyłem. Weszła przez nie postać w lekkich butach i wymyślnie udrapowanej todze.

Spodziewałem się jakiejś obcej istoty, nigdy dotąd niewidzianej przez ludzkiego śmiertelnika. Ku

mojemu zdziwieniu i lekkiemu rozczarowaniu Starszy okazał się równie ludzki jak pierwszy lepszy dzieciak z sąsiedztwa. Był średniego wzrostu i budowy, o brązowych oczach i włosach oraz spokojnym, niemal świątobliwym wyrazie twarzy.

– Dzień dobry, Franku Comptonie – rzekł, pochylając głowę, wkraczając do trójkąta i siadając w ostatnim wolnym rogu. Głos miał melodyjny jak wyszkolony szekspirowski aktor. Witaj na Viccai.

– Dziękuję – powiedziałem. Bardzo ludzki... a jednak nie dość ludzki. Teraz, gdy przyjrzałem mu się dokładniej, dostrzegałem zatarte szczegóły w okolicach warg i uszu, nienaturalny układ zmarszczek wokół oczu i ust, źle poskładane stawy nadgarstków i palców ułożonych na kolanach rąk. – Proszę – dodałem – nie musi sobie pan zadawać tyle trudu ze względu na mnie.

Starszy pochylił głowę.

– Hermod miał rację – rzekł. – Był pan świetnym kandydatem.

Uśmiechnął się, a jego skóra jakby zaczęła się topić, rysy twarzy wygładzać, palce i całe ręce chudnąć i wydłużać się. Większość ciemnych włosów spłaszczyła się i zniknęła pod skórą; pozostały tylko kępki nad oczami, rozczapierzone jak kocie wąsy.

Gdy przemiana dobiegła końca, Starszy wyglądał w każdym calu jak obcy, którego od początku spodziewałem się ujrzeć.

– Dziękuję – powiedział. Co ciekawe, nadal miał melodyjny głos. Prawdopodobnie postanowił zachować modyfikacje akustyczne, którym się poddał. – Tak trudno jest zachować nieznaną formę.

– Kościstymi palcami wskazał Baytę. – Dlatego potrzebowaliśmy prawdziwych ludzi, by ich do was posłać.

– Bayta mówiła, że opowie mi pan o Modhrim – powiedziałem, pozostawiając na później interpretację jego słów.

Skinął głową.

– Cała historia zaczęła się cztery tysiące lat temu, w okresie świetności rasy Shonklaraa rzekł. – To oni jako pierwsi odkryli sekret podróży międzygwiazdnych i zaczęli szerzyć swoje wpływy w galaktyce. W ciągu tysiąca czterystu lat stworzyli mapy wszystkich zamieszkałych i niezamieszkałych układów i rozpoczęli tysięczny podbój. – Umilkł. – Powiedziano mi, że twierdzi pan, iż zna ich sekret.

– Znam wasz sekret – powiedziałem. – Mogę jedynie zakładać, że jest wspólny.

Starszy pochylił głowę.

– Proszę mówić.

Nie mogą mnie zabić, przypomniałem sobie stanowczo.

– Mówiąc najkrócej, wasza wspianała kolej czteroszynowa to lipa – powiedziałem. – Całe to ustrojstwo: pociągi z tajemniczą czwartą szyną, wymyślne promienie laserowe, odbijające się od przednich zderzaków, nawet wielki pokaz światel Kręgosłupa, stanowią starannie zaaranżowaną wystawę sklepową, mającą na celu ukrycie rzeczywistości.

Starszy znieruchomiał.

– Jakiej?

– Że nie istnieje nic z wyjątkiem Kręgosłupa – odparłem. – Wewnątrz tego dziwnego opakowania znajduje się coś, co steruje tym wszystkim. Podejrzewam, że to jakaś nić kwantowa. Nie znam się jednak na fizyce dość dobrze, by próbować odgadnąć, jak działa. Wiem jedynie, że gdy przedmiot znajdzie się w ruchu, porusza się tym szybciej, im bliżej Kręgosłupa się trzyma. Pociągi jeżdżą z prędkością roku świetlnego na minutę; cylindry informacyjne, które, o ile rozumiem, zostają jakoś

wczepione w siatkę otaczającą Kręgosłup, pędzą znacznie szybciej. Zerknąłem na Baytę.

– Widziałas to, prawda? Mój przypadkowy podskok, po którym na ułamek sekundy oderwałem się od dachu pociągu. Wystarczyło, że znalazłem się o kilka milimetrów bliżej Kręgosłupa, by przeskoczyć o dziewięć wagonów do przodu.

Pokiwała głową z powagą.

– Miałam nadzieję, że się nie domyślisz, co się stało.

– A więc to prawda – rzekł Starszy z dziwną melancholią w głosie. – Utraciliśmy swój sekret.

– Niekoniecznie – zauważyłem. – Wszystko może pozostać w tych czterech ścianach. Wydaje mi się bowiem, że wiem również, dlaczego w ogóle zadaliście sobie tyle trudu. Machnąłem ręką ku gwiazdom. – W pociągu Modhri próbował wcisnąć mi kit o tym, jak to pragnie pokoju dla galaktyki. Ale to wy, Chahwyni, rzeczywiście próbujecie go zaprowadzić.

– Nie mieliśmy wyjścia – odparł cicho Starszy. – Widzieliśmy, do czego prowadzi nieograniczony dostęp do Nici. Shonklaraa byli aroganckimi, brutalnymi zdobywcami. Gdy zdobyli władzę nad Nicia i nauczyli się tworzyć odgałęzienia do innych układów gwiazdnych, nie było szans na ich powstrzymanie. Budowali wielkie okręty wojenne i wysyłali je do innych światów, by zdominować lub zniszczyć żyjące tam istoty.

– Więc co ich w końcu powstrzymało? – zapytałem, marszcząc brwi. – A może Modhri to właśnie Shonklaraa?

Kępki włosów w kącikach oczu Starszego zadrżały.

– Skądże – odparł. – Modhri był jedynie ostateczną bronią Shonklaraa.

Bronią! Przez chwilę to słowo wisiało w powietrzu niczym drobinki czarnego pyłu. Zerknąłem na Baytę, potem znów na Starszego.

– Może jednak zaczniemy od początku? Starszy skinął głową.

– Tysiąc sześćset lat temu, po tysiącletniej niewoli, wybuchło ściśle skoordynowane powstanie pozostałych ras galaktyki, długo planowana w konspiracji rewolta. Kosztowała życie wielu istot, w tym co najmniej pięciu całych ras, a także utratę przez wszystkie rasy umiejętności podróży nawet w obrębie własnych układów gwiazdnych. Warto jednak było zapłacić tę cenę, by zwyciężyć, bo w ostatecznym rozrachunku wróg został doszczętnie unicestwiony.

– Mówi pan, jakby pan przy tym był – zauważyłem. Twarz obcego drgnęła. Uśmiech? Grymas?

– Chahwyni niewątpliwie tam byli – rzekł Starszy. – Stanowiliśmy jednak tylko jedną z wielu ras służebnych, genetycznie wykreowanych przez Shonklaraa pracowników technicznych. Uczynili nas niezdolnymi do agresji czy walki, więc podczas wojny z konieczności trzymano nas na uboczu. Dzięki temu przetrwaliśmy w lepszym stanie niż większość ras.

– Tak jak wspominałem, wszystkie rasy zostały jednak zepchnięte do poziomu sprzed podróży kosmicznych, a niektóre nawet do poziomu przedprzemysłowego. Przez następnych trzysta lat nic się nie zmieniło. Nic nadal istniała, ale nikt nie potrafił jej osiągnąć. Większość ras zatraciła nawet pamięć o jej istnieniu. – Umilkł na chwilę. – Potem, przypadkowo, Chahwyni odkryli przedwojenną kryjówkę technologii Shonklaraa. Dzięki niej mogliśmy znów osiągnąć Nicia, a dzięki niej dotrzeć do gwiazd.

– Tyle że Shonklaraa uczynili was niezdolnymi do walki – powiedziałem – co sprawiało, że każdy, do kogo dotarliście, mógł was bez trudu pobić, jeśli miał ochotę, i zagarnąć dla siebie wszystkie dobra.

– A wtedy cała historia zaczęłaby się od nowa – dodał Starszy. – Wiedzieliśmy, że nim spróbujemy

nawiązać kontakt z innymi rasami, musimy znaleźć sposób na uniemożliwienie międzygwiazdnych wojen i podbojów.

– Więc wybudowaliście Tubę.

– Więc wybudowaliśmy Tubę – przyznał. – Potrzebowaliśmy jednak pomocy, więc w pierwszej kolejności stworzyliśmy Pajaki, wykorzystując w tym celu zarówno sprzęt genetyczny Shonklaraa, jak i własne ciała. Nie mieliśmy odwagi sami kontaktować się z innymi rasami, bojąc się, że nasza słabość zostanie odkryta i wykorzystana do ponownego zniewolenia.

– Czy jednak nie mogliście przy użyciu tego sprzętu wyeliminować swojej bierności? zapytałem. – Wtedy moglibyście przynajmniej się bronić w razie potrzeby.

– Albo stać się drugimi Shonkla-raa – zauważył ponuro Starszy. – Nie. Nawet gdybyśmy wiedzieli, jak i w którym miejscu wytyczyć tę subtelną linię, nie odważylibyśmy się zaryzykować.

– Bardzo to szlachetne z waszej strony – odparłem mniej sarkastycznie niż planowałem. Więc wspólnie z Pajakami wybudowaliście Tubę. Jak długo to trwało?

– Bardzo długo – odparł. – Nawet przy korzystnym odkształceniu przestrzeni wokół Nici zabrało nam to sześćset lat.

– Potem założyliście czteroszynówkę i zaprosiliście resztę galaktyki do udziału w zabawie

– dodałem. -I tu pojawia się Modhri.

Przez twarz Starszego przemknęło kolejne nieczytelne drżenie.

– To miała być ostateczna broń Shonkla-raa przeciwko Wielkiemu Sojuszowi – rzekł. Genetycznie zaprojektowana jako zbiorowy umysł, zdolny infiltrować, przerabiać i w ostatecznym rozrachunku kontrolować przywódców sprzymierzonych przeciw nim sił. Otrząsnął się niczym pies. – Na nasze wspólne szczęście wojna zakończyła się, nim broń została odpowiednio rozmieszczona. Przez całe wieki Modhri leżał więc uśpiony w koralowych formacjach Modhry I.

– Potem, dwieście lat temu, Pajaki otworzyły dla Haików stację w układzie Sistarrko. Teraz wiemy, że podczas swoich ekspedycji Halkowie odkryli koral i rozpoczęła się cicha wojna. W ciągu sześćdziesięciu lat, jak sądzimy, Modhri rozpostarł swoje macki na całe Cesarstwo Halkavisti i częściowo zawładnął jego przywódcami. Wtedy skierował swą uwagę na zewnątrz, posyłając halkańskich wędrowców w różne rejony galaktyki, by sprzedawali koral innym gatunkom.

– Wyceniając go tak wysoko, by tylko najwyższa elita rządowa i przemysłowa mogła sobie nań pozwolić.

– Istotnie – przyznał. – Choć początkowo jego ekspansja służyła raczej gromadzeniu informacji niż podbojowi. Ustanawiał przyczółki celem ich przyszłego użycia, ale przede wszystkim chciał ugruntować swoje panowanie nad Halkavisti.

– W ciągu następnych trzydziestu lat Pajaki zaczęły jednak dostrzegać wpływ Modhriego na Haików, choć w tamtym okresie nie miały jeszcze pojęcia, co to jest ani skąd pochodzi. Coraz bardziej zaniepokojone, zwróciły się do Juriańczyków, będących wówczas dość młodym członkiem społeczności galaktycznej, prosząc, by ci sprawdzili, co się dzieje z ich sąsiadami.

– I już było po nich – mruknąłem.

– Właśnie – przyznał ponuro Starszy. – Ich śledztwo zostało odkryte, a agenci zainfekowani. A ponieważ członkowie grupy byli wysokiej rangi wojskowymi, Modhri użył wirusów myślowych i szybko przeskoczył na sam szczyt sił rządowych.

Poruszył długimi palcami.

– Nie wiedzieliśmy o tym programie wojennym Shonkla-raa, ale gdy zauważyliśmy, że te same

wpływy rozprzestrzeniają się teraz wśród Juriańczyków, zaczęliśmy podejrzewać, że dzieje się coś złego. Podwoiliśmy więc wysiłki, by przeszukać archiwa Shonklaraa i dowiedzieć się, co to może być.

– Dlaczego po prostu nie odcięliście układu Sistarrko? – zapytałem.

– Nie mieliśmy jeszcze pojęcia, gdzie umieszczono Modhriego – odparł. – Nie rozumieliśmy też mechanizmów ataku, a zwłaszcza tego, że powiązania emocjonalne pozwalają mu tak szybko rozprzestrzeniać się wśród elit społeczeństw. Co gorsza, tempo podboju wydawało się wzrastać. Podbicie Haików zajęło prawie sześćdziesiąt lat, ale wystarczyło piętnaście, by w tym samym stopniu zdominować Juriańczyków.

– Może chciałbyś coś zjeść lub wypić? – wtrąciła nagle Bayta. – Przepraszam, powinniśmy byli pomyśleć o tym wcześniej.

Ku swemu zdumieniu stwierdziłem, że jestem potwornie głodny. Opowieść była jednak zbyt ciekawa, by przerywać słuchanie nawet na jedzenie.

– Nie, dziękuję – powiedziałem. – Proszę kontynuować.

– Przez następnych sześćdziesiąt lat Pająki nie ustawały w wysiłkach zmierzających do poznania tożsamości wroga – mówił dalej Starszy. – Udało im się zainteresować problemem kolejno cztery inne rasy i każda po kolei ulegała. W końcu zaświtało nam, że nasze działania w gruncie rzeczy tylko ułatwiają inwazję.

Modhri rozprzestrzeniał się wprawdzie także własnymi drogami, ale ponieważ zauważyliśmy, że nasze ekipy śledcze były chyba najszybszą i najprostszą drogą do elit rządowych.

– I nadal nie mieliście pojęcia, skąd nadchodzą ataki? – zapytałem.

– W tamtym okresie udało nam się już zawęzić pole poszukiwań do światów leżących wzdłuż Ostrogi Graklijskiej – odparł. – Za najbardziej prawdopodobny uważano właśnie układ Sistarr-ko.

– Dlaczego więc wtedy nie zamknęliście tamtejszej stacji? Kępki włosów wokół oczu obcego znów zawibrowały.

– Próbowaliśmy – odrzekł z żalem. – Powołując się na względy gospodarcze, odcięliśmy całą Ostrogę. Ale naciski ze strony innych imperiów, nie tylko tych kontrolowanych przez Modhrie-go, były tak wielkie, że nie ośmieliliśmy się ryzykować. Gdyby ktoś rozzłościł się dość mocno, by zaatakować Tubę, mógłby zniszczyć jej fragment i poznać sekret Nici. Po kilku tygodniach uruchomiliśmy więc linię ponownie.

– I wszystko odbywało się jak dawniej.

– Z tą różnicą, że teraz Modhri wiedział, kto stoi za wieloletnimi próbami zdemaskowania go. – Starszy znów zadrżał. – Zaczął więc zmierzać do podporządkowania sobie samych Pajaków.

Poczułem ucisk w gardle. Pasażerowie, towar i poczta – myślałem z pewną urazą na stacji Terra. Gdyby udało się podbić Pajaków, wielki hat trick przeszedłby w ręce ostatecznej broni i wszechpotężnej tyranii.

– Mam nadzieję, że podjęliście jakieś środki zaradcze.

– Sama natura Pajaków i ich zbroja uniemożliwiają Modhrie-mu atak – zapewnił mnie obcy. – Mając do dyspozycji wędrowców, mógł jednak zastosować inne metody. – Starszy przeniósł wzrok na Baytę. – Jedną z nich już pan widział. Przyznaję, że zaczynaliśmy się zastanawiać, czy pozostała nam jeszcze jakaś nadzieja, czy też cała galaktyka znalazła się na długiej, mrocznej drodze ku klęsce.

– I wtedy, trzydzieści lat temu, na scenę wkroczyli Terrani – Starszy umilkł na moment, zerkając na Baytę. – Byliście dziką, pewną siebie, energiczną i sprytną rasą. Shonkla-raa albo was nie zauważyli,

albo stwierdzili, że nie macie nic wartego zrabowania, więc zostawili was w spokoju. Dla pozostałych z nas stanowiliście jednak wielki wstrząs. Nigdy dotąd nie widziano w galaktyce czegoś takiego i muszę przyznać, że wielu z nas wręcz się przestraszyło. Inni uznali was jednak za naszą ostatnią, największą nadzieję w walce z Modhrim. Ucisk w gardle wzrósł.

– Chce pan powiedzieć, że nie pozostał już nikt inny?

– Na tamtym etapie ani Bellidowie, ani Cymalczycy nie dawali oznak modhrańskich wpływów – odparł, strosząc swoje krzaczaste brwi. – Sądzymy też, że żyjący na odległym krańcu galaktyki Filijczycy mogą pozostawać nietknięci. Rutynowa manipulacja kodem genetycznym, którą stosują, stanowi naturalną barierę wobec modhrańskiej inwazji.

Prawdopodobnie to dlatego Hermod skierował moje myśli ku Filly. Agent Pająków zmierzający ku jednemu z ostatnich bastionów niepodległości z całą pewnością wzbudziłby zainteresowanie Modhriego.

– Ale wy mieliście w sobie energię i ciekawość, które czyniły z was niepowtarzalną rasę kontynuował Starszy. – Musieliśmy tylko poczekać, aż się zaaklimatyzujecie w wielokulturowej społeczności i będziecie gotowi do działania.

– Tymczasem Bellidowie postanowili sami powalczyć z Modhrim – wtrąciłem, przypominając sobie rozmowę z Fayrem w pociągu.

– I przegrali, jak wszyscy inni – odparł ponuro Starszy. – A jednak to ich wysiłki ostatecznie wyjaśniły mechanizm działania wirusa myśli.

– Kiedy więc Fayr postanowił podjąć własną próbę, znał już całą historię – dorzuciłem, kiwając głową. – A wy w ramach dodatkowej premii dorzuciliście mu coś, co miało odwrócić uwagę Wroga. Starszy pochylił głowę, co wyglądało dziwacznie, biorąc pod uwagę układ stawów w jego szyi.

– Przepraszam za to – rzekł. – Ale Fayr już działał, a my, choć nie mieliśmy pojęcia o szczegółach jego planu, uznaliśmy, że ma szansę powodzenia. Ponadto sądziliśmy, że ludzkość nie dojrzała jeszcze do tego, by we własnym zakresie podjąć poważną próbę walki z Modhrim. Więc zrobiliśmy, co było w naszej mocy, by pomóc Bellidom, nie zwiększając zarazem zagrożenia dla Terran.

– Całkiem nieźle wam to wyszło – przyznałem. – Wprawdzie nie odwróciłem uwagi Modhriego tak bardzo, jak byście chcieli, ale trochę zmąciłem wodę. A Fayr był dostatecznie dobry, by to wszystko i tak nie wpłynęło za bardzo na jego plan.

– Tak – mruknął Starszy. – Tyle że, jak widać, ów plan tylko częściowo się powiódł.

– Niestety – przyznałem. – Podejrzewam, że gdy Modhri się domyślił, iż to wy stoicie za tymi wszystkimi atakami, postanowił pozbierać zabawki i wynieść się na inne podwórko. Wybrał sobie nową siedzibę i zaczął przerzucać tam koral najszybciej jak się dało.

– Nim Fayr zniszczył łożyska koralowe – rzekł z westchnieniem Starszy – Modhri zdążył już przerzucić dostateczną część siebie gdzie indziej. Bayta twierdzi jednak, że pan wie, gdzie znajduje się jego nowa siedziba.

– Owszem – odparłem, krzyżując ręce na piersi. – Musi pan jedynie mnie przekonać, żebym panu zdradził tę informację.

Patrzył na mnie, nastroszywszy nagle brwi.

– Co pan ma na myśli?

– To, że z mojego punktu widzenia wy i Modhri za bardzo przypominacie braci bliźniaków – odparłem spokojnie. – Jedni i drudzy komunikują się telepatycznie, jedni i drudzy pragną sprawować kontrolę i – zawahałem się, ale to nie był dobry moment na przejmowanie się odrobiną hipokryzji –

lubią mijać się z prawdą, gdy im to na rękę.

Spojrzałem Baycie prosto w oczy.

– Ponadto jedni i drudzy kontrolują ciała innych istot – dokończyłem.

– To zupełnie co innego! – zaprotestowała. W odróżnieniu od twarzy Starszego, jej ludzka twarz wyrażała czytelne dla mnie emocje, z łatwością więc dostrzegłem, że jest wstrząśnięta moją odmową bezwarunkowej współpracy. – Modhri jest pasożytem, zarówno emocjonalnym, jak i fizycznym; stworzeniem, które

pragnie manipulować innymi i kontrolować ich dla własnych celów. Ja dla odmiany jestem prawdziwą syntezą. Ludzka i chah-wyńska część we mnie żyją w symbiozie.

– A ile miała do powiedzenia ludzka część w kwestii ustanowienia tej symbiozy?

Przez jej twarz przemknęła nieczytelna emocja.

– Ona była znajdą – powiedziała cicho. – Dzieckiem urodzonym i porzuconym w pociągu.

Poczułem ciarki na skórze. Takie rzeczy podobno już się nie zdarzały, a z pewnością nie pośród bogatych i możnych, których było stać na podróże międzygwiazdne.

– Próbowaliście odnaleźć jej matkę?

– Tak – odparła Bayta. – Znaleźli ją. – Bardzo się starała brzmieć, jakby po prostu streszczała fakty, z jej słów przebijał jednak ból. – Ale nie chciała mnie. A przynajmniej tak twierdziła.

– My dla odmiany bardzo jej potrzebowaliśmy – dodał Starszy. – Poprosiliśmy Pająki o przywiezienie jej tutaj i... dokonaliśmy fuzji.

Znów poczułem dreszcz.

– Modhri miał przynajmniej dość przyzwoitości, by czekać, aż ktoś dorośnie, nim go zaatakował.

– Nie mieliśmy wyboru! – prychnęła Bayta, zerkając na mnie spode łba. – Widziałeś, jak wielki, gruby i niezgrabny jest Her-mod. Tak kończy się próba fuzji dorosłego Terranina z Chahwy-nem. Nie mieliśmy wyjścia.

Przełknęła ślinę. Mars zniknął z jej czoła.

– Walczyliśmy o przetrwanie – powiedziała. – Swoje i wasze.

– Nie rozmawiamy o mnie – zauważyłem – lecz o tobie. O tym, jak podstępem pozbawiłaś niewinną istotę ludzką prawa do życia. Jak konkretnie przeprowadza się tę waszą fuzję?

– To dość łatwe, przynajmniej z technicznego punktu widzenia – rzekł Starszy. – Choć, wbrew temu, co pan twierdzi, długo i intensywnie zastanawialiśmy się nad kwestiami etycznymi. Jednakże, jak powiedziała Bayta, nie mieliśmy wyboru. Wzięliśmy więc ludzką znajdę i umieściliśmy w jej ciele nowo narodzonego Chahwyna.

A zatem zrobili to samo dziecku własnej rasy.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu – przyznał z zażenowaniem. Skierował palec ku Baycie, rozciągając go niczym niewidzialna ręka ciągnąca toffi. – Nasze ciała, jak już pan zauważył, są znacznie bardziej elastyczne niż wasze – rzekł, cofając palec i przywracając mu pierwotne rozmiary. – Zapewniam pana, że nie zrobiło to krzywdy żadnemu z nich.

– Modhri obecny w ciele wędrowca jest zawsze oddzielną jednostką, która czai się w tle, dążąc do własnych korzyści – wtrąciła Bayta. – W moim przypadku, choć ludzka i chahwyńska część w pewnym sensie są rozdzielone, tworzą zarazem prawdziwą jedność. Jesteśmy partnerami, towarzyszami, przyjaciółmi. Jesteśmy silniejsi niż suma części składowych.

– Skoro tak mówisz – odrzekłem, przenosząc wzrok na Starszego. – A chłopak, który przyniósł mi

bilet na pociąg? Kolejny podrzutek?

Starszy zawahał się.

– On też był niechciany.

– Czy i on został znaleziony? – zapytałem z naciskiem. Obcy westchnął.

– Został kupiony – przyznał. – Jego matka także go nie chciała. Kupiliśmy go za pośrednictwem Hermoda i pewnej agencji.

– No, pięknie – mruknąłem, czując w ustach smak porażki. Tak naprawdę wcale nie chciałem dowieść, że Chahwyni są tacy źli, ale chyba jednak to zrobiłem. – Kupujecie ludzi, sprzedajecie ich i traktujecie jak towary. Zupełnie jak Modhri. Proszę mi więc powiedzieć: dlaczego miałbym brać czyjaś stronę?

– Przez siedemset lat utrzymywaliśmy pokój w galaktyce – odparł Starszy napiętym głosem, czując, że upragnione zwycięstwo zaczyna mu się prześlizgiwać pomiędzy elastycznymi palcami. – Nie wtrącamy się do polityki, handlu ani...

– Chcesz, żebyśmy oddali tę kobietę? – zapytała nagle Bayta., Zamrugąłem.

– Jak to, czy chcę, żebyście ją oddali?

– Powiedziałeś, że podstępem odebraliśmy niewinnej istocie ludzkiej prawo do życia wyjaśniła. Była blada, ale głos miała pewny. – Nie możemy zmienić tego, co wydarzyło się przez minione dwadzieścia dwa lata. Ale jeśli chahwyńska część mnie zgodzi się umrzeć i oddać jej resztę życia, czy takie zadośćuczynienie ci wystarczy?

Zerknąłem na Starszego. Wydawał się równie oszołomiony jej propozycją jak ja.

– Nie wiem – odparłem. – Co by się z nią stało? Bayta wzięła głęboki oddech.

– Znów byłaby w pełni człowiekiem. – I?

Zawahała się.

– Byłaby w pełni człowiekiem – powtórzyła. – Czy takie zadośćuczynienie ci wystarczy?

Przyjrzałem się jej twarzy. Wydawała się całkiem szczerą.

– Daj mi czas do namysłu. Co z McMickingiem?

– To potrwa jeszcze kilka godzin – rzekł Starszy, trochę zagubiony w nowej sytuacji. – Na szczęście przywieziono go tu, gdy modhrańska kolonia była jeszcze niewielka i miała zasięg lokalny. Czy pan...

– Zerknął na dziewczynę. – Bayta przypomina mi, że nadal potrzebuje pan jedzenia i odpoczynku. Może pozwoli jej pan zaprowadzić się w miejsce, w którym może pan skorzystać z obu?

– Dziękuję – odparłem, lustrując wzrokiem twarz Bayty. Dwie istoty, oddzielne, a zarazem stanowiące jedno. Nie rozumiałem tego, ale wydawało się jasne, że jej samej taki układ wydaje się i rozsądny, i wygodny.

Być może nawet więcej niż wygodny. „Partnerzy, towarzysze, przyjaciele” – powiedziała przecież.

Przyjaciele.

Mnie powiedziała prosto z mostu, że nie jest moją przyjaciółką. A jednak, by ratować swój lud, była gotowa poświęcić najbliższego przyjaciela... a ten przyjaciel był gotów umrzeć.

Gdybym ja tego zażądał...

Rzuciłem w duchu monetą i oczyma wyobraźni widziałem, jak ląduje na jedynej słusznej stronie. Nie, Chahwyni nie byli idealni. Ale któż z nas był?

– Tak, chciałbym coś zjeść – powiedziałem. – Najpierw jednak załatwmy sprawę nowej siedziby Modhriego.

Brwi Starszego zatrzepotały.

– Sądziłem..

– Wiem – przerwałem. – Ale wygląda mi na to, że każdy w końcu musi się opowiedzieć po którejś stronie. A wy, jak pan zauważył, istotnie utrzymaliście pokój w galaktyce. – Zerknąłem na Baytę. – Poza tym Bayta zna wszystkie przesłanki, które znam ja. Gdyby chciała, potrafiłaby wyciągnąć ten sam wniosek. Pytanie brzmi: czego Modhri potrzebuje w swojej siedzibie?

– Zimnej, niezamarzniętej wody – odparł Starszy. – Polipy mogą przeżyć w wielu innych środowiskach, lecz tylko w zimnej wodzie mogą wytworzyć więcej koralu i rozprzestrzeniać swój umysł.

– Zgoda – powiedziałem. – Ale zimną wodę można znaleźć niemal wszędzie. Chodziło mi o to, że potrzebne mu miejsce, w którym zdoła uniknąć takiego ataku jak ten zgotowany mu przez Fayra.

– Rozumiem – powiedziała Bayta, marszcząc czoło w skupieniu. – Miejsce, do którego nie można przywieźć towaru na wymianę i dostać za niego broni. Bo nie ma tam broni?

– Właśnie – przytaknąłem, kiwając głową. – Jednocześnie jednak, rzecz jasna, musi to być miejsce z dostępem do cztero-szynówki. Innymi słowy, prymitywna kolonia.

– Takich miejsc jest w galaktyce ze sto – mruknął Starszy.

– Co najmniej – zgodziłem się. – Na szczęście Modhri był dostatecznie uprzejmy, by nam dać wyraźne wskazówki. Bayto, wspomniałaś, że terrańskie społeczeństwo i rząd nie zostały jeszcze zarażone, prawda?

– Tak sądziliśmy – powiedziała, spoglądając na mnie bez mrugnięcia okiem. – Teraz jednak wiadomo, że Applegate był wędrowcem.

– A zatem Modhri zarażał – stwierdziłem. – Tyle tylko, że nie sięgnął najwyższych sfer. Losutu, na przykład, był świetnym materiałem na cel, lecz dobrze wiemy, że nie został zaatakowany. Dlaczego? Po pierwsze: Modhri wiedział, że obserwujecie ludzi na najwyższych stanowiskach i zorientujecie się, jeśli po nich sięgnie. Po drugie: miał na głowie ważniejsze sprawy.

– Siedziba jest na terrańskiej kolonii! – wykrzyknął nagle Starszy. – A macie ich tylko cztery.

– To znacznie zawęży obszar poszukiwań, prawda? – zauważyłem. – A ja mogę go zawęzić jeszcze bardziej. Powiedz, Bayto: kiedy właściwie znaleźliśmy się w centrum uwagi Modhriego? Wtedy, gdy robotnik ze stacji Terra na oczach wszystkich zabrał mi bagaż? Był tam Applegate, a to zdarzenie bez wątpienia dałoby Modhriemu znak, że coś mnie wiąże z Pająkami. Czy zareagował?

– Nie – odrzekła powoli. – A w każdym razie nie w zauważalny sposób.

– A potem, gdy odczepiliście mój wagon od pociągu i zaprowadziliście na pogawędkę z Hermodem?

– kontynuowałem. – Fayr zwrócił na to uwagę. A Modhri?

– Nadal nie.

– A gdy po wyjeździe z Nowego Tigris poszliśmy do baru, po drugiej stronie siedział Applegate, gawędząc z dwojgiem Cymalczyków – przypomniałem jej. – I nawet na mnie nie spojrzał ani nie pozdrowił. Najwyraźniej nie obchodziło go, co robię ani z kim.

Bayta wstrzymała oddech.

– Yandro! – wykrztusiła.

– Yandro – przyznałem z ciężką ironią, świadom, że właśnie zatoczyłem pełne koło. Bezużyteczny, pusty świat, przy kolonizacji którego pewne szare eminencje upierały się jak osły, a ja straciłem pracę, gdy próbowałem nagłośnić sprawę. Ten sam świat, na którym zaalarmowałaś cały lokalny segment Modhriego, składając pospieszną wizytę zawiadowcy podczas piętnastominutowego postoju.

– Tak – powiedziała, całkiem już pewnym głosem. – Wszystko jasne.

– Ale co możemy zrobić? – zapytał Starszy. – Jeśli ten układ jest tak pusty, jak pan twierdzi, taktyka Bellidów nie zadziała.

– I właśnie dlatego Modhri się tam przeniósł – zauważyłem. – Na jego nieszczęście mam pewien pomysł.

Starszy wlepił we mnie wzrok.

– A ile on będzie kosztował?. Jak na komendę zaburczało mi w brzuchu.

– Na razie wystarczy kolacja – powiedziałem. – A później. porozmawiamy.

– Cóż za miła niespodzianka – rzekł Larry Hardin, gdy McMicking i ja przeszliśmy pomiędzy palmami rosnącymi u wejścia do wytwornego solarium jego apartamentu w New Pallas. – Gdy w sieci pojawiła się wiadomość o zaginionym pociągu, byłem pewien, że obaj przepadliście. Czyżby Pająki odnalazły zgubę?

– Nie sądzę – odparłem. W rzeczywistości Pająki udały się do Tuby i odzyskały wykolejony pociąg, ale ponieważ Modhri zdążył wcześniej zabić wszystkich pasażerów, wątpię, czy ktoś chciałby to rozgłaszać. – Na szczęście zdążyliśmy się przesiąść.

– Toście mieli fart – skomentował Hardin, wskazując nam ławkę ustawioną między dwoma krzakami bzu. – Być może McMicking wspomniał już panu, że przemyślałem sprawę pańskiego zlecenia.

– Owszem – odparłem, siadając na ławce naprzeciw niego i z uznaniem wdychając delikatny aromat bzu. McMicking podszedł do ławki Hardina i stał z boku, przyglądając mi się badawczo. – Obawiam się jednak, że pańska pierwsza decyzja była słuszna.

Hardin uniósł brwi.

– Słucham? – zapytał złowróźnie.

– Obawiam się, że mimo wszystko nie będę w stanie wypełnić zadania – powiedziałem.

– Odchodzi pan?

– Zwykle odchodzę, gdy zadanie zostało zakończone albo gdy jestem przekonany, że nie da się go wypełnić – powiedziałem. – W tym wypadku prawdziwe jest to ostatnie.

– Rozumiem. – Hardin rozsiadł się wygodniej na ławce. – A skoro mowa o niedokończonych zadaniach, moi ludzie przeprowadzili małe śledztwo w sprawie pańskiego, że tak powiem, nieoficjalnego sponsoringu. Co ciekawe, nie udało im się wysledzić jego źródła.

– I co pan z tego wnioskuje?

– Prawdopodobnie jest w to zamieszana jakaś agencja rządowa – odparł. – O ile mi wiadomo, wicedyrektor ONZ, który także miał być w zaginionym pociągu, podobnie jak pan wrócił cały i zdrowy. Wiem też, że wróciliście tym samym odrzutowcem i że spędził pan wiele czasu w jego kabinie.

– Jest pan świetnie poinformowany – zauważyłem.

– Staram się – odparł. – Pan oczywiście zdaje sobie sprawę, że nasza umowa ma klauzulę wyłączności.

– Nie powiedziałem dyrektorowi Losutu na ten temat nic, czego nie powiedziałbym panu zapewniłem go. – Rozmawialiśmy na inne tematy.

– W takim razie jedyną możliwością jest ta, że został pan zwerbowany przez Pająki. Chłodne spojrzenie Hardina ochłodziło się jeszcze o kilka stopni. – To zaś oznaczałoby coś więcej niż pogwałcenie klauzuli wyłączności. Byłoby to nadużycie i oszustwo, co daje dwa poważne przestępstwa.

– Rzecz jasna, mógłby pan wnieść przeciwko mnie pozew i zainicjować oficjalne śledztwo –

przyznałem niewinnie. – To zaś wymagałoby poinformowania reszty świata o tym, co zamierzał pan zrobić. Naprawdę pan tego chce?

– Nieszczególnie – odparł. – Tak czy owak, chyba obaj się zgadzamy, że pańskie działania naruszyły postanowienia umowy. A w tej sytuacji w myśl paragrafu 10 musi mi pan zwrócić wszystkie pieniądze, jakie pan wydał w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

– Rozumiem – powiedziałem. – Skoro już o tym mówimy, przyszedłem tu dziś przede wszystkim właśnie w sprawie pieniędzy. Obawiam się, że będę ich potrzebował jeszcze trochę. Przez usta Hardina przemknął uśmiezek rozbawienia.

– Niezły pan ma tupet, Compton. Trzeba to panu oddać. Dobra. Ile?

– Bilion dolarów powinien wystarczyć. Uśmiezek zniknął.

– Raczy pan żartować.

– Może nieco mniej – dodałem. – Zobaczymy, jak sprawy się potoczą.

– Sprawy potoczyły się tak, że nadużył pan mojej gościnności – powiedział oschle Hardin, dając znak ochroniarzom stojącym w cieniu zdobiących wejście palm. – Mój księgowy skontaktuje się z panem, gdy podliczy pański dług.

– Nie wątpię w to – odparłem, nie kwapiąc się do wstania. – Ciekawa sprawa z tym młodzieńcem, który zginął u wejścia do New Pallas tej samej nocy, kiedy ja opuściłem Nowy Jork. Pamięta go pan, prawda?

Hardin zmarszczył lekko czoło. – A co?

– Trafiono go sześć razy – powiedziałem. – Najpierw dostał trzy strzały z usypiaczy, ale mimo to zdołał dotrzeć spod mojego mieszkania aż do New Pallas.

– Musiał mieć bardzo silny organizm.

– Istotnie – odparłem, unosząc brwi. – Nie wydaje się pan zdziwiony informacją, że przyszedł tu spod mojego mieszkania.

Ochroniarze tymczasem podeszli do mojej ławki.

– Tak, szefie? – zapytał jeden.

Hardin zawahał się, po czym pokręcił głową.

– Już nic.

– Tak jest – rzekł jeden, po czym dał znak swemu towarzyszowi i obaj wrócili na posterunki.

– Widzi pan, trochę o nim rozmyślałem podczas podróży powrotnej na Ziemię kontynuowałem, gdy już się dostatecznie oddalili. – Jeśli chodzi o sprawcę tego zabójstwa, istnieją w zasadzie tylko trzy możliwości. – Uniosłem trzy palce i zacząłem wyliczać. – Nie był to pospolity rabuś, bo tacy zwykle noszą przy sobie albo usypiacze, albo gromniki, ale nie jedne i drugie na raz. Nie byli to również wrogowie zabitego, niezależnie od tego, kim są, bo jego obecność tutaj z pewnością zwróciłaby ich uwagę na moje związki z panem i nakłoniła do dokładniejszego zbadania tej kwestii. Co pozostawia nam tylko jedną możliwość.

Dotknąłem trzeciego palca.

– Pana.

Dostrzegłem chwilowe napięcie mięśni na szyi Hardina.

– Kiedy to się stało, byłem tu razem z panem – przypomniał mi.

– Och, nie chcę przez to powiedzieć, że zrobił pan to osobiście – wyjaśniłem. Niewątpliwie jednak był pan zamieszany w tę sprawę. Podejrzewam, że pańscy ludzie donieśli panu, iż ktoś się kręci koło mojego mieszkania, co wzbudziło w panu podejrzenia, że nasza umowa może nie być tak tajna, jakby

pan sobie życzył. Kazał im pan sprowadzić go tu na pogawędkę, ale nie zdołali tego zrobić. Więc kazał im pan się go pozbyć.

Hardin prychnął. Było to jednak rozpaczliwe, nerwowe prychnięcie.

– Bzdura – powiedział.

– Tyle że zabicie go okazało się trudniejsze, niż sądzili – kontynuowałem. – Kiedy wskoczyli do samochodu, by tu przyjechać i zdać relację, on pozbierał się z chodnika, złapał taksówkę i ruszył za nimi. Nie widzę innego wyjaśnienia dla faktu, że czekał tu na mnie, kiedy wyszedłem.

Wskazałem McMickinga.

– Wyjaśnia to również, jakim sposobem McMicking tak szybko znalazł się na miejscu. Dostał pilną wiadomość, że cel nie tylko żyje, ale stoi w pańskim progu, i wyszedł, by dokończyć dzieła. Na pańskie nieszczęście ja znalazłem się tam wcześniej.

– To śmieszne – mruknął Hardin, broniąc się odruchowo, lecz bez śladu emocji.

– To właśnie dlatego pojechał pan do Jurskali, by się ze mną spotkać, prawda? zapytałem. – Domyślił się pan, że trup miał jakieś powiązania ze mną, i chciał się pan dowiedzieć, czy wiem o pańskim udziale w zabójstwie.

Hardin wziął głęboki oddech i odzyskał równowagę.

– Ciekawa teoria – rzekł. – Rzecz jasna, kompletnie niemożliwa do udowodnienia.

– Hm, nie wiem – odparłem. – Moglibyśmy wezwać na świadków cały personel, który miał służbę na Manhattanie tamtej nocy. Zakładając, że posłaniec nie pozostawił snajperowi czasu na zmianę magazynków, obecność zarówno usypiaczy, jak i gromników sugeruje, że strzelców było dwóch. Założę się, że co najmniej jeden z nich gotów jest pana wsypać, by ocalić własną skórę.

– Szczerze mówiąc, przyjąłbym ten zakład – rzekł Hardin z odrobiną ponurego humoru. Zapomniałem jednak, że nie ma pan już czego postawić, prawda?

– Naprawdę pan sądzi, że ci ludzie są gotowi poświęcić się dla pana?

– Nie będą musieli – odparł. – Pan nie ma nic z wyjątkiem domysłów. Nie istnieją najmniejsze dowody na to, co pan sugeruje.

– A sądy pracują dla tego, kto najwięcej zapłaci? Wzruszył ramionami.

– Tak daleko bym się nie posuwał – rzekł. – Zdziwiłby się pan jednak, gdyby pan wiedział, ile może dokonać właściwe zaplecze prawne.

– A sąd opinii publicznej? – nie ustępowałem. – Gdyby tego rodzaju oskarżenie rozpowszechniło się w mediach, kiepsko by pan wyglądał. A ma pan wielu wrogów, gotowych rozdmuchiwać płomienie.

Uśmiechnął się nerwowo.

– Spośród wszystkich ludzi akurat pan powinien wiedzieć, jak kapryśna jest opinia publiczna – rzekł.

– Wystarczyło parę miesięcy, by ogieniek, który pan rozniecił, wypalił się po cichutku.

Zerknąłem na McMickinga. Spoglądał wprost na mnie absolutnie neutralnym wzrokiem.

– A więc nie boi się pan ani mnie, ani sądów, ani opinii publicznej – powiedziałem, przenosząc wzrok z powrotem na Hardina. – Czy boi się pan czegokolwiek?

– Nie aż tak, by zapłacić za milczenie bilion dolarów – odparł. – A pan teraz już naprawdę nadużył mojej gościnności. – Zaczął się podnosić z miejsca.

– A Pajaki? – zapytałem. Zamarł w połowie ruchu.

– Co pan ma na myśli?

– A więc pan nie wiedział – powiedziałem, jakby dopiero teraz uderzyła mnie ta myśl. Człowiek, którego zabili pańscy ludzie, był agentem Pajaków. Z tego, co słyszałem, są bardzo niezadowolone z

jego śmierci.

Hardin usiadł powoli.

– To nie było tak, jak pan myśli – rzeki napiętym głosem. – Owszem, niepokoiłem się, że na scenie kręci się jakiś nieznajomy, i chciałem się go pozbyć. Ale nie zamierzałem go zabić. Zrobiono to bez konsultacji ze mną.

– Jestem pewien, że Pająki zrozumieją tę subtelną różnicę – powiedziałem. -I założę się, że straciłby pan furę pieniędzy, gdyby założyły panu embargo na przewóz towarów czteroszynówką. Prawdopodobnie znacznie więcej niż ten marny bilion dolarów.

Jego spojrzenie stężało.

– To szantaż.

– Raczej biznes – poprawiłem go. – Czy mogę się spodziewać szybkiego podpisania kredytu? Czy też wolałby pan, żeby Pająki na miesiąc lub dwa odcięły panu dostęp do kolei, by dowieść, że nie da się niczego przemycić bez ich wiedzy?

Przez kilkanaście uderzeń serca po prostu gapił się na mnie. Potem zawinał kącik ust w sygnale kapitulacji.

– Jutro po południu prześlę panu pieniądze przez pośrednika – rzekł takim tonem, jakby obwieszczał zgon.

– Dziękuję – powiedziałem. – Jeśli to panu pomoże, zapewniam, że pieniądze zostaną wydane na zbożny cel.

– Jasne – zazgrzytał zębami. – Gdy opuści pan to mieszkanie, proszę się trzymać jak najdalej ode mnie. Jak najdalej.

– Zrozumiałem – odparłem, wstając. Jeszcze raz zerknąłem na McMickinga, który odpowiedział mikroskopijnym skinieniem. Wiedziałem, że dopilnuje, by Hardin mi zapłacił i nie sprawiał kłopotów.

A płacąc, uratuje Pająki, kolej i całą galaktykę. Kolejna szczypta ironii do mojej nowej kolekcji.

– Dziękuję, panie Hardin. Wyjdę sam.

Sześć miesięcy później stałem na skraju czapy lodowej pokrywającej Wielkie Morze Polarne Yandro, czekając na nadejście wroga.

Pojawił się w formie niskiego, pulchnego, ubranego w kombinezon polarny człowieczka, który wyszedł z niewielkiej stacji meteorologicznej stojącej na urwistym brzegu morza.

– Dzień dobry – zawołał, idąc ku mnie. – Mogę w czymś pomóc?

– Witaj, Modhri – odparłem. – Pamiętasz mnie?

Przez chwilę mężczyzna po prostu się gapił. Potem jego wzrok stracił ostrość, a twarz zapadła się na ułamek sekundy. Skinął głową.

– Compton – rzekł nieco zmienionym głosem. – Ten, który zniknął tylko po to, by powrócić z martwych.

– A to, rzecz jasna, więcej, niż można powiedzieć o tamtym segmencie twojego umysłu powiedziałem. – Przyjmij moje kondolencje.

– To wielka, nadal nierozwikłana tajemnica – odparł Modhri. – Czy zechciałbyś mi opowiedzieć tę historię?

– Co tu jest do opowiadania? – zapytałem. – Segment chciał mnie zabić. Zamiast tego ja zabiłem jego.

– A teraz przyszedłeś do mnie – rzekł Modhri z błyskiem podekscytowania w oku. Uprzejmy z ciebie

człowiek. Oszczędzasz mi trudu przygotowania dla ciebie odpowiedniej śmierci na odległym krańcu galaktyki.

– Obawiam się, że źle mnie zrozumiałeś – odparłem łagodnie. – To ty masz umrzeć.

– Naprawdę? – zapytał, robiąc krok ku mnie. Oczy nadal mu błyszczały. – Ty przeciwko mnie, jak w tamtym pociągu?

– Szczerze mówiąc, tym razem układ sił będzie nieco bardziej jednostronny. – Wskazałem stojący na skałach po mojej prawicy krążownik odrzutowy z otwartym lukiem. – Poznajesz go?

Zerknął w tamtym kierunku, a potem przeniósł wzrok z powrotem na mnie.

– A powinienem?

– Tak sędzę – przyznałem. – Myślałem, że masz oko na wszystkie pojazdy w układzie Yandro.

Zamarł na chwilę, marszcząc czoło i dokładniej przyglądając się odrzutowcowi. Gdy znów przeniósł wzrok na mnie, mars na jego czole pogłębił się.

– Przemalowałeś jeden z nich i zmieniłeś mu numery – rzekł oskarżycielsko.

Pokręciłem głową.

– Nie. To nowiutki pojazd, nigdy przedtem niewidziany w tym układzie.

Wskazałem w górę.

– Podobnie jak trzy bombowce do atakowania celów naziemnych Chafta 201, które w tej chwili tworzą mapy twoich łóżysk koralowych.

Wędrowiec zamarł, mimowolnie spoglądając w ciemniejące niebo.

– To niemożliwe! – wysyczał. – Od ponad roku nie sprowadzono do tego układu żadnych części pojazdów ani systemów broni.

– W każdym razie nie przez waszą stację czteroszynówki – przyznałem. – Jest tak naszpikowana czujnikami, że mysz by się nie prześliznęła. Ale... najwyraźniej nie wiedziałeś.

– Czego? Uśmiechnąłem się.

– Że Yandro ma teraz dwie stacje.

Gapił się na mnie, wydmuchując powietrze w krótkich obłoczkach białego szronu.

– Nie – wyszeptał.

– To właściwie bocznica, nie stacja w pełnym tego słowa znaczeniu – dodałem. – Bardzo mała i prymitywna. Ma jednak parking, żurawie do wyładunku, kilka luków towarowych i wystarczającą liczbę Pająków, by rozpakować i zmontować cztery okręty powietrzne i całą broń będącą na ich wyposażeniu. Zestaw kosztował tylko pół biliona, a stacja drugie pół. Taniocha.

– Kłamiesz – upierał się mój rozmówca z groźbą w głosie. – Wiedziałbym, gdyby wydano tyle pieniędzy. Mam wielu wędrowców wśród pomniejszych członków ONZ.

– Tak. Te same szare eminencje, które przeforsowały kolonizację Yandro – powiedziałem, kiwając głową. – I dlatego sfinansowaliśmy całą inwestycję z prywatnych funduszy, nie dając twoim wędrowcom żadnych wskazówek.

– Rozumiem – rzekł Modhri z goryczą. – Powinienem był cię zabić dwa lata temu zamiast kazać cię wylać.

– Pewnie tak – przyznałem. – Ale nie mogłeś tego zrobić, prawda? Tak samo jak nie mogłeś mnie wciągnąć do przedziału JhanKla albo popieścić korałem w wodospadzie kasyna. Było zbyt wielu świadków. Zbyt duże ryzyko zwrócenia czyjejs uwagi na ludzi i Konfederację Terrańską. Musiałeś grać tak jak dotychczas i mieć nadzieję, że albo mnie zainfekujesz, jak innych wędrowców, albo znajdziesz sposób na wykorzystanie mnie przeciwko komandosom Fayra. Pochyliłem głowę.

– Na twoje nieszczęście obie próby zawiodły.
– Nie doceniłem cię – wymamrotał. – No dobrze. Co mi proponujesz?

Uniosłem brwi.

– Proponuję?

– Nie przyjechałbyś tu tylko po to, by się przechwalać – rzekł. Gniew i szok zniknęły z jego głosu, ustępując miejsca chłodnej kalkulacji. – Czego pragniesz? Bogactwa? Władzy?

– O, chcesz spełnić moje trzy życzenia? – powiedziałem, wyjmując komunikator.

– Spełnię tyle, ile zechcesz – odparł łagodnym, uwodzicielskim i całkowicie szczerym głosem. – Mogę ci dać wszystko, czego zapragniesz.

– Wystarczy mi obietnica – powiedziałem, trzymając palec na włączniku komunikatora że sprowadzisz wszystkie swoje przyczółki tutaj, a koloniom wewnątrz wędrowców pozwolisz umrzeć. Możesz tu żyć w spokoju, ale nic więcej.

Zawahał się, po czym westchnął.

– Dobrze – rzekł. – Skoro nie ma innego wyjścia.

– Nie ma. – Wskazałem stojącego przede mną człowieka. – Możesz zacząć od uwolnienia tego.

Oczy wędrowca zwęziły się lekko. Potem, z kolejnym westchnieniem, skinął głową.

– Jak sobie życzysz. – Wziął głęboki oddech i nagle wzdrygnął się gwałtownie, mrugając z wyraźną konsternacją. – Co... – zaczął, rozglądając się, a potem skupiając wzrok na mnie. – Czy pan...

Przepraszam, czy pan coś mówił?

– Nie – zapewniłem go. – Już wszystko w porządku. – Skinąłem głową i odwróciłem się, by odejść.

Odziane w rękawiczki dłonie zmieniły się w szpony i Modhri skoczył na mnie.

Odskokczyłem, ale nie dość daleko. Wyciągnięta ręka uderzyła mnie mocno, wytrącając mi z dłoni komunikator.

– Durniu! – warknął wściekle, jedną ręką chwytając mnie za nadgarstek i z niespodziewaną siłą przyciągając do siebie. – To ty zginiessz.

Drugą ręką właśnie sięgał mi do gardła, gdy z otwartych drzwi krążownika dobiegł terkot karabinu. Uderzenie rzuciło mężczyznę na plecy. Stoczył się jeszcze o metr i znieruchomiał.

Zataczając się lekko, przeszedłem nad nim, starając się nie wdepnąć w krwawą plamę na śniegu. W uszach wciąż słyszałem terkot karabinu.

– Dzięki – powiedziałem do Modhriego. – To właśnie chciałem wiedzieć.

Nim podniosłem komunikator, McMicking już był przy mnie.

– Sądziłem, że umówiliśmy się na usypiacze – zauważyłem.

– To ty się tak umawiałeś – poprawił mnie spokojnie. – Ja nie uważałem za stosowne ryzykować. Poza tym Modhri i tak musiałby go zabić po tym, jak użyłby go do zabicia ciebie.:

– Pewnie tak – przyznałem, krzywiąc się na widok trupa.

– Ofiara wojny – rzekł McMicking. – Jesteś gotów? Skinąłem głową i włączyłem komunikator.

– Tu Grounder – powiedziałem. – Alfa kod beta kod omikron. Rozpocznijcie atak.

– Przyjąłem – odpowiedział szorstki głos.

McMicking i ja wróciliśmy do krążownika i właśnie zaczęliśmy się wznosić, gdy w lód i ukryte pod spodem pokłady koralu uderzył deszcz ognia.

Gdy przyszedłem do umówionej restauracji na stacji Terra, Bayta już na mnie czekała.

– No? – zapytała z niepokojem, gdy usiadłem przy stoliku naprzeciw niej.

– Zrobione – odparłem. – Uderzyli, zrobili drugi skan, uderzyli ponownie i zrobili jeszcze jeden

skan. Nic nie pozostało. Wzięła głęboki oddech.

– Dziękuję.

– Nie ma za co – zapewniłem. – Co teraz? Uśmiechnęła się z nostalgią.

– Oczywiście zrealizuję swoją część umowy.

– Miałem na myśli to, co się stanie z resztą modhrańskiego umysłu – wyjaśniłem. – Z przycóżkami i wędrowcami. Co z nimi zrobicie?

– Nie wiem – przyznała. – Jeśli umysł zaśnie, prawdopodobnie będziemy mogli zostawić wszystko tak, jak jest. Jeśli nie... jeśli to, co pozostało, nadal będzie próbowało rosnać i rozszerzać swoje wpływy... będziemy musieli spróbować z tym skończyć. – Jej warga zadrżała. To znaczy: oni będą musieli spróbować.

– Nie pomożesz im?

– Wątpię, czy będę się mogła do czegoś przydać – powiedziała, wbijając wzrok w stół. Nie jestem nawet pewna, ile... no wiesz... ile ze mnie zostanie.

– Byliście bardzo blisko, prawda? – zapytałem cicho. – Chodzi mi o waszą dwójkę.

Wzruszyła lekko ramionami.

– Nie wiem, jak to opisać – powiedziała. – Modhriemu zależało na tym, by wessać wszystko w siebie, a moim stwórcom, by stworzyć coś złożonego z dwóch oddzielnych istot, które mogłyby naprawdę funkcjonować jako jedność. To będzie jak utrata połowy tego, czym jestem.

– Więc po co to robić? – zapytałem. – Dostałaś ode mnie to, co chciałaś. Jeśli ta fuzja i druga osoba w tobie jest taka ważna, dlaczego po prostu nie odstępisz od realizacji obietnicy?

– Bo ta osoba jest tylko jednym z moich przyjaciół – rzekła, znów podnosząc na mnie wzrok. – Ty jesteś drugim. A przyjaciołom nie robi się takich rzeczy.

Poczułem kluchę w gardle.

– Kiedyś mi powiedziałaś, że nie jestem twoim przyjacielem.; Skrzywiła się.

– Wtedy nie mogłam sobie pozwolić na przyjaźń z tobą. – Nie mogłaś sobie pozwolić?

– Dlatego nie mogłam ci wszystkiego powiedzieć w noc poprzedzającą akcję – rzekła zmęczonym głosem. – Nie mogłam pozwolić, żebyś mi zaufał. Nie całkiem. Gdybym to zrobiła... gdybym pozwoliła choć na odrobinę przyjaźni między nami... – Zachryła nagle. – Ten saarix w twoich torbach nie był przeznaczony dla ciebie, Frank. Pajaki ukryły go tam, bo uważały, że tak jest bezpieczniej, niż gdyby znajdował się w moim bagażu. Ale on był dla mnie.

– Rozumiem – powiedziałem, czując ciarki na skórze. Ta możliwość nigdy nie przysłała mi do głowy.

– Więc byłaś gotowa oddać życie za swój lud.

Skinęła głową.

– Za mój lud i za resztę galaktyki.

– A teraz chcesz zrobić to samo dla mnie? – dopytywałem się uporczywie. – Teraz, gdy największe niebezpieczeństwo minęło?

– Tak. Dla zadośćuczynienia.

– Mimo iż uważasz, że tej kobiecie nie wiedzie się teraz gorzej, niż wiodłoby jej się bez waszej ingerencji?

– Złożyłam obietnicę – odrzekła po prostu.

– A gdybym cię od niej uwolnił? Nieruchoma twarz drgnęła, ożywiona iskierką nadziei.

– Jak to?

– Od tamtej pory trochę o tym myślałem – powiedziałem, odchylając się nieco na krześle.

- Jak wspomniałem, mogłabyś się wycofać. Zaśmiać mi się w twarz i odjechać najbliższym pociągiem. Ale tego nie zrobiłaś.
- Bo jesteś moim przyjacielem.
- Bo jesteś uczciwa – poprawiłem. Nie byłem jeszcze w pełni gotów do przyjęcia jej przyjaźni. – Poza tym to, co pozostało z Modhriego, może nie mieć dość uprzejmości by zwinąć manatki i umrzeć. Jeśli tego nie robi, będziemy potrzebować wszystkich dostępnych środków do pokonania Modhriego
- Nadal mam swój bilet kolejowy – przypomniałem jej. A Hardin wciąż się piekli, więc im mniej czasu spędzam na obszarze Konfederacji, tym lepiej. – Zerknąłem na zegarek – Najbliższy pociąg do Ziemi Bellidosha wjedzie na peron za piętnaście minut. W porannych wiadomościach mówili, że kolejna wystawa koralu w Pętli Bellidyjskiej w tajemniczy sposób uległa zniszczeniu, zakładałam więc, że Fayr nadal żyje i działa. Pomyślałem, że pojedę tam i spróbuję odnowić z nim kontakt.
- Dobry pomysł – powiedziała, wstając. – Może... Może miałbyś...
- Ochotę na towarzystwo? – dokończyłem za nią, również podnosząc się z miejsca. Myślałem, że nigdy nie zapytasz.
- Bayta zapłaciła rachunek i razem ruszyliśmy na peron.
- Jest coś, o co od dawna chciałam cię spytać – powiedziała, gdy mijaliśmy robotnika niosącego na któryś z peronów wielki pakunek. – Wtedy, w pociągu, McMicking wspomniał coś o tym, że pan Hardin troszczy się o swoje inwestycje. O co mu chodziło?
- O mnie – odparłem. – Hardin wynajął mnie do prywatnego zlecenia. Konkretnie rzecz biorąc, właśnie zdążyliśmy uzgodnić szczegóły, gdy pojawił się wasz posłaniec z biletem kolejowym.
- Nie wiedziałam o tym – powiedziała z nagłą ostrożnością w głosie. – Nie wspomniałeś Hermodowi o drugim zleceniu.
- Pomyślałem, że byłoby to trochę niezręczne – odparłem, wzruszając ramionami. – Wiesz, jacy są ci wielcy bogacze, szukają nowych wyzwań, nowych perspektyw, nowych planów przemysłowych. No i oczywiście mają obsesję na punkcie tajności, żeby tylko jakiś konkurent nie dowiedział się i wyprzedził ich. – Pewnie tak – mruknęła z powątpiewaniem
- Co miales dla niego zrobić?
- Uśmiechnąłem się, spoglądając w głąb Tuby. We wszechświecie, który wprost tonął w ironii, ten kąsek był najsmaczniejszy.
- Chciał, żebym znalazł sposób na przejęcie przez niego kontroli nad systemem kolei czteroszynowej
- odparłem. – O, chyba jedzie nasz pociąg.